PODWÓJNY NUMER NA NOWY ROK: Mądrości mnichów na czas niepokoju
Koniec elit, jakie znamy ▪ Wielka wojna o małe chipy ▪ Znikanie Alp
Jak hip-hop zjadł pop ▪ Na spacerze z Messim ▪ Kto uratuje sylwestra

Kraków 1–8 stycznia 2023 nr 1–2 (3834–3835) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

ROK 2023
Sąsiedzi ludzie najbliżsi

W WYDANIU DODATKI
WIELKOPOLSKA WIELCE MUZYCZNA
JEŃCY. ZAPOMNIANA HISTORIA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Czas ucieka, **Przekrój** czeka!

Kup na przekroj.pl

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ

KS. ADAM

Boniecki: *Ufność na miarę czasów*

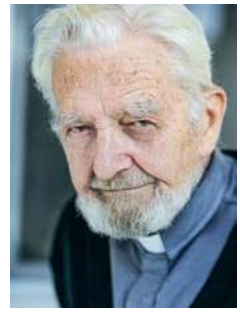

Nowy Rok rozpocznie się pod znakiem trwającej wojny. Ukraińcy płacą za swoją wolność straszną cenę. A my, jak mówi w tym numerze opat tyniecki o. Szymon Hiżycki, „doświadczyliśmy sytuacji, że przychodzi obcy, ale on okazuje się nie być wrogiem. Wydobywa w nas głęboko ukryte pokłady dobra. Odkrywamy, że jesteśmy zdolni do wielu więcej wyzwań, niż przypuszczaliśmy. Trudno powiedzieć, kto komu więcej tu dał. My ofiarowaliśmy uchodźcom dach nad głową, a oni nam pokazali, jacy naprawdę jesteśmy”.

Nasze rozliczenia – że przecież Polacy wobec Ukrainy nie zawsze byli w porządku, a i Ukraińcy też wobec nas – mogły ciągnąć się bez końca. Tymczasem to, co dzieje się teraz, to jakby reset i program nowej epoki, nowych relacji, nowych przyjaźni. Zobaczmy to i nie straćmy z oczu, nie brak przecież ludzi, którzy od starych rachunków nie mogą się oderwać. Nowy Rok zaczynamy więc w cieniu wojny Ukrainy i naszej. Jej wolność jest naszą wolnością. Nasze smutki bledną przy ich wierze w zwycięstwo.

No właśnie, nasze smutki. Wszystko nagle stało się straszliwie drogie. To problem kolejny: ilu z nas zabraknie pieniędzy na sprawy podstawowe? Może być okropnie, jeśli również tutaj nie obudzi się w nas solidarność. Możemy, a nawet musimy się dzielić tym, co mamy. Były takie czasy i być może znów nadeszły. Jeszcze się dobrze nie zagnieździliśmy we względnym dobrobycie, a tu nasz dobrobyt się skończył. Nie gadanie, lecz czyny pokażą, co w nas zostało z chrześcijaństwa.

Czy możemy przyjąć, że globalnie nic strasznego się nie stanie? Niestety, już nie jesteśmy w sferze przypuszczeń, lecz wiedzy. Katastrofa klimatyczna bezlitośnie zabiera mieszkańcom globu całe jego połacie. Czy będziemy budować wysokie płoty, czy nie, to i tak z terenów kiedyś zamieszkałych, a dziś nienadających się do życia, ludzie przeniosą się tam, gdzie życie ludzkie jest możliwe.

Stawianie płotów i obsadzanie strażą granic nie może być skuteczne. Wydaje się takie niektórym, ale do czasu.

Lekarstwa na nowe choroby są ważne, ale pytania o ich dostępność coraz bardziej stają się uzasadnione, zwłaszcza po doświadczeniach z covidem. Już przeszło dwa lata temu, gdy zaczynała się pandemia koronawirusa, UNICEF przypominał, że co roku 20 mln dzieci poniżej pierwszego roku życia, w większości z krajów o bardzo słabym systemie opieki medycznej, takich jak Etiopia, Kongo, Afganistan albo Czad, nie otrzymywało szczepień przeciwko odrze czy polio – i apelował, by rządzący i darczyńcy „rozpoczęli zwiększanie skali szczepień, aby dotrzeć do każdego dziecka, jak tylko pandemia koronawirusa ustanie”. To chyba już czas?

Musimy żyć normalnie, ale licząc się z nagłym ustaniem normalności. Normalność bywa ciężka do zniesienia, ale kiedy nastanie stan nienormalny, będziemy do niej wzdychać i opłakiwać popełnione głupstwa. Ludzkość nie zdradza skłonności do stawania się mądrą. Bo czy w ogóle może istnieć jakaś instrukcja obsługi naszego globu? Zapewne nasze zdolności adaptacyjne sprawią, że starą normalność zastąpi nowa.

Ludzkość robi rzeczy straszne. Ludzkość robi rzeczy wspaniałe. To są dwa wątki tej samej opowieści. Życzę Wam dobrego roku, cokolwiek to znaczy. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Co w 2022 roku wzbudziło największe zainteresowanie i emocje Czytelników?
Które wywiady i publikacje czytaliście z największą uwagą?

Od 2 stycznia na powszech.net/najlepsze zestawienie tych publikacji z zeszłego roku, które były najchętniej czytane przez Użytkowników naszego serwisu internetowego.

Dziękujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

28 Kto zapali światło
RAFAŁ MATYJA
Polskie elity, ukształtowane przez epokę przełomu i transformacji, wciąż wierzą we względnie stabilny świat. Ale jego już nie ma.

46 Pokój nie z tego świata
ROZMOWA Z O. SZYMONEM HIŻYCKIM, OPATEM TYNIECKIM
Z niepokojem radzę sobie, czytając Regułę św. Benedykta. Za jego czasów Europa kształtowała się wśród wojen. Wiedział, jak żyć w takich warunkach.

88 Magik z Krzemowej Doliny
ŁUKASZ LAMŻA
Algorytmy rysują, piszą i rozmawiają już jak żywe, czujące istoty. Budzi to kłopotliwe pytania o naszą własną kreatywność i przytomność.

62 Wojna o chipy
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Są już wszędzie, nie moglibyśmy bez nich funkcjonować. To wokół nich będzie się toczyć jeden z głównych konfliktów roku 2023.

NA NOWY ROK

42 Języki obce
MAREK RABIJ
Poprzedni właściciel domu uprawiał szparagi. Powiedziałam mężowi, że też musimy. Ziemi nie odbiera się tego, do czego nawykła.

58 Daj mi tę noc
DARIUSZ KOSIŃSKI
Polski sylwester w plenerze jest areną walki. Zgromadzone na placach tłumy śnią o oświeceniu, po którym znów zanurzą się w ćmie.

78 Muszę wątpić
ROZMOWA Z PAWŁEM PIENIĄŻKIEM, REPORTEREM WOJENNYM
Kiedy staję się mniej wrażliwy, a niebezpieczeństwo przestaje budzić lęk, wiem, że należy wrócić do domu i odetchnąć.

94 Pejzaż z upadkiem seraków
BARTEK DOBROCH
Obrywy lodowców w Alpach zawsze były świadectwami ich burzliwego życia. Ostatnio świadczą o ich powolnym umieraniu.

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS // JACEK TARAN // CAITLIN O'HARA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES // BARTEK DOBROCH // PAWEŁ PIENIĄŻEK // PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

6 Strach i nadzieja
WOJCIECH PIĘCIAK

8-15 Obraz roku 2022

26-27 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

23, 56 Tygodnik czytelników

KRAJ

28 Kto zapali światło
RAFAŁ MATYJA

32 Zamknięte drzwi
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI *o dzieciach z Ukrainy, u których wojna uruchomiła niezaleczone traumy*

36 Milczenie nie jest złotem
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Zachód dba już o sygnalistów. A Polska?*

39 Zakleszczeni
MAREK KĘSKRAWIEC

42 Języki obce
MAREK RABIJ

58 Daj mi tę noc
DARIUSZ KOSIŃSKI

WIARA

46 Pokój nie z tego świata
ROZMOWA Z O. SZYMONEM HIŻYCKIM

50 Niestrudzony
MAŁGORZATA NOCUŃ: *W Ukrainie autorytet abp. Swiatosława Szewczuka przekroczył granice Kościoła*

53 Przesłanie Mędrców ze Wschodu
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Ewangeliczni Magowie mogą stać się punktem wyjścia myślenia o nowej teologii religii*

ŚWIAT

62 Wojna światowa o chipy
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

67 Co zrobisz, gdy to się skończy?
PAWEŁ PIENIĄŻEK *o marzeniach Ukraińców na czas powojenny*

72 Twittera portret własny
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI: *Elon Musk chciał być apostołem wolności słowa. Szybko udowodnił, że nie ma o niej pojęcia*

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

TEMAT TYGODNIKA

16 Ludzie najbliżsi
OLGA DRENDA
Sąsiedztwo to zetknięcie z radykalną odmiennością. Jak sobie z tym dziś radzimy?

20 Tak sobie mieszkamy
ROZMOWA Z PROF. ROCHEM SULIMĄ, ANTROPOLOGIEM:
Mimo zmian, wciąż lepiej żyje się nam z następnym sąsiadem, a nie z tym, z którym bezpośrednio graniczymy.

DODATKI

99 Wielkopolska wielce muzyczna
127 Jeńcy. Zapomniana karta historii

FELIETONY

40 TOMASZ STAWISZYŃSKI
57 ZUZANNA RADZIK **124** OLGA DRENDA
125 PAWEŁ BRAVO
138 STANISŁAW MANCEWICZ
138 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
JOANNA RUSINEK DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego" ukaże się w środę 11 stycznia, e-wydania i wydanie w aplikacji dzień wcześniej wieczorem.

75 Miecze i lemiesze
WOJCIECH JAGIELSKI: *Wiktor But zawdzięcza wojnom wszystko. Nawet odzyskaną niedawno wolność*

78 Muszę wątpić
ROZMOWA Z PAWŁEM PIENIĄŻKIEM, REPORTEREM WOJENNYM

HISTORIA

82 Jaśnie wielmożni ziomków kramarze
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI *o tym, dlaczego to drugi, a nie trzeci rozbiór Polski oznaczał jej prawdziwy koniec*

NAUKA

88 Magik z Krzemowej Doliny
ŁUKASZ LAMŻA

94 Pejzaż z upadkiem seraków
BARTEK DOBROCH

KULTURA

108 Twórca patentowany
JAKUB MAJMUREK: *Według Jamesa Camerona reżyser filmowy jest jednocześnie inżynierem i wynalazcą*

112 Ile można z tym tabu?
DARIUSZ KOSIŃSKI: *W społeczeństwie braku wątpliwości to pytania o siebie – a nie o Polskę, wolność czy kulturę – są najbardziej niewygodne*

115 Jak rap z popem
JAN BŁASZCZAK: *Hip-hop dalej rządzi, ale już nie dzieli. Jest głównym nurtem*

118 Na szlaku
DOROTA KOZIŃSKA *wędruje po Brnie śladami Leoša Janáčka*

122 Arka odnaleziona
ANITA PIOTROWSKA *o najnowszym filmie Stevena Spielberga*

123 Przypowieści
LEKTOR *o opowiadaniach Wiktora Woroszylskiego*

ZMYSŁY

134 Spacer roku
MICHAŁ OKOŃSKI: *Najlepszy piłkarz świata wywalczył mistrzostwo... w trakcie przechadzki*

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ ROKU 2022

STRACH I NADZIEJA

Nie mogąc wygrać na froncie, Rosja chce zamrozić Ukrainę. „Przetrwamy i to. Czy mamy inne wyjście?" – mówią ludzie.

WOJCIECH PIĘCIAK Z KIJOWA, DNIPRA I KRZYWEGO ROGU

Tego wieczoru ośmioletni Denis nie mógł zasnąć. Wiercił się, przytulał do Marty, w końcu się rozpłakał. Gdy mama próbowała go uspokoić, wyznał, że boi się, czy następnego poranka przyjdzie Mikołaj. Tu zjawia się on 19 grudnia (bo według kalendarza wschodniego).

Denis nie był niegrzeczny. Przeciwnie, jest dzieckiem spokojnym. Może aż za bardzo: wcześniej nieśmiały, stał się wycofany od tamtej chwili, gdy drugiego dnia inwazji Marta i Mychaiło – młode małżeństwo mieszkające w podkijowskiej Buczy – złapali, co mieli pod ręką, i rzucili się do ucieczki. Walki trwały o pobliski Hostomel. Dotarli autem pod Lwów, do rodziców Marty. Do Buczy nie wracają, w ich bloku nie ma ogrzewania.

Teraz okazało się, że Denis bał się, czy Mikołaj, dobry święty pomagający biedakom, będzie pamiętać o dzieciach, skoro wokół dzieje się tyle złych rzeczy. Niepotrzebnie się bał: Mikołaj przyszedł, a Denis najbardziej ucieszył się z pudła lego. Bo gdy kończą się zdalne lekcje, chłopiec zaszywa się w kącie koło grzejnika, gdzie dziadkowie umościli mu miejsce do zabawy. Tu, jak powiedziałby pewnie psycholog, przepracowuje emocje: z klocków buduje kosmiczne krążowniki, którymi piloci, ci dobrzy, walczą ze złymi potworami.

Z lego zrobił też mapę swojego świata, gdzie kolory klocków oddają flagi krajów. Mapa ma tylko cztery elementy: po jednej stronie Rosja i Białoruś, po drugiej Ukraina i Polska.

DZIEŃ WCZEŚNIEJ, ponad 1100 km dalej na wschód, niespełna 30-letnia Sonia mogła wreszcie spotkać męża – oficera brygady, która w boju o Bachmut poniosła tak duże straty, że trzeba było ją wycofać, by uzupełnić stan osobowy. Aby przekazać mężowi prezent mikołajowy, jechała kilkanaście godzin z miasta na zachodniej Ukrainie do leśnego obozu w okolicy Dnipra. Oddziałowi, którym mąż dowodzi, zawiozła leki na przeziębienie, apteczki taktyczne, ciepłe rzeczy i smakołyki o wartości 3 mln hrywien (340 tys. zł). Fundusze, za jakie mogła zrobić te iście świąteczne zakupy, zbierała długo przez media społecznościowe. – Pomagali mi ludzie nie tylko z Ukrainy, także z Polski – mówi „Tygodnikowi", gdy spotykamy się na stacji benzynowej w okolicy Dnipra.

Przyjechaliśmy tu, by ludziom walczącym przy zimowych temperaturach o przetrwanie, o trochę ciepła i prądu, przekazać agregaty i zimowe rzeczy podarowane przez czytelników „Tygodnika". Ten wyjazd – prowadzący tym razem przez szpitale we Lwowie i Kijowie (tam przekazaliśmy aparaty elektrochirurgiczne, podarowane przez naszego czytelnika), a potem przez szpital w Dniprze i bazę wolontariuszy w Krzywym Rogu (stąd idzie pomoc dla cywilów w stale ostrzeliwanym Chersoniu) – to nasz piąty transport z pomocą humanitarną zebraną podczas akcji „Tygodnika". Obok ciepłych rzeczy dla kilkuset ludzi udało się zawieźć także 20 agregatów prądotwórczych.

Agregaty i polary są równie ważne co czołgi. A to za sprawą rosyjskiej strategii, której celem jest zniszczenie infrastruktury cywilnej i „zamrożenie" kraju. – Przetrwamy i to. Bo czy mamy inne wyjście? – słychać tu często.

SONIA PRZYWIOZŁA ze sobą także małą choinkę. Mąż dostał przepustkę, chcieli przez parę dni pobyć razem. Jednak dzień po naszym spotkaniu jego brygadę postawiono w stan pogotowia i przepustkę cofnięto. Spodziewał się, że wkrótce trafi znów do Bachmutu. ©℗

Na zdjęciu: prezydent Wołodymyr Zełenski w mieście Bucza, gdzie odkryto zbiorowe mogiły pomordowanych Ukraińców. 4 kwietnia 2022 r.

RONALDO SCHEMIDT / AFP / EAST NEWS

▪ O sytuacji na Ukrainie i naszej zbiórce opowiadamy w podkaście: **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

KRAJ: CZŁOWIEK ROKU

My, wolontariusze

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

MOŻNA PRÓBOWAĆ wszystko policzyć – tylko przez trzy miesiące od 24 lutego na pomoc uchodźcom z Ukrainy wydaliśmy 10 mld zł, a kolejne 16 mld dołożyło finansowane naszymi podatkami państwo. Można sfotografować, bo rzadko trafiają się kadry tak symboliczne, jak rząd dziecięcych wózków ustawionych przez polskie mamy na dworcu w Przemyślu, przyjmującym wtedy 20 tys. ludzi dziennie. Można przywołać zapachy i smaki: kaszy, fasoli, kanapek w sreberku i kiełbasy z grilla.

W pomoc zaangażowało się ponad 75 proc. z nas, najprościej zatem sięgnąć do własnych wspomnień z dworców, centrów pomocy i granicy.

Z samochodów na szybko oznaczonych czerwonym krzyżem i własnych domów, gdzie przyjęliśmy ponad pół miliona uchodźców. Byliśmy tam razem, choć nikt nam nie kazał. Jesteśmy nadal, choć na głowie mamy inflację i drogi prąd. I choć większość nigdy nie założy kamizelki organizacji humanitarnej, to wolontariat stał się pojęciem dużo szerszym. Definicja zasłyszana na granicy w Zosinie brzmi: „wolontariusz to ktoś, kto umie załatwiać rzeczy i długo ustać na nogach".

Stoimy tak od 10 miesięcy. Dlatego drugi rok z rzędu człowiekiem roku „Tygodnika Powszechnego" w kategorii „Kraj" zostaje bohater zbiorowy. Można oczywiście martwić się brakiem silnych liderów na trudne czasy. Ale można też przypomnieć sobie dwie dziewczyny, które 24 lutego przyniosły na krakowski dworzec wielki gar zupy i powiedzieć: najważniejszą rzecz w tym roku zrobiliśmy razem.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Podlasie: Nie dla ludzi granica

OD APOGEUM kryzysu na białoruskim pograniczu minął rok, ale publicznie jeszcze się z niego nie rozliczyliśmy. Państwo wysyła sprzeczne sygnały: rząd chwali skuteczność zapory i okrutnych praktyk Straży Granicznej; sądy uznają te ostatnie za nielegalne oraz uniewinniają skazanych dziennikarzy i aktywistów.

Pewny – i oby już niezmienny – jest ten najtragiczniejszy bilans: kilkanaście osób, które zmarło z wyczerpania, już na terytorium Polski. Były ofiarami misternego mechanizmu, stworzonego przez reżim Alaksandra Łukaszenki, zapewne ze wsparciem Kremla, który miał destabilizować nasz kraj. Ale nie da się z czystym sumieniem mówić o bezpieczeństwie państwa czy obronie jego interesów bez pytania władz o to, czy w 2021 r. uczyniły wszystko, aby na pograniczu uniknąć ofiar.

W roku 2022 polsko-białoruską granicę wciąż przekraczali ludzie, często wymagający pomocy (nawet jeśli kolejnym krokiem miałaby być prawomocna deportacja). Pod koniec września Polska skończyła budowę płotu ze stalowych przęseł, które wieńczy drut żyletkowy. Rozciąga się on na długości 186 km. W grudniu działały też trzy z jedenastu planowanych odcinków tzw. bariery elektronicznej: na 55 km granicy monitoruje ją teraz ponad 800 kamer, nadzorowanych z Białegostoku przez funkcjonariuszy Straży Granicznej.

Bariera spełnia funkcję, do której ją przeznaczono: liczba nielegalnych przekroczeń granicy spadła tak bardzo, że w roku krytycznym z punktu widzenia relacji ze wschodnimi sąsiadami uniemożliwiło to Białorusi wpływanie na sytuację w Polsce. Równocześnie w październiku Wojewódzki Sąd Administracyjny uznał tzw. pushbacki (zawrócenia do linii granicy państwowej, podczas szczytu kryzysu w 2021 r. stosowane nagminnie przez Straż Graniczną) za niezgodne z prawem. Sądy uniewinniały również polskich obywateli karanych za przebywanie w strefie zakazanej wzdłuż granicy.

Szkoda, że brakuje w Polsce przestrzeni i zwyczaju, aby móc, nawet *post factum*, zebrać to wszystko razem i wyciągnąć wnioski – choćby po to, by wiedzieć, jak reagować, gdyby podobny kryzys miał się powtórzyć.

©℗ MARCIN ŻYŁA

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Rok Tuska

GDY WRÓCIŁ do polskiej polityki latem 2021 r., w internecie krążył mem. Tusk na białym koniu podjeżdża do dziewczyny i mówi: „Przyszedłem, aby cię uratować". „Bardzo dobrze – odpowiada dziewczyna. – Ale kim ty właściwie jesteś?".

Była wprawdzie taka część elektoratu opozycyjnego, która na niego czekała, odkąd wyjechał w 2014 r. do Brukseli, jednak spora grupa rozczarowanych zarzucała mu pozostawienie kraju Jarosławowi Kaczyńskiemu. Inni mówili, że był to zły koniec złych rządów. Istniał też elektorat, który go po prostu nie znał: młodzi Polacy i Polki, którzy w momencie jego wyjazdu byli jeszcze dziećmi.

Z sondaży wynika, że Tusk poradził sobie z tymi wyzwaniami. Nie jest tak, że negatywny elektorat zniknął, ani tak, że wszyscy 20-latkowie deklarują oddanie na niego głosu. Na pewno znacząco wzmocnił Koalicję Obywatelską. Tylko czy to wystarczy, by wygrać wybory? Tusk nie mierzy się przecież wyłącznie z PiS-em, ale z globalnym trendem, jakim jest popularność populizmu w krajach demokratycznych.

Przez tę niemal dekadę PiS wygrywał w Polsce, w Wielkiej Brytanii odbyło się referendum brexitowe, a w USA zwyciężał Donald Trump. Populiści pokonywali liberałów, gdyż podejmowali tematy niewystarczająco artykułowane przez tych drugich; brytyjski socjolog Colin Crouch zwracał uwagę, jak fundamentalne jest angażowanie zbiorowych emocji obywateli, ich frustracji i poczucia wykluczenia.

Populiści byli jednak efektywni również dlatego, że znakomicie funkcjonowali w nowych mediach: byli oburzający, ale angażujący, radykalni, ale świetnie się klikali. W erze polityki dopaminy byli po prostu mniej nudni. Dziś zasadnicze pytanie brzmi: czy Tusk okaże się zajmujący dla wyborców? „Nie bądź nudny" to dziś pierwsze przykazanie polityki i fundamentalne wyzwanie. Wedle badań CBOS aż 53 proc. respondentów twierdzi, że od polityki pragnie być jak najdalej.

© KAROLINA WIGURA

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

ZDARZYŁO SIĘ W 2022 ROKU

Odra: ta katastrofa może się powtórzyć

26 lipca niedaleko Oławy wędkarze zauważyli, że z Odrą dzieje się coś niedobrego. Przez następne dwa tygodnie z wody wyciągnięto ponad 249 ton martwych ryb, a my obserwowaliśmy największą katastrofę ekologiczną w Polsce XXI wieku. A także spóźnioną o 10 dni reakcję rządu, brak systemu testowania jakości wód i zamiast sprawnego śledztwa – obietnicę miliona złotych nagrody za wskazanie winnych, nikomu zresztą niewypłaconej. Według rządowego raportu przyczyną były toksyczne glony, ale dlaczego pojawiły się w Odrze? Tego wciąż nie wiemy. Niepewna jest także przyszłość Odry; niemieckie badania pokazują, iż zasolenie jej wód nadal jest wysokie. Pewniejsza jest za to przyszłość zdymisjonowanego w sierpniu szefa Wód Polskich, Przemysława Dacy. Niedawno dostał posadę w Instytucie Ochrony Środowiska, który… bada przyczyny katastrofy na rzece. Na zdjęciu: wolontariusze w okolicach miejscowości Widuchowa, 17 sierpnia 2022 r. ©℗ KS

Lex klęsk, czyli warto się bronić

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Od weta do weta, od Lex Czarnek do Lex Czarnek 2.0 – tak czas płynący w 2022 roku może sobie odmierzyć minister edukacji i nauki. Gdy w marcu prezydent Andrzej Duda wetował pierwszą wersję ustawy ograniczającej autonomię szkół (nowelizacja prawa oświatowego zakładała m.in., że to kuratoria oświaty będą decydować, jakie organizacje pozarządowe mogą wejść do klas), nie było wielkiego zaskoczenia. Teraz zdumienia nie krył sam Przemysław Czarnek, żaląc się w mediach, że jeszcze na tydzień przed wetem prezydent sugerował, iż ustawę podpisze.

„Listy protestacyjne, które przyszły, podnosiły, że ostateczną decyzję w kwestii treści będzie miał kurator, czyli jednak element biurokratyczny, element władzy, a nie rodzice" – argumentował w zeszłym tygodniu Duda. To ciekawe, że i minister-autor niedoszłej nowelizacji, i wetujący ją prezydent odnosili się w swoich sprzecznych stanowiskach do tej samej wartości: wolności decydowania rodziców o losie swoich dzieci. Z jedną różnicą: minister założył najwyraźniej, że wszyscy polscy rodzice boją się – jak on sam – organizacji zajmujących się edukacją seksualną, antydyskryminacyjną czy obywatelską.

To, co dla Przemysława Czarnka jest znakiem klęski (nie jedynej w tym roku, zważywszy choćby falstart historii i teraźniejszości oraz głośnego podręcznika do tego przedmiotu), dla polskiej edukacji jest dobrą wiadomością. Obroniła się ona przed zakusami centralizacji i biurokratycznej kontroli – nie tylko dzięki prezydentowi, ale też za sprawą presji organizacji pozarządowych. To ważna zmiana: sektor od lat lekceważony przez prawicową władzę i niebędący w stanie doprowadzić do masowych protestów pod hasłem reformy polskich szkół – odniósł nareszcie sukces. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PREZYDENT

Im bliżej końca kadencji, tym bardziej na niepodległość od własnego obozu politycznego wybija się Andrzej Duda. Ostatnio prezydent zawetował tzw. Lex Czarnek 2.0, a jego wypowiedzi na temat Jarosława Kaczyńskiego można powoli zacząć uznawać za krytyczne.

PREMIER

Inna sprawa, że na niepodległość od własnego rządu wybija się również szef resortu sprawiedliwości, kontestujący np. próby znalezienia kompromisu z Brukselą wokół reformy sądownictwa, mające pozwolić na odblokowanie pieniędzy z KPO. Podczas gdy premier Morawiecki przypomina, że prawdziwy konflikt rozgrywa się na wschód od Polski, a „środki z UE pośrednio przysłużą się wzmocnieniu polskiej obronności", Zbigniew Ziobro wzywa do „twardej postawy" i stosowania weta „wobec zakusów żądań i chęci przejęcia kolejnych obszarów władzy przez Komisję Europejską".

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

PREZES

Jarosław Kaczyński tymczasem podróżuje po Polsce. Z antologii jego wypowiedzi, często skupionych na żartach z tożsamości seksualnej dzisiejszej młodzieży, godne przypomnienia wydaje się także – zważywszy na panujący wokół smog – wrześniowe: „Trzeba w tej chwili palić wszystkim, poza oponami czy podobnymi szkodliwymi rzeczami".

ŚWIAT: CZŁOWIEK ROKU

Rishi Sunak

JOE GIDDENS / PA / PAP

EUROPA NIE TRACI na znaczeniu – przeciwnie, w roku 2022 za sprawą wojny w Ukrainie znów znalazła się w centrum wydarzeń. Ale zgodnie z proroctwami, w przeszłość odchodzi europocentryzm. Wpływa na to i „twarda" polityka, i konteksty, z których pochodzi nowe pokolenie liderów naszego kontynentu. Przykładem tego jest Rishi Sunak, który został premierem Zjednoczonego Królestwa w trudnym momencie – po śmierci Elżbiety II, u progu gospodarczej zapaści i po najkrótszej w historii, siedmiotygodniowej kadencji swej poprzedniczki Liz Truss. Nie chodzi tu tylko o fakt, że jest on pierwszym brytyjskim premierem o innym niż biały kolorze skóry, ani o indyjskie pochodzenie jego rodziny, ani nawet o samą symbolikę Indii, niegdyś „perły w koronie" imperium zarządzanego z Londynu.

42-letni Sunak – Brytyjczyk, od lat członek establishmentu Wysp – wspomina, że jako dziecko spędzał weekendy w Southampton zarówno w hinduskiej świątyni, jak i na meczach lokalnego klubu piłkarskiego. Podkreśla, że źródłem siły bywa dla niego wiara (po wybraniu do Izby Gmin przysięgę wierności złożył na Bhagawadgitę, świętą księgę hinduizmu), lecz opowiada o niej w oderwaniu od politycznych motywacji. Integrowanie w swojej osobie różnych tożsamości wydaje się uznawać za naturalne – i choć na ocenę jego dokonań jako premiera przyjdzie poczekać, już teraz wiadomo, że jest on najważniejszym reprezentantem nowego pokolenia przywódców, dla których Europa (w dotychczasowym kulturowym znaczeniu tego słowa) oznacza coś zupełnie nowego. ©℗ MARCIN ŻYŁA

UGC / AFP / EAST NEWS

ZDARZYŁO SIĘ W 2022 ROKU

Iran: bunt wnuczek i wnuków rewolucji islamskiej

Śmierć 22-letniej Mahsy Amini, zabitej we wrześniu 2022 r. w Teheranie przez patrol policji obyczajowej, wywołała młodzieżowy bunt przeciwko rządom muzułmańskiego kleru i uczonych w Koranie. Podnieśli go nastolatkowie, wychowani w trwającej od 1979 r. muzułmańskiej republice, która zastąpiła obalonego wtedy w wyniku rewolucji szacha. Żeby zastraszyć protestujących, ajatollahowie zaczęli skazywać aresztowanych na śmierć i publicznie wieszać. Na zdjęciu: tysiące Irańczyków w 40 dni po jej śmierci uczciło pamięć Mahsy Amini w jej rodzinnym mieście. Saqez, 26 października 2022 r. ©℗ WJ

Interesy i wartości, czyli dwie unijne „nogi"

PAWEŁ BRAVO

Instytucje europejskie kończyły rok 2022 w cieniu skandalu dotyczącego oliwionego łapówkami lobbingu ze strony Kataru. Dotknął on tylko jeden z trzech filarów Unii, czyli parlament, a bezpośrednio tylko kilku obecnych lub byłych posłów i ich współpracowników. Jednak ma duży zasięg medialny i budzi niepokój, gdyż ten przykład topornego przekupstwa osłabia to, co Unia od 24 lutego 2022 r. wiarygodnie mówiła swymi działaniami na zewnątrz. Po inwazji na Ukrainę pokazała mianowicie, że jest nie tylko płaszczyzną do uzgadniania wspólnego mianownika interesów tworzących ją państw (i to wedle nieprzejrzystych reguł, pod egidą samosterownej biurokracji, tracącej z oczu szerszy sens swoich działań).

Po 24 lutego Unia pokazała, że wiele wypracowanych dotąd mechanizmów wspólnotowych potrafi służyć obronie wartości nieprzekładalnych bezpośrednio na wskaźniki ekonomiczne, i że może prowadzić do decyzji, które w krótkiej perspektywie oznaczają także straty dla państw i polityków. Mimo narzekań, że budowanie pakietów sankcji przeciw Rosji trwało tygodniami lub miesiącami, i tak jest to pokaz solidarności – oraz postęp wobec jeszcze bardziej żółwiego tempa, jakie oglądaliśmy np. przy polityce klimatycznej.

Brak takiej „pewnej ręki", jaką przez kilkanaście lat była Angela Merkel (nikt nie wierzy tu w Olafa Scholza; serwis Politico pisze nawet o wicekanclerzu Robercie Habecku jako o „prawdziwym kanclerzu"), dodaje nieprzewidywalności unijnym negocjacjom. Ale, paradoksalnie, taki stan rzeczy – z większą liczbą krzyżujących się wektorów – może dać Unii znaczną moc sprawczą, uwalniając ją od szkodliwych mrzonek (lub obaw) o federalistycznym monolicie. A fakt, że Unia stanęła mocniej na „nodze" wartości – obok tej drugiej, czysto transakcyjnej – może być ważny dla Polski w najbliższych miesiącach z uwagi na otwarte konflikty dotyczące rządów prawa. ©℗

Dobry prezydent, zły prezydent

MARTA ZDZIEBORSKA

W USA, zmagających się z inflacją i polaryzacją, w roku 2022 Joemu Bidenowi łatwiej było wykazać się wśród europejskich sojuszników niż na własnym podwórku.

„Inflacja i głód dotyczą każdego z nas" – to hasło na billboardzie banku żywności, który widziałam w grudniu w Chicago. U progu roku 2023 Amerykanie zaciskają pasa: choć inflacja spadła do 7,1 proc., nadal uderza w najbiedniejszych i średniozamożnych, nierzadko ustawiających się w kolejkach po pomoc żywnościową.

Stan gospodarki był główną troską wyborców, którzy w listopadzie wybierali władze stanowe oraz Izbę Reprezentantów i jedną trzecią Senatu. Choć Demokraci utrzymali kontrolę w izbie wyższej, sygnał dla Białego Domu jest jasny: 75 proc. respondentów uważa, że USA zmierzają w złym kierunku, a 70 proc. nie chce, aby Biden w 2024 r. ubiegał się o reelekcję. Nieco mniej, bo 61 proc., nie życzy sobie w tym wyścigu Donalda Trumpa. Ten ogłosił już start w kampanii, choć toczy się wobec niego kilka śledztw, dwie jego firmy skazano za oszustwa, a komisja w Kongresie rekomendowała postawienie mu zarzutów kryminalnych w sprawie szturmu na Kapitol. Trudno przywrócić wiarę w amerykańską demokrację.

Szansę na odbudowę wizerunku USA nieoczekiwanie dała wojna w Ukrainie: Biden nie ustaje w staraniach na rzecz Kijowa i przekazuje pomoc wojskową. Głosowanie w sprawie kolejnych takich wydatków w 2023 r. ma odbyć się jeszcze przed przejęciem w styczniu Izby Reprezentantów przez Republikanów – grupa izolacjonistów w tej partii przebąkuje bowiem o ograniczeniu wsparcia dla Ukrainy.

W Kongresie panuje zgoda w sprawie kursu wobec Pekinu. W reakcji na wzrost ryzyka chińskiej agresji na Tajwan, USA inwestują w badania nad półprzewodnikami i rodzimą produkcję chipów [patrz tekst w dziale Świat – red.]. Biden nie pali się też do zniesienia ceł nałożonych za rządów Trumpa na chińskie towary, a wojna w Ukrainie wzmocniła argument, że najwyższa pora wyhamować zapędy mocarstwowe Chin. Przed USA są też wyzwania w relacjach z Koreą Północną i Iranem.

Republikanie zapowiadają, że po przejęciu Izby Reprezentantów zaczną wszelkie rodzaje dochodzeń – od interesów syna prezydenta, Huntera, po kulisy decyzji o wycofaniu wojsk z Afganistanu i walkę z pandemią. Stany i świat czeka kolejny burzliwy rok. ©

Autorka jest dziennikarką „Press"

Wojna i klimat

ROK 2022 nie był dobry dla planety. W listopadzie Polski Instytut Ekonomiczny szacował środowiskowy koszt rosyjskiej inwazji przeciw Ukrainie i odbudowy dotychczasowych zniszczeń na 213 mln ton emisji CO_2 (to połowa tego, co Polska emituje w rok).

Ciężko myśleć o niewidocznych emisjach, gdy po niebie latają widoczne rakiety, ale brak uwagi nie musi oznaczać braku działań. Europa praktycznie odcięła się od paliw kopalnych z Rosji i zaczęła kupować ropę, gaz i węgiel, gdzie tylko się da. Ale raport Międzynarodowej Agencji Energetycznej pokazuje, że nie ograniczamy się do zmiany „dostawcy" katastrofy klimatycznej. USA zainwestują 370 mld dolarów w odnawialne źródła energii. Chiny, Indie i Korea Południowa podniosły swoje zobowiązania klimatyczne. Japonia planuje powrót do energetyki jądrowej. MAE szacuje, że do 2030 r. światowe inwestycje w czystą energię wzrosną prawie dwukrotnie.

W Europie od marca do września 25 proc. prądu pochodziło ze słońca i wiatru – to rekord. Kolejną zmianą jest renesans energetyki jądrowej. Nie tylko w Chinach czy Indiach, które seryjnie budują nowe reaktory, ale też w Wielkiej Brytanii, Francji i Polsce, która wybrała właśnie wykonawcę swej pierwszej siłowni jądrowej.

Podejmujemy te decyzje nie z troski o klimat, lecz o bezpieczeństwo energetyczne, niemniej dla klimatu mogą one być zbawienne. To dzięki nim MAE twierdzi, że obecny kryzys jest chwilowy, i po raz pierwszy w historii prognozuje, że od 2030 r. globalne emisje zaczną spadać, a gaz, ropa i węgiel będą coraz mniej potrzebne. Aby zatrzymać globalne ocieplenie na poziomie 1,5 stopnia Celsjusza, kluczowe będzie tempo tego procesu i tu nie ma miejsca na samozadowolenie – bez radykalnych zmian nie mamy szans. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Koronawirus pustoszy Chiny

ZAKAZI SIĘ NAWET 60 proc. Chińczyków, a liczba zmarłych może sięgnąć miliona – tak eksperci z Hongkongu oceniają skutki wycofania się władz w Pekinie z polityki „zero covid", która polegała na ścisłej izolacji chorych i osób „z kontaktu". Powstały ośrodki odosobnienia, zamykano budynki, osiedla, a w końcu całe miasta – jak Szanghaj. Społeczeństwo musiało się nieustannie testować, każdy musiał mieć w telefonie zielony kod zdrowotny – bez tego niemożliwe były zakupy czy skorzystanie z komunikacji. W efekcie większość populacji ze względu na brak kontaktu z wirusem jest na niego nieodporna; poza tym stosowana w Chinach szczepionka jest mało skuteczna.

XU CONGJUN / AP / EAST NEWS

Po listopadowych protestach – a także ze względu na zadyszkę gospodarki – Pekin poluzował niektóre zasady, szczegółowe rozwiązania pozostawiając władzom lokalnym. W niektórych miastach zlikwidowano część punktów testujących, ale ponieważ do korzystania z metra nadal potrzebny jest negatywny wynik, przed pozostałymi powstają gigantyczne kolejki. Wielu ludzi boi się wychodzić z domów ze strachu przed zakażeniem; inni są zmuszani do pracy nawet z objawami zakażenia.

Obserwatorzy przewidują, że nadchodzi czas próby dla jedynowładztwa Xi Jinpinga, który politykę „zero covid" firmował i przedstawiał jako skuteczniejszą od zachodniej. Musi teraz pogodzić „nieomylność" z koniecznością wdrożenia nowej strategii i – być może – przyjęcia pomocy zagranicznej. ©℗ MACIEJ MÜLLER

WIARA: CZŁOWIEK ROKU

Izabela Mościcka

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

ZAŁOŻYCIELKA Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym (pomocdlasiostr.pl) kilka lat temu sama opuściła zgromadzenie. Dziś robi wszystko, by kobiety, które doświadczają przemocy w zakonie albo decydują się z niego odejść, nie były same. Wie, że rozpoczęcie nowego życia nie jest łatwe, podobnie jak mówienie o tym, co dzieje się między siostrami.

Z działającego od ponad roku telefonu zaufania skorzystało dotąd 48 sióstr. Opowiadają o przemocy ekonomicznej, psychicznej, seksualnej i fizycznej. Mościcka porównuje ją do przemocy domowej – bo krzywdzi ktoś bliski, a wszystko dzieje się pod wspólnym dachem i zwykle siostry nie mają dokąd uciec.

Część z historii dotyczy nadużyć władzy. Zdarza się, że siostry zgłaszają pobicie przez inną siostrę, brak możliwości zapisania się na psychoterapię, nawet wtedy, gdy kieruje na nią lekarz. Także badania profilaktyczne (m.in. USG piersi czy cytologia) nie we wszystkich zgromadzeniach są normą.

W Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym pracuje teraz kilka wolontariuszek. Są wśród nich radczyni prawna, doradczyni zawodowa, z którą kobiety po odejściu ze zgromadzenia mogą przygotować się do rozmowy o pracę, a także psycholożki. Od nowego roku Centrum planuje uruchomienie cotygodniowego dyżuru telefonicznego. A w dalszej perspektywie – wynajęcie mieszkania albo domu, w którym siostry doświadczające przemocy będą mogły znaleźć schronienie i pomoc. ©℗ ANNA GOC

Z Centrum można się kontaktować pod numerem telefonu: 737 322 510

ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

ZDARZYŁO SIĘ W 2022 ROKU

Pierwsze polskie ewangeliczki wyświęcone na księży

„DZIEJE SIĘ HISTORIA” – tak autor oficjalnej luterańskiej strony na Twitterze komentował 7 maja nabożeństwo w kościele św. Trójcy w Warszawie, podczas którego po raz pierwszy w Polsce ordynowano na księży dziewięć diakonek (na zdjęciu). Historia mocno spóźniona – zważywszy że np. w Holandii taka ordynacja odbyła się już w 1929 r. (co prawda wyświęcano wtedy tylko kobiety niezamężne). W Polsce dyskusja o ordynacji kobiet w Kościele ewangelicko-augsburskim zaczęła się w 1952 r. na łamach „Strażnicy Ewangelicznej” – trwała zatem 70 lat. Zgodę przegłosowano wymaganą przez prawo przewagą dwóch trzecich głosów dopiero na Synodzie Kościoła w październiku 2021 r. W przemówieniu podczas uroczystości zwierzchnik polskich luteranów bp Jerzy Samiec zauważył, że kobiety po ukończeniu studiów teologicznych i odbyciu praktyk nie miały dotąd możliwości służyć jako księża, gdyż Kościół nie rozpoznał tego, że Chrystus powołuje bez względu na płeć. ©℗ ASK

Długa droga Franciszka

ZROBIĘ WSZYSTKO, by zatrzymać tę wojnę – powiedział papież Franciszek do abp. Swiatosława Szewczuka w trzecim dniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

Wierzył, że mu się uda, że wojna jest pomyłką, a Putin – racjonalnym przywódcą, z którym wystarczy porozmawiać. Że Ewangelia jest jednoznaczna i żaden chrześcijanin nie poprze bratobójczej wojny. Że watykańska dyplomacja znów okaże się skuteczna – byleby tylko nikogo publicznie nie napiętnować i szanować racje obu stron. Że modlitwa (zawierzenie Rosji i Ukrainy opiece Matki Bożej) i symboliczne gesty (wspólne niesienie krzyża przez reprezentantki tych krajów) poruszą niebo i ziemię.

Dziś wie, że się mylił. Co do Rosji – hołubionej za wierność duchowym wartościom i przeciwstawianej „starej, bezpłodnej Europie”. Co do moskiewskiej Cerkwi, szukającej religijnego alibi dla wojennych zbrodni. Co do watykańskiej dyplomacji, której rangę sam zresztą obniżał nieprzemyślanymi wypowiedziami o szczekającym NATO, bezbronnej Darii Duginej czy Cyrylu, ministrancie Putina. I co do gestów, które niczego nie zmieniają, bo są niezrozumiałe.

Może nie zrobił wszystkiego, ale za wszystko, co zrobił, zapłacił autorytetem. Dwa wydarzenia spinają miniony rok – gdy w lutym szedł do rosyjskiej ambasady (głowy państw nie odwiedzają ambasadorów, co najwyżej wzywają ich do siebie) i gdy w grudniu Watykan przepraszał Rosję za jego słowa (o wrodzonym okrucieństwie Czeczenów i Buriatów).

Dziś już wie, że nawet upokarzając się, wojny nie zatrzyma. Pozostaje współczucie dla ofiar, solidarność i wsparcie, których nigdy nie szczędził. I bezsilny płacz, jak na Piazza di Spagna, 8 grudnia, który nie pozwolił mu dokończyć modlitwy za Ukrainę. A który pokazał, jak długą drogę papież przeszedł: od radykalnego pacyfizmu i naiwnego symetryzmu aż po poczucie przegranej. Także osobistej.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

W nowym roku nowy kształt Kościoła

PIERWSZA POŁOWA 2022 R. była w wielu miejscach Kościoła na świecie czasem intensywnych spotkań i rozmów o synodalności – czyli wspólnego zaangażowania katoliczek i katolików w kształtowanie kościelnych wspólnot i realizowanie ich misji, współodpowiedzialności za nie i możliwości decydowania o tym, jak te wspólnoty będą funkcjonować.

Spotkania te i rozmowy zostały zainspirowane przez Watykan jako pierwszy etap synodu o synodalności. Rezultat tych spotkań i rozmów – tzw. syntezy synodalne – ma być podstawą roboczego dokumentu, który będzie dyskutowany w październiku 2023 r. przez biskupów w Rzymie.

Ciekawe, jaka będzie treść owego dokumentu i jakie będą zdania biskupów na jego temat. Syntezy synodalne zawierają bowiem wiele postulatów dotyczących gruntownych zmian w Kościele – np. dopuszczenia kobiet do święceń diakonatu (a także do prezbitaretu) czy wyboru i kontroli biskupów przez świeckich. Wiele z tych zmian – gdyby zostały wprowadzone – naruszyłoby *status quo* z dominującą pozycją biskupów w Kościele. Czy będą oni w stanie zrezygnować z uprzywilejowanej pozycji? Uważnie obserwując rozmaite reakcje hierarchów na oddolne głosy, można spodziewać się bardzo gorących debat w czasie zgromadzenia biskupów.

Z drugiej strony: czy te watykańskie debaty (i ich rezultat) będą aż tak ważne dla przyszłego życia kościelnych wspólnot? A może najważniejszym owocem owych wcześniejszych synodalnych spotkań na najniższym poziomie jest doświadczenie i zrozumienie, że właśnie ów najniższy poziom jest poziomem podstawowym, że to na nim rozgrywa się to, co istotne, a wszelkie centralne decyzje są tak naprawdę wtórne?

Być może najważniejsze dla przyszłego kształtu Kościoła będzie to, co w najbliższym roku będzie się działo we wspólnotach, które powstały lub ożyły podczas synodalnych konsultacji.

©℗ PIOTR SIKORA

Katechista do zadań specjalnych

ARTUR SPORNIAK

Podczas pandemii niepokojono się, że frekwencja na niedzielnych mszach nie powróci do stanu z roku 2019. Tak też się stało, choć skala spadku może zaskakiwać. Oficjalne dane dostępne będą dopiero pod koniec 2023 r., ale już teraz w wielu miejscach widać, że frekwencja spadła nawet o połowę. Biskup bydgoski Krzysztof Włodarczyk przyznaje, że z październikowego liczenia wiernych wynika, iż w jego diecezji przychodzi obecnie do kościoła średnio 20 proc. parafian. To spadek o 14 pkt. proc. w stosunku do czasów sprzed lockdownu. W popularnym we Wrocławiu kościele dominikanów frekwencja stopniała aż o połowę.

Dwa zjawiska zdają się odpowiadać za to tąpnięcie. Pandemia stała się bodźcem, by zerwać nadwątlone więzy. A część katolików z różnych powodów po prostu pozostała przy transmisjach mszy online. Tej grupie warto się przyjrzeć, bo być może mamy do czynienia z nowym sposobem funkcjonowania w Kościele. W minionym roku zweryfikowały się więc więzi katolików z Kościołem, a część z nich zmieniła swój charakter. Nie jest to tendencja w sposób oczywisty negatywna.

Drugim zjawiskiem były spadki frekwencji na szkolnych katechezach. Problem dotyczy zwłaszcza dużych miast. W bieżącym roku szkolnym na lekcje religii w warszawskich liceach chodzi 29 proc. uczniów. Ogółem we wszystkich szkołach i przedszkolach frekwencja spadła o 4 pkt. proc. w porównaniu z ubiegłym rokiem. Rekord w niechodzeniu na religię ustanowiły szkoły średnie we Wrocławiu, z frekwencją na poziomie 18 proc. Szczyt rankingu uczestniczenia w lekcjach religii okupują licea w Żywcu – z aż 92-procentową frekwencją. W małych środowiskach wciąż obecna jest tradycyjna presja na wychowanie religijne. Ośrodki wielkomiejskie z kolei najszybciej się sekularyzują.

Z wypowiedzi biskupów na temat kryzysu katechezy szkolnej wynika, że nie mają oni pomysłu na poprawę sytuacji. Niektórzy liczą na obowiązek wyboru religii lub etyki od 1 września 2023 r. Ich uwaga kieruje się już jednak gdzie indziej. W maju 2021 r. Franciszek wprowadził posługę katechistów w parafiach. Biskupi chcą ją w Polsce rozwijać – i wiążą z nią duże nadzieje nie tylko co do zatrzymania młodzieży w Kościele. Katechiści mają pomagać proboszczowi w ewangelizacji i współkształtować duszpasterstwo. W krajach z kryzysem powołań zastępują księży. W Polsce episkopat dopiero przygotowuje dokument określający zakres ich posługi.

©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NA WSZELKI WYPADEK
Papież ujawnił, że na początku pontyfikatu podpisał warunkową rezygnację i przekazał ją ówczesnemu sekretarzowi stanu kard. Tarcisio Bertonemu. „Powiedziałem mu: »W przypadku przeszkody z powodów medycznych lub jakichkolwiek innych, oto moja rezygnacja«" – stwierdził Franciszek w rozmowie z hiszpańską gazetą „ABC", przeprowadzonej z okazji jego 86. urodzin. Papież wspomniał, że podobne zgody podpisali Pius XII i Paweł VI.

DROGA DO NIEBA
Franciszek podpisał też dekret dotyczący męczeństwa rodziny Józefa i Wiktorii Ulmów z Markowej na Podkarpaciu oraz ich siedmiorga dzieci (w tym nienarodzonego), którzy zginęli 24 marca 1944 r. z rąk Niemców za ukrywanie Żydów. Dokument otwiera drogę do beatyfikacji rodziny.

TRUDNA SPOWIEDŹ
Fundacja Świętego Józefa przygotowała poradnik dla spowiedników spowiadających osoby wykorzystane seksualnie. Publikacja ukazuje duchowe aspekty traumy i oczekiwania, z jakimi do spowiedzi przystępuje osoba zraniona. Analizuje także sytuację, gdy do konfesjonału przychodzą sprawcy wykorzystania seksualnego. Poradnik do pobrania na stronie fsj.org.pl.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyj
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań
97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław
97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl

KULTURA: CZŁOWIEK ROKU

Małgorzata Mirga-Tas

GRZEGORZ MOMOT / PAP

PRACE TEJ ARTYSTKI znalazły się w tym roku w Polskim Pawilonie na Biennale Sztuki w Wenecji. Jednocześnie na documenta w Kassel – drugiej najważniejszej imprezie poświęconej sztuce współczesnej – pokazano cykl wielkoformatowych kolaży, w którym artystka na nowo opowiada historie Romów. W Wenecji reprezentowała Polskę, w Kassel jej prace wystawiono w ramach „RomaMoMA", czyli Romskiego Muzeum Sztuki Współczesnej.

Podwójna tożsamość jest dla niej bardzo ważna – pochodzi z osiadłej na pogórzu Karpat grupy Bergitka Roma. Po studiach (2004 r.) angażuje się w sprawy swojej społeczności. W 2011 r. w Borzęcinie Dolnym tworzy pomnik Romów zamordowanych w 1942 r. Jednak długo pozostaje niezauważona. Jej pracom zarzuca się, że są zbyt „etniczne", „romskie". Przełom przychodzi w 2020 r.: bierze udział w berlińskim Biennale Sztuki Współczesnej, a jej wystawa w Orońsku jest wydarzeniem roku. To, co uchodziło za „przeszkodę", staje się teraz atutem. Tworzy prace wielobarwne, pełne przepychu. W malarstwie wykorzystuje tkaniny, najczęściej stare ubrania otrzymane od bliskich i znajomych.

Jak tłumaczyła w „Tygodniku": „Bliscy cieszą się tym, co robię. Powiedzenie, że maluję obrazy albo tworzę rzeźby, nic im nie mówi. Muszę pokazać pracę i opowiedzieć: oto ciotka Celina. Ona ma tu nawet swoją spódnicę. To, że zobaczą coś im znanego, kompletnie zmienia ich odbiór. Obraz staje się im bliski. (...) To, co mogę robić, to opowiadać o swojej społeczności, pokazywać, jak sami siebie widzimy".

© PIOTR KOSIEWSKI

Jak celuloza zatrzęsła światem

MAREK RABIJ

NA TYCH ŁAMACH TEMAT CEN PAPIERU toaletowego gościł pewnie ostatni raz w latach 80. zeszłego wieku. Przypomnijmy młodszym czytelnikom – był to wówczas przedmiot pożądania, a posiadanie więcej niż kilku rolek w zapasie stanowiło dowód przynależności do wąskiej grupy tych, co mają tzw. dojścia.

Przyszedł rok 2022 i papier toaletowy znów szturmuje elitarne rejony polskiego handlu. W styczniu jedna rolka (mowa o papierze sprzedawanym na sztuki) kosztowała w sklepie około 1,7 zł. Obecnie dobija do 2,8 zł, co daje aż 65 proc. wzrostu w ciągu niespełna roku, czyli tempo, które nawet taki stoik jak Adam Glapiński musi uznać za katastrofalne. Szukając przyczyn trzeba jednak cofnąć się dalej niż do centrali NBP. Czeka nas wycieczka do Chin.

Cenowe szaleństwo na rynku papieru – rolki to wszak tylko rodzaj celulozowej *pars pro toto* – zaczęło się bowiem w Azji. Tamtejsze społeczeństwa od lat mają większy apetyt na wiadomości drukowane niż Europejczycy (w minionej dekadzie aż sześć z dziesięciu dzienników o największych nakładach wychodziło właśnie w Azji). Potem przyszła pandemia, świat przerzucił się na zakupy online, do których potrzebne były opakowania kartonowe – i okazało się, że to celulozowa pulpa jest tym czymś, od czego zależy dynamika PKB wielu państw.

Rok 2022 przyniósł jedynie pogłębienie papierowego kryzysu. Po ataku Rosji na Ukrainę do Europy przestała płynąć tania pulpa celulozowa z Syberii. Szantaż gazowy Moskwy rozchwiał także rynki energetyczne, a przy produkcji papieru gaz i prąd idą przecież jak woda.

W rok 2023 wchodzimy nie tylko ze straszliwą wojną w Ukrainie, ale także z wciąż trwającą globalną rywalizacją o makulaturę. Biorąc do ręki nową rolkę papieru toaletowego, warto zatem uświadomić sobie nieodwracalność tego, co następuje zwykle potem. To luksus, który musi kosztować. ©℗

PAUL WEATHERMAN / BOEING

ZDARZYŁO SIĘ W 2022 ROKU

Na niebie coraz mniej tych najpiękniejszych samolotów

LOTNICTWO PASAŻERSKIE znajduje się na progu epoki, której symbolami będą samoloty elektryczne, autonomiczne czy ponaddźwiękowe. Epokę starą żegnamy machając w stronę boeinga 747 – przed Bożym Narodzeniem nad przedmieściami Seattle wzniósł się ostatni wyprodukowany egzemplarz tego modelu. Popularny „jumbo", już w latach 70. XX w. największy odrzutowiec pasażerski, był nie tylko sukcesem komercyjnym. Dla lotniczych estetów (któż nim nie bywa, wpatrując się z terminali w lądujące samoloty?), z dyskretnie wpisanym w linię kadłuba górnym pokładem, gigantycznymi, choć sprawiającymi wrażenie delikatnych skrzydłami i podkreślanym przez załogi wdzięcznym zachowaniem w locie – boeing 747 był najpiękniejszy w swojej klasie.
Na zdjęciu: ostatni egzemplarz opuszcza linię produkcyjną, 6 grudnia 2022 r. ©℗ ŻYM

NAUKA W SKRÓCIE

NAJPIERW INFEKCJA
Analiza danych 10 mln żołnierzy z USA pokazała, że zakażenie wirusem Epsteina-Barr 32-krotnie zwiększa ryzyko zachorowania na stwardnienie rozsiane. Już wcześniej podejrzewano, że wirus ma związek z chorobą, ale brakowało tak silnych dowodów.

NAJPIERW MASA
Ssaki, które po wyginięciu dinozaurów zdominowały lądowe ekosystemy, z początku nie wyróżniały się dużymi mózgami. Zanim te urosły, jak ustalił w marcu zespół Ornelli Bertrand, ssaki zwiększyły rozmiary ciała.

NAJPIERW ŚWINIE
W kwietniu badacze z Yale University przywrócili aktywność niektórych neuronów i komórek glejowych w mózgu pobranym od martwej od kilku godzin świni. Nowa metoda ma przynajmniej pozwolić skuteczniej leczyć skutki niedokrwienia w żywych mózgach.

NAJPIERW DZIECI
Blisko 80-procentową skuteczność w zapobieganiu zachorowaniu na malarię przez dzieci w wieku od 5 do 17 miesięcy wykazała w testach klinicznych szczepionka o nazwie R21. Jedyna dotychczas zaakceptowana przez Światową Organizację Zdrowia szczepionka na tę chorobę (RTS,S) gwarantuje spadek ciężkich przebiegów o 30 proc. Co roku na malarię umiera 600 tys. osób.

RDC POLSKIE RADIO
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Zwierzę roku: leniwiec

CO ROKU BIOLODZY identyfikują kilkanaście tysięcy nieznanych wcześniej gatunków zwierząt, z których zdecydowaną większość stanowią owady. Nie zawsze podstawą odkrycia jest spotkanie zwierzęcia, którego żaden człowiek wcześniej nie widział na oczy. O zmianach w klasyfikacji często decydują badania genetyczne w obrębie znanych populacji, połączone z pogłębioną analizą środowiskową.

Taka jest historia *Bradypus crinitus* (na zdjęciu) – siódmego współczesnego gatunku leniwca, który we wrześniu wyodrębniono z leniwca grzywiastego (*Bradypus torquatus*). Oba gatunki zamieszkują wąski pas brazylijskiego Lasu Atlantyckiego, ale pierwszy jego południową część, a drugi – północną. Ich przodkowie stanowili jedną populację ok. 4 mln lat temu. Zmiany genetyczne przełożyły się na różnice anatomiczne: leniwce z południa mają bardziej spłaszczone czaszki oraz szersze i bardziej zaokrąglone szczęki.

Rozdziela je rzeka Rio Doce, choć nie jest jasne, czy ona sama zadziałała jak bariera fizyczna, czy może na jej obu brzegach zapanowały inne warunki, do których poszczególne gatunki leniwców się dostosowały. Zwierzęta te są bardzo wybredne, gdy idzie o dietę – żywią się głównie młodymi liśćmi zaledwie od kilku do kilkunastu gatunków drzewa.

DOMENA PUBLICZNA

Dzisiejsze leniwce to nieliczni reprezentanci niegdyś wyjątkowo zróżnicowanej grupy zwierząt, obejmującej także przedstawicieli megafauny – rodzaju *Megatherium* o rozmiarach słoni. Współczesne gatunki dzieli się na dwie grupy: leniwce dwupalczaste i trójpalczaste, które stanowią bardzo odległych krewnych i niezależnie wytworzyły adaptacje do nieśpiesznego stylu życia. Ich ostatni wspólny przodek występował aż 30 mln lat temu.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Czy to już koniec kryptowalut?

SAM BANKMAN-FRIED lubił robić z siebie współczesnego mnicha: jeździł starą corollą i opowiadał, że pieniądze szczęścia nie dają. Jednocześnie mieszkał w luksusowym apartamencie na Bahamach i niemiłosiernie doił swoich klientów. Wydoił co najmniej 8 mld dolarów.

Na początku listopada okazało się, że 30-latek wykorzystywał aktywa FTX, czyli trzeciej co do wielkości giełdy kryptowalut, której był założycielem i prezesem, jako zabezpieczenie dla swojej drugiej, przynoszącej straty firmy. FTX upadła osiem dni po tym, jak to wyszło na jaw, a Bankman-Fried trafił do aresztu (zarzuty obejmują m.in. oszustwa bankowe i związane z papierami wartościowymi, pranie brudnych pieniędzy i spisek w celu oszustwa elektronicznego). Wyznaczony na jego następcę John Ray twierdzi, że przez 40 lat kariery specjalisty ds. upadłości „nigdy nie widział aż tak kompletnego braku kontroli korporacyjnej i tak kompletnego braku wiarygodnych informacji finansowych”.

Changpeng Zhao, założyciel obecnie największej na rynku giełdy kryptowalut Binance, zapewnia, że jego klientom nic nie grozi, ale coraz więcej ekspertów radzi im wypłacać środki, póki jeszcze mogą. Kryptowaluty przechodzą bowiem kryzys podobny do tego, jaki w 2008 r. dosięgnął sektor bankowy po upadku banku Lehman Brothers – co jest ironią losu, bo powstały właśnie w reakcji na tamte wydarzenia. Czy w ogóle go przetrwają? Jeszcze przez jakiś czas zapewne tak, choć coraz bardziej zasadne staje się pytanie, czy powinny.

Zdecentralizowana technologia *blockchain* miała uwolnić świat od łupiących go prowizjami pośredników, zastępując wzajemne zaufanie uczestników rynku cyfrowym kodem. Po 14 latach widać centralizację większą, niż widziano kiedykolwiek w tradycyjnych finansach (Binance po bankructwie FTX ma 52,9 proc. udziałów w rynku, a w handlu instrumentami pochodnymi do 67,2 proc.). Z obietnicy wolności i bezpieczeństwa wyłaniają się w pełnej krasie chciwość, monopol i bezczelne oszustwa. Wygląda na to, że libertariański technobełkot scala już wyłącznie pusta obietnica szybkiego zysku.

© AGATA KAŹMIERSKA I MICHAŁ GIKOWSKI

TEMAT TYGODNIKA

LUDZIE NAJBLIŻSI

Sąsiedztwo to zetknięcie z radykalną odmiennością. To, co w wielokulturowej Polsce przedwojennej było oczywistością, w PRL przeszło w sferę teorii i wyobrażeń. A dziś? Chcemy dobrych relacji z sąsiadami – ale na dystans.

OLGA DRENDA

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Katowice, ostatni dzień 2005 r.

We Wrocławiu można zobaczyć mural autorstwa Anny Szejdewik, na którym postacie z animowanej bajki o Jacku i Agatce zachęcają: „Sąsiedzie! Pożycz szklankę cukru". Nawiązanie do starej wieczorynki przypomina marzenie o dawnych, rzekomo lepszych czasach, kiedy relacje między nami miały być bliższe i serdeczniejsze i gdy można było na sobie polegać. Zachęca też, aby nie obawiać się kontaktu z drugim człowiekiem.

Z wyjątkiem proboszczów

Socjologowie przekonują, że – wbrew pospolitym przesądom – deklarujemy coraz większe zaufanie do sąsiadów. Według badań przeprowadzonych dwa lata temu przez CBOS między 2002 a 2020 rokiem wzrosło ono aż o 8 pkt. proc. (do 80 proc.). Podobny wzrost zanotowały współczynniki zaufania do wszystkich innych grup społecznych, z którymi pozostajemy w stałym kontakcie, jak rodzina, współpracownicy czy znajomi (jedyny wyjątek to proboszczowie). Jak jednak przejawia się to zaufanie? Czy chcemy sobie pożyczać wzajemnie szklankę cukru, korkociąg lub młotowiertarkę – czy też jesteśmy gotowi pójść krok dalej: zapraszać się na przyjęcia urodzinowe i śluby, poprosić o zaopiekowanie się na chwilę dzieckiem albo – już całkiem jak w dawnych czasach – zaprosić w kumy?

CBOS regularnie powraca do tematu sąsiedztwa. W badaniach powtarza się wniosek, że nasze relacje – i te faktyczne, i te pożądane – można określić jako „poprawne, lecz niezbyt bliskie". To tendencja niezmienna co najmniej od 2008 r.

W badaniu z 2017 r. pojawiają się dookreślenia tego stanu rzeczy. Zdecydowana większość Polaków – 84 proc. – za podstawę relacji sąsiedzkich uznaje wzajemne pozdrawianie się. Prawie trzy czwarte badanych przyznaje, że sąsiedzkim standardem są przysługi, czyli pożyczenie czegoś, przechowanie przesyłki, popilnowanie dziecka. Na zaproszenia i wizyty decyduje się tylko jedna trzecia badanych. Zaobserwowano też różnicę między wsią a miastem: w miastach dominuje życzliwy chłodek, na wsi łatwiej o bliskie kontakty (serdeczne przyjaźnie, ale i spektakularne kłótnie). Innymi słowy: rośnie zaufanie do sąsiadów, ale równolegle zwiększa się dystans; nie przeszkadzamy sobie, lecz nie wchodzimy sobie na głowy.

Sąsiedzi kontra Babilon

Relacje sąsiedzkie – nieformalne i niezdefiniowane, czasem doraźne, czasem ściśle pragmatyczne – mogą okazać się skuteczną ↦

↦ bronią, gdy mieszkańcy zgodnie rozpoznają wspólny interes.

Przekonała się o tym Magdalena Gościniak, mieszkanka Zabrza, która zaniepokoiła się na wieść o planach intensywnego wyrębu drzew w dawnym parku leśnym Tiele-Wincklerów, popularnym miejscu wypoczynku i elemencie „zielonych płuc Śląska". Postanowiła zaangażować mieszkańców w obronę wspólnego lasu. Wraz z przyjaciółmi stworzyła stronę internetową rozjaśniającą nieprzystępny, zawiły żargon leśników. Wspólnie tłumaczyli, jak zgłaszać wnioski do nadleśnictwa (niełatwe zadanie – każdy wniosek wymagał osobnego adresu w obrębie Nadleśnictwa Brynek), rozmawiali, zapraszali na zbiorowe spacery. Sąsiad pomagał sąsiadowi: pisano wnioski, zbierano podpisy w salonie fryzjerskim i kosmetycznym. Dzięki sprawnej współpracy udało się zyskać wsparcie radnych i przeprowadzić udane konsultacje społeczne. Efekt? Nadleśnictwo zrewidowało plan urządzenia lasu. „Nazywam się tak i tak, i uratowałem 2 hektary lasu" – w ten sposób wszystkim dziewięciuset osobom, które do niej dołączyły, gratulowała później Magdalena Gościniak.

Inicjatywa mogłaby nie powieść się aż tak spektakularnie, gdyby nie solidarność sąsiedzka i poczucie, że chodzi o coś, co dotyczy każdego w okolicy. Cierpliwość, życzliwy międzyludzki kontakt, gotowość do rozmowy, spokój i uprzejmość – to, jak czytamy w podsumowaniach, przyczyniło się zarówno do zadzierzgnięcia współpracy, jak i sukcesu konsultacji.

Przykład z Nadleśnictwa Brynek potwierdza intuicje Amandy Krzyworzeki, badaczki z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW zajmującej się głównie wsią, która pisze, że „kwestia wzajemnej pomocy przeszła po prostu od sfery produkcji do sfery informacji". Struktura społeczna na wsi się zmieniła, więzi nie są tak ścisłe, praca stała się w dużej mierze zmechanizowana, pojawili się przybysze z miasta. W dodatku przywiązani do prywatnej i wyłącznej własności rolnicy są dziś bardziej skłonni do płacenia sobie wzajemnie za usługi niż do tworzenia zorganizowanych form współpracy czy np. kupowania sprzętu na spółkę. Nie zmienia to jednak tego, że mogą na siebie liczyć, gdy trzeba kogoś podwieźć do miasta czy wypełnić wniosek. Niekoniecznie odnowią własnoręcznie przystanek, ale złożą się na ekipę remontową.

> Na wsi coraz bardziej wolimy relacje dobre, lecz chłodne. Są tym lepsze, im bardziej pozbawione pierwiastka nieuchronności. Nie jesteśmy już na siebie wzajemnie skazani w takim stopniu, jak kiedyś.

Jak to działa? Krzyworzeka odtwarza przypadek „sąsiedzkiego łańcucha pomocy" w miejscowości letniskowej ukrytej pod kryptonimem Morawinka, zamieszkanej przez ludzi zakorzenionych oraz napływowych – niekoniecznie znających się wzajemnie, a czasem mających różne interesy. Gdy jednak zalewanie miejscowości przez rzekę stało się dotkliwe, a oficjalny budżet nie pozwalał na budowę wału przeciwpowodziowego, zawiązała się współpraca. Sąsiedzi przekonali radnego, by wynegocjował fundusze na budowę ścieżki rowerowej (na co można było pozyskać środki unijne), przy czym miała ona powstać na nasypie oficjalnie pełniącym funkcję trasy widokowej, ale spełniającym też kryteria dla wału przeciwpowodziowego. Zebrano również pieniądze na opłacenie firm budowlanych.

Tak okrężną drogą udało się wykorzystać potencjał nieformalnych sąsiedzkich więzi: ktoś polecił fachowca, ktoś inny mógł przekonać radnego, jeszcze inny wsparł pomysł finansowo. Luźne relacje przełożyły się na trwały efekt.

„A wróg, ale mój, swój, nasz!"

Gdy myślimy o sąsiedzkich spięciach w kontekście polskiej historii, odruchowo przypominają się lektury szkolne i długa tradycja pieniactwa szlacheckiego, jak w „Panu Tadeuszu" czy „Zemście".

Skupmy się jednak na bardziej współczesnych nam realiach. Warto przypomnieć powyższy cytat z „Samych swoich", komedii odwołującej się do bardzo czytelnego toposu sporu i tego, co dzisiaj nazwalibyśmy z angielska *love-hate relationship*. Dobrze podsumowuje on długotrwałą specyfikę relacji sąsiedzkich zwłaszcza na polskiej wsi – a, jak pisał Wiesław Myśliwski, większość z nas, niezależnie od aktualnego zajęcia, ma coś wspólnego z chłopską genealogią.

Dzisiaj ten typ relacji i wpisanych w nie napięć należy już do przeszłości, bo sama wieś zmieniła się radykalnie – filmy Sylwestra Chęcińskiego mają zresztą w tle wielkie społeczne przeobrażenia. Pamiętają je jednak ludzie, którzy żyli na wsi w połowie XX w., mieli kontakt z gospodarzami ze starszych pokoleń albo bliskimi, którzy w tym świecie się wychowali – w końcu nieco z wiejskiego obyczaju w czasie wielkich migracji PRL przeniosło się na osiedla. Dobrze znają te zasady również ci, którzy mieli do czynienia z etnografią czy klasyką polskiej socjologii – tekstami Floriana Znanieckiego czy Kazimiery Zawistowskiej. Opisywali oni bardzo ważną regułę spajającą wiejskie społeczności – pomoc wzajemną. Nie była to dobra wola, lecz konieczność, którą wymuszały warunki życia. Człowiek nie mógł poradzić sobie sam czy tylko przy pomocy najbliższych, więc często musiał układać się z ludźmi, z którymi dzielił to samo miejsce na ziemi, nawet jeśli ich nie znosił.

W różnych regionach ustalano nawet formalne zasady takiej pomocy, np. podczas żniw. Tak jak Kargul i Pawlak, sąsiedzi mogli się nie cierpieć, ale byli sobie wzajemnie potrzebni, bo przeżycie i utrzymanie gospodarstwa byłoby bez tego wsparcia niemożliwe. To oczywiście samograj dla komedii, ale też potencjalny materiał wybuchowy, gdy połączenie współzależności i wrogości prowadzi do tragedii. Przypominają o tym głośne procesy powojennej Polski, dotyczące zbrodni w Rzepinie, Połańcu czy Głogoczowie. Nie dziwią też wnioski z badań socjologicznych i etnologicznych, zgodnie z którymi – również na wsi – coraz bardziej wolimy relacje dobre, lecz chłodne. I może tym lepsze, im bardziej pozbawione pierwiastka nieuchronności, konieczności.

Mikstura tych doświadczeń – konieczności wzajemnego znoszenia się oraz wzorców kulturowych i obyczajowych, zgodnie z którymi kłótnia to styl życia – powraca echem do dziś, nawet jeśli nieko-

niecznie ma przełożenie na realia. Dzisiaj nie jesteśmy już wzajemnie na siebie skazani w stopniu takim jak kiedyś, a mimo to sąsiad bywa bohaterem gorzkich czy autoironicznych powiedzeń bądź dowcipów o polskich przywarach. Taka jest „Modlitwa Polaka" z filmu „Dzień świra", czyli litania wyrafinowanych złorzeczeń, czy memy o Januszu Nosaczu, którego życiową misją jest triumfowanie nad „somsiadem", wiecznym obiektem zawiści. Ponieważ i on jest przecież dla kogoś „somsiadem", możemy interpretować taki humor jako przerysowany, groteskowy śmiech z samych siebie i własnych wad. Bardziej zniuansowaną rzeczywistość można podsumować raczej cytatem z czołówki innej komedii sąsiedzkiej, „Świata według Kiepskich": „choć problemy są kosmiczne, jest tu całkiem sympatycznie".

Czy się znamy?

Sąsiedztwo bywa bliskim zetknięciem z radykalną odmiennością. To, co w wielokulturowej Polsce przedwojennej było oczywistością, po 1945 r. przeszło w dużym stopniu w sferę teorii i wyobrażeń.

W 1992 r. na zlecenie miesięcznika „Twój Styl" przeprowadzono ankietę dotyczącą stosunku przeciętnej Polki do różnych grup społecznych. Pytanie brzmiało: „Czy zgodziłaby się Pani mieć za sąsiada..." – a odpowiedzi wskazywały, że najmniej mile widziani byli (używam poniżej terminologii z ankiety; dzisiaj zapewne użyto by innej) dawni więźniowie, narkomani, prostytutki i homoseksualiści, natomiast wymarzonym sąsiadem byłby policjant, Żyd, Arab i Rosjanin. Ciekawostka, pośrodku ankiety znalazły się feministki: 40 proc. odpowiedzi na tak, 58 proc. na nie.

Podobne badania powtarzano wielokrotnie, ale ta jednorazowa ankieta prasowa (do której niestety nie dysponujemy szerszym komentarzem) przedstawia chyba najszerszy i najbardziej zróżnicowany dobór grup społecznych, w tym niektóre specyficzne dla swoich czasów. Później skupiano się np. na badaniu dystansu społecznego – tak w 2014 r. zrobiło Centrum Badań nad Uprzedzeniami. W ankiecie pt. „Społeczne kontakty Polaków – czyli czy znamy ludzi innych niż my sami i czy chcemy ich poznawać?" pytano o akceptację w miejscu pracy, sąsiedztwie i rodzinie. Zespół badaczy podkreślał, że ankietowani generalnie wykazali się otwartością, a różnice – na pewno w interesującej nas kategorii – pozostawały nieduże. Jeśli już jednak miano wskazać najbardziej i najmniej pożądanych kandydatów na sąsiadów, to większą aprobatą cieszyli się ludzie biedni oraz bogaci, a najmniejszą – osoby homoseksualne i Romowie. Najbardziej istotną zmienną w przypadku tego badania jest fakt, że często deklaracje nie szły w parze z doświadczeniem kontaktu, ponieważ wielu badanych nie znało żadnych przedstawicieli grup, z którymi chcieliby (lub nie) zamieszkać po sąsiedzku.

> W mieście polityka mieszkaniowa sprzyja przebywaniu w sąsiedztwie ludzi o podobnych dochodach. Mniej wiemy nawzajem o sobie – wkrótce możemy zacząć krążyć po gabinecie luster.

Nowe miedze

Trudno powiedzieć, na ile wspomniane badania faktycznie mówią o uprzedzeniach, stereotypach czy nietolerancji wobec różnych grup. Możemy na nie spojrzeć w dłuższej perspektywie – jako dokumenty zmieniającej się intensywności w relacjach sąsiedzkich.

W latach 90. XX w., czyli czasach pierwszej z przytoczonych ankiet, organizacyjne, ekonomiczne, logistyczne i technologiczne warunki życia częściowo wymuszały większą bliskość. Instytucja telefonu grzecznościowego, brak domofonów, odwiedzanie się „na telewizję", „osiedlowy monitoring", czyli starsza pani w oknie bacznie pilnująca dziecięcych band spędzających wolny czas na podwórku – wszystko to elementy krajobrazu życia codziennego należące już do przeszłości, a w czasach transformacji powszechne. Ta obserwacja pokrywa się m.in. z badaniami CBOS z 1995 r.: w porównaniu z nowym milenium zdecydowanie częściej utrzymywano wtedy relacje towarzyskie z współmieszkańcami bloku, kamienicy czy osiedla, odwiedzano się wzajemnie w domach. A może ta bliskość z konieczności stała za wskazaniami z ankiety (zwłaszcza za mile widzianym sąsiedztwem policjanta), a generalna otwartość na różne grupy społeczne to rezultat orientacji na relacje „poprawne, lecz niezbyt zażyłe"?

W ostatnich latach następują zmiany w strukturze sąsiedzkiej: pod pewnymi względami mieszkamy bardziej jednorodnie, a pod innymi – różnorodnie. Polityka mieszkaniowa sprzyja przebywaniu w obrębie ludzi o podobnych dochodach, z tej samej klasy społecznej, co sprawia, że wiemy mniej o sobie nawzajem i możemy wkrótce zacząć krążyć po gabinecie luster.

Z drugiej strony Polska już od lat staje się krajem zróżnicowanym etnicznie, religijnie, światopoglądowo czy pod względem stylów życia – na pewno w miastach, choć wieś również ma tu coś do powiedzenia. Rosyjska agresja na Ukrainę jedynie przyspieszyła ten proces: gdy do Polski przybyli uchodźcy, sąsiedztwo między państwami przeobraziło się w sąsiedztwo na linii człowiek–człowiek, często napędzane serdecznością i chęcią pomocy. We wspomnianych wcześniej badaniach dystansu społecznego podzielono kategorie relacji międzyludzkich na zawodowe, sąsiedzkie i przyjacielsko-rodzinne; nie muszą się one nakładać na siebie, ale zdarza się, że mogą. Wówczas, gdy poznajemy się lepiej, relacje stają się bardziej zażyłe.

Nawet jeśli niekoniecznie zawsze poprawne.

© OLGA DRENDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Tak sobie mieszkamy

PROF. ROCH SULIMA, ANTROPOLOG KULTURY:

Sąsiedztwo zmienia się współcześnie bardzo szybko. Jedno pozostaje takie samo: lepiej żyje się nam z następnym sąsiadem, a nie tym, z którym się bezpośrednio graniczy.

MARCIN ŻYŁA: Jak się Panu, Panie Profesorze, żyje w mieście po sąsiedzku?

ROCH SULIMA: W bloku na warszawskiej Saskiej Kępie, najczęściej przy windzie, wymieniamy się pozdrowieniami. Ostatnio nastąpiła wyraźna zmiana pokoleniowa i odmieniły się sąsiedzkie zwyczaje. Przeważają nowi, młodzi sąsiedzi, których dopiero poznaję, a oni poznają się wzajemnie. Nie ma list lokatorów. Nie przystajemy, aby – jak dawniej – pogadać o polityce. Jeśli już – to raczej o usprawnieniach w bloku, nowych windach, domofonach i altance śmietnikowej, wielkiej przychodni lekarskiej, która latem zastąpiła ulubiony na osiedlu spożywczy supersam działający tu ponad pół wieku.

To zmiany pokoleniowe. Inny współczesny trend to „nowe sąsiedztwo", zwykle młodzi mieszkańcy miast przeprowadzający się na wieś. Jedna z wiejskich gmin z południa kraju wydała dla nich informator, w którym np. prosi o niewzywanie policji na sąsiadów, którzy wcześnie rano w sobotę – co na wsi normalne – hałasują pracując przy domu. W swoim wiejskim domu nie ma Pan takich kłopotów?

Mieszkam na wsi już od dawna i wiem, że jej rytm oraz dźwięki są po prostu inne. Nie przeszkadza mi pianie kogutów w obejściach sąsiadów, szczekanie psów czy porykiwanie bydła. Faktycznie, wszystko to zagłuszają piły motorowe, które słychać nie tylko w pobliskim lesie. Na szczęście sąsiad zlikwidował niedawno warsztat produkujący palety.

Sąsiedztwo na wsi jest dziś inne niż kiedyś?

Wciąż czasem zdarzają się wtargnięcia na działkę – kiedyś połamano mi latarnie. Są próby drobnych pożyczek „na flaszkę", z odwieczną argumentacją, że to „na chleb". Zauważyłem, że z sąsiadami nie rozmawiamy już o tym, jak było dawniej. Dziesięć lat temu było to jeszcze typowe, ale dziś główny temat rozmów to współczesność: ceny chleba, gazu w butlach, wojna w Ukrainie oraz nasza nowa remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Lokalne plotki do mnie nie trafiają – wciąż krążą, ale nie krzewią się tak bujnie jak kiedyś, gdy działała instytucja przydrożnej ławeczki.

Wtedy sąsiedztwo bywało też rodzajem samopomocy.

Ciągle nim jest – sam tego doświadczam. Spośród mieszkańców mojej wsi mam na Facebooku dwóch znajomych, ale poczucie realnego sąsiedztwa jest nadal istotne. Mam to dobrze zmapowane: zasięg najbardziej zażyłych kontaktów sąsiedzkich obejmuje cztery najbliższe domostwa w jedną stronę oraz pięć w drugą. Uzyskuję od sąsiadów pomoc w uprawie dużego ogrodu – czasem pożyczą traktor – przy piłowaniu drewna czy drobnych wycinkach. Najważniejsza jest aprowizacja w sprawdzone domowe produkty. Przyznaję, jest to pomoc nieodwzajemniona, ale w niewygórowany sposób opłacona. Zgodnie ze starym sąsiedzkim zwyczajem: „niech się darzy" i „na zdrowie".

Nie zmieniła się też stara zasada: jakoś tak bywa, że dobrze się żyje z następnym sąsiadem, a niekoniecznie tym, z którym graniczy się bezpośrednio.

Co kryje się w samym słowie „sąsiad"?

Używając języka programów szkolnych powiedziałbym, że całkiem spora dawka potocznej wiedzy o społeczeństwie. To część słownika, który wykorzystujemy, kiedy zwracamy się do „innych". Słowo „sąsiad" każe myśleć o sprawach publicznych naszej najbliższej małej wspólnoty. Słowo „przyjaciel" – o systemie podzielanych wartości, „kuzyn" – o stopniach pokrewieństwa i powinowactwa rodzinnego. Wyszło dziś z użycia słowo „obywatel", które ma stary rodowód, spotykamy je jeszcze na cmentarnych nagrobkach z międzywojnia. W PRL narzucono je, aby wyrugować słowo „pan". Nie spotykamy dziś na klatce schodowej w bloku czy wiejskiej drodze „obywatela", ale najczęściej właśnie sąsiada lub nieznajomego.

Język skrywa zresztą więcej. Znamy popularne przysłowie: „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi". Sąsiadować to „usiąść obok", ale „siedzieć" nie znaczy tu być obok siebie, jak w kawiarni czy teatrze. „Siedzieć" znaczyło pierwotnie: mieszkać, zamieszkiwać wieś, okolicę, zająć miejsce, zaznaczyć jego granice. Stąd m.in. siedlisko, sioło, osiedle, ale też „mieszkanie".

GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sąsiedzki piknik w obronie trylinki, którą drogowcy planowali zalać asfaltem. Piknik odniósł skutek. Częstochowa, listopad 2021 r.

Te słowa kojarzą się z kolejnymi, coraz szerszymi kręgami.

I słusznie! Współcześnie takich kręgów, sposobów oddziaływania jest więcej. Sąsiedztwo stwarza mocne przesłanki funkcjonowania lokalnej opinii publicznej – chodzi o nowe wiadomości, ale też o plotki i obmowy, czyli przekazywanie złych, złośliwych opinii o innych. Wyznacza – jak zawsze – najbliższą sferę publiczną, ale też konfrontuje ją z globalną sferą oddziaływania, np. wszechpotężnego dziś sąsiedztwa cyfrowego.

Potoczna wiedza o najbliższych wspólnotach – rodzinie, wsi, okolicy czy gminie – również jest ugruntowana w języku.

Kiedyś w języku polskim używano kilkudziesięciu nazw stopni pokrewieństwa i powinowactwa rodzinnego. Sąsiedzi byli stałymi bohaterami przysłów, opowieści o złych lub dobrych sąsiadach. Krzewiły się, bywa tak zresztą i dziś, dowcipy o „głupich sąsiadach" – dotyczą one nie tylko sąsiedniej wsi, ale również sąsiednich nacji. Dlatego tak istotną dla opisu fenomenu sąsiedztwa jest rola „granicy". Stąd bierze się słynne „to je moje" i cała bogata topika kulturowa: progu, miedzy, płotu, muru, bogato zaświadczona w polskiej literaturze, filmie i sądowych pitavalach.

A gdyby to, jak traktujemy sąsiadów, przenieść na nasz sposób myślenia o społeczeństwie, to czego byśmy się dowiedzieli?

Powiedziałbym, że dotyczyłoby to nie tylko sposobu myślenia, ale również działania społecznego na podstawowym, integralnym poziomie egzystencji.

Jeśli mieszkam na Mazowszu, nie interesuje mnie przecież czyjś sąsiad w Wielkopolsce czy na Podhalu, ale „mój" sąsiad, wpisany w moją codzienność. Bo to poprzez niego określam na co dzień swój status w małej wspólnocie. W kulturach tradycyjnych to mogło być rozstrzygające. Sąsiad to był „on", ale z kręgu „my".

Wspólnoty rodzinno-sąsiedzkie, szczególnie w środowisku wiejskim, stanowią najbardziej „czułą" tkankę społeczną. Porażają „ciemne sprawki" w sąsiedztwie: ojcobójstwo, dzieciobójstwo, kazirodztwo, oszustwo, złodziejstwo. Najmocniej nas wtedy dotykają, bo wszyscy mają jakieś rodziny, wszyscy mają jakichś sąsiadów. Ugruntował się w ten sposób niekoniecznie zapisany, ponadlokalny i wręcz ponadnarodowy kod reguł i praw. Widać to szczególnie dobrze w zglobalizowanym dziś świecie. Dlatego zapewne tak mocny oddźwięk miała tytułowa formuła książki Jana Grossa pt. „Sąsiedzi".

Dlaczego tęsknimy dziś za „prawdziwą", żywą wspólnotą sąsiedzką?

Tradycja kulturowa pielęgnuje mit „sąsiedztwa", podobnie jak mit wsi, szlacheckiego dworku, Polaka-katolika. Niektóre z tych mitologii dziś słabną, inne nabierają nowego znaczenia.

Społeczne wyobrażenia tradycyjnego sąsiedztwa przynależą dziś do tzw. mitów kompensacyjnych. Im bardziej realia odstają od wyobrażeń, tym bardziej pociągający wydaje się stary świat sąsiedzkich powinności i zobowiązań. Przy dzisiejszym „głodzie" wartości są to dziś ożywcze złudzenia, oddziałujące niejako podskórnie, czasem w formie nieuświadomionej, szczególnie w sztucznych formach „zamieszkiwania", takich jak grodzone osiedla, pojawiające się już i u nas mieszkalne wysokościowce czy popularne „daczowiska".

Dlaczego sztucznych?

Bo rządzących się nowymi prawami. Dotychczas o sile i spoistości tradycyjnego modelu sąsiedztwa zawsze decydowały: typ pracy, więź religijna, obrzędowość i obyczaj, zasada samowystarczalności i samopomocy, a więc „solidarność życia" na elementarnym poziomie egzystencji. Najczęstsze przykłady pochodzą z kultur tradycyjnych oraz ze społeczności wiejskich.

A w mieście?

Mówiąc najogólniej, sąsiedztwo mieszczańskie wytworzyło instytucje rywalizacji, celebrowania prestiżu – kiedyś np. salon, cykliczne bale, wieczorki taneczne – pielęgnowało teatralizację potencjalnego konfliktu. To stąd przed wiekami ↦

↦ wzięły się słynne wieże obronno-mieszkalne w miasteczkach Toskanii.

W latach 80. XX w. wydałem pamiętnik warszawskiego robotnika Stanisława Dobiasza pod wymownym tytułem „Chłopcy z ferajny Godlaka". Była to jedna z posesji na warszawskim Powiślu, w pobliżu Mariensztatu. W międzywojniu takich ferajn na Powiślu i Solcu było kilka, wywodziły się zazwyczaj z podwórkowego sąsiedztwa, były formą ówczesnej środowiskowej kultury młodzieżowej, pielęgnowały sąsiedzki etos. Podwórka przeciw sąsiednim podwórkom, dzielnice przeciw innym dzielnicom. Dobiasz wspomina o wyprawach takiej ferajny z ul. Dobrej na Powiślu aż na Wolę – aby bronić honoru dziewcząt.

Także na słynne bójki góralskie warto spojrzeć z perspektywy zasad sąsiedztwa – jako na dosyć spektakularne potwierdzanie lokalnych więzi.

Oprócz tradycji chłopskich i mieszczańskich, na polskie patrzenie na sąsiada miał wpływ PRL, który zasady współżycia usiłował wtłoczyć w ramy administracyjne, obśmiane chociażby w serialu „Alternatywy 4". Czy dziś inaczej patrzymy na sąsiedzkie zrzeszanie się?

Socjologowie faktycznie pisali o charakterystycznej dla PRL próżni społecznej, istniejącej pomiędzy życiem małych społeczności a postulowanymi administracyjnie wzorami życia propagowanymi przez władze. Te chciały przekształcać sąsiedztwa w nowe „kraje rad" – gminne, powiatowe czy wojewódzkie. Paradoks polega na tym, że globalizacja i dominacja mediów elektronicznych zdają się dziś tę próżnię jeszcze pogłębiać.

W jakim sensie?

Podam taki przykład: potrzebę nowoczesnego bycia „u siebie" już na początku XX w. wyraził, w rozmowie ze Stanisławem Witkiewiczem, pisarz i poeta Władysław Orkan. Przytoczył pytanie jednego z gazdów: jak postępować, aby być Europejczykiem, a „przecie chłopem polskim zostać"? Było to przeczucie żywotności procesów, które można nazwać świadomą aktywnością oddolną, a którą walnie wspomagają dziś właśnie media elektroniczne. Stwarzają one nowe ramy uspołecznienia: internet jest prawie jednakowo dostępny na wsi i w mieście.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. ROCH SULIMA jest kulturoznawcą, antropologiem i historykiem kultury. Zajmuje się przemianami polskiego obyczaju, wpływem mediów na przeobrażenia wzorców kultury potocznej i popularnej oraz historią kultury. Wydał m.in. „Antropologię codzienności" (2000) i zbiór esejów „Powidoki codzienności" (2022).

Odnoszę wrażenie, że obecnie nieprzypadkowo mamy do czynienia ze wzmożeniem namysłu nad sposobami życia w społeczeństwie poprzez doświadczanie sąsiedztwa. Nie tylko pandemia czy bliska wojna przypomniały znaczenie tych więzi. Widziałbym w tym ogólniejszy proces, który znajduje wyraz w nadawaniu nowych znaczeń takim pojęciom jak „małomiasteczkowość", dawniej kojarzona z parafiańszczyzną, a także obciachem. Powraca też w nowych znaczeniach: „gmina", ta zresztą „pochodzi podobno od Boga". Od paru dekad trwa renesans lokalności, w jej nowoczesnym rozumieniu. Nawet w publicystyce króluje „mała ojczyzna".

W starych, mieszczańskich dzielnicach Krakowa powstają nowe sąsiedztwa w sieci – grupy samopomocy, z reguły jednak zrzeszające ludzi młodszych. Czy możliwe jest sąsiadowanie poprzez media społecznościowe?

Byłoby to trudne. To prawda: od sąsiedztwa czy wspólnoty „miejsca" współcześnie przechodzimy do wspólnoty sieci. Ale znajomy z Facebooka musiałby bardzo pracowicie budować swój medialny wizerunek, aby dorównał osobistej i społecznej wyrazistości znajomego z sąsiedztwa. Bycie w mediach społecznościowych ma niewiele wspólnego z „zamieszkiwaniem" w heideggerowskim sensie tego słowa. Wprawdzie w sieci zdarzają się klasyczne działania samopomocowe „w potrzebie". Nie mają one jednak mocy sąsiedzkich powinności i związanych z tym sankcji. Odpada totalność bezpośredniej obecności, uczestnictwa w działaniu, ale do takich działań sieć coraz częściej przybliża.

Sąsiedztwo to przymus?

W pewnym sensie tak – przymus, który w internecie się rozpada. Sieć rewaloryzuje sąsiedztwo, gdyż stwarza możliwości wyznaczania i osiągania celów, które integrują małe wspólnoty. Organizowane odgórnie w PRL, wykpiwane w folklorze politycznym „czyny społeczne" powracają jako działania autentyczne, uzgodnione w internecie, znajdujące tam medialny oddźwięk, przynoszące satysfakcję osobistą i pożytek dla wspólnoty. Ale to nie jest sąsiedztwo.

Na koniec: jak wyglądają modele sąsiedztwa inne niż nasze?

Spotkałem się z opowieścią, że przemierzając Polskę z zachodu na wschód widzimy coraz mocniejsze ogrodzenia, delikatnie zaznaczone granice w Wielkopolsce i solidne płoty na Podlasiu, gdzie jednak życie sąsiedzkie toczy się przed domem, gdy tymczasem w Wielkopolsce życie to toczy się w organizacjach i stowarzyszeniach. Można też przyjąć spojrzenie w skali globalnej i zobaczyć siedziby okolone żywopłotami w Kalifornii oraz siedziby odgrodzone ubitym szczelnie wysokim płotem na Syberii.

Wierzy Pan w to?

Z jednym zastrzeżeniem: gdy marzymy o „żywym" sąsiedztwie, często przychodzą nam na myśl właśnie krajobrazy z „sielskiego" Podlasia...

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

„TP" 44 / 2022

Historia rodzinna

Chciałbym nawiązać do artykułu Michała Kuźmińskiego o tym, „jak bez wychodzenia z domu zacząć poszukiwania rodzinnej historii". Historia pasjonowała mnie od dziecka. Kilka lat temu postanowiłem zainteresować się dziejami własnej rodziny. W domu nie zachowało się zbyt wiele dokumentów i zdjęć. Tylko jeden dziadek doczekał mojego urodzenia, zmarł, jak miałem cztery lata, więc nie mogłem zaczerpnąć wiedzy od starszych pokoleń.

Pierwsze kroki skierowałem do USC. Z odpisów aktów stanu cywilnego dowiadywałem się stopniowo nowych faktów, jak np. imiona i nazwiska kolejnych przodków czy daty i miejsca ich urodzenia. Już na początku drogi spotkało mnie pierwsze zaskoczenie. W odpisie aktu urodzenia mamy jako miejsce narodzin babci wpisana była Jugosławia. W jej akcie zgonu była podana miejscowość narodzin, jednak nieco błędnie zapisana. Dużą pomocą okazała się przy tej okazji strona straty.pl. Znalazłem na niej braci babci. Nazwisko, imiona rodziców i miejsce urodzenia były zbieżne z danymi dotyczącymi babci. Tylko tu pisownia nazwy miejscowości była prawidłowa. W Google Maps znalazłem taką miejscowość. Obecnie znajduje się w Chorwacji, niedaleko granicy z Bośnią i Hercegowiną.

Odszukałem w internecie kontakt do najbliższego miejscu urodzenia babci archiwum państwowego. Dostałem odpowiedź i tu dopisało mi szczęście, bo w zasobie archiwum znajduje się księga metrykalna z rocznikiem, który mnie interesował. Po krótkiej wymianie maili otrzymałem skan metryki urodzenia babci, z której dowiedziałem się, jakie nazwisko panieńskie nosiła prababcia. Korzystając ze strony „Szukaj w archiwach" odnalazłem trochę dokumentów dotyczących pradziadków. Z nich dowiedziałem się, że już w okresie międzywojennym powrócili do Polski i osiedlili się w obecnym woj. kujawsko-pomorskim. Kontakt z miejscową parafią był również bardzo owocny. Podczas rozmowy telefonicznej uzyskałem informację o dokładnych datach zgonów oraz daty i miejsca narodzin. Jak się okazało, pradziadkowie pochodzili z Podkarpacia. Na emigracji znaleźli się prawdopodobnie w związku z akcją kolonizacyjną tych terenów prowadzoną przez władze monarchii austro-węgierskiej. Z kolei dziadek pochodził z Wielkopolski. Tutaj poszukiwania okazały się najłatwiejsze. Strony „Basia Famula" oraz „Poznań Project" pozwalają na odnalezienie wielu przodków z Wielkopolski. Przy indeksach często są odnośniki do zdigitalizowanych aktów. Jeśli chodzi o rodzinę ojca, to dzięki portalowi „Żołnierze Niepodległości" dowiedziałem się, że brat babci (matki mojego ojca) służył w Legionach Piłsudskiego. Był odznaczony Krzyżem Niepodległości i Medalem Waleczności. Tu też przydatna była strona Centralnego Archiwum Wojskowego, z którego otrzymałem kopie kilku dokumentów. Postanowiłem jakoś uhonorować brata babci i zgłosiłem jego grób do ewidencji prowadzonej przez IPN. Wniosek został uwzględniony i grób jako pierwszy na lokalnym cmentarzu został wpisany do Ewidencji Grobów Weteranów Walk o Wolność i Niepodległość Polski. Z archiwum w Bad Arolsen dowiedziałem się także o tym, że w czasie II wojny światowej brat babci pracował przymusowo dla koncernu IG Farben Moskau.

Nie sposób wymienić wszystkie strony, które są pomocne w poszukiwaniach rodzinnych historii. Na pewno bez nich poszukiwania byłyby dużo trudniejsze.

DARIUSZ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, , Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Dziękujemy Państwu za to, że dołączyliście do planety „Tygodnika Powszechnego”. Dziękujemy za Wasze wsparcie.

W ramach **odpisu jednego procenta** podatku w 2022 roku wsparli Państwo Fundację Tygodnika Powszechnego kwotą **333 198,18 zł**

Dzięki Wam możemy dbać o niezależność i jakość pracy dziennikarzy i dziennikarek „Tygodnika Powszechnego”.

Dzięki Wam powstają dodatki i wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” – najnowsze z nich, poświęcone wojnie w Ukrainie, pt. „Sława Ukrainy” jest właśnie w sprzedaży.

Dzięki Wam współtworzymy festiwale: Conrad i Copernicus, kontynuujemy akcję społeczną „Lekcje Czytania”, rozwijamy „Podkast Powszechny”, wyprodukowaliśmy odnoszące sukcesy filmy: „xABo. Ksiądz Boniecki” (2020) w reż. Aleksandry Potoczek, „Ukos światła” (2021) w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Obecnie szczególnie mocno koncentrujemy się na rozwijaniu serwisu internetowego TygodnikPowszechny.pl, by nasze pismo było dla Was zawsze dostępne, przyjazne i aktualne.

Dzięki Wam z mniejszą obawą wyglądamy nadchodzącego roku.

Życzymy dobrych Świąt Bożego Narodzenia.

Fundacja Tygodnika Powszechnego

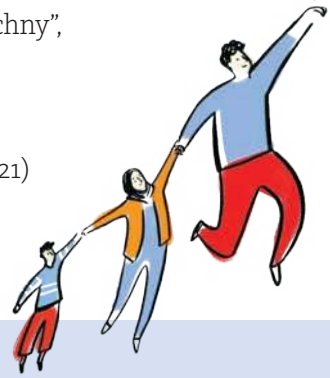

OGŁOSZENIE OPP // RYS. JOANNA RUSINEK DLA „TP”

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

Czytaj więcej o naszych działaniach: **powszech.net/fundacja**

REKLAMA

SERIA PROZA ŚWIATOWA

Louis Aragon • John Ashbery • John Barth
Samuel Beckett • Maurice Blanchot
Jorge Luis Borges • Hermann Broch
Italo Calvino • Albert Camus • Alejo Carpentier
Ivy Compton-Burnett • Géza Csáth
Carlos Fuentes • Carlo Emilio Gadda • Henry James
Franz Kafka • Dezső Kosztolányi • Gyula Krúdy
Arthur Machen • Giorgio Manganelli
David Markson • Herman Melville
Raymond Queneau
Herbert Rosendorfer • Raymond Roussel
James Schuyler • Marcel Schwob • Antal Szerb
John Updike • Auguste de Villiers de L'Isle-Adam
Robert Walser

NADCHODZĄ

William Faulkner • Werner Herzog • Franz Hohler
Else Lasker-Schüler • Robert Müller
Louis-Ferdinand Céline • John Barth • Italo Calvino
Robert Walser • Alberto Manzoni • Laurence Sterne
Jorge Luis Borges • Miguel Ángel Asturias
Rudyard Kipling

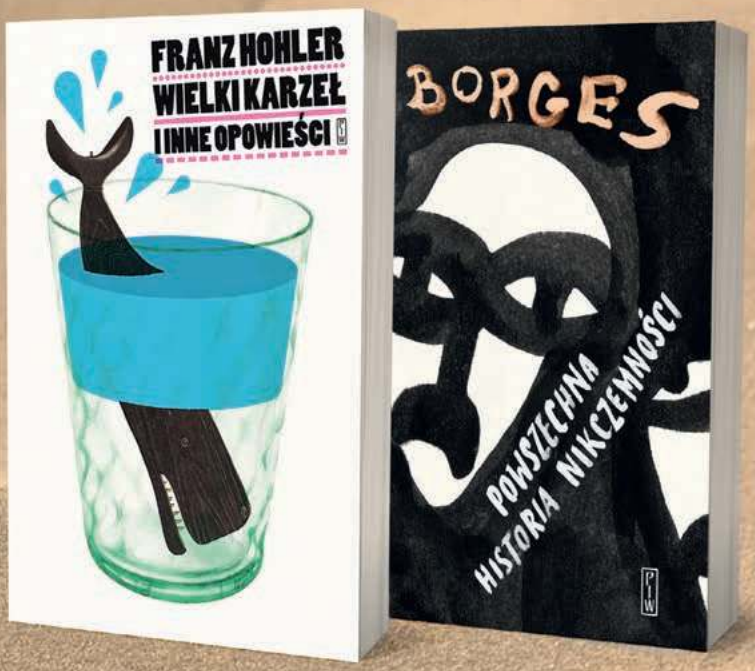

PIW Państwowy Instytut Wydawniczy

Zapraszamy do naszych księgarni partnerskich, księgarni przy Foksal 17 w Warszawie i na www.piw.pl

REKLAMA

1,5%

SALEZJAŃSKA FUNDACJA MISYJNA
Don Bosco

Podaruj dobro

KRS:
0000798644

fundacjadonbosco.org

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Jakubowe zmagania

Praojciec Jakub, ucieleśnienie żydowskiej tułaczki, po dwudziestu latach spędzonych w niegościnnym domu wuja wraca do domu swego ojca. Po drodze rozbija namioty w Machanaim, co po hebrajsku oznacza „dwa obozy": drugi należy do zastępu aniołów, który wita powracającego nad brzegiem rzeki Jabok. Sama nazwa dopływu Jordanu (jeawek znaczy „będzie się zmagał") sugeruje, że stanie się on miejscem niezwykłych wydarzeń.

Dotychczas Jakub w pełni panuje nad sytuacją – stoi zawsze z tyłu, przygotowany na wszelką ewentualność i zza sceny pociąga za sznurki. Teraz, podobnie, wysyłając swoich ludzi do Ezawa, skrupulatnie reżyseruje przyszłą wymianę zdań. Czy zdoła przejść przez życie unikając konfrontacji? Jeśli naprawdę ma wrócić do domu swego ojca, musi nauczyć się działać spontanicznie, pod wpływem chwili, nie zasłaniać się zawsze tarczą własnego intelektu.

Jakub przeprowadza bydło przez bród na Jaboku. Według midraszu nagle na czele stada pojawia się anioł, proponując wspólną przeprawę. Po zakończonej operacji wracają, by sprawdzić, czy niczego nie zostawili na brzegu. Wówczas anioł rzuca się na Jakuba. Czy owym napastnikiem jest Samael, anioł stróż Ezawa, który chce wyjaśnić kwestię pierworództwa i ojcowskiego błogosławieństwa? A może to sam archanioł Michał, leczący Jakuba z obaw przed Ezawem, dający mu szansę uwierzenia we własne siły? Czym jest owa konfrontacja? To nie modlitwa – Jakub modlił się już wcześniej, to także nie objawienie – dozna go później w Betel.

Kim jest ów „człowiek", z którym się zmaga? Przecież Jakub jest sam. Stacza walkę twarzą w twarz z samym sobą, spleciony w miłosnym uścisku, w kontakcie cielesnym najbliższym z możliwych. Odkrywa fenomen, wobec którego staje bezradny, przegrany, ponieważ jest niepodobny do innych, wyobcowany. Samowiedza rodzi się z tajemnicy, wymaga chwili paraliżującej niepewności. Człowiek musi się poddać, żeby znaleźć na tej płaszczyźnie Partnera, by jego samotność spotkała się z odwieczną samotnością Boga. Boga bliskiego, którego nieustanne spojrzenie utrzymuje stworzenie przy życiu, i Boga dalekiego, nieosiągalnego przez niemożność aproksymacji.

Jakub musi wyjawić własne imię, esencję swego jestestwa – oddać się w ręce przeciwnika, by otrzymać nowe imię, zgodne z misją praojca ludu. Bóg będzie walczył (Israel) i ochraniał go. Tajemniczy wojownik uszkadza staw biodrowy Jakuba. Główka kości udowej wychodzi z panewki stawowej, skrócenie kończyny powoduje chromanie. Izrael dalej jest „chodzącym" (człowiek), który jednak ma w sobie coś ze „stojącego" (anioł). Zraniony Jakub zwycięża moralnie – czy ból samowiedzy będzie mu stale przypominał o pyrrusowym zwycięstwie? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Gwiazdy z piekła rodem

Gwiazda betlejemska świeciła czy nie? Przybycie do „nowonarodzonego króla żydowskiego" to fakt historyczny czy fikcja literacka? Spis ludności – był czy nie? Ucieczka do Egiptu też nie mieści się w kalendarium ewangelicznych wydarzeń. Nawet rok i miejsce urodzenia Jezusa nie są pewne, mamy bowiem dwa Betlejemy. Podobna gmatwanina czasoprzestrzenna występuje w wielu innych opisach biblijnych, łącznie z ostatnią wieczerzą, śmiercią Jezusa i powstaniem z martwych. Z powodu tych rozbieżności i sprzeczności łatwo dojść do przekonania, że bohater świąt Bożego Narodzenia pewnie istniał, ale nic pewnego na jego temat powiedzieć nie można. Natomiast wiele można powiedzieć o Herodzie, a nawet dwóch Herodach, oraz sytuacji religijno-kulturowej i gospodarczo-politycznej. Czego się więc trzymać: gołych faktów czy opowiadania o nich?

Może za odpowiedź posłuży nam przyjrzenie się pewnej gwieździe, która na początku grudnia zajaśniała na medialnym niebie. Podano bowiem wiadomość, że archeologowie badający znajdującą się w Loretto kaplicę zwaną „domkiem loretańskim" – czyli domem rodziny Jezusa – udowodnili, iż rzeczywiście z Nazaretu do Loretto przenieśli ją aniołowie. W zasadzie żadna to nowość. Wystarczy zajrzeć do Wikipedii, żeby się przekonać, że legenda mówi prawdę. Rzeczywiście dom nie tylko przenieśli, ale najpierw rozebrali, a następnie złożyli na nowo w nowym miejscu aniołowie. Tyle tylko, że pisani wielką literą, gdyż chodzi o rodzinę Angellich. Nawet istnieje na to historyczny dokument. Swoją drogą, chcąc się przekonać, jak ten loretański domek wygląda, wystarczy pojechać do Gołębia koło Puław.

Wracając do opowiadania o Mędrcach, ale i do pozostałych biblijnych tekstów i panującego w nich bałaganu. Nic w tym dziwnego. Przeciwnie, to rozchwianie opisów wydarzeń świadczy bowiem o tym, że niemożliwe jest całościowe opisanie tego, co widzimy i w czym uczestniczymy. Dowodem na to są owi Mędrcy, którzy zgodnie z ich przekonaniem wyruszyli w drogę w poszukiwaniu miejsca narodzin „króla żydowskiego", a znaleźli troje zwykłych ludzi, małżeństwo z małym dzieckiem. Po czasie okaże się, że trafili tam, gdzie w widzialnym szczególnie intensywnie ujawnia się niewidzialne. Gdzie „sprawy ludzkie łączą się ze sprawami boskimi".

Po wiekach Emily Dickinson napisze: „Kto Nieba nie znalazł tu – w dole – / Ten nie znajdzie go i w Niebie samym – / Dom sąsiedni wynajmują Anioły, / Dokądkolwiek się przeprowadzamy –" (przeł. S. Barańczak). Nie zawsze i niekoniecznie. Na wschodnim niebie w dzień i w nocy świecą i spadają na głowy naszych sióstr i braci inne gwiazdy – z piekła rodem. Powtarza się ucieczka do Egiptu i droga na Golgotę. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zasięg Kościoła

Nie można poprzez myślenie nauczyć się nowych zachowań – to poprzez nowe zachowania można nauczyć się nowego myślenia.
MARSHA LINEHAN

Ruch w odpowiedzi na inny ruch – jesteś tam.
SUFI HAJKALI

Wybrał PIOTR SIKORA

„Rozszerz przestrzeń swojego namiotu" (Iz 54, 2) – Słowo, którym Duch Święty usiłuje czytać nasz Kościół na kontynentalnym etapie Synodu o synodalności. Dobrze, że liturgia niedawno pokazała cały jego kontekst (Iz 54, 1-10). Ponieważ zanim jeszcze zostało do końca przeczytane, już wzbudziło obawy: „Dokąd zmierza to poszerzanie ścian namiotu? Aż do utraty tożsamości?", albo: „Jak oni tu wejdą, to ja wychodzę". Tymczasem jest to Słowo niesłychanej obietnicy, której jako Kościół bardzo potrzebujemy.

Trzeba najpierw zobaczyć, w jakim stanie znajduje się Lud Boży – Oblubienica Pana. Jest ona najpierw pełna lęku. Boi się, że znów zostanie publicznie zawstydzona. Bo dopuściła się czynów haniebnych. Ten brak szacunku bierze się jednak przede wszystkim stąd, że stała się niepłodna – nie rodzi już więcej dzieci. Dlaczego? Otóż, dlatego, że porzuciła Męża. Odeszła od Boga – nie może nikomu przekazać przychodzącego od Niego życia. Czy to nie jest nasz portret? Czy nie tego doświadczamy w naszym Kościele i świecie?

Czy taki Kościół – taka Oblubienica Pana – ma dla kogo „poszerzać przestrzeń swojego namiotu"? Skoro dzieci opuszczają jej namiot... Czy nie powinna raczej – choćby z oszczędności (nie słyszycie takich podpowiedzi, i to w naszym gronie) – ją zwęzić?

Skąd ma się w nas wziąć postawa, do której zachęca nas Bóg słowami Izajasza? Po pierwsze, z doświadczenia miłosierdzia: „Jak niewiastę porzuconą i zgnębioną na duchu wezwał cię Pan. (...) Na krótką chwilę porzuciłem ciebie, ale z ogromną miłością cię przygarnę. (...) Bo góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać, ale miłość moja nie odstąpi od Ciebie". Ktoś, kto doświadczył takiej miłosiernej wierności, chce na to doświadczenie otworzyć możliwie każdego. Oczywiście, kto tego doświadczenia nie ma – jak ewangeliczni faryzeusze – zamiast się cieszyć przychodzącym grzesznikiem, „wykopuje" go z namiotu...

Po drugie (i kluczowe): Jerozolima jest wezwana, by poszerzyć namiot dla swoich dzieci: zapomniała już bólów porodu, ale teraz dozna ich z radością na nowo, a jej synowie okażą się liczniejsi niż potomstwo jej wrogów. W tym właśnie miejscu Słowo najgłębiej diagnozuje nasz problem: mamy rozciągnąć namiot nad dziećmi Boga i Kościoła, ale my w tych, którzy stoją poza namiotem, nie widzimy dzieci Pana (i, konsekwentnie, naszych sióstr i braci) – widzimy obcych i przeciwników. Nie potrafimy (nie chcemy?) zobaczyć ukrytego w nich obrazu Jedynego Bożego Syna. Nie mamy poczucia pokrewieństwa, lecz obcości. I wtedy pewnie słusznie nie czujemy się bezpieczni, gdy mamy „rozszerzać przestrzeń swojego namiotu".

Tyle tylko, że to absolutna nieprawda. Pan mówi do nas: Będziecie rodzić. Ożywię was i pomnożę nowym potomstwem. Czy nie na to czekamy? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 15 I)

Niedziela, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki: Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7 Łk 2, 16-21;
Poniedziałek: 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28;
Wtorek: 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
Środa: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
Czwartek: 1 J 3, 11-21; Ps 100; J 1, 43-51;
Piątek, uroczystość Objawienia Pańskiego: Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
Sobota: 1 J 3, 22 – 4, 6; Ps 2; Mt 4, 12-17. 23-25;

Niedziela Chrztu Pańskiego: Iz 42, 1-4. 6-7; Ps 29; Dz 10, 34-38; Mt 3, 13-17;
Poniedziałek: Hbr 1, 1-6; Ps 97; Mk 1, 14-20;
Wtorek: Hbr 2, 5-12; Ps 8; Mk 1, 21-28;
Środa: Hbr 2, 14-18; Ps 105; Mk 1, 29-39;
Czwartek: Hbr 3, 7-14; Ps 95; Mk 1, 40-45;
Piątek: Hbr 4, 1-5. 11; Ps 78; Mk 2, 1-12;
Sobota: Hbr 4, 12-16; Ps 19; Mk 2, 13-17;
2. niedziela zwykła: Iz 49, 3. 5-6; Ps 40; 1 Kor 1, 1-3; J 1, 29-34.

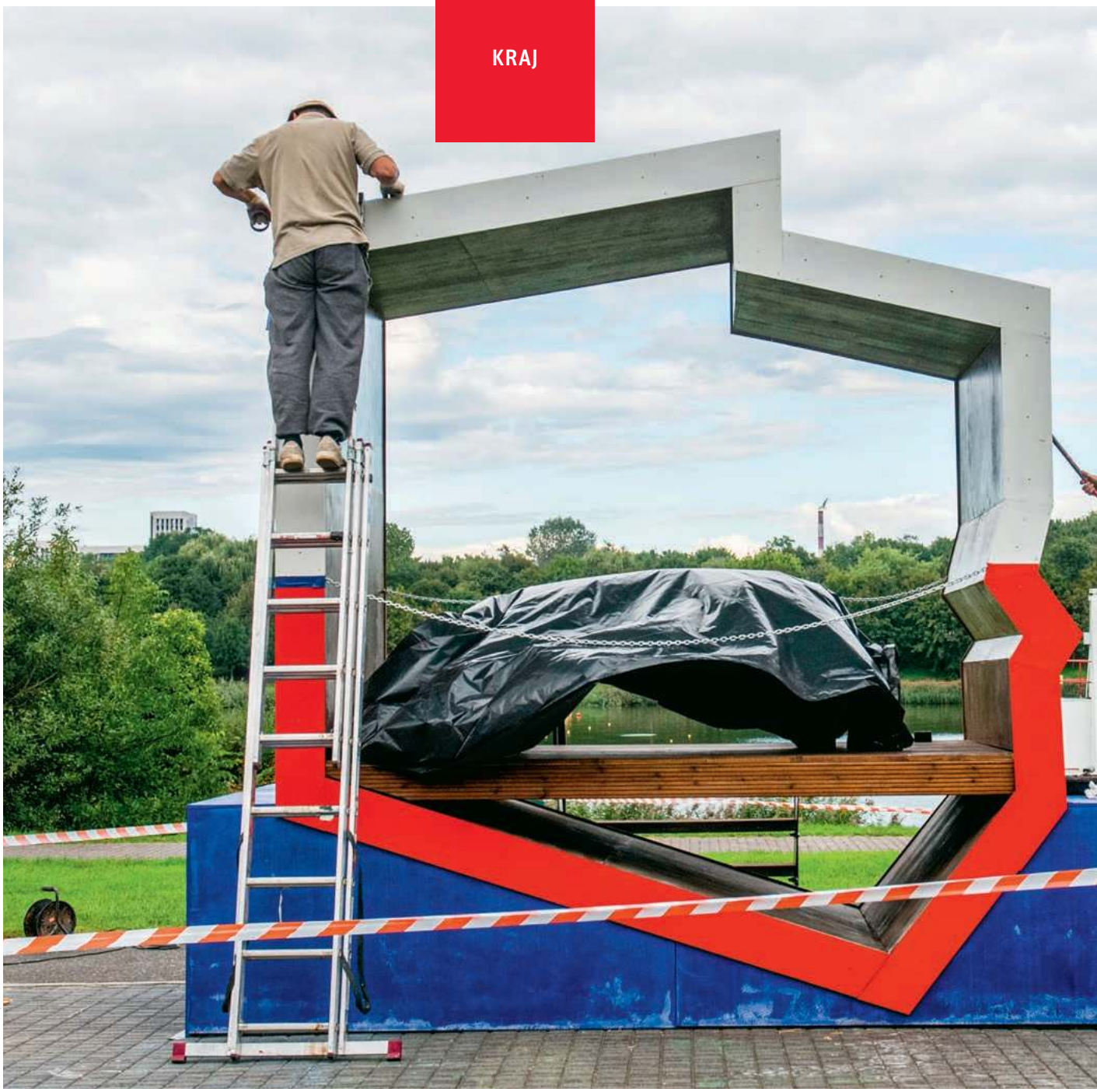

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

Renowacja tzw. ławki patriotycznej, która uległa zniszczeniu po opadach deszczu, Poznań, wrzesień 2022 r.

KTO ZAPALI ŚWIATŁO

Zegar elit został uregulowany przez doświadczenia epoki przełomu i transformacji, nie uległ zmianom nawet po wejściu do Unii. Cały czas wierzą one we względnie stabilny świat. Ale jego już nie ma.

RAFAŁ MATYJA

Rzeczywistość wymknęła się pogodnym prognozom unijnych planistów, wyrafinowanym kalkulacjom rynków finansowych, przewidywaniom intelektualnych autorytetów. Jest inaczej, niż zakładano. I będzie bardziej inaczej, niż myślimy dziś. Są okresy w historii, w których przewidywalna rzeczywistość skraca się do kilku miesięcy, choć jeszcze niedawno planowaliśmy w skali ćwierćwiecza. To sprawia, iż trzecią dekadę XXI wieku będą mogły na swoją korzyść rozstrzygać te państwa i społeczeństwa, które szybciej i lepiej zrozumieją zachodzące zmiany. Wygrają ci, którzy postawią na – mówiąc językiem igrzysk – konkurencje percepcyjne.

Obecna dekada zaczęła się od pandemii. W ciągu kilku miesięcy znaleźliśmy się w innej rzeczywistości. COVID-19 stał się przeżyciem globalnym, z którego każdy może zapamiętać, co chce. Jednak na poziomie percepcji instytucjonalnej, napędzającej działania państwa, ważne jest, byśmy zbyt szybko nie zapomnieli o tym niespodziewanym poczuciu bezradności. Nie tylko o przygniecionym obowiązkami sanepidzie – także o zamknięciu lasów, które było wręcz groteskowym symbolem owej bezradności.

W pandemii zachwiały się klasyczne hierarchie państw. Nie było tradycyjnej pierwszej ligi, otwieranej przez kraje skandynawskie. Nie było uzasadnienia dla prymatu USA czy prestiżu Wielkiej Brytanii. Oba te państwa weszły zresztą w covid dotknięte głębokim kryzysem politycznym związanym z brexitem i rządami Donalda Trumpa. Nie jest więc tak, że najsilniejsi radzą sobie najlepiej. Oni tylko mają największe zasoby, które ułatwiają przeżycie.

Koniec epoki kopiowania?

Trzydzieści lat temu marzyliśmy w Polsce o szansie na dołączenie do grona państw, których sukces opierał się na rutynie. Które budowały swój dobrobyt mozolnie i – jak się wydawało – w racjonalny sposób. Swoje ekonomiczne kalkulacje, ubrane w szaty interesu narodowego, nauczyły się uzgadniać w mozolnych negocjacjach brukselskiej machiny biurokratycznej. Swoje uprzedzenia chowały tak skutecznie, że tylko populistyczne ruchy sprzeciwu wydobywały je na światło dzienne, ale na krótko. „Wojna z terroryzmem", naznaczona klęską w Iraku i Afganistanie, kryzys gospodarczy roku 2007-2008, kłopoty strefy euro – były jednak sygnałami, że nie wszystko działa tak, jak sobie wyobrażaliśmy.

Nawet gorliwi „katecheci" unijnych i globalistycznych prawd wiary, pracujący mozolnie nad przezwyciężeniem wszelkich uprzedzeń, nabrali wątpliwości. Dziś jest jasne, że opisywanie agendy politycznej Polski jako „gonienia Zachodu" i aplikowania skopiowanych rozwiązań nie ma już sensu. Problem w tym, że nasze struktury myślowe i instytucje są niegotowe na rozwój oparty na własnych siłach. A narracje suwerennościowe – nawet w ich łagodnej wersji – ciągną ku anachronicznym tożsamościom i raczej zamykają na rzeczywistość. Wypracowanie jakiejś własnej myśli strategicznej, nie polemicznej wobec reszty Europy, ale dostrzegającej brak uniwersalnych recept na wszystko – to jedno z trudniejszych zadań, do których trzeba będzie „usiąść" w najbliższych latach.

Papka dla swoich

Problem w tym, że dwa tradycyjne sposoby „siadania" są już dziś niepraktyczne. Na naszych oczach załamał się system percepcji oparty na tradycyjnych mediach, związany ze zdolnością organizowania debaty publicznej, z utrzymywaniem korespondentów w wielu stolicach, z finansowaniem pogłębionych tekstów dziennikarskich i reportaży. Zastąpiły go clickbaitowe materiały przygotowywane *ad hoc* i opatrzone kuszącymi tytułami, z żywotnością liczoną w godzinach. Już na początku obecnego wieku Jadwiga Staniszkis przestrzegała przed niekompletnym modelem rzeczywistości, przypominającym porozrzucane puzzle, do których ułożenia nikt jednak nie daje wzorcowego obrazka.

Największe media – nie tylko w Polsce – oferują dziś najchętniej dobrze zakamuflowaną, ale lekkostrawną dietę dla swoich. Spreparowaną pod ich gusta, niewyprowadzającą ich ze sfery komfortu intelektualnego: progresywny odbiorca dostanie informacje o odradzaniu się faszyzmu, a tradycjonaliście podsunięty zostanie przegląd zdarzeń potwierdzających upadek etyczny Zachodu. Fan „dojrzałej geopolityki" dostanie swoją codzienną pigułkę o głupocie i naiwności obrońców praw człowieka, alterglobalista o cynizmie kapitału, a obrońca klimatu o zdradzie rządów podczas kolejnej międzynarodowej konferencji. Każdy z serwisów poda tylko sprawdzone informacje, żadna z nich nie będzie fałszywa, ale nigdy nie da się z nich ułożyć całości innej niż ta sprofilowana pod jeden tylko sposób myślenia o świecie.

Jeżeli media są naszym głównym polem komunikowania się – to świat, w którym funkcjonujemy, bardziej przypomina coś, co dawno temu zapamiętaliśmy, niż obraz świata budowany ↦

↦ i weryfikowany na bieżąco. Poruszamy się po domu, w którym wyłączono światła. Na tyle znanym, by mniej więcej wiedzieć, gdzie jesteśmy. Tak można sobie jakoś radzić, ale nie sposób dostrzegać zmiany, wyczuwać nowe trendy, stawiać interesujące pytania, niepasujące do żadnej z przewidywalnych, tożsamościowych narracji. Te ostatnie są jak wspomnienia, które ułatwiają chodzenie w mroku, ale utrwalają złe nawyki. Żeby cokolwiek zobaczyć, warto byłoby się ich pozbyć. A mówiąc bardziej realistycznie – nabrać do nich dystansu lub spróbować zamienić na inne.

Czy państwo ma wzrok

Byłoby najlepiej, gdyby każdy zaczynał od bliskich mu tożsamości. Wywracanie na drugą stronę tych, z którymi polemizujemy, jest mało sensowne. Co więcej, nasz problem z percepcją nie polega na tym, że mamy dwie dominujące narracje, ale że nawet te opowieści, które są polemiczne wobec nich – też zdążyły się zużyć. Rdzeniem tych idei, które określano mianem symetryzmu (często pogardliwie), było zawsze jakieś wyobrażenie o zdolnej do kooperacji wspólnocie lub wyrastającym ponad partyjne spory państwie.

Tyle że metafory antropomorfizujące państwo są zawsze ryzykowne. Zwłaszcza gdy ktoś szuka jego mózgu, nie mając wyobrażenia o tym, że państwo „myśli" wszystkimi swoimi instytucjami. Oczywiście aktem założycielskim wielu nowoczesnych krajów jest legenda „oświeconego absolutyzmu" oraz państwa, którego rozumem był jeden człowiek. Tak nigdy nie było, a jednak wielu ludzi lubi tę bajkę i lokuje nadmiarowe nadzieje w rządach „silnej ręki" albo „oświeconej głowy", a czasem i w jednym, i w drugim.

To sprawia, że o „wzroku państwa" myślimy skupiając się na pracy wykonywanej przez jego tajne i jawne służby na rzecz ośrodka centralnego. Lekceważymy natomiast wiedzę, którą posiadają setki instytucji, od których zależy funkcjonowanie opieki zdrowotnej, szkolnictwa czy policji. Oczywiście warto było „wiedzieć" o tym, że Rosja napadnie na Ukrainę w początkach 2022 r. Ale gdy zapytamy, jak ta wiedza warunkowała działania – popadniemy w konfuzję. Daliśmy radę, ale nie byliśmy instytucjonalnie przygotowani do przyjęcia fali migrantów.

> Wkrótce może się okazać, że w ostatniej dekadzie PRL szkoły wyższe były przy obecnych niezwykle liberalne i oparte na wierze w to, że **kadra mniej więcej wie, co pisać i co mówić.**

Można zatem zdefiniować ów wzrok państwa jako to, co mogą zobaczyć jego różne instytucje i przekazać innym – tym, które mają wpływ na regulacje legislacyjne, ale także tym, które mogą z taką informacją coś jeszcze zrobić. W wypisach do studiów nad współczesną administracją powinien znaleźć się znakomity fragment książki Bartłomieja Sienkiewicza, w którym opisuje on niedostrzeżony przez odpowiednie służby napływ śmieci. I nie wskazuje jako winnego centrali, ale raczej mówi o przepływach informacji między instytucjami średniego lub nawet najniższego szczebla.

Kultura lekceważenia sygnałów

Od lat żyjemy w kulturze lekceważenia sygnałów. Nasze instytucje oscylują między „jakoś to będzie" i „nic się nie stało". Popkulturowym obrazem tej praktyki stały się – dzięki serialowi „Wielka woda" – obrady sztabu powodziowego we Wrocławiu, podczas których uznany hydrolog prof. Jan Nowak ma tylko uspakajające opowieści o tym, że powódź ominie miasto. Ważniejsza dla tej metody jest jednak reakcja na zdanie odmienne – nie tylko dlatego, że wypowiada je młodsza kobieta, demonstracyjnie lekceważąca akademicki „autorytet". Niestety, zapewne wszyscy znamy „profesorów Nowaków", znakomitych ekspertów mówiących to, co władza chce usłyszeć. Większości z nich nie zweryfikuje żadna wielka woda.

Ważne są więc obiegi alternatywne, w których nie dominuje ani silny lobbing kapitału, ani zamówienia rządzących. Problemem jest jednak to, że naturalna dla nich przestrzeń życia akademickiego, wraz z niezależnością, jaką powinna dawać uczelnia, dość szybko się kurczy. Nie tylko przez rekomendowaną szkołom komercjalizację badań, która w naukach społecznych oznacza uzależnienie od interesariuszy, a przez to niedostrzeganie niewygodnych dla nich obszarów rzeczywistości.

Duszna atmosfera intelektualna to nie tylko sfery tożsamościowego komfortu, ale także dokonująca się przy okazji reformy Jarosława Gowina zmiana pogłębiająca przekształcanie uczelni w systemy nadzoru, w których jedynymi kryteriami są formalne wymagania Polskiej Ramy Kwalifikacji, punkty za publikacje, środki z projektów.

Parametryzacja staje się religią panującą, źle znoszącą jakąkolwiek konkurencję. Za chwilę może się okazać, że szkoły wyższe w ostatniej dekadzie PRL były przy naszych obecnych niezwykle liberalne i oparte na ufności w to, że kadra mniej więcej wie, co pisać i co mówić. A jeżeli nie wie, to nie nauczy się tego od wyposażonych w narzędzia represji urzędników uczelnianych, którzy nigdy nie zajrzą do napisanych przez kolegów książek i nie pogadają z nimi o tym, co się ciekawego dzieje w dydaktyce, bo z punktu widzenia systemów nadzoru są to rzeczy absolutnie nieistotne.

Niezniszczone pole walki

O zmianie powinniśmy myśleć jako o wspólnej – ponadjednostkowej – reakcji na niepokojące sygnały, ale także jako o realizacji ideałów i ambicji, właściwych życiu społecznemu w epoce nowoczesnej. Te ambicje i ideały będą z natury rzeczy źródłem konfliktów. Zmiana prawie nigdy nie jest przedmiotem konsensusu: by ją generować, trzeba nauczyć się tak konstruować stanowiska, by wchodząc w konfrontację nie niszczyła ona samego pola, na którym spór się toczy.

Polityka lubi przedstawiać się jako maszyna wprowadzająca zmiany. Doświadczenia ostatnich lat są jednak inne – polityka staje się odrębnym światem, nierozumiejącym zmian, jakie zachodzą poza jej wąskim kręgiem. Coraz częściej poznaje świat jedynie za pomocą badań opinii i emocji społecznych, a traci zainteresowanie dla przyczyn i diagnoz opisujących nadchodzące lub towarzyszące nam już wyzwania. Symptomatyczne są nie tylko chaotyczne reakcje na COVID-19, ale także sposób deformowania pierwot-

ROBERT PALKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Leszek Lichota oraz Roman Gancarczyk jako profesor Jan Nowak w serialu „Wielka woda", 2022 r.

nej idei Polskiego Ładu. Niekoniecznie słusznej, a z pewnością daleko odbiegającej od tego, co rządowi Morawieckiego wyszło na końcu.

Rząd PiS miał pokazać światu, że można zmieniać kraj bez współdziałania z kimkolwiek z zewnątrz. Wbrew elitom, z pominięciem wielu grup społecznych, w ciągłym sporze z samorządami i Brukselą. Zmian, które byłyby bardziej złożone niż transfery społeczne, wprowadzić jednak nie potrafił.

Polityka oparta jest dziś nie tylko na złych obyczajach i nawykach, ale także na kompletnie błędnym rozpoznaniu naszej sytuacji. Przekonanie, że świat zmienia się tak wolno, jak w latach 60. czy 70. XX wieku, jest głęboko zakodowane w świadomości elit. Do tego stopnia, że część z nich naprawdę wierzy w to, iż żyjemy w ramach określonych przez zmiany obyczajowe roku 1968 czy porządki polityczne stworzone w okresie zimnej wojny, a skorygowane o rozszerzenie Zachodu po upadku bloku sowieckiego.

Zegar elit transformacyjnych został uregulowany przez ich doświadczenia z epoki PRL i nie uległ zmianom także po wejściu do Unii. Cały czas podświadomie wierzą one we względnie stabilny świat, dotykany jedynie powierzchownymi wstrząsami. Dlatego pasuje im tradycyjny model szkolnictwa, bierność intelektualna uniwersytetów, nastawiony na konsolidację ideową oraz maksymalizację zysków sposób funkcjonowania mediów.

Zmiana wymaga nowych pomysłów i narzędzi, które wyjdą poza obietnice demokratycznej polityki i jej złośliwej karykatury, jaką stał się populizm czy raczej populistyczna przesada. Pomijanie związków, które istnieją między populizmem i słabościami demokracji przedstawicielskiej, sprawia, że zamiast rozmawiać o narzędziach porozumienia i współistnienia właściwych dla naszej epoki, egzorcyzmujemy populistów, a w następnym kroku – każdy krytyczny osąd porządków liberalno-demokratycznych. Ten brak zrozumienia nieadekwatności modelu, który miał kończyć historię triumfalnym aktem upowszechnienia się demokracji na cały świat, jest dziś jednym z najbardziej kosztownych nawyków myślowych elit Zachodu.

Nie od góry, tylko w poprzek

Państwo jako naturalne narzędzie wspólnego radzenia sobie z problemami stało się otępiałe, niewrażliwe i nieskuteczne. Aktorzy, którzy nie czują się związani regułami poprawności politycznej czy respektowania dobra wspólnego – mogą jego kryzys dyskontować. A ich rywale są skazani na czysto retoryczne akty sprzeciwu lub próby wykorzystania słabości i błędów polityki populistycznej, ale pozbawiają się szansy na sformułowanie propozycji, która czyniłaby argumenty populistów bezzasadnymi.

Jednak poważniejszą konsekwencją takiego obrotu spraw jest konieczność szukania innych niż polityka państwa sposobów wyjścia. Państwo, które postrzegamy jako wyjątkowy wynalazek, i przy pomocy którego możemy wspólnie przezwyciężać poczucie bezradności, ma swoją drugą stronę, która do tego poczucia bezradności się przyczynia. Podobnie dzieje się z kapitalizmem i innymi nowoczesnymi wynalazkami. Nie tylko dlatego, że podmiotowość jednych – np. klientów chcących kupować w niedziele – odbywa się często kosztem podmiotowości innych, którzy chcieliby w niedzielę mieć wolne i odpocząć. Ale także dlatego, że każda zmiana niesie efekty uboczne – koszty ponoszone przez przypadkowe grupy i osoby.

Ciekawą podpowiedzią są wzorce kooperacji, które budowaliśmy w czasie kryzysu migracyjnego, naruszające podziały między sektorami publicznym, prywatnym i pozarządowym. Tworzone często poniżej porozumień „na szczycie", bez udziału władz państwa i miast. Ale zarazem ze strukturami magistratów i instytucji podległych prezydentom i wojewodom. Jeżeli lepiej od budowania „od góry" wychodzą nam zmiany „w poprzek", to warto eksperymentować z takimi właśnie modelami. Jeżeli lepiej od kooperacji elit wychodzi nam działanie oddolne, to warto pytać, dlaczego tak się dzieje? I prowokować mobilizację w polach, na których zmiany są bardziej efektywne niż próby ożywiania martwej struktury instytucjonalnej, która staje się nieprzydatna, ale trudna do likwidacji, ze względu na mentalne przyzwyczajenia.

Trzecia dekada nie przynosi łatwych wyzwań. Ale to one są idealną szansą, by zmienić przestarzałe nawyki, porzucić nasze ulubione stare spory i szukać nowych obszarów konfliktu – bardziej adekwatnych do problemów i ciekawiej organizujących debatę i politykę. Na te stare spory szkoda już czasu.

© RAFAŁ MATYJA

DAISUKE URAKAMI / AP / EAST NEWS

Dzieci z Ukrainy w czasie zajęć w centrum rozwoju psychofizycznego Tutu w Rzeszowie. 14 września 2022 r.

Zamknięte drzwi

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ukraińskie dzieci zapamiętują czołgi, mundury i karabiny. Nie chcą jednak o nich rozmawiać, wolą rysować. Wojna uruchomiła w nich wiele niezaleczonych traum z wcześniejszych lat.

Nastolatek zza wschodniej granicy stał przy barierce jednego z warszawskich mostów, kiedy dotarł do niego zaalarmowany psycholog Aleksander Tereszczenko. – Gdybym krzyczał, prosił, by się zastanowił, bo przed nim sto lat życia, nie wiem, jak by się to skończyło – opowiada Tereszczenko. – Zdecydowałem się podejść, udając zagubionego w Warszawie Ukraińca, i poprosić go o pomoc. Widocznie długo nie czuł się potrzebny, bo był tak zdziwiony, że zapytał, jakich informacji potrzebuję. A po ujawnieniu, kim jestem, chodziłem z nim do nocy po ulicach, rozmawiając.

Tereszczenko, który pracuje w Polsce jako psycholog i psychoterapeuta od 2015 r., a po lutym 2022 r. pomaga głównie swoim nieletnim rodakom, w ostatnich miesiącach słyszał o pięciu – na szczęście nieudanych – próbach samobójczych. Jego koleżanka po fachu, dr Olga Owczarenko, pracująca jako psychotraumatolożka we Wrocławiu, słyszała o jednej: – Chodziło o nastolatkę, która instrukcje, jak „to” zrobić, znalazła na Tik-Toku, ale o jej planach na szczęście dowiedziała się polska koleżanka, alarmując dorosłych.

Podobne próby – wierzchołek problemów psychicznych tej grupy – nie są sta-

tystyczną sensacją, mowa wszak o milionie nieletnich uchodźców w kraju, w którym od lat dochodzi do kilku zamachów samobójczych nieletnich osób dziennie.

Ale źródeł kryzysów Ukraińców nie da się zestawić z rzeczywistością czasu pokoju.

Schody

Olga Owczarenko opowiada o kilkuletniej dziewczynce, która początkowo została w Ukrainie z babcią, podczas gdy jej mama przyjechała do Polski: – Kiedy po jakimś czasie dziecko trafiło do matki, ta odkryła, że córka panicznie boi się schodzić po schodach. Okazało się, że to pozostałość po tym, jak musiała zbiegać z babcią do schronu.

Dzieci, mówi ukraińska psycholożka, zapamiętują czołgi, mundury, karabiny. Nie chcą o nich rozmawiać, wolą rysować. – Inną oczywistą wojenną traumą jest nierozpoczęta nawet żałoba – dodaje kobieta. – Rodzina nie mogła wziąć udziału w pogrzebie, zobaczyć ciała, więc dziecko ma prawo nie wierzyć, że taty już nie ma. Pyta, kiedy przyjedzie lub zadzwoni.

Wojna jako wyłączne źródło kryzysów to jednak na razie rzadkość. – Spodziewaliśmy się większej liczby tego rodzaju zgłoszeń – przyznaje dr hab. Maciej Pilecki, kierownik Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży CM UJ w Krakowie. – Opisy w literaturze przedmiotu, dotyczące choćby konfliktu w byłej Jugosławii, mówią, że 30 proc. kobiet i dzieci z terenów objętych wojną potrzebuje fachowego wsparcia. Być może takie osoby trafiają gdzie indziej bądź na razie w ogóle nie dostają pomocy: u nas byli już młodzi pacjenci z Ukrainy, ale ich kryzysy nie miały bezpośredniego związku z wojną.

Podobne wnioski mają psychologowie ukraińscy. – Większość osób, które się do mnie zgłaszają, miała problemy w relacjach, zanim trafiły do Polski – opowiada Aleksander Tereszczenko. – Jeśli do tego dojdzie rozstanie ze znanym środowiskiem, z ojcem, szok i lęk w nowym miejscu, to kryzys jest nieuchronny.

Wśród jego źródeł psychologowie wymieniają pozornie zaleczone traumy z przeszłości, które wojna uruchomiła na nowo. – Nie jest tu nawet potrzebne bezpośrednie przeżycie związane z konfliktem zbrojnym. Wystarczy sama wiedza o nim, by wróciły wspomnienia, np. przemocy – opowiada na podstawie rozmów w swoim gabinecie Olga Owczarenko.

Choć sytuacji wielu młodych uchodźców nie da się porównać z niczym, reakcje na kryzysy nie różnią się od tych obserwowanych wśród polskich nastolatków. Ukraińscy psychologowie mówią o załamaniach, depresjach i zaburzeniach afektywnych. Z typowymi objawami, od skrajnego wycofania po agresję. – I to bardzo często okazywaną w swoim wewnętrznym gronie – zaobserwowała inna ukraińska psycholożka i psychoterapeutka, Katerina Volokh, współpracująca z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę i przyjmująca młodych pacjentów w Gdańsku. – Dzieci i nastolatkowie wyładowują lęk i stres w sytuacjach, w których czują się stosunkowo pewnie, czyli w relacjach z rodakami.

Mury

Na razie nie za wiele wiadomo o stanie młodych Ukraińców w Polsce. Teoretycznie pod najściślejszą kontrolą są uchodźcy w wieku szkolnym, którzy trafili do polskiego systemu edukacji. To mniejszość: do polskich szkół uczęszcza niecałe 200 tys. dzieci z ok. 700-800 tys. uchodźców w wieku 7-18 lat (większość uczy się online w ramach ukraińskiego systemu).

Ale nawet wiedza o owych 200 tysiącach jest ograniczona – pochodzi od polskich nauczycieli. O ich obserwacje, m.in. dotyczące stanu psychicznego nowych uczniów i uczennic, zapytali autorzy badania obejmującego wywiady z niemal tysiącem pedagogów, zorganizowanego przez Fundację Szkoła z Klasą. Ok. 15 proc. pedagogów zauważyło objawy stresu potraumatycznego u wszystkich, prawie wszystkich lub u ok. połowy nowych ukraińskich uczniów, mniej więcej co piąty z taką samą częstotliwością dostrzegał obniżony nastrój, objawy depresji albo drażliwe reakcje.

Bodaj najważniejszą częścią badania była próba diagnozy, jak przebiega integracja ukraińskich uczniów – kluczowa, bo to ona według psychologów warunkuje m.in. stan psychiczny uchodźców. Ta diagnoza jest niejednoznaczna. Z jednej strony, w opinii większości nauczycieli polscy uczniowie szukają w szkole kontaktów z Ukraińcami (ponad 70 proc. pedagogów twierdzi, że robi tak większość lub połowa dzieci). Z drugiej, tylko 20 proc. ma taką pewność w odniesieniu do podobnych relacji poza szkołą.

Tymczasem według cytowanych już trojga ukraińskich psychologów problemy adaptacyjne stanowią najczęstsze przyczyny kryzysów. – Próba samobójcza nastolatki, o której opowiadałam, wynikała z tego, że dziewczyna przeżyła rozstanie z ukraińskim środowiskiem, a później próbowała wejść w grono polskich rówieśnic w szkole. Bezskutecznie. Inna nastolatka tak ciężko przeżyła wyjazd, że w pewnym sensie cofnęła się do wieku kilku lat. Bała się komunikować z obcymi, zostawać sama – opowiada Olga Owczarenko.

I ona, i Katerina Volokh zwracają uwagę na nieprzygotowanie części nauczycieli do nowej sytuacji. – Najczęstszy problem to niezrozumienie, że te dzieci potrzebują indywidualnej uwagi. Że nie potrafią wyrazić swoich uczuć i potrzeb i trzeba włożyć więcej wysiłku w to, by się otworzyły – mówi Volokh.

Owczarenko prowadziła jako psycholożka zajęcia w szkole dla oddziału przygotowawczego dla ukraińskich dzieci: – Jeden chłopiec z grupy nie chciał się uczyć, nie słuchał nauczycieli. Okazało się, że jest rosyjskojęzyczny, prawie niczego nie rozumiał, a że nie chciał się do tego przyznać, nauczyciele zakwalifikowali go jako „niegrzecznego".

„Brak wsparcia psychologiczno-pedagogicznego uczniów ukraińskich jest jednym z najpoważniejszych zaobserwowanych przez nas problemów. Wynika on z braku specjalistów posługujących się językiem ukraińskim lub rosyjskim, a także barier kulturowych" – piszą autorzy przygotowanego przez Centrum Edukacji Obywatelskiej raportu „Szkoła zróżnicowana kulturowo".

Z kolei w badaniu na potrzeby raportu Fundacji Szkoła z Klasą na pytanie, „czy przed kryzysem wojennym pracował/a Pan/i z dziećmi z innych kultur, krajów", zdecydowanie twierdząco odpowiedziało tylko 9 proc. nauczycieli, a na analogiczne dotyczące młodych Ukraińców zaledwie 3 proc. 60 proc. przyznaje się do międzykulturowych doświadczeń, lecz na niewielką skalę.

W dodatku, jak zauważa Urszula Majcher-Legawiec, specjalistka od edukacji międzykulturowej i prezeska krakowskiej Fundacji Wspierania Kultury i Języka Polskiego im. Mikołaja Reja, ↦

↦ polskiej kadry pedagogicznej nigdy nie przygotowywano do pracy w środowisku różnorodnym językowo i kulturowo. – W ogóle nie mamy takich modułów na uczelniach, co stanowi problem od lat, bo przecież od lat mamy dzieci z doświadczeniem migracji – mówi specjalistka. – I mimo że od co najmniej 2020 r., czyli od raportu NIK, wiemy, że integracja cudzoziemskich uczniów w polskich szkołach nie działa, zmienia się niewiele.

Po lutym 2022 r. zmieniło się jedno: placówki zaczęły chętniej zatrudniać asystentów międzykulturowych (w Krakowie jest ich 180, przed lutym było 30). To najczęściej Ukrainki, ułatwiające m.in. swoim młodym rodakom integrację z nowym środowiskiem. Asystenci są ważni także w kontekście kryzysów psychicznych – brak językowej bariery może pomóc je wychwycić, zwłaszcza że wśród asystentów są także psychologowie.

Tyle że nie wszystkie szkoły asystentów zatrudniają, inne robią to tylko na pół etatu. Ledwie pojedyncze mogą sobie pozwolić na zatrudnianie Ukraińców w charakterze szkolnych psychologów. – Barierą są tu absurdalne przepisy, wymagające nie tylko nostryfikacji dyplomu, ale też uzupełnienia wykształcenia pedagogicznego, tak jakby to psychologiczne nie wystarczało – mówi Urszula Majcher-Legawiec.

Ukraińskim dzieciom mogą pomóc działające w ramach systemu edukacji i zatrudniające ukraińskich fachowców poradnie psychologiczno-pedagogiczne. Ale żeby dziecko tam trafiło, ktoś musi w szkole wychwycić problem.

Bariery

Jeszcze trudniej o to w przypadku grupy młodych uchodźców, którzy nie trafili do naszych szkół. Tu wszystko zależy zwykle od jednej osoby – matki. Bywa, że też będącej w kryzysie, a do tego zmuszonej do ciężkiej pracy. – Czasem na dwa etaty, np. za dnia sprzątającej, a wieczorami jeżdżącej taksówką, podczas gdy dziecko zostaje samo – zauważa Olga Owczarenko.

Do tego dochodzi nieufność wobec psychologów i psychiatrów – ukraińska specyfika kulturowa, opisana choćby we wspomnianym raporcie CEO. „U nas [w Ukrainie] jest tak, że (...) psycholog i psychiatra to jest jedna rzecz. I jak idziesz do psychologa, to już coś się kręci w głowie. No to nienormalny człowiek.

Do budynków, w których mieszkają dzieci z ewakuowanych do Polski ukraińskich placówek opiekuńczych, trudno wejść nawet przedstawicielom polskich organizacji pomocowych. **Sytuacja jest tam dramatyczna.**

I dlatego się dzieciaki boją psychologa" – mówi jeden z ukraińskich wychowawców, a autorzy raportu dodają, że ukraińscy rodzice zdają się traktować poradnie jako stygmatyzujące.

Istnienie tego zjawiska potwierdzają ukraińscy psychologowie. Jak mówi Katerina Volokh, czasami nastolatkowie przychodzą do niej w tajemnicy przed dorosłymi. Potwierdza to też Maciej Pilecki, który poza swoją działalnością szpitalną ma też doświadczenie wspierania krakowskich organizacji społecznych pomagających Ukraińcom.

– Nieufność wobec pomocy psychologicznej wydaje się wśród Ukraińców większa niż wśród Polaków – mówi krakowski psychiatra. – Dlatego najskuteczniejsza pomoc to w tym przypadku nie przyjmowanie potrzebujących, ale wychodzenie do nich. Zwłaszcza że trauma w okresie rozwojowym może się objawiać mniej typowo: wycofaniem czy agresją.

Pilecki przyznaje, że zręby efektywnego systemu potrafią tworzyć organizacje pozarządowe, a nie placówki publiczne. – Choć mamy na szczęście jako szpital polskich psychiatrów mówiących po ukraińsku i rosyjsku, to nie udało nam się np. zatrudnić ani ukraińskiego psychoterapeuty, ani psychiatry dziecięcego. To z jednej strony efekt bezwładu dużej instytucji, z drugiej przepisów, które utrudniają procedurę potwierdzania kwalifikacji.

W dużych miastach nie brakuje na szczęście ukraińskich psychologów i psychoterapeutów. Choć według Aleksandra Tereszczenki wielu z nich nie ma wystarczających kwalifikacji bądź jest obciążonych własnymi traumami. – Ostatnio czytałem CV psycholożki, i było tam wszystko, czego potrzeba. Ale gdy spytałem, czy poradzi sobie z grupą 15 nastolatków, odpowiedziała szczerze, że nie, bo się boi. Brakuje też psychologów z doświadczeniem pracy z traumą – mówi Tereszczenko.

Jeszcze gorzej jest z dostępem do ukraińskich psychiatrów dziecięcych. – Moi młodzi ukraińscy pacjenci z Gdańska są przyjmowani przez polskich specjalistów – mówi Katerina Volokh. – Bywa, że służę im wtedy jako tłumaczka.

Drzwi

– Z pierwszych dni kryzysu migracyjnego zapamiętałem jedną scenę. Zapewne zostanie ze mną na długo – opowiada Maciej Pilecki. Psychiatra odwiedza wówczas, w towarzystwie izraelskich specjalistów od leczenia traum wojennych, pełen Ukraińców krakowski dworzec i punkty relokacji. Po otwarciu drzwi jednego z pomieszczeń widzi grupę biegających, skaczących i w nienaturalny sposób pobudzonych dzieci. A w kącie chłopca w stuporze. Na nic nie reaguje. Patrzy w jeden punkt.

– Ile jest w Polsce nadal takich drzwi, których nie chcemy bądź nie potrafimy otworzyć? Za którymi są cierpiące dzieci bez wsparcia? – pyta Pilecki.

Jedne z takich drzwi oddzielają od świata zewnętrznego dzieci z ewakuowanych do Polski po lutym 2022 r. ukraińskich placówek opiekuńczych – to najczęściej nieletni z chorobami i niepełnosprawnościami. Gdy wiosną tego roku koszarowano tysiące z nich w wielkich budynkach, odtwarzając ukraińskie molochy jeden do jednego, polska strona tłumaczyła ów proceder koniecznością chwili. Barbara Socha, podsekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej, mówiła na początku kwietnia „Tygodnikowi", że takie jest życzenie strony ukraińskiej, która chce mieć dzieci pod kontrolą i nie chce ich rozdzielania, ale być może za kilka tygodni bądź miesięcy Ukraińcy zgodzą się na rozlokowanie dzieci np. do polskich rodzin zastępczych. A odpowiedzialny za ewakuację setek młodych uchodźców szef organizacji Happy Kids Aleksander Kartasiński tłumaczył, że nie ma sensu przenosić dzieci z tych budynków – np. z należącego do Fundacji Polsat ośrodka Ossa w Rawie Mazowieckiej, gdzie mieszkało ich ok. 600 – przed

zakończeniem roku szkolnego. I tylko niektórzy działacze organizacji pozarządowych alarmowali: przetrzymywanie dzieci w takich warunkach, niezgodnych z polskimi standardami, to łamanie ich praw w imię sąsiedzkiej zgody, a także obietnica wybuchu typowych dla podobnych molochów patologii. Z przemocą na czele.

Do dziś niewiele się zmieniło – może poza tym, że teraz ani minister Socha, ani Aleksander Kartasiński nie przyjmują od „TP" zaproszenia do rozmowy. Do budynków, w których mieszkają ukraińskie dzieci, trudno wejść nawet przedstawicielom polskich organizacji pomocowych. „Tygodnik" dowiedział się jednak z dwóch niezależnych źródeł, że sytuacja w tych placówkach jest dramatyczna.

Polska kadra wspiera niektóre z nich, ale nie ma wiele do powiedzenia. Opiekunowie ukraińscy nie radzą sobie z kryzysami, a te widać coraz wyraźniej. Są ucieczki, przemoc, fala, dyscyplinowanie młodszych dzieci przy pomocy starszych, powstałe już w Polsce ciąże dziewcząt poniżej 16. roku życia. Na problemy z tym związane ukraińscy wychowawcy nie potrafią odpowiedzieć, a nawet zapewnić dzieciom minimum stabilizacji. Pracują w placówkach rotacyjnie: część kadry wraca do Ukrainy, inna zmienia ją na miejscu.

Wkrótce minie rok od wybuchu wojny, a pomysłu na rozwiązanie tej sytuacji brak.

■■■

Czas jest kluczowy: te spośród około miliona przebywających u nas ukraińskich dzieci, które ujawniły w Polsce psychiczny regres i dostały szybkie oraz pełne wsparcie, mają szansę szybko wrócić do normalnego życia. – Historia chłopaka, którego spotkałem na moście, skończyła się dobrze. Sam byłem świadkiem, jak trzymając się za ręce, płakali razem z mamą, a ona przepraszała go za to, że przegapiła problem. Zaczynają razem życie na nowo – opowiada Aleksander Tereszczenko.

Jak zaznacza jednak, przepracowanie traumy – o ile ona jest – to zaledwie wstęp do wyzdrowienia. Najważniejsza jego część to pomoc w odzyskaniu wiary, że istnieje dobra przyszłość.

– Dziecko rysuje wojnę. Same ciemne kolory: czerń, brąz, fiolet – kontynuuje Tereszczenko. – Proponuję: weźmy tę kartkę, wyjdźmy na zewnątrz i ją spalmy. Wtedy temat wojny się kończy, a zaczyna przyszłość. Musimy pomóc tym dzieciom o niej myśleć, planować ją. Ale żeby tak się stało, muszą poczuć się potrzebni i chciani. Jak sześcioletni chłopiec, który bał się pójść do polskiego przedszkola, ale gdy dano mu narysować samolot w barwach polsko-ukraińskich i pokazać polskim kolegom, od razu poczuł się pewniej. Albo jak nastolatka z Charkowa, która okazała się świetna z chemii, więc mogła tłumaczyć jej zawiłości polskim koleżankom.

Niestety, setki ukraińskich dzieci nie dostały jeszcze w Polsce szansy ani na dobrą integrację, ani na wsparcie w kryzysie. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2023

10 CZERWCA 2023
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ

SUPPORT: 1ONE

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · BILET SERWIS · radio ZET · ANTYRADIO · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · pap MediaRoom · HELIOS · proart · VIXON

Milczenie nie jest złotem

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Zachód dba już o sygnalistów, zgłaszających nieprawidłowości w trosce o interes społeczny. W Polsce wciąż dominuje donosicielstwo, a ustawy chroniącej sygnalistów Sejm nie chce uchwalić.

Ktoś musiał donieść na Bożenę K., bo choć nic złego nie zrobiła, pewnego ranka wezwał ją dyrektor i wyjął z koperty kartkę. Przebiegła wzrokiem po stronie wyklejonej literami i wyrazami wyciętymi z kolorowych gazet. Z początku myślała, że to o kimś innym, ale było tam jej nazwisko i oskarżenia: że krzyczy na dzieci, wykręca im uszy i bije linijką. „Ależ panie dyrektorze, to nieprawda, pod tym się nawet nikt nie podpisał" – powiedziała. Dyrektor milczał chwilę, w końcu powiedział: „Będziemy się sprawie przyglądać, póki co nie ma powodu do niepokoju".

To „będziemy" z początku zabrzmiało Bożenie niewinnie. Z czasem połączyła to z oczami i uszami, które śledziły ją krok w krok.

Pani się nie nadaje

Był listopad, a ona próbowała o sprawie zapomnieć. Uczyła w gminnej szkole podstawowej w województwie lubelskim, w klasach 1-3, do pracy dojeżdżała z Hrubieszowa. Do ich placówki dowożono dzieci z okolicznych wsi, w których z oszczędności kilka lat temu zamknięto podstawówki. Zwolnieni z pracy nauczyciele tułali się po okolicznych gminach, łącząc etat w kilku szkołach, ale nie wszyscy zostali w zawodzie.

W grudniu, przed przerwą świąteczną, Bożena spotkała koleżankę z urzędu powiatowego. „Jest na ciebie jakiś papier u wójta, piszą, że dzieci bijesz, ale to tak między nami". Od tego czasu zaczęła się budzić w nocy. Patrzyła w sufit i pytała: „Kto to zrobił?". Czasem płakała, cicho, żeby nie zbudzić męża. Martwiła się. Obie córki studiowały w Lublinie – jedna farmację, druga pielęgniarstwo. To na ich naukę szła cała pensja Bożeny. Po świętach, kiedy wróciła do szkoły, zauważyła, że kiedy wchodzi do pokoju nauczycielskiego, cichną rozmowy. A może jej się zdawało? Chociaż mąż namawiał, żeby poszła na zwolnienie, nie chciała. Nic przecież złego nie zrobiła. Nie chciała się chować.

W styczniu dyrektor ogłosił podczas rady pedagogicznej, że dzieci w gminie jest coraz mniej i będą zwolnienia. To wtedy Bożena zaczęła drapać się do krwi. Wiedziała, że w całym powiecie dla nauczycieli z jej specjalizacją nie ma godzin. Czasem czuła się bezwartościowa. Wtedy otwierała szufladę i przeglądała teczkę z laurkami. Czytała wierszyki napisane niewprawnymi rękoma. Te stare od Adasiów, Agnieszek, Piotrków i Kaś, oraz te nowe: od Nikol, Brajanków, Sebastianów i Andżelik. Nauczyła czytać i pisać dzieci z kilku wsi, a potem dzieci ich dzieci, bo przez jej ręce przeszło kilka pokoleń.

W marcu znowu wezwał ją dyrektor i zapowiedział hospitację, dodając: „Do kuratorium też ktoś taki papier wysłał". Zabrakło jej powietrza, trzeba było przynieść wodę. Miała wtedy 55 lat.

– Przed lekcją, na którą miał przyjść dyrektor, wzięłam środki na uspokojenie, choć to dla mnie nie pierwszyzna prowadzić zajęcia w obecności obcych ludzi. Kiedyś wybrano mnie, żebym zrobiła lekcję pokazową dla wizytatora w klasach łączonych, gdzie pierwsza z drugą miały całkiem inny materiał do opanowania. I pięknie było – wspomina Bożena.

Ale nie tym razem. Gubiła się przy tablicy i zawieszała. Myliła w obliczeniach. Starała się mówić do dzieci spokojnie i cicho, ale głos jej się łamał. „Pani się musi leczyć, pani nie nadaje się do pracy" – usłyszała po lekcji. Wieczorem, kiedy czesała się w łazience, wypadła jej spora kępa włosów. Bożena wymacała łysą plamę za uchem. Poszła na zwolnienie, a potem na roczny urlop dla poratowania zdrowia, po nim przeszła na wcześniejszą emeryturę.

Do dziś nie wie, kto wysyłał anonimy. Na miejsce Bożeny dyrektor zatrudnił siostrzenicę wójta.

Pół miliona kontroli

– Nie wyobrażam sobie, by na podstawie pojedynczej informacji można było komuś tak wyrządzić krzywdę – mówi prof. Sylwiusz Retowski z Instytutu Psychologii na Uniwersytecie SWPS. – Rolą osoby zarządzającej jest weryfikowanie i sprawdzanie takich doniesień, tylko w ten sposób można zbudować sprawiedliwe środowisko pracy. Ta kobieta została pomówiona, a przełożony wykorzystał sytuację, żeby ją usunąć ze stanowiska.

Profesor Retowski zajmuje się badaniami z zakresu psychologii pracy. Wyraźnie rozgranicza, kto jest donosicielem, a kto tzw. sygnalistą. Donosimy dla własnych korzyści, zaś sygnalizujemy z troski o dobro społeczne i w przekonaniu, że komuś dzieje się krzywda.

Kiedy jednak spojrzymy na liczbę i charakter informacji, które wpływają do urzędów skarbowych, ZUS, Państwowej Inspekcji Pracy, kuratoriów oświaty czy na policję, trudno oprzeć się wrażeniu, że ogromna większość z nich to zwykłe, anonimowe donosy. Płyną do urzędów wartkim strumieniem: pocztą elektroniczną lub za pomocą specjalnie w tym

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Strażnicy miejscy w Łodzi mają własnych „sygnalistów" – fotopułapki rejestrujące wykroczenia. 2017 r.

celu stworzonych aplikacji, w których informację wystarczy wpisać do odpowiedniego szablonu i zatwierdzić kliknięciem.

Donoszą: sąsiad na sąsiada, że na podwórzu wyrosła rzekomo samowola budowlana; koleżanka na koleżankę, że pracuje „na czarno" i pobiera zasiłek; pracownik na szefa, że zatrudnia nielegalnie; pracodawca na pracownika, że dorabia na zwolnieniu.

– Rocznie wpływa do nas kilkaset donosów, dużą grupę stanowią informacje od pracodawców z prośbą o kontrolę. Na dowód dostajemy zdjęcia ich podwładnych z Facebooka, linki do list startowych z maratonów, była kiedyś nawet fotografia obrazująca skok ze spadochronu w czasie zwolnienia lekarskiego – wylicza Paweł Żebrowski, rzecznik ZUS. – Zdarzyło się, że szef wytropił swojego „chorego" podwładnego w egipskim kurorcie. Nie możemy sprawdzić wszystkich doniesień, ale wykonujemy 500 tys. kontroli rocznie – mówi Żebrowski.

W małopolskim oddziale ZUS tylko w tym roku odnotowano 139 donosów: praca na czarno, niesłusznie pobierane renty, prowadzenie fikcyjnej działalności gospodarczej, zaniżanie dochodów. – Nie każdy donos powoduje wszczęcie postępowania. Wszystko jest uzależnione od jakości informacji, w szczególności od możliwości identyfikacji sprawcy. Możemy je wykorzystać od razu lub przy planowanej kontroli – wyjaśnia Anna Szaniawska, rzeczniczka ZUS w Małopolsce.

Lewe faktury w wersalce

„Uprzejmie informuję, że X [tu: imię – red.] z miejscowości Y [nazwa – red.] nie nabija na kasę fiskalną wszystkich transakcji i w ten sposób oszukuje państwo, naciąga na grube miliony tak jak i mnie naciągał przez wiele lat, bo obiecywał, że się rozwiedzie i że się ze mną ożeni i na to konto wyłudził ode mnie oszczędności, a teraz udaje, że mnie nie zna. I jeszcze pragnę dodać, że on lewe faktury w wersalce trzyma, na zapleczu sklepu. X nieraz po trzy miesiące dziewczyny na czarno zatrudniał i podatku od nich nie odprowadzał, ani im ZUS-u nie płacił, a jak mu się stawiały, że chcą na umowę, to je zwalniał, że niby źle pracują. Jeszcze raz proszę, żeby urząd się tym zajął i sprawiedliwość zaprowadził, żeby taki drań się ludziom w oczy nie śmiał".

Ten anonim trafił do jednego z urzędów skarbowych w województwie lubelskim. Właśnie donosy do „skarbówki" cieszą się największym powodzeniem. W 2022 r. na samym Mazowszu naliczono 11 755 tzw. informacji sygnalnych. Na Dolnym Śląsku – 5140. Trafiają tu drogą elektroniczną bądź przez telefon uruchomiony w tym celu przez Krajową Administrację Skarbową.

Najczęściej chodzi o nieprawidłowości w ewidencjonowaniu sprzedaży towarów, prowadzenie niezarejestrowanej działalności gospodarczej, niezgłaszanie do opodatkowania usług najmu, wyłudzanie podatku VAT, nielegalne punkty gier hazardowych lub obrót kryptowalutami. Wiele informacji okazuje się prawdziwych, ale ludzie i tak zazwyczaj nie chcą ujawniać swej tożsamości. Nie tylko ze strachu, ale też z powodu odium donosiciela, jakie może na nich spaść.

Tymczasem w wielu krajach informowanie o nieprawidłowościach postrzegane jest jako obowiązek obywatelski. W Stanach Zjednoczonych za ujawnienie informacji, które chronią budżet państwa przed stratami, przyznawana jest nawet gratyfikacja finansowa. W Polsce nie ma jeszcze mowy o nagradzaniu sygnalistów, ale powstają kolejne aplikacje i strony internetowe, które ułatwiają alarmowanie o niepokojących kwestiach. Ministerstwo Finansów zachęca do pobierania aplikacji e-paragon, która pozwala nie tylko zarządzać codziennymi wydatkami, ale także zgłaszać przypadki niewydania rachunku czy zaniżanie stawki VAT. Użytkownicy rządowej aplikacji mObywatel mogą od razu zawiadomić Główny Inspektorat Ochrony Środowiska o zagrożeniach takich jak: nielegalne przetwarzanie odpadów, zanieczyszczanie powietrza czy wody.

Zbyt duży dystans

– Głównym problemem w Polsce nie jest to, że ludzie za dużo informują czy też donoszą. Z naszych badań wynika, że Polacy zbyt często milczą – zauważa prof. Sylwiusz Retowski. – Jeśli popatrzymy na setki spraw dotyczących molestowania, kradzieży czy niegospodarności, okaże się, że były tajemnicą poliszynela, wszyscy o nich wiedzieli, ale nikt nie odważył się mówić. Ludzie milczą z różnych powodów.

Retowski wylicza główne przyczyny: strach, przekonanie, że informacja i tak nie zostanie wykorzystana, i względy prospołeczne. Ktoś milczy, żeby nie zrobić kłopotu koleżance czy koledze. Ostatnią ↦

↦ przyczyną jest milczenie oportunistyczne. Ktoś zbiera dowody, ale nie chce ich ujawniać. Zrobi to w odpowiedniej chwili, gdy wyczuje najlepszą korzyść dla siebie.

– Badania europejskie, w których biorę udział, dowodzą, że milczenie jest poważnym problemem organizacyjnym i ma charakter uniwersalny. Nie dotyczy tylko Polski – podkreśla prof. Retowski. – Istnieje jednak pewien czynnik, który powoduje, że jest nam trudniej, niż na przykład Skandynawom, informować o nieprawidłowościach. Decyduje o tym tzw. wysoki dystans władzy powiązany z dużą hierarchicznością struktur. Dystans ten występuje nie tylko pomiędzy pracownikiem a menadżerem, ale również między obywatelem a władzą. Ta cecha występuje w dużej mierze w byłych krajach postkomunistycznych, a szczególnie widoczna jest w Rosji.

W Unii Europejskiej obowiązuje dyrektywa chroniąca prawnie sygnalistów przed zemstą. Polska już dawno powinna ją wdrożyć w formie ustawy, ale mimo że na stronie Rządowego Centrum Legislacji pojawiły się cztery projekty, do głosowania w Sejmie nie doszło. Czy jednak ustawa w sposób systemowy rozwiąże problem szkodliwego milczenia?

– Nie mam wątpliwości, że ta ustawa jest potrzebna – uważa dr hab. Grzegorz Makowski, socjolog, ekspert Forum Idei w Fundacji Batorego i adiunkt w Szkole Głównej Handlowej. – Ludzie, którzy – mając na uwadze dbałość o publiczne pieniądze, dobro środowiska naturalnego lub organizacji, w której pracują – decydują się mówić o nieprawidłowościach i mają odwagę walczyć o interes społeczny, powinni mieć ochronę prawną.

Planowana ustawa zakłada, że pracodawcy będą musieli przyjąć procedurę zgłoszeń wewnętrznych oraz utworzyć poufny i bezpieczny kanał przyjmowania informacji od sygnalistów. Ponadto do ich obowiązków będzie należało m.in. wskazanie osoby odpowiedzialnej za weryfikację naruszeń, ustanowienie siedmiodniowego terminu potwierdzenia przyjęcia zgłoszenia, podjęcie działań wyjaśniających, przekazanie sygnaliście informacji zwrotnych, a także ochrona przed szykanami. Według danych GUS ustawa obejmie 20 tys. firm zatrudniających łącznie 5 mln osób, czyli wszystkie podmioty zatrudniające co najmniej 50 pracowników.

– Projekt rządowy jest w większości zgodny z międzynarodowymi standardami, ale zawiera wiele luk – uważa Makowski. – Nie są np. bezpośrednio w niej wymienione przestępstwa korupcyjne, których zgłaszanie też dawałoby ochronę. Niby można to wydedukować z przepisów pośrednio, ale dlaczego tego nie nazwać wprost, skoro wskazane są inne typy nadużyć. Innym przykładem jest wyjęcie spod ochrony zamówień publicznych związanych z obronnością. Większość tych pieniędzy przepływa poza jakimikolwiek procedurami regulowanymi prawem zamówień publicznych i bez żadnej kontroli parlamentarnej.

> Jeśli ustawa chroniąca sygnalistów wejdzie w życie, pracodawcy będą musieli uważnie badać doniesienia oraz **zapewnić bezpieczeństwo osobom zgłaszającym nieprawidłowości.**

Władza się boi

Zgodnie z dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady UE nasz rząd powinien wdrożyć ustawę o sygnalistach do połowy grudnia 2021 r. 15 lipca 2022 r. Komisja Europejska zwróciła się w tej sprawie do Polski i piętnastu innych krajów, które wciąż zwlekają z jej przyjęciem.

– Myślę, że te prace są celowo przeciągane, bo rząd boi się sygnalistów. Chciałbym się mylić, ale sądzę, że ta ustawa nie wejdzie w życie przed wyborami – uważa Grzegorz Makowski. – Być może władza chce uniknąć takich sytuacji, jakie miały miejsce w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej?

Przypomnijmy: jeden z pracowników PAŻP alarmował o łamaniu procedur bezpieczeństwa. Został zwolniony. Ale jego odwaga i mocny głos wpłynęły na zmiany w Agencji. Po protestach związków zawodowych przywrócono go do pracy.

Lęk władz przed sygnalistami, którzy mogliby ujawniać niewygodne dla rządzących przypadki nepotyzmu i korupcji, dotyczy nie tylko Polski. W USA Komisja Papierów Wartościowych i Giełd wypłaciła informatorom w ramach działającego już 11 lat „Whistleblower Program" ponad miliard dolarów nagród. Równocześnie Edward Snowden, informatyk, który ujawnił, że Amerykanie i mieszkańcy innych państw są na masową skalę podsłuchiwani, został uznany w tym kraju za szpiega, a nie za sygnalistę. Tymczasem program PRISM, który umożliwiał Agencji Bezpieczeństwa Narodowego USA przeglądanie poczty elektronicznej, dostęp do czatów oraz czerpanie informacji z serwisów internetowych użytkowników – uznano za oceanem za zamach na wolność jednostki.

Niestety, Snowden od 2013 r. ukrywa się w Rosji, która od lat jest wzorcem łamania praw sygnalistów i wielokrotnie próbowała manipulować systemem politycznym USA. Ucieczka akurat tam została źle odebrana (ostatnio Snowden przyjął rosyjskie obywatelstwo i przysiągł wierność nowej ojczyźnie). Nie zmienia to faktu, że jego informacje były cenne dla obywateli demokratycznego świata. I dlatego jeszcze w 2015 r. Parlament Europejski zaapelował o wycofanie wobec Snowdena zarzutów karnych i uznał zasługi informatyka w zakresie obrony praw człowieka.

Rola sygnalisty wymaga odwagi i czasem fatalnie wpływa na jego/jej życie. Brak ochrony prawnej sprawia też, że niektórzy sygnaliści, jak sam Snowden, gubią się i popełniają ogromne błędy. I dlatego m.in. wielu potencjalnych sygnalistów nigdy nie zgłosi swych podejrzeń. Według sondażu zrealizowanego przez CBOS w lutym 2019 r. na zlecenie Fundacji Batorego ponad 25 proc. badanych stwierdziło, że nie powiadomiłoby przełożonego o fakcie przyjęcia łapówki przez kolegę z pracy. Głównym powodem był strach, że zostaną uznani za donosicieli. 55 proc. respondentów zakładało również, że sygnalistę spotka ostracyzm w środowisku pracy. Jednak równocześnie 65 proc. badanych oceniło zgłoszenie łapówki jako zachowanie słuszne.

Prof. Sylwiusz Retowski: – Kłopot z przyszłą ustawą polega na tym, że funkcjonujemy w bardzo niestabilnym systemie prawnym. Europejskie instytucje dają Polsce jednoznaczne sygnały, że nasze sądownictwo nie jest transparentne. W wielu osobach może zrodzić się lęk, że jeśli ujawnią jakieś nieprawidłowości i sprawa trafi na drogę sądową, nie zostaną uczciwie i rzetelnie potraktowane przez ten system.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Zakleszczeni

MAREK KĘSKRAWIEC

Władza przez lata zdolna do podejmowania skutecznych działań nawet wbrew prawu dziś funkcjonuje jak samochód z pedałem gazu wciśniętym do podłogi, ale bez włączonego biegu.

Premier Mateusz Morawiecki dogadał się z Brukselą w sprawie odwołania reform w sądownictwie, co miało uruchomić początkowo ok. 35 mld, a w sumie niemal 160 mld euro z KPO, w postaci dotacji i tanich pożyczek. Kłopot w tym, że składając w Sejmie projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym, zapomniał uzgodnić jej treść z Andrzejem Dudą. Nawet jeśli prezydent był w stanie zaakceptować przepisy ograniczające tzw. ustawę kagańcową (pozwala karać sędziów za treść ich orzeczeń) oraz przełknąć przeniesienie spraw dyscyplinarnych z SN do NSA, to nieskonsultowanie z nim treści konkretnych paragrafów, zwłaszcza zapisów umożliwiających badanie legalności wyboru sędziów nominowanych przez głowę państwa – uznał za obrazę.

Zawrzało nie tylko w Pałacu, ale i na Nowogrodzkiej, gdzie w ostatnich dwóch tygodniach premier Morawiecki oraz wiceminister Szymon Szynkowski vel Sęk mieli powtarzać, iż prezydent zna szczegóły ustawy i je akceptuje. Złość jest tym większa, że centrali PiS nie jest potrzebny kolejny front walki wewnętrznej. Wystarczy ten ze Zbigniewem Ziobrą, który uważa kompromis z Brukselą za akt kapitulacji i klęskę reform, więc ustawy nie poprze. W tej sytuacji marzący o pieniądzach z KPO PiS gotów był na skrajne upokorzenie i chciał prosić o pomoc w głosowaniu nad ustawą opozycję, co dla widzów TVP byłoby zapewne szokiem. Kontra Pałacu zniszczyła i ten plan.

– Świat płonie, mamy złą passę, sondaże nas nie rozpieszczają, a tu jeszcze szef rządu organizuje wojenkę z prezydentem – nie kryje złości jeden z posłów PiS zbliżonych do kręgu Beaty Szydło, który uważa, że od czasu klęski Polskiego Ładu Mateusz Morawiecki stał się bardziej obciążeniem niż wartością dodaną. – Komuś innemu łatwiej byłoby się dogadać z Ziobrą. Dziś mamy jawny konflikt między premierem a kluczowym ministrem. To jest chore.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Mateusz Morawiecki i Zbigniew Ziobro, posiedzenie Sejmu. Warszawa, 26 maja 2022 r.

Jednocześnie w PiS słychać inne opinie, wedle których reformy wymiaru sprawiedliwości przydawały się przez lata do mobilizacji elektoratu przeciwko „kastom" i „elitom", ale dziś już nie spełniają swej funkcji. Obywatele nie odczuwają żadnych zmian w tempie prowadzenia procesów sądowych, a pandemia tylko pogłębiła problem. Premier Morawiecki już nawet nie gryzie się w język, ale mówi publicznie o „chaosie w sądownictwie", który kosztuje nas dodatkowo milion euro dziennie kary nałożonej przez Unię.

Właśnie dlatego w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego cyklicznie wraca dyskusja, na ile PiS może jeszcze pozwolić Ziobrze, co później w postaci aluzji o możliwym końcu koalicji komunikuje wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki. Z jednej bowiem strony funkcjonowanie rządu większościowego w obecnym Sejmie jest niemożliwe bez Solidarnej Polski, z drugiej – sondaże nie pozostawiają złudzeń – partia ta nie ma szans na samodzielne przekroczenie 5-procentowego progu. Choć oczywiście przy ostrej antyunijnej kampanii może odebrać PiS-owi wystarczającą liczbę wyborców, by zniszczyć ostatecznie marzenia Kaczyńskiego o pozostaniu przy władzy. Zwłaszcza w sytuacji ogromnych konfliktów wewnętrznych, które rozsadzają Konfederację. Choć sondaże są ostatnio dla niej łaskawsze (w badaniu Kantara poparcie wyniosło 9 proc.), nie wiadomo, czy Konfederacja w ogóle przetrwa do wyborów. Beneficjentem ewentualnego rozpadu byłby właśnie Ziobro.

Wzajemne szachowanie się jest dziś najważniejszym spoiwem koalicji rządowej i zarazem jej największą słabością. Zjednoczona Prawica dwukrotnie doszła do władzy z konkretnym programem, a swoje cele realizowała brutalnie, czasem wręcz bez oglądania się na konstytucję, dzięki wewnętrznej spójności, jasnej hierarchii i szybkim posunięciom prawnym. Dzisiejsza decyzyjna degrengolada oraz publiczne uwagi Ziobry na temat naiwności premiera i jego kapitulacji przed szantażem Brukseli zaczynają wręcz ośmieszać koalicję. Ujawniają jej imposybilizm, którego tak nie znosi Kaczyński.

Trudno poważnie traktować rząd, w którym Jacek Ozdoba, wiceminister klimatu i człowiek Ziobry, potrafi publicznie powiedzieć, że od ustąpienia Beaty Szydło „mamy pasmo porażek", szef rządu zaś odbiera mu tylko kompetencje, pozostawiając jednocześnie na stanowisku. A na posiedzeniu Sejmu musi bronić przed opozycją stanowiska ministerialnego Ziobry, choć zarazem uważa go za największego szkodnika. Oszukanie Kaczyńskiego w kwestii dogadania ustawy o SN z prezydentem może świadczyć o tym, iż premier się pogubił, działa w sposób wręcz histeryczny i próbuje kolanem przepchnąć ustawę. Robi tak, bo wie, że bez niej grozi nam ruina budżetu państwa oraz zatrzymanie niemal wszystkich inwestycji publicznych. ©℗

TOMASZ

Stawiszyński:
Nędza podsumowań

Skłonność do sylwestrowych podsumowań, połączona z głęboką wiarą, że zmiana cyfry w dacie wiąże się w tajemniczy sposób z otwierającym się przed nami zupełnie nowym wachlarzem możliwości, ma bez wątpienia wiele źródeł. Jednym z głównych wydaje się jednak obecne w niemal każdej kulturze przekonanie, że pomiędzy światem zdarzeń naturalnych – ruchami planet, zmianą pór roku i innymi fenomenami przyrody – a światem spraw ludzkich istnieje jakieś powinowactwo. Że, w szczególności, struktura i rytmika – nadające kosmicznym poruszeniom uporządkowaną formę, uchwytną w obserwacji oraz poddającą się matematycznej rachubie – taktują również losy społeczeństw i jednostek. W sposób esencjalny, a zarazem najbardziej usystematyzowany wciela to przekonanie astrologia, jedna z najstarszych dziedzin ludzkiej refleksji, rozciągająca się gdzieś pomiędzy mitem a filozofią. Jest w astrologii ten postulat, a może raczej to pragnienie: niech doskonała, policzalna, elegancka kompozycja układów makro da się zaaplikować do zaplątanych i nieoczywistych układów mikro.

Czy faktycznie się da? Cóż, obraz świata wyłaniający się ze współczesnej nauki stoi na antypodach tego dawnego obrazu reprezentowanego m.in. przez astrologię. Królestwem materii rządzą wyłącznie ślepe prawa fizyki i przypadek, królestwem tego, co żywe, natomiast – równie ślepe reguły ewolucji. W tej perspektywie wszystkie sensy i znaczenia, które w toku dziejów nadawaliśmy zjawiskom przyrodniczym, istnieją więc (czy też istniały) wyłącznie w umysłach, a nie w rzeczach. Wszechświat – mówi nauka – nie przemawia do nas w żadnym języku, no może poza językiem matematyki, który pozwala opisać go w najdrobniejszych detalach także tam, gdzie inna pojęciowość nie sięga. Ale matematyczność wszechświata to cecha z odmiennego całkiem porządku niż ten, którego istnienie dekretowali alchemicy czy astrolodzy. I którego istnienie dekretujemy wszyscy, rokrocznie podsumowując ostatnie 12 miesięcy, postanawiając, że od stycznia wszystko się zmieni, rokrocznie mając nadzieję, że wraz z dopełnieniem kolejnego obrotu Ziemi wokół Słońca coś nowego zacznie się również w naszym życiu.

Choć przecież, w odróżnieniu od doskonale rytmicznej natury, uniwersum naszego doświadczenia wydaje się od jakiejkolwiek rytmiczności jak najdalsze. Stanowi raczej kontinuum, w którym zdarzają się oczywiście jakościowe skoki, gwałtowne reorientacje, załamania, wzloty i upadki. Ale zazwyczaj zdarzają się bez żadnych zapowiedzi, znaków i symbolicznych ostrzeżeń. Później natomiast, kiedy patrzy się na nie z perspektywy czasu, również trudno je wpisać w jakąś spójną narrację. No chyba że posłużymy się tymi wszystkimi narzędziami, które nieprzypadkowo przeżywają dziś renesans popularności: astrologią, wróżbiarstwem, rozmaitymi technikami duchowego rozwoju. Nieprzypadkowo, bo zawsze sięgano po nie wtedy, kiedy świat stawał się jeszcze bardziej niż zazwyczaj nieprzewidywalny i chaotyczny. Ewolucyjna architektura naszych umysłów każe wszak doszukiwać się dookoła ukrytych zależności wcale nie dlatego, że one tam faktycznie są, ale że statystycznie zwiększa to szanse na przetrwanie.

Zarazem jednak – przyznacie – trudno całkiem zmarginalizować to wrażenie, że poszczególne lata mają swoje specyficzne smaki, jakości i cechy. Że ten czy tamten rok przepływa przez palce, zaciera się w pamięci, nic go bowiem nie wyróżnia spośród szeregu sobie podobnych, inny natomiast co i rusz przynosi rewolucje i rewelacje. Że bywają daty przełomowe i daty zaniedbywalne. I że niekiedy ma się poczucie działania jakichś osobliwych prądów, które stanowczo lub subtelnie prowadzą nas do tego czy innego spotkania, tej czy innej sytuacji. Czy to jest tylko iluzja, wytwór doszukującego się wszędzie prawidłowości umysłu? Całkiem możliwe, zwłaszcza że każda forma rozbudowanego ujęcia i opisania ukrytych mechanizmów losu nieuchronnie wyprowadza nas na grzęzawisko metafizycznych spekulacji i aporii. Spośród których fundamentalna wydaje się choćby ta okoliczność, że dookoła mnóstwo jest bezwładu, bezsensu, okrucieństwa i cierpienia, które do niczego nie prowadzą, lecz odsłaniają jakąś otchłań ziejącą tuż pod podszewką codzienności. Może więc jednak wszystko to tylko ułuda – potrzeba porządkowania przeszłości przemieszana z pełną nadziei fantazją nowego początku?

Tak czy owak sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące i lata to podstawowe znaczniki pozwalające nam układać fakty społeczne i jednostkowe w zrozumiałą i ustrukturowaną opowieść. To chorągiewki pracowicie rozmieszczane na tym dziwnym, skomplikowanym i tajemniczym terenie, w którym znaleźliśmy się nie wiadomo jak i nie wiadomo po co. Bez wątpienia pomocne w orientacji, bez wątpienia pozwalające na poruszanie się w świecie w sposób odrobinę bardziej skoordynowany.

Chociaż więc żadne podsumowanie nie jest w stanie zadośćuczynić temu, co działo się przez ostatni rok, i chociaż nie ma żadnych podstaw do tego, żeby sądzić, że z dniem 1 stycznia 2023 r. otworzy się faktycznie – a nie wyłącznie na poziomie konwencjonalnej notacji – jakiś nowy rozdział, chciałbym wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Tygodnika" oraz, oczywiście, Redakcji, życzyć spokojnego nowego roku. Oby tu jednak nastąpiła jakaś zmiana na lepsze po tych wszystkich perturbacjach poprzednich lat. Kto wie – może nastąpi? ©

POŻEGNANIE

Krewnym, przyjaciołom, znajomym – wszystkim, którzy uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych zmarłego 10.12.2022 r. w Gdyni, urodzonego 09.05.1932 r. w Koziegłowach

Ś.† P.

Zbigniewa Cempury,

a za życia wspierali w chorobie i zachowali w dobrej pamięci – z serca dziękuje rodzina.

Jesteśmy wdzięczni za Waszą obecność, wsparcie duchowe i dobre słowo o Zmarłym oraz wzruszające kondolencje.

GRANTY PPGR

ZAPEWNIAMY RÓWNE SZANSE DZIĘKI FUNDUSZOM EUROPEJSKIM

GRANTY PPGR wyrównują szanse młodych ludzi na wsi. Właśnie finalizowany jest ubiegłoroczny konkurs dla gmin popegeerowskich, wart ponad 586 milionów złotych!

Uczniowie, którzy są dziećmi i wnukami byłych pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, otrzymają za darmo i na własność ponad 215 000 komputerów i laptopów oraz ponad 3 200 tabletów. Jest to możliwe dzięki projektowi „Granty PPGR. Wsparcie dzieci i wnuków byłych pracowników PGR w rozwoju cyfrowym".

Co istotne, aktualna sytuacja finansowa rodziców dziecka oraz inne formy przyznanej pomocy nie mają znaczenia. Jeśli w danej gminie odpowiedzialnej za dystrybucję sprzętu została przeprowadzona odpowiednia kalkulacja, to dzieci oprócz laptopów i tabletów dostaną także środki na wykupienie dostępu do sieci.

Jak powszechnie wiadomo, bez internetu praktycznie nie da się dziś normalnie funkcjonować. Trudno jest też zdobyć porządne wykształcenie i tym samym stworzyć sobie szansę na lepszy życiowy start. – Kiedyś nastolatki ze wsi szukały miejsca w bursach. Teraz z tym trudno, ceny życia w mieście są wysokie, a zagrożeń dla młodych bez opieki rodziców więcej niż dawniej – mówi pani Zofia spod Złocieńca w zachodniopomorskim. Jej zdaniem miejscowe rodziny nie szczędzą środków, by zapewnić dzieciom dostęp do jak najlepszej edukacji, jednak kiedy w domu jest rodzeństwo, nie sposób uniknąć kłótni o korzystanie z laptopa.

NOWA ERA DLA SZKOLNICTWA

Środki z programu są naprawdę znaczące. Pierwszą umowę w całym programie podpisano z gminą Zatory w obecności premiera Mateusza Morawieckiego. Tej gminie w woj. mazowieckim przyznano kwotę w wysokości 206 800 zł na 82 laptopy z oprogramowaniem. Na całym Mazowszu zostanie zakupionych łącznie 5075 komputerów i laptopów, 67 tabletów oraz oprogramowanie za 14 570 518 zł. Cały sprzęt elektroniczny zostanie wręczony dzieciom i młodzieży na własność.

– Myślę, że tutaj w Zatorach ogłoszenie tego programu jest symbolicznym otwarciem nowej ery, nowej epoki dla szkolnictwa, która ma na celu właśnie wyrównywanie szans – podkreślił premier Mateusz Morawiecki.

Wnioski na dofinansowanie z programu na ponad 215 tysięcy sztuk sprzętu elektronicznego złożyły 1604 polskie gminy. Projekt finansowany jest ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego.

WARTOŚCIOWA I PRAKTYCZNA POMOC

W najbliższym czasie, równolegle z ciągłym rozwojem technologii, może okazać się, że szkolne e-materiały i lekcje zdalne staną się stałym i powszechnym elementem nauczania. Dzieci z popegeerowskich wsi będą miały do nich pełen dostęp. Otrzymają sprzęt komputerowy z urządzeniami peryferyjnymi i akcesoriami oraz niezbędnym oprogramowaniem, które umożliwią im pracę i naukę zdalną.

– Już epidemia pokazała, jak trudno jest zapewnić normalne kształcenie w sytuacji, kiedy trzeba było przejść w tryb online, uczenia się poza szkołą. To była wielka strata dla dzieci, dla młodzieży – ocenił szef polskiego rządu.

Wysokość środków przeznaczonych na cały program to **ponad 584 milionów złotych.** Do tej pory podpisano **1598** umów o powierzenie Grantu.

Gminą, która za otrzymane dofinansowanie zakupi najwięcej laptopów, jest **Gmina Skoki** (woj. wielkopolskie) z liczbą **332 sztuk,** następnie **Gmina Wolin** (zachodniopomorskie) – **195 sztuk** oraz **Gmina Radowo Małe** (zachodniopomorskie) – **185 laptopów.**

Z kolei najwyższe dofinansowanie uzyskała wielkopolska **Gmina Września (3 351 250 zł),** następnie **Gmina Bytów** z woj. pomorskiego **(2 767 500 zł)** oraz **Gmina Gołdap** z woj. warmińsko-mazurskiego **(2 656 137 zł).**

WARTOŚĆ PRZYZNANEGO DOFINANSOWANIA WEDŁUG WOJEWÓDZTW:	
dolnośląskie:	62 663 588 zł
kujawsko-pomorskie:	43 857 891 zł
lubelskie:	13 740 246 zł
lubuskie:	43 380 703 zł
łódzkie:	4 912 358 zł
małopolskie:	5 057 753 zł
mazowieckie:	14 195 198 zł
opolskie:	22 669 643 zł
podkarpackie:	28 507 970 zł
podlaskie:	6 605 104 zł
pomorskie:	72 326 108 zł
śląskie:	8 070 372 zł
świętokrzyskie:	4 550 970 zł
warmińsko-mazurskie:	79 987 856 zł
wielkopolskie:	97 520 224 zł
zachodniopomorskie:	76 520 768 zł

Dla Centrum Projektów Polska Cyfrowa walka z wykluczeniem cyfrowym jest jednym z priorytetów. Dzięki Funduszom Europejskim możliwa jest szybka i skuteczna interwencja na pojawiające się potrzeby obywateli w każdym wieku, wynikające z postępu technologii, niezależnie od miejsca zamieszkania i sytuacji materialnej.

GRANTY PPGR

WSPARCIE DZIECI I WNUKÓW BYŁYCH PRACOWNIKÓW PGR W ROZWOJU CYFROWYM

Fundusze Europejskie Polska Cyfrowa | Rzeczpospolita Polska | Centrum Projektów Polska Cyfrowa | Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

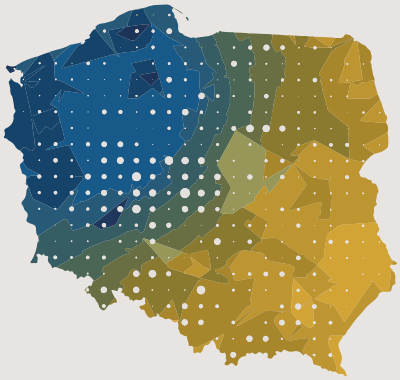

MATERIAŁ PARTNERA

NA NOWY ROK

JĘZYKI OBCE

MAREK RABIJ

Mój dom należał wcześniej do nauczyciela miejscowej szkoły. W ogrodzie uprawiał szparagi. Powiedziałam mężowi, że my też musimy. Ziemi nie wolno odbierać tego, do czego nawykła.

ILUSTRACJA KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Z pierwszego domu Brygida najlepiej zapamięta ślimaki. Starsi bracia chcieli sprawić rodzicom niespodziankę i oprawić ich fotografię w ramkę własnej roboty – taką zdobioną skorupami winniczków z przydomowego ogrodu. Aż przyszła burza. Setki ślimaków, uwięzionych na tarasie w beczce, opuściły zardzewiałe więzienie, które przewróciła nocna nawałnica. Rozpełzły się po ścianach, oknach, po balustradzie.

Brygida miała wtedy cztery lata. Po kolejnych dziewięćdziesięciu, które minęły od tamtej burzy, wciąż wyraźnie pamięta, jak o poranku stoi przed wielkim oknem balkonowym w pokoju gościnnym i urzeczona obserwuje te przedziwne żyjątka, sunące po drugiej stronie szyby. W pamięci słyszy nawet wysoki głos matki, która tłumaczy jej, że one przecież zjadają im kwiaty i warzywa w ogródku.

Pierwszy dom Brygidy, murowany, ciemny i bez kanalizacji, ale w sumie przytulny, stał na przedmieściach Mönchengladbach, w rejencji Düsseldorf, około 40 kilometrów od granicy holenderskiej. Ślimaki nazywały się wtedy *Schnecken*. A Brygida nazywała się Wirtz.

Rodzice kochali książki. W domu było ich mnóstwo, co w tamtych czasach należało do rzadkości, zwłaszcza w rodzinach robotniczych. Ojciec pracował w hucie na stanowisku specjalisty od obsługi wielkich pieców. Mama zajmowała się domem oraz opieką nad dwójką synów i młodszą córeczką, z którą co wieczór zasiadała do lektury.

W jednym z pierwszych wspomnień Brygidy ślęczą wspólnie przy lampie nad ilustrowanym wydaniem „Dziewczynki z zapałkami" Andersena. Ona z mozołem literuje wyrazy, przesuwając przy tym pulchnym paluszkiem po tekście, a mama, wysoka i elegancka kobieta, czuwa obok, jak zawsze nienagannie wyprostowana na krześle.

Zanim rodzina opuści Mönchengladbach, czteroletniej wówczas Brygidzie w pamięć wryje się jeszcze wiosenne popołudnie 1932 r., kiedy do ich drzwi zaczną dobijać się agresywni funkcjonariusze Sturmabteilung, bojówki NSDAP.

Zapłakana mama wyjaśni przerażonej córeczce, że panowie w zgniłozielonych uniformach przyszli po tatę, który w wyborach na prezydenta Rzeszy nie chciał głosować na pana von Hindenburga, a tym bardziej na pana Hitlera.

Ojciec wróci do domu po kilku godzinach, wystraszony i przybity. Wyjaśni żonie, że zagłosował, jak mu kazali.

„Przecież to jeszcze dziecko"

Z drugiego domu Brygidzie najmocniej zapadną w pamięć wysokie, niemal po gotycku zamknięte w łuk okna salonu ich mieszkania w Hagen, niecałe sto kilometrów na wschód od Mönchengladbach. Rodzina Wirtzów zajmuje ponad 150-metrowy lokal na parterze. Okna wychodzą na ulicę, którą każdego poranka z pobliskiego boiska, przemienionego w obóz, maszeruje kolumna robotników przymusowych, pędzonych do pracy w pobliskiej fabryce. Dwa razy dziennie, rankiem i późnym wieczorem, sznur *Zwangsarbeiteren* wypełnia neogotyckie ramy okien parterowego mieszkania Brygidy, przesycając też powietrze nieznanym jej dotąd, ostrym zapachem brudnej i zawilgoconej odzieży.

Nawet po osiemdziesięciu dwóch latach smród przepoconych ubrań przywołuje Brygidzie w pamięci tamten odgłos butów bijących w bruk i zbolałą twarz matki, która stojąc w oknie, wypatruje w procesji burych łachmanów dziewczyny z długimi, jasnymi warkoczami. „Przecież to jeszcze dziecko, może z pięć lat starsze od naszej Brigidtte", wzdychała za każdym razem na jej widok.

Na Boże Narodzenie 1942 r. Frau Wirtz przygotuje jasnowłosej paczuszkę z jedzeniem. Plan jest prosty: stanie, niby przypadkiem, w oknie, dyskretnie przywoła tamtą dziewczynę, a wtedy przyczajona w sieni Brygida susem pokona trzy wejściowe stopnie, poda jej zawiniątko i odbiegnie. Wartownicy zawsze idą na przodzie i na końcu kolumny, która rozciągała się na kilkaset metrów i ci pośrodku mogą sięgnąć po jedzenie, nie ryzykując pobicia przez eskortę. Mieszkańcy Hagen zdążyli to zauważyć. Niektórzy celowo zostawiają na trasie przemarszu robotników papierosy lub chleb.

Na początku wszystko idzie zgodnie z planem. Ta z warkoczami, zaintrygowana gestami mamy, zatrzyma się naprzeciwko mieszkania, niby poprawiając coś przy bucie. Brygida podbiegnie do niej i poda paczuszkę.

– Ale wtedy stało się coś, na co nie byłam przygotowana. Bo ona nagle uklękła przede mną, zaczęła się żegnać i mówić coś w języku, którego wtedy nie rozumiałam. Zawsze jednak miałam świetną pamięć oraz talent do języków, dziś mówię w końcu czterema – Brygida delikatnie poprawia dłonią starannie ułożoną fryzurę. – Nadal dźwięczą mi w uszach tamte słowa. Ta dziewczyna po polsku wzywała Matkę Boską.

„Tutaj mówi się Heil Hitler"

W trzecim domu stał długi drewniany stół w jadalni na parterze. Rodzina Gorbandów, właścicieli kamienicy, która do dziś wznosi się w pobliżu Bramy Wysokiej w Darłowie, miała na wyłączność całą górną kondygnację. Na dole mieścił się sklep z artykułami kolonialnymi, który prowadziła Frau Gorband, i zakład krawiecki założony jeszcze przez jej teścia, w którym pracował Jean, jeniec wojenny oddelegowany do pomocy z pobliskiego obozu.

Brygida niedawno skończyła 15 lat. Wraz z Ursulą Lotti, koleżanką z klasy, lubią zakradać się po lekcjach do zakładu, bo dwukrotnie starszy od nich Francuz wpadł im w oko, a flirtując z nim mogą też ćwiczyć francuski. Jean częstuje je przy tym ojczystymi smakołykami, jakże innymi od monotonnej codziennej diety, złożonej głównie z mleka i ziemniaków. Brygida i Lotti posiłki jadają bowiem w jadalni na parterze razem z ukraińskimi robotnikami przymusowymi, którzy pracują przy krowach Gorbandów. Rodzina nie dopuszcza dziewczynek do swojego stołu. Są przecież *Bomben Kinder*, dzieciakami spod bomb – jak mówią o nich z niechęcią miejscowi. ↦

– W 1940 r. Hitler nakazał ewakuację niemieckich dzieci z terenów zagrożonych nalotami – wspomina Brygida. – W lipcu 1943 r. ogłoszono wyjazd na wschód wszystkich uczniów z Hagen. Moje gimnazjum i średnią szkołę zawodową brata zapakowano do tego samego pociągu. Oni wysiedli w Kolbergu, czyli w Kołobrzegu. Nas zawieźli sto kilometrów dalej, aż do Rügenwalde. Czyli tutaj, do mojego kochanego Darłowa.

W Hagen, w którym została mama Brygidy, alarmy systematycznie przerywały lekcje. Posiłki od dawna składały się niemal wyłącznie z ryżu, a po zbombardowaniu pobliskiej tamy zaczęły się problemy nawet z bieżącą wodą. W Rügenwalde wojny nie czuć w ogóle, atmosfera przypomina bardziej wakacyjny obóz z dala od rodziców. Po lekcjach dziewczęta biegną na miejską plażę, oglądają filmy w kinie, do którego przez piwniczne okno wpuszcza je syn kierownika, albo z duszą na ramieniu zapuszczają się w gąszcz miejskiego parku, w którym stoi owiana złą sławą *Liebeslaube*. Altana miłości, do której urlopowani z frontu żołnierze po zmroku sprowadzają kobiety. Wieczorami nauczycielki sprawdzają, czy uczennice są w miejscu zakwaterowania, ale w ciągu dnia mało kto się nimi interesuje. A najmniej sami gospodarze, którzy dodatkowe gęby do wykarmienia uważają za skaranie boskie.

Wychowanej w dwustutysięcznym Hagen Brygidzie podoba się w kameralnym Rügenwalde. Mniej przypadają jej do gustu miejscowi, mówiący niezrozumiałym pomorskim dialektem, a do tego wpatrzeni w Führera jak w obrazek. Pewnego poranka wysłana po pieczywo Brygida przywita się z piekarzową słowami *Guten Morgen* i w odpowiedzi usłyszy, że *hier heisst est Heil Hitler* („tutaj mówi się Heil Hitler"). Początkowo rozczarowuje ją też morze, bo podczas pierwszej wizyty na plaży Bałtyk jest gładki jak jezioro. Z czasem to dzikie wybrzeże i trasa widokowa wzdłuż ujścia Wieprzy stają się jednak jej ulubionym miejscem w miasteczku. Z każdym miesiącem w Rügenwalde przybywa bowiem uciekinierów, już nie tylko z bombardowanego Zagłębia Ruhry, ale też z Prus Wschodnich.

W Zielone Świątki 1944 r. Brygida na bezchmurnym niebie obserwuje już z darłowskiej plaży maleńkie sylwetki samolotów toczących walkę hen nad Bałtykiem. W mieście coraz częściej widać z kolei transporty rannych oraz nekrologi żołnierzy poległych na froncie. Od jesieni 1944 r. w szkole nie ma lekcji, klasy służą za tymczasowe schronienie dla tłumu uchodźców. Wojna nieuchronnie zbliża się do spokojnego dotychczas Pomorza. Do samego Rügenwalde wkroczy tak niespodziewanie, że w zamieszaniu władze miasteczka zapomną o uczennicach i uczniach z Zagłębia Ruhry.

„Achtung! Syphilis"

Brygida pamięta, że ewakuację miasteczka ogłoszono rankiem 5 marca 1945 r.

– Minus osiemnaście, padał gęsty śnieg. Na wysokości Koszalina drogę na zachód blokowali już Rosjanie, dlatego kazano nam kierować się na północny wschód do Stolpmünde, dzisiejszej Ustki, skąd pewnie dało się wtedy jeszcze uciec morzem na zachód. Spakowałam cały dobytek na rower i ruszyliśmy w drogę w kilkudziesięcioosobowej grupie – wspomina. Uszli niespełna 15 kilometrów.

– Tam również byli już Rosjanie. Wróciliśmy więc, nie bez trudności, do Rügenwalde. Minęły tylko trzy dni, ale zastaliśmy inne miasteczko. Opuszczone w pośpiechu mieszkania, z otwartymi oknami, powybijanymi szybami. Porzucone bagaże na ulicach. Splądrowane sklepy. I przeraźliwa pustka. Wyludnione ulice, na których słychać głównie krzyki Rosjan i strzały. A ja przecież nie miałam nawet skończonych 17 lat. Czerwonoarmiści, którzy weszli do Darłowa, mieli skośne oczy. Panicznie się ich bałam. Niektórzy byli agresywni, większość pijana.

Przez pierwsze trzy tygodnie sowieckiej okupacji Brygida ukrywa się na strychu wraz z kilkoma innymi kobietami. Po miasteczku krążą Rosjanie, włamują się do domów, kradną dobytek, a mężczyzn zmuszają do porządkowania ulic. Kobiety masowo padają ofiarą gwałtów. Ruth Pagel, starsza o dwa lata koleżanka Brygidy, dziewięć miesięcy później urodzi poczęte z gwałtu bliźniaki z ciężką wadą genetyczną. Dzieci szybko umrą, a ich młoda matka trafi do zakładu dla umysłowo chorych. Żona i dwie córki właściciela szkoły tkackiej, które spotka ten sam los, powieszą się razem w szopie. Doktor Kruger, jedyny niemiecki lekarz, który został w mieście, próbuje pomagać rodaczkom, ale może tylko wystawiać im fałszywe zaświadczenia o chorobie wenerycznej. Opieczętowany dokument z nagłówkiem „*Achtung! Syphilis*" na niektórych żołnierzy działa odstraszająco. Dopiero gdy miejsce oddziałów frontowych zajmą jednostki tyłowe, do Rügenwalde zacznie wracać normalność. Latem 1945 r. sowiecki komendant miasta każe nawet rozstrzelać trzech żołnierzy, którzy w biały dzień po pijanemu napadli i zgwałcili w centrum miasta parę niemieckich staruszków. Ciała skazańców zostaną wystawione na widok publiczny.

7 maja 1946 r. Rügenwalde zostaje oficjalnie przemianowane na Darłowo. Trzy miesiące wcześniej, 16 lutego, niespełna osiemnastoletnia Brigidtte Wirtz oficjalnie staje się Brygidą Jerzewską.

– On był kierownikiem stołówki przy magistracie, a mnie tam skierowano do pracy – opowiada Brygida. – My, Niemcy, musieliśmy pracować. Każdego dnia dostawaliśmy za to po 200 gramów chleba i talerz zupy. Polskiej szefowej kuchni się to nie podobało, chciała zabrać nam i tę głodową rację, ale wtedy do akcji wkroczył Jerzewski i nas obronił. On świetnie mówił po niemiecku. I tak to się zaczęło.

Wiele lat później, kiedy dorosłe córki spytają, czy młodej Niemce trudno było zakochać się w starszym o 15 lat Polaku, Brygida odpowie szczerze, że to nie była miłość. To był chleb.

„Ten człowiek to Willi"

Z okien czwartego domu Brygidy do niedawna widać było plac, po którym maszerowali żołnierze. Jednostki wojskowej już nie ma, jej miejsce zajęła Straż Graniczna. Brygida Jerzewska siedzi przy oknie, obserwując śnieg osiadający na drzewach. Na kolanach przycupnął piesek jej córki.

– Mieszkam tutaj nieprzerwanie od 1946 r. – zaczyna znowu snuć opowieść. – Dom wcześniej należał do miejscowego nauczyciela, pana Minerta. Los sprawił, że w tej samej szkole ja zostałam potem nauczycielką niemieckiego. A syn Minertów był wykładowcą uniwersyteckim, przyjeżdżał do nas z RFN, zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Od niego dowiedzia-

ARTUR WEJNEROWSKI / BIURO PROMOCJI MASTA DARŁOWA

BRYGIDA JERZEWSKA, z domu Wirtz. Urodziła się w 1928 r. w Niemczech. Od 1943 r. mieszka w Darłowie. Po wojnie wyszła za mąż za Polaka. Przez wiele lat pracowała jako nauczycielka języków obcych w darłowskich szkołach. W mieście jest znaną animatorką życia kulturalnego. Działa też na rzecz zbliżenia Polski z Niemcami.

łam się, że w przydomowym ogrodzie jego rodzice uprawiali szparagi. Powiedziałam wtedy mężowi, że my w takim razie też musimy. Ziemi nie wolno odbierać tego, do czego nawykła.

Kiedy się tutaj wprowadziliśmy po ślubie, wszystko było zdewastowane i rozkradzione. Można było wtedy po prostu pójść i wziąć rzeczy pozostawione przez Niemców w innym domu. Ale ja się uparłam, że nie będziemy mieć niczego, za co bym nie zapłaciła. Nie chciałam, żeby ktoś mi potem wyrzucał, że nie dość, że Niemka i mieszka w Polsce, to jeszcze w domu urządzonym rzeczami z szabru. Na każdy mebel, najmniejszy drobiazg, chowałam więc kwity zakupowe. Mam je do dzisiaj.

Pierwsze powojenne lata są dla Brygidy próbą charakteru. Bezskutecznie próbuje dać znak życia rodzinie w Niemczech. Odnajdą się przez Czerwony Krzyż dopiero w 1948 r. Brygida wyśle listem zdjęcie męża i dziecka. Rodzice ze spokojem przyjmą jej wybór, ojciec upewni się tylko, czy na pewno wyszła za katolika. Spotkają się dopiero w 1956 r., kiedy Wirtzowie przyjadą do Jerzewskich w pierwsze odwiedziny.

Brygida wiesza w salonie fotografię, którą zostawi jej ojciec. Widać go na niej w mundurze podoficera Wehrmachtu. Podczas wizyty w Polsce tata zdradzi jej tylko, że w czasie wojny służył dwa lata gdzieś w Wielkopolsce. Córka boi się pytać o więcej. Od polskich sąsiadów, byłych więźniów obozu Mauthausen, dowiedziała się już, do czego jej rodacy byli zdolni podczas tej wojny. Czyta też polskie gazety i słucha radia, w którym mowa o sześciu milionach polskich ofiar hitlerowskiego terroru.

Brakujących elementów zagadki ojca przypadkowo dostarczy jej kolega męża.

– To był pan Bronowicz, imienia już nie pamiętam – wspomina Brygida. – Kierował gospodarstwem rolnym, które było opodal, i zaprzyjaźnił się z Jerzym. Zauważyłam, że za każdym razem, kiedy odwiedzał nas w domu, przyglądał się bacznie fotografii ojca. Myślałam, że irytuje go niemiecki mundur, i bałam się, że zaraz zrobi awanturę.

W trakcie którejś z wizyt Bronowicz zbierze się w końcu na odwagę. Ten mężczyzna – oświadczy zdumionym Jerzewskim – miał na imię Willi i był szoferem. Pamięta go z partyzantki. Oddział Bronowicza działał w lasach koło Ostrowa Wielkopolskiego. A Willi był porządnym człowiekiem. Partyzanci pożyczali od niego motocykle do przewozu żywności i rannych.

„Am-am, pidorki"

Brygida długo będzie trzymać tę nieprawdopodobną historię tylko dla siebie. Na tzw. ziemiach odzyskanych przybywa Polaków. W Darłowie pewien mężczyzna zgania Niemców z chodnika na jezdnię – tak jak oni podczas wojny robili z Żydami. Brygidę spoliczkuje 14-letni syn burmistrza Stanisława Dulewicza, z którym Jerzewscy widują się towarzysko. Dla chłopca jest „głupią Niemrą".

– Pamiętam, że podczas pasterki w 1945 r. ksiądz Damian Tyniecki, który potem udzielał mi ślubu i chrzcił dzieci, powiedział: „albo się pani szybko nauczy polskiego, albo ludzie panią zjedzą" – opowiada Brygida. – Miałam szczęście, że w Darłowie trafiłam również na życzliwych Polaków, którzy bardzo mnie wspierali, także w nauce języka. Lekcji udzielał mi między innymi kierownik poczty wraz z żoną. Z mężem w domu rozmawialiśmy jednak głównie po niemiecku. Na polski przechodziliśmy tylko przy dzieciach.

Najczęściej Brygida chodzi po Darłowie i po prostu nasłuchuje. Dzieci na ulicy krzyczą „dupa". Jakiś czas później na herbatce u naczelnika poczty wyjaśni więc zakłopotanemu towarzystwu, że poślizgnęła się na lodzie i obiła dupę. Nie rozumie też oburzenia starszej pani, której tłumaczy, że się spóźniła do pracy, bo skręciła na rowerze „nie w tę kurwę".

– A potem urodziły się nam dzieci i chłonęłam już polszczyznę razem z nimi. Pamiętam, jak najstarsza córka powiedziała pierwsze słowo. „Pidorki", czyli pomidorki. Od razu przypomniało mi się, że moje pierwsze słowo brzmiało „am-am". A przecież w Polsce dzieci mówią podobnie, kiedy chcą jeść. Żeby tutaj przetrwać, musiałam zbudować własny protokół zbieżności.

Czy się udało? Spośród czterech domów Brygidy żaden nie był tak ważny jak ten ostatni.

– A czy był szczęśliwy? Mąż bywał dla mnie przykry, ale tłumaczyłam to sobie jego pobytem w obozie Stutthof, o którym zresztą nie lubił opowiadać. Przeżyliśmy jednak 39 lat, doczekaliśmy się dzieci, mam wnuki i aż sześcioro prawnuków. To się teraz liczy, a nie przeszłość. Nazywam się Brygida Jerzewska. Mam 94 lata, mieszkam w Darłowie.

Wiele razy pytano mnie, czy po tylu latach wśród Polaków czuję się Polką, czy Niemką. Odpowiem szczerze. Nie wiem.

©℗ MAREK RABIJ

WIARA

POKÓJ NIE Z TEGO ŚWIATA

O. SZYMON HIŻYCKI, OPAT TYNIECKI:

Z niepokojem radzę sobie, czytając Regułę św. Benedykta. Za jego czasów Europa po rozpadzie Rzymu kształtowała się na nowo wśród wojen. On wiedział, jak żyć w takich warunkach.

MACIEJ MÜLLER: „Pokój wam" to pierwsze, co powiedział uczniom Jezus po zmartwychwstaniu. Czego On im właściwie życzył?

O. SZYMON HIŻYCKI: Żeby zachowywali się odwrotnie niż dotychczas – zamknięci w wieczerniku z obawy przed Żydami. Bo wszystko, co było do tej pory, w momencie zmartwychwstania stało się przeszłością. Teraz będzie zupełnie inaczej.

Czyli mają wyjść z wieczernika i ryzykować, że ktoś wyrządzi im krzywdę lub zada śmierć. To jest pokój?

Nie, nigdzie w Ewangelii nie pada nakaz: wyjdźcie i ryzykujcie. Owszem, są ostrzeżenia, że wyznawanie Chrystusa może się wiązać z niebezpieczeństwem. Ale przyznanie się do Niego jest zawsze wolną decyzją człowieka, podjętą po tym, jak zmartwychwstanie ukazało świat na nowo. Uczniowie zyskują zupełnie nowy system wartości, według którego myślą o swoim życiu.

Z pokojem kojarzy się ukojenie, spokój, bezpieczeństwo.

To wszystko prawda. Ale w Ewangelii Janowej padają słowa: „daję wam pokój nie taki, jaki świat daje". Pokój, o którym mówi Jezus, nie jest z tego świata. Dlatego nie ma żadnej gwarancji, że człowiek, który żyje według Ewangelii, będzie szczęśliwy, zadowolony, znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania. To elementy pokoju z tego świata, który się kończy. Jezus mówi o pokoju, który nie ma nic wspólnego ze świętym spokojem, brakiem problemów i niepokoju, a jego ceną bywa śmierć.

Podczas każdej mszy modlimy się, abyśmy byli „bezpieczni od wszelkiego zamętu". Co to znaczy?

Ja to rozumiem jako prośbę o uwolnienie od skutków grzechu. Bo to on niesie prawdziwy zamęt. Prosimy Boga, żebyśmy byli wolni przynajmniej od skutków grzechu – własnego i innych. Napaść na Ukrainę, wojna i związane z nią zbrodnie są bez wątpienia grzechem. Jego skutki odczuwają Ukraińcy i mieszkańcy całego świata. Modlimy się, żeby on ustał. Ale życie człowieka tak naprawdę destabilizują przede wszystkim nie „inni", tylko jego własny grzech i trwanie w nim.

Na pewno? Ja bardziej się boję pogróżek Putina.

Jasne – nie ma co udawać, że nie boimy się wojny. Ja też przeżywam liczne lęki, które dotyczą „spraw tego świata". Ale warto zmienić perspektywę. Tak naprawdę jedyne, czego trzeba się bać, to grzechu. Co nam mogą zrobić ludzie? Najwyżej zabić. A grzech nas pozbawia wszystkiego – na wieki, nieodwracalnie. Jeśli umrę w stanie grzechu śmiertelnego, nie będzie dla mnie ratunku.

No dobrze, ale jednak żyjemy w świecie i w jego niepokojach jesteśmy zanurzeni. Nie deprecjonujmy tego.

Zgoda, nie da się ukryć, że świat, w którym żyliśmy, w ostatnich latach uległ

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI

Irina Maniukina w swoim zbombardowanym przez Rosjan domu. Biała Cerkiew, Ukraina 5 marca 2022 r. Fotografia Wojciecha Grzędzińskiego została zdjęciem roku Grand Press Photo 2022.

destabilizacji. Nie chcę wskazywać na sprawy oczywiste, jak pandemia i wojna, ale na głębszy poziom tego zaburzenia. Przestał funkcjonować system wartości. Zachwiał się porządek „wertykalny": Pan Bóg, Jego objawienie i moja odpowiedź na to, czego Bóg ode mnie oczekuje. Dzisiaj, mam wrażenie, myślimy na sposób „horyzontalny". Mamy pewien zasób wiedzy, obyczajów, rozglądamy się po świecie i zastanawiamy, w jaki sposób go usprawnić, by nam się lepiej żyło. Jeżeli czegoś nie rozumiemy, chcemy to zmienić w coś zrozumiałego. A właściwie dlaczego wszystko mamy rozumieć? Dlaczego niewiedza ma budzić nasz niepokój? Apostołowie też niewiele rozumieli. Kiedy wielu uczniów się wycofało, zrażonych naukami Jezusa, On spytał Piotra: „Czy wy też chcecie odejść?". Piotr nie zapewnił go, że wszystko rozumie, tylko spytał: „Panie, do kogo pójdziemy?".

Nasz świat rozpada się chyba nie tylko przez zaburzenie hierarchii wartości, ale przez utratę poczucia bezpieczeństwa – i zaufania wobec Bożej opieki. Podczas każdej mszy modlimy się: „obdarz nasze czasy pokojem" – a pokój został drastycznie odebrany.

W latach 90. popularna była idea końca historii – że już wszystkie najważniejsze procesy polityczne, społeczne i gospodarcze się dokonały, a ludzkości pozostaje spokojna emerytura. Teraz widać, ile w tym było zarozumiałości. To złudzenie wiecznego pokoju zresztą się powtarza, podobnie było przecież choćby po kongresie wiedeńskim w 1815 r. Ostatecznie to, co złe w człowieku, zawsze wracało. Może to wezwanie, by spojrzeć w górę, na Boga, który daje pokój nie z tego świata.

Jak Ojciec sobie radzi z niepokojem wojennym?

Czytam Regułę św. Benedykta.

Przecież to instrukcja, jak żyć w klasztorze, napisana 1500 lat temu.

↦

↦ Życie św. Benedykta w całości przypadło na okres wojenny: rozpadło się Imperium Rzymskie, Europa kształtowała się na nowo w ogniu starć zbrojnych. Mnisi na Subiaco czy Monte Cassino nie byli wcale odcięci od świata. Bywało groźnie: Grzegorz Wielki opisuje wizytę w klasztorze króla Gotów Totili, który usiłował poddać Benedykta próbie, czy rzeczywiście jest prorokiem – i przebrał się w szaty giermka.

Benedykt pisał, jak żyć wśród takich niebezpieczeństw?

Bynajmniej. W Regule ciężko znaleźć jakiekolwiek aluzje wojenne. Nie ma tam nic o gromadzeniu zapasów czy o tym, jak traktować żołnierzy i uchodźców. Ale najwyraźniej mniszego stylu życia nie pojmowano jako odklejonego od rzeczywistości, skoro powstawały kolejne klasztory, a Reguła przetrwała.

Może ludzie wstępowali do klasztoru, bo tam było co jeść?

Nie, wtedy znacznie prościej było się wyżywić na wsi niż w dużej wspólnocie nieżonatych mężczyzn. Myślę, że atrakcyjność myśli Benedykta polega na tym, że mówi na najgłębszym poziomie, jak żyć. Ustanawia hierarchię wartości, na której szczycie znajdowała się chwała Boża. Benedykt podkreślał, że „nic nie może być ważniejsze od służby Bożej". W świecie, który wydaje się walić, on cały dzień zorganizował wokół śpiewania psalmów i innych modlitw. Jego rozwiązania okazały się tak trwałe, że do dziś każdą część liturgii godzin rozpoczyna się słowami „Boże, wejrzyj ku wspomożeniu memu, / Panie, pospiesz ku ratunkowi memu".

Czy to nie jest postawa eskapistyczna?

Nie. Jest w niej wręcz przylgnięcie do rzeczywistości i spraw tego świata. Fascynuje mnie zgromadzenie naszych sióstr, benedyktynek samarytanek, założone w okresie międzywojennym przez sługę bożą Wincentynę Jaroszewską. Zadaniem mniszek była praca w szpitalach dla chorych na choroby weneryczne. To były wtedy choroby śmiertelne: ciała zakażonych kiłą gniły, potwornie śmierdziały i wyglądały strasznie. Zakonnice pracowały też z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie; siostra Jaroszewska wymyśliła system „rodzinkowy": jedna siostra mieszkała w części klasztoru z grupą podopiecznych. Zakonnice codziennie stykały się z ogromnym cierpieniem. Ich charyzmat mocno podkreśla, że celem jest uwielbienie Bożej sprawiedliwości. Wśród umierających w mękach na syfilis, wśród odrzuconych przez społeczeństwo dzieci siostra Jaroszewska mówiła o Bożej sprawiedliwości i w niej znajdowała inspirację do podjęcia działań.

Robić swoje – to bardzo Benedyktowe. Kiedy pod klasztorem bili się Bizantyjczycy z Ostrogotami, mnisi śpiewali jutrznię, pracowali w ogrodzie i bibliotece.

Chyba nie chwytam myśli.

Według św. Benedykta Bogu po prostu należy się to, by Mu poświęcić swój czas i życie. A miłość do Boga może prowadzić także do ekstremalnych postaw. Benedykt XVI, szukając przyczyn kryzysu w Kościele, mówił, że z teologii moralnej została usunięta kategoria męczeństwa jako pewnego rodzaju ideał. W męczeństwie niekoniecznie chodzi o sytuację, w której stoimy przed dylematem: albo wyrzekniesz się wiary, albo poderżniemy ci gardło. Ono czasem może polegać na podjęciu jakiegoś wyboru w realiach, w których żyjemy, np. dotyczącego wartości.

Myślę o scenach znanych z pierwszych tygodni wojny: ojciec ukraińskiej rodziny odwozi na polską granicę żonę i dziecko, a potem wraca walczyć.

To dobry przykład. Męczeństwo polega tu na spełnieniu obowiązku, choć podjęty wybór rozrywa serce – tego mężczyzny i jego najbliższych. W naszym klasztorze we Lwowie widziałem kobietę spacerującą codziennie z małym dzieckiem. Była przerażona. Siostry opowiedziały mi, że ma na froncie dorosłego syna oraz męża – i nie myśli o niczym innym, tylko czy jeszcze żyją. Decyzje podejmowane w granicznych sytuacjach kosztują ogromnie dużo.

Służba Boża na pierwszym miejscu, i co dalej? Co jeszcze można wyczytać z Reguły?

Rzeczy, wydawałoby się, zupełnie niepraktyczne w obliczu wojny. Żeby dużo czytać i się uczyć. Poznawać własną wiarę tak, aby była rozumna. Poza tym czytanie ma charakter obiektywizujący, pozwala „wmyśleć się" w innego człowieka, zobaczyć świat jego oczyma. Uczy, że jeśli okażę zrozumienie, to sam również mogę na nie liczyć. Więc jeśli przyjdzie mi rozmawiać z kimś wrogo nastawionym, to jest większa szansa na to, że się dogadamy.

Toczy się wojna, a ja idę do biblioteki? Pogrążyć się w książce, żeby zapomnieć?

A co w tym jest złego? Może i to miał na myśli św. Benedykt. Członkowie Szarych Szeregów spiskowali, angażowali się w Państwo Podziemne, ale też mnóstwo czasu poświęcali na czytanie Słowackiego, studiowanie matematyki czy grę na fortepianie – bo to całkowicie pochłaniało uwagę, pozwalało odreagować, na chwilę zapomnieć, nie myśleć o łapankach i rozstrzelaniach. A jednocześnie to była inwestycja w przyszłość, bo przecież wojna kiedyś się skończy i trzeba będzie odbudować kraj.

Myślę, że tym kierował się św. Benedykt: kiedyś zamęt przeminie, ludzie będą szukać motywacji do lepszego życia i ktoś będzie musiał przepowiadać prawdy wiary. Więc one gdzieś muszą przetrwać. Dlatego nawet podczas wojny muszą być ludzie, którzy czytają, nie można poświęcić się jedynie odlewaniu armat.

W powieści „Przemija postać świata" Hanny Malewskiej obserwujemy mnicha, który przepisuje dzieło Boecjusza „O pocieszeniu, które daje filozofia". Boecjusz pisał je w więzieniu, torturowany, w oczekiwaniu na śmierć. W jaki sposób mogła pocieszyć go filozofia?

Ten mnich to Kasjodor, ratujący szczątki kultury starożytnej, by przechować je dla kolejnych pokoleń. Boecjusz sięgnął po antyczny gatunek literacki, jakim jest pocieszenie – *consolatio*. Ludzie przesyłali je sobie np. po śmierci dziecka czy męża. Najsłynniejsze pisywał choćby Seneka. Książka Boecjusza jest wyjątkowa, bo on pisał pocieszenia sam dla siebie. Wykorzystał starą

intuicję, według której filozofia jest umiłowaniem mądrości – czyli Chrystusa. Bo jedyną mądrością jest wcielony Syn Boży. Studiowanie tej mądrości daje przewagę nad wszystkimi, którzy posługują się przemocą.

Co mądrego można powiedzieć komuś, komu umarło dziecko?

Pamiętajmy, że słowo zawsze idzie za bytem, nigdy przed. Czyli najpierw trzeba coś dla kogoś znaczyć, mieć z nim więź, relację, zakorzenić się w jego życiu. Dopiero wtedy można znaleźć słowa lub gesty, które pocieszą. W przeciwnym wypadku nawet najbardziej przemyślana próba pocieszenia będzie pusta. Seneka w „O pocieszeniu do Marcji" zgodnie z ideałami stoickimi zachęcał do przewartościowania myślenia, żeby dojść do tego, co naprawdę w życiu ważne.

Był też inny gatunek literacki: zachęty. Orygenes jest autorem „Zachęty do męczeństwa", w której również pisze o zmianie perspektywy. Nie o to chodzi, żeby wiecznie być młodym i żeby nigdy nie bolało. Ważne jest dążenie do dobra, cnota, na wszystko inne można machnąć ręką.

Ale wróćmy do Benedykta. On nakazuje też bycie gościnnym: wszystkich przychodzących do klasztoru trzeba przyjąć jak Chrystusa.

Pod tym względem Polacy zachowali się, jak trzeba.

To, co działo się w kolejnych dniach i tygodniach po wybuchu wojny, było piękne. Mimo że przez Polskę przeszły miliony uchodźców, nie trzeba było zakładać obozów. Ci, co zostali, wtapiają się w nasz kraj: pracują, a ich dzieci chodzą do szkół.

JACEK TARAN

SZYMON HIŻYCKI OSB (ur. 1980) jest benedyktynem, opatem klasztoru w Tyńcu pod Krakowem. Studiował teologię, filologię klasyczną oraz starożytny monastycyzm w kolegium św. Anzelma w Rzymie. Autor wielu książek, ostatnio wydał „Zrozumieć Ojców Pustyni".

Doświadczyliśmy sytuacji, że przychodzi obcy, ale on okazuje się nie być wrogiem. Wydobywa w nas głęboko ukryte pokłady dobra. Odkrywamy, że jesteśmy zdolni do wielu więcej wyzwań, niż przypuszczaliśmy. Trudno powiedzieć, kto komu więcej tu dał. My ofiarowaliśmy uchodźcom dach nad głową, a oni nam pokazali, jacy naprawdę jesteśmy.

Benedykt wiele uwagi poświęca też pracy.

O tak, miał fioła na jej punkcie. Pisał, że prawdziwi mnisi muszą żyć „z pracy rąk własnych, jak ojcowie nasi i apostołowie". Praca jest zaprzeczeniem wojny. Wojna wiąże się z przemocą, zabieraniem, grabieniem, mordowaniem, niszczeniem, dzieleniem. Praca jest spokojna, wymaga wysiłku, buduje, integruje, a przy tym prowadzi do takiego bogacenia się, które jest dobre. Jeśli człowiek, który buduje swój dobrobyt, żyje wartościami, o których mówiliśmy wcześniej: dba o chwałę Bożą, uczy się, jest otwarty na innych i gościnny – wówczas jego praca będzie związana z szacunkiem do praw człowieka i praw boskich. Będzie prowadziła do pokoju. Benedykt zachęca, żeby budować potęgę nie przemocą, tylko pracą. To jego testament dla Europy.

Pamiętam uczucia z 24 lutego rano: lęk, panika, zagubienie. I wiadomość, którą nam wtedy przesłał Wojciech Pięciak, szef działu zagranicznego „TP": „Na ile to możliwe, trzeba podchodzić do tego wszystkiego spokojnie, nie powiększać zamieszania i robić swoje. W pierwszym rzędzie musimy robić to, co do nas należy, cokolwiek by się działo". To pozwoliło wielu z nas ogarnąć się i pojechać do pracy.

Robić swoje: to bardzo Benedyktowe. Kiedy pod klasztorem bili się Bizantyjczycy z Ostrogotami, mnisi śpiewali jutrznię, pracowali w ogrodzie i bibliotece. A kiedy przychodzili wojownicy, mnisi ich poili, karmili i opatrywali. Na Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia zawsze mnie nachodzi taka refleksja: nie jestem w stanie sprawić, żeby na świecie zapanował pokój. Ale mogę walczyć, żeby pokój był we mnie i wokół mnie. Nie powstrzymam wojny w Ukrainie, ale mogę starać się, jak pisze Benedykt, „aby w domu Bożym nikt się nie niepokoił i nie doznawał przykrości". Taki jest mój wkład i mogę mieć nadzieję, że zadziała na zasadzie efektu motyla.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

REKLAMA

radar
magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

DOM | CZAS | ZMIANA
spotkanie różnych języków i perspektyw – wspólna przestrzeń twórczego dialogu, wymiany idei i doświadczeń autorów z Polski, Niemiec i Ukrainy

[WYDANIE SPECJALNE]

POEZJA | PROZA | DRAMAT | ESEJ
Rejmer, Sływyński, Dehnel, Tuckermann, Sikorska-Miszczuk, Grehn, Śniadanko i inni

Wydanie specjalne „Radaru" dostępne bezpłatnie w krakowskich księgarniach kameralnych oraz online na: www.willadecjusza.pl

Instytut Kultury Willa Decjusza
VILLA DECIUS
Auswärtiges Amt
GOETHE INSTITUT
Kraków

Niestrudzony

MAŁGORZATA NOCUŃ

Znaczenie jego głosu w Ukrainie wzrosło podczas inwazji. Autorytet abp. Swiatosława Szewczuka, zwierzchnika wspólnoty greckokatolickiej w tym kraju, przekroczył granice Kościoła.

W swoich mediach społecznościowych arcybiskup nagrywa codzienną „modlitwę o pokój". Czy dzień jest w miarę spokojny, czy na ukraińskie miasta spadają bomby, nawołuje wyznawców różnych konfesji, by „zwrócili się ku Bogu". Wojny nie interpretuje w kategoriach politycznych, lecz eschatologicznych. W jego opinii to walka dobra ze złem. Ukraina, kraj o wiele mniejszy i biedniejszy od Rosji, o znacznie niższym potencjale militarnym (i w przeciwieństwie do Moskwy ceniący życie swoich żołnierzy oraz obywateli), może ją wygrać jedynie „ufając opatrzności".

Moralna pustka

Swiatosław Szewczuk często powraca w wywiadach do dziedzictwa Związku Radzieckiego. Urodził się w 1970 r., jego młodość przypadła na czas gnicia i rozpadu radzieckiego imperium. Jako dorastający chłopak obserwował powolny upadek sowchozów i kołchozów, z podziemnej prasy dowiadywał się o samolotach, które przywożą do radzieckich miast z ogarniętego wojną Afganistanu „gruz 200", czyli ciała poległych żołnierzy. Nie mógł pogodzić się z okrucieństwem radzieckiego państwa. Poborowi byli jedynie mięsem armatnim, z życiem człowieka w Kraju Rad nikt się nie liczył. Pogrążeni w depresji obywatele ZSRR coraz częściej szukali pocieszenia w alkoholu i narkotykach.

W 1991 r. na gruzach ZSRR powstały niepodległe państwa, w tym Ukraina, a ludzi ogarnęła „moralna pustka" – powie Szewczuk. Mało kto wyznawał już „naukowy ateizm", ale mało kto znał też drogę do Kościoła. Zresztą na życie duchowe w pogrążonej w kryzysie gospodarczym i bezrobociu Ukrainie nie za bardzo było miejsce. Swiatosław – jeszcze nie będąc duchownym – uważał, że właśnie takich, „zagubionych i bezradnych" obywateli Ukrainy trzeba zaprosić do Kościoła. Należy wzbudzić w nich nadzieję.

W życiu arcybiskupa Kościół obecny był od zawsze. Urodził się w zachodniej Ukrainie, na obrzeżach królewskiego miasta Stryj. Dom był skromny – jednopiętrowy, ceglany. Rodzice mieli niewielkie gospodarstwo. W korytarzu do dziś wisi ikona Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Matka i ojciec Szewczuka byli wierzący. Choć w czasach radzieckich religię uważano za „opium dla ludu", a działalność Kościoła była zakazana, rodzina Szewczuków co niedzielę zapraszała kapłana do domu. Przy zaciągniętych zasłonach i w obecności tylko „zaufanych" ludzi potajemnie odprawiał msze. Szewczukowie codziennie też wspólnie się modlili. W wywiadzie dla portalu gazeta.ua rodzice wspominali syna jako niezwykle empatycznego i opiekuńczego. Młodsze rodzeństwo odprowadzał do szkoły, w bójkę z rówieśnikami wdał się zaledwie raz, czego zresztą żałował. Pasjonowała go fotografia – kiedy miał wybrać, co woli otrzymać: rower czy aparat fotograficzny, powiedział: „Oczywiście, że aparat!". Uwielbiał chodzić po wsi ze swoim zenitem, fotografował ludzi i przyrodę, a nocą wywoływał z ojcem zdjęcia w ciemni.

Rodzice marzyli, by „ktoś z ich najbliższej rodziny został duchownym". W czasach wzmożonych radzieckich represji, kiedy zakazywano kultu religijnego i prześladowano duchownych, było to niemożliwe. Być może dlatego Swiatosław jako młody chłopak wstąpił do podziemnego seminarium duchownego w okresie względnej liberalizacji systemu. Nauki pobierał w nim w latach 1983-1989. W rozmowie z portalem gazeta.ua ojciec Szewczuka tak wspominał moment z 2011 r., kiedy odebrał telefon od znajomej siostry zakonnej, która poinformowała go, kto został wybrany zwierzchnikiem Kościoła greckokatolickiego w Ukrainie: „Nie pamiętam swojej reakcji. Żona wpatrywała się w okno i płakała. Zacząłem ją uspokajać, przecież skarży się na problemy z sercem. Do dziś nie dociera do mnie, że mój syn zajmuje takie stanowisko".

Po maturze Szewczuk kontynuował studia teologiczne, ale wybrał też studia na uczelni medycznej. Po jej ukończeniu dwa lata pracował jako pielęgniarz w ługańskiej szkole wyższej kształcącej pilotów. Jako studentowi dorastającemu w zachodniej Ukrainie przyszło mu zetknąć się z odmiennością wschodniej części kraju – rosyjskojęzycznej i kulturowo różnej od „Haliczyny".

Jeden Bóg

Wraz z upadkiem ZSRR częściowo otwarły się granice. Młody Swiatosław miał szansę podjąć naukę za granicą. Spakował najpotrzebniejsze rzeczy do podręcznej walizki i wyjechał do Buenos Aires, gdzie przez rok kształcił się w prestiżowym Centrum Studiów Teologicznych „Don Bosco". W latach 1994-1999 studiował w Rzymie na uniwersytecie Angelicum. Naukę ukończył obroną pracy doktorskiej, w której podjął problem antropologii teologicznej i podstaw teologii moralnej w tradycji bizantyjskiej. Z początkiem lat dwutysięcznych wrócił do Ukrainy. Zamieszkał we Lwowie i oddał się posłudze duchownej. Stał się bliskim współpracownikiem legendarnego arcybiskupa Lubomira Huzara, duchownego słynącego ze starannego wykształcenia, wyważonych sądów, otwartości wobec wiernych i poczucia humoru. Zapewne stanowił on dla młodego Szewczuka wzór do naśladowania. Kiedy w 2011 r., podupadając na zdrowiu, zrezygnuje z pełnienia funkcji zwierzchnika Cerkwi greckokatolickiej w Ukrainie, a synod biskupów powierzy to stanowisko Szewczukowi, stary arcybiskup wyrazi nie tylko aprobatę, ale i radość.

Jedną z ważniejszych bolączek niepodległej Ukrainy były wpływy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Moskiewskiego Patriarchatu – na politykę państwa i postawę społeczeństwa. Kościół ten (wówczas najliczniejszy w Ukrainie) był niczym innym jak narzędziem wpływu Moskwy na Kijów. Angażował się w popieranie ruchów prorosyjskich o nacjo-

KONSTANTIN CHERNICHKIN / REUTERS / FORUM

Arcybiskup Swiatosław Szewczuk. Kijów, marzec 2011 r.

nalistycznym zabarwieniu, grał na rozbicie Ukrainy, podkreślając przy tym, że jest źródłem „jedynej prawdziwej" wiary. Duchowni RCP deprecjonowali działalność Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Kijowskiego Patriarchatu i Kościoła greckokatolickiego. Kościół „moskiewski" walczył właściwie z wszelkimi przejawami europejskości w Ukrainie. „Otwieranie się na Zachód" nazywał zdradą tradycji. A to przecież z „okcydentalizmem" Kościół greckokatolicki kojarzony jest w kraju nad Dnieprem. W swoich wypowiedziach greckokatoliccy hierarchowie podkreślają zachodnie korzenie ukraińskiej cywilizacji. Wskazują na jej bliskość np. z Polską, ale też z Armenią (kolebką religii chrześcijańskiej). W wywiadach arcybiskup Szewczuk lubi podkreślać znaczenie mniejszości ormiańskiej w zachodniej Ukrainie i wpływy ormiańskiej kultury na Lwów. Pod egidą grekokatolików prowadzony jest także Ukraiński Uniwersytet Katolicki.

Obecny zwierzchnik ukraińskiej Cerkwi greckokatolickiej nigdy nie dał się sprowokować nacjonalistycznie nastrojonym duchownym z RCP. Podkreślał, że jest zwolennikiem dialogu z prawosławiem i innymi konfesjami. Często podnosi kwestię wartości „jedności" chrześcijaństwa. Podkreśla, że każdy chrześcijanin wierzy w tego samego Boga, nawet kiedy odbywa się to w ramach różnych konfesji. „W pierwszej kolejności solidaryzujemy się z naszymi braćmi – prawosławnymi kijowskiego patriarchatu. Z drugiej strony będziemy się starać wyciągać rękę w kierunku wszystkich innych prawosławnych Cerkwi, które działają w Ukrainie" – mówił w rozmowie z portalem LB.ua.

– Arcybiskup jest też zwolennikiem samodzielności Kościoła greckokatolickiego, dlatego zabiegał u papieża Franciszka o uznanie niezależności patriarchatu greckokatolickiego od Rzymu – twierdzi Roman Kabaczij, ukraiński historyk, specjalizujący się m.in. w relacjach polsko-ukraińskich.

„Działalność antypaństwowa"

Swiatosław Szewczuk przyjmuje aktywną postawę obywatelską. Od czasu wyboru na stanowisko zwierzchnika Kościoła greckokatolickiego nie szczędzi krytyki pod adresem ukraińskich polityków. Często podkreślał, że najwyższą wartością jest niepodległość Ukrainy. Opowiadał się za zwalczaniem prorosyjskich wpływów (na uwadze miał przede wszystkim ruchy polityczne otwarcie reprezentujące wpływy Moskwy, jak np. Partia Regionów). Polityków posługujących się językiem rosyjskim pytał: „Czyje reprezentujecie interesy?".

W czasie prezydentury Wiktora Janukowycza (lata 2010-2014) arcybiskup Szewczuk otrzymywał pisma z kancelarii głowy państwa. Działalność jego Kościoła uznawana była za „antypaństwową". W 2013 r., kiedy na kijowskim Majdanie wybuchła Rewolucja Godności, arcybiskup i hierarchowie jego Kościoła uznali, że ich miejsce jest wśród protestujących. W wywiadzie dla telewizji ICTV Szewczuk tak wspominał ten czas: „Otrzymałem pismo z Ministerstwa Kultury. Grożono mi w nim, że jeśli moi duchowni wciąż będą przebywać na Majdanie, działalność naszej Cerkwi zostanie zakazana i znów przyjdzie nam – jak w czasach radzieckich – zejść do podziemia". Hierarcha się nie wystraszył. Więcej: polecił przekształcić świątynię greckokatolicką w Kijowie w szpital polowy i miejsce schronienia dla protestujących.

Szewczuk uważa, że rolą duchownych jest „patrzeć władzy na ręce". Przed każdymi wyborami parlamentarnymi zabiera głos. Namawia wiernych, by poszli do urn – bo tylko skreślając na liście wyborczej „odpowiednie" nazwiska mają wpływ na kształt i przyszłość kraju. Przestrzega też przed sprzedawaniem swojego głosu, co w Ukrainie stanowi powszechną praktykę. Dzięki społecznej i obywatelskiej działalności Szewczuka głos Kościoła greckokatolickiego jest coraz wyraźniej słyszalny nad Dnieprem.

– Bez wątpienia Kościół ten ma wpływ na formowanie współczesnej tożsamości naszego kraju. Lubomir Huzar był człowiekiem dialogu, uważał, że silna wspólnota dysydentów, duchownych i intelektualistów powinna odpowiadać na najważniejsze wyzwania stojące przed społeczeństwem. Tradycję tę kontynuuje arcybiskup Szewczuk – mówi Kabaczij.

Wojna – dzieło szatana

Szewczuk podkreśla, że wojna w Ukrainie nie zaczęła się dziesięć miesięcy temu, lecz trwa od dziewięciu lat. Kiedy tylko rosyjskie wojska pojawiły się na ↦

↦ Krymie, a później na wschodzie kraju, polecił swoim hierarchom odwiedzanie stref ATO (Antyterrorystycznej Operacji) i niesienie posługi duszpasterskiej.

Po agresji Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r. arcybiskup kolejny raz zaznaczył, że miejsce duchownych jest obok wiernych. Apelował do przedstawicieli Kościoła greckokatolickiego (i innych konfesji), by nie opuszczali terenów ogarniętych konfliktem. „Dla zwykłego człowieka obecność Cerkwi oznacza obecność Boga" – mówił w wywiadzie dla mediów watykańskich. Sam jeździł do miejscowości, które w wyniku wojny ucierpiały najbardziej. Relacjonował, co tam zobaczył: ziemię usłaną trupami, uciekających w popłochu rannych ludzi, i tych, którzy z racji wieku czy choroby uciec nie mogli, leje po bombach, ruiny. Uważa, że „z chwilą pierwszego wystrzału wojna wyrywa się spod ludzkiej kontroli, a agresor staje się niewolnikiem szatana".

Szewczuk zaangażował się w organizację pomocy humanitarnej, gdyż ludzie z terytoriów, które w wyniku konfliktu ucierpiały najbardziej, pytali go: „Gdzie jest Bóg? Żyjemy w piekle. Każdego dnia ktoś ginie. Czy Bóg może na to patrzeć?". Hierarcha jest zdania, że Ukraińcy przestaną wierzyć w Boga, jeśli w tej tragicznej sytuacji nie będzie przy nich przedstawicieli Kościoła. Dla tych, którzy nie mogli uciec z terytoriów najkrwawszych działań wojennych, nakazał otwieranie drzwi świątyń. Dziś cerkwie greckokatolickie i prawosławne (kijowskiego patriarchatu) służą za schrony przeciwbombowe oraz szpitale polowe, dające dach nad głową tym, którzy stracili domy.

W sytuacji na froncie arcybiskup Szewczuk zorientowany jest niczym wojenny strateg. Podczas codziennej modlitwy często ją relacjonuje. Wymienia miejsca, gdzie toczą się najcięższe walki, podaje liczbę ofiar, wzywa do solidarności z broniącymi ojczyzny żołnierzami i ofiarami cywilnymi. Mówi o zachowaniu rosyjskich oprawców na linii frontu i w okupowanych miejscowościach. Wspomina o egzekucjach, gwałtach, grabieżach. Podkreśla, że osądzić ich będą musiały międzynarodowe instytucje, stosując się do obowiązującego prawa. Szczególną uwagę zwraca na młodych Ukraińców, którzy w jego opinii „przede wszystkim niosą brzemię tej wojny".

> W sytuacji na froncie Szewczuk zorientowany **jest jak wojenny strateg.** Podczas modlitwy wymienia miejsca najcięższych walk, podaje liczbę ofiar, wzywa do solidarności z obrońcami.

„Widzimy, że kluczem do piękna, heroizmu, odporności naszej młodzieży jest wiara – wiara w zwycięstwo dobra. Dla chrześcijan dobrem, które zawsze zwycięża, jest Jezus Chrystus – nasz Pan i Zbawiciel" – powiedział podczas jednej z ostatnich modlitw. Jego zdaniem Kościół musi otwierać się na młodych ludzi.

Cicha dyplomacja

Do solidarności z Ukrainą i odpowiednich działań arcybiskup wzywa instytucje międzynarodowe. Podkreśla, że wojna, która toczy się w jego ojczyźnie, jest konfliktem totalnym. Zmusza ludzi do opuszczenia domów, ucieczki za granicę. Najtragiczniejszy okazuje się los tych, którzy zbiec nie zdołali – w wyzwolonych przez ukraińskie siły miejscowościach odnajdywane są masowe groby. Na miejsce zbrodni duchowny udaje się osobiście, by pomodlić się nad ciałami poległych.

„Wojna powoduje kryzys humanitarny i jeśli na ten kryzys nie odpowiemy we właściwy sposób, staje się on tragedią humanitarną. Co znaczące, wiele instytucji ONZ, kiedy wchodzi do Ukrainy, jest wstrząśniętych. Mówią: nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego w naszej działalności. Chodzi tu o liczbę ofiar, ponieważ w ostatnich miesiącach jedna trzecia ludności kraju się gdzieś przenosiła. Ale chodzi także o intensywność walk, gdyż na linii frontu zaciekłość wymiany ognia może szokować" – stwierdził podczas niedawnej modlitwy.

Arcybiskup dał się poznać także jako odnoszący sukcesy dyplomata. Dzięki jego zabiegom papież Franciszek napisał list skierowany do narodu ukraińskiego. Wybrzmiały w nim mocne i ważne dla ukraińskiej społeczności słowa. Zwierzchnik Kościoła katolickiego przyznał, że ludność nad Dnieprem dźwiga na swoich barkach brzemię okrutnej wojny. Jest ofiarą agresji.

Swiatosław Szewczuk odwiedził Watykan, ponieważ był zaniepokojony wcześniejszymi wypowiedziami papieża na temat rosyjskich elit politycznych i rosyjskiego społeczeństwa. Można było je odczytać jako „usprawiedliwianie" agresora i relatywizowanie jego odpowiedzialności za inwazję. Podczas publicznych wystąpień papież mówił m.in. o wielkiej rosyjskiej kulturze i nie dostrzegał społecznej odpowiedzialności narodu za inwazję na Ukrainę. Słowa Franciszka wzbudziły zaniepokojenie, a nawet sprzeciw, wśród rosyjskich dysydentów i społeczeństwa obywatelskiego.

Podczas audiencji zwierzchnik ukraińskich grekokatolików osobiście przedstawił więc Franciszkowi sytuację w swoim kraju. Tłumaczył, że celem wojny jest zniszczenie ukraińskiego narodu (symboliczne, czyli walka z językiem i kulturą, oraz fizyczne: eksterminacja). Wkrótce potem biskup Rzymu skreślił wspomniany list. Napisał o bohaterstwie ukraińskiego narodu, który wyrusza w bój, by „bronić swojej ojczyzny". Gest z Watykanu – który zawdzięczają arcybiskupowi Szewczukowi – ma dla Ukraińców duże znaczenie. Naród ten walczy także o to, by społeczność międzynarodowa wyraźnie zdefiniowała, kto w tym konflikcie jest wrogiem, a kto ofiarą.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 278/20 toczy się sprawa z wniosku Zofii Tylko o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Sanoku obręb Dąbrówka oznaczonej numerem ewidencyjnym 2393 (poprzednio numer 2054), dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00000412/1.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Przesłanie Mędrców ze Wschodu

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Nie wiadomo, ilu ich było ani skąd przybyli, a nawet dlaczego. Ale to właśnie ewangeliczni Magowie mogą stać się punktem wyjścia myślenia o nowej teologii religii w dobie starcia cywilizacji.

Są w niemal każdej bożonarodzeniowej szopce. Odmienny kolor skóry, barwne orientalne stroje i oczywiście dary: złoto, kadzidło i mirra. Wypisywane na drzwiach litery – o które toczy się co roku rytualny katolicki spór, co mają oznaczać – przypominają ich imiona. Jednym słowem: Kacper, Melchior i Baltazar zdają się doskonale znani.

Zdają się, bo w istocie nie są. Wspomina o nich jedynie Ewangelia św. Mateusza. Wzmianka ta (Mt 2, 1-12) jest jednak niezwykle lakoniczna. Jedyne, co z niej wynika, to tyle, że gdy Jezus urodził się w Betlejem, do Jerozolimy przybyli ze Wschodu *mágoi*, czyli dosłownie rzecz ujmując: magowie.

Tajemniczy magowie

Kim byli, skąd przybyli, a nawet ilu ich było, pozostaje tajemnicą. Tradycje (a większość tego, co o nich wiemy, pochodzi właśnie z legend, mitów i tradycji) różnych wyznań chrześcijańskich nie są zgodne nawet co do tego, ilu ich było. W Kościele syriackim mowa jest o dwunastu, w malarstwie katakumbowym przedstawia się dwóch lub czterech mędrców, a w niektórych ewangeliach apokryficznych mówi się o dziesięciu Magach, którym towarzyszyło jednak aż 1200 żołnierzy.

Zachód uznał, że było ich trzech, bo trzy były dary, ale innych dowodów na tę liczbę nie ma, choć oczywiście Ojcowie i Doktorzy Kościoła wiążą ją – jak Orygenes – z liczbą aniołów, którzy przybyli do Abrahama (Rdz 26, 27-29), albo – jak Augustyn – z osobami Trójcy Świętej. Imiona magów pojawiają się najpierw w Kościele etiopskim, który upamiętnia ich jako Tanisurana, Malika i Siseba, a później w pochodzącym z VI wieku zapisie „Excerpta latina barbari". Tam magowie przedstawieni są jako Bethisarea, Melchior i Gathaspa. Mniej więcej w tym samym czasie na mozaice z San Apollinare Nuovo w Rawennie pojawiają się bardziej znajome imiona: Balthasar, Melchior i Casper.

Skąd przybyli, także pozostaje tajemnicą. Kategoria „Wschód" również w tamtych czasach była dość pojemna, i niemal każdy starożytny teolog czy Ojciec Kościoła wskazywał inne miejsce. Justyn Męczennik i Tertulian uznawali, że przybyli z Arabii; Orygenes i Klemens Aleksandryjski sugerowali Persję, a Maksym z Turynu wspomina o tym, że mogli oni pochodzić z Chaldei, która od wieków uchodziła za ojczyznę astrologów.

Czy jednak byli astrologami? I w tej sprawie toczy się spór. To, że nie byli królami, jest oczywiste, choć pod tym „wezwaniem" występują w tradycji katolickiej. Tłumaczenie „mędrcy" także jest ucieczką od prostego i dosłownego tłumaczenia słowa *mágoi*, którymi określa ich Mateusz. Terminem tym w języku greckim określano zarówno członków kasty kapłańskiej, jak i astrologów, wróżbitów i czarowników, teoretyków nadprzyrodzonej wiedzy i mocy, ale także oszustów i uwodzicieli.

Jest zatem z czego wybierać. I przez wieki wybierano różnie. Orygenes w „Przeciw Celsusowi" uznaje, że ci, którzy przybyli do Jerozolimy wiedzeni światłem gwiazdy, byli rzeczywiście czarownikami, i to zajmującymi się demoniczną, nieakceptowalną z chrześcijańskiego punktu widzenia magią, ale gdy narodził się Jezus, „demony wówczas osłabły i stały się bezsilne, ich czary rozpadły się, a ich moc została rozbita". Magowie, którzy później przybyli do Jezusa, nie mogli nadal uprawiać astrologii czy czarów, „szukali więc przyczyny swoich niepowodzeń, a domyślali się, że jest ona bardzo ważna, i ujrzawszy znak Boży na niebie, zapragnęli dowiedzieć się, co on oznaczał". Udali się więc do Judei w poszukiwaniu kogoś, kto jest większy od demonów i jest wielkim królem (tylko takich bowiem przepowiadały gwiazdy), a gdy dotarli już do Betlejem, pokłonili się owemu dziecięciu, jako Bóstwu (jak sami je mogli rozumieć) i człowiekowi. „Złoto podarowali Mu jako królowi, mirrę jako istocie śmiertelnej, kadzidło jako Bogu" – podsumowuje Orygenes.

Ta piękna egzegeza uświadamia, że chrześcijanie od początku mieli problem z magami, ale także wskazuje, skąd wzięło się ich przekształcenie w królów. Na jakiej podstawie? To także wiemy, bo już u Tertuliana (a jeszcze mocniej u Cezarego z Arles) znajdujemy zastosowanie do magów alegorycznej interpretacji słów z Psalmu 72: „Królowie Tarszisz i wysp przyniosą dary, królowie Szeby i Saby złożą daninę. I oddadzą mu pokłon wszyscy królowie, wszystkie narody będą mu służyły" (Ps 72, 10-11) – woła psalmista, a tradycja zachodnia, idąc tym tropem, stopniowo zastępowała obraz magów bardziej akceptowalnym obrazem królów.

Szukając sensu innych religii

To, czego nie wiadomo, a także fakt, że cała ta opowieść wydaje się mocno zmitologizowana i obecna jedynie w Ewangelii św. Mateusza, może skłaniać do uznania jej za mityczne uzasadnienie, iż już w pierwszych dniach życia Jezusa odkrywana była jego Boska natura. Czy oznacza to, że można i trzeba pomijać ten fragment Pisma Świętego w analizach teologicznych? Nie jest to dobra droga, bo jego uważna egzegeza niesie mocne przesłanie teologiczne i może się stać biblijnym fundamentem mądrej teologii religii niechrześcijańskich.

Świetnie pokazuje to Benedykt XVI w swojej analizie opowieści o dzieciństwie Jezusa. Jego zdaniem najbardziej prawdopodobnym znaczeniem terminu magowie w tym kontekście pozostaje uznanie, że nawet jeśli magowie nie należeli do perskiej kasty kapłańskiej, to byli spadkobiercami „wiedzy religijnej, która tam powstała i ciągle jeszcze istniała". ↦

↦ Co z tego wynika dla myśli teologicznej? Otóż tak postrzegani mędrcy czy też magowie zdaniem Benedykta XVI „symbolizują wewnętrzną dynamikę samoprzekraczania granic religijnych, która jest poszukiwaniem prawdy, poszukiwaniem prawdziwego Boga, i stąd także filozofią w pierwotnym tego słowa znaczeniu". Ludzkie poszukiwanie Boga – choć zawsze ograniczone – doprowadzić nas może nie tylko do odkrycia Jego istnienia, o czym przypomina Sobór Watykański I, ale jeśli pozostaje otwarte na działanie łaski – także do spotkania z Jezusem. Benedykt XVI idzie jeszcze dalej i wskazuje, że mędrcy i królowie „przedstawiają zmierzanie różnych religii do Chrystusa oraz samoprzekraczanie nauki ze względu na Niego".

Jeśli ten obraz uzupełnić niezmiernie istotnym dla teologii innych religii (bo rozstrzygającym dla współczesnego katolickiego postrzegania judaizmu) Listem do Rzymian św. Pawła, to obraz stanie się pełniejszy. Już w pierwszym rozdziale tego listu znaleźć możemy słowa, które jasno wskazują, że poznanie Boga możliwe jest także przez naturę. „To bowiem, co o Bogu można poznać, jawne jest wśród nich, gdyż Bóg im to ujawnił. Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła, tak że nie mogą się wymówić od winy" (Rz 1, 19-20). I choć słowa te są elementem dłuższego tekstu, który ma uzasadniać fakt, że zarówno Żydzi, jak i poganie potrzebują usprawiedliwienia, to spokojna jego lektura uświadamia przynajmniej dwie kwestie. Po pierwsze, że ani objawienie, ani naturalne poznanie Boga nie uwalnia od potrzeby zbawienia, a po drugie, że naturalne sposoby poszukiwań religijnych mogą prowadzić do żywego Boga.

W odniesieniu do filozofii, myśli, a nawet – do pewnego stopnia – religijności greckiej (bo tych elementów nie da się po prostu rozdzielić) już Klemens Aleksandryjski wskazywał, że może być ona rozumiana jako swoista druga rzeka (owszem, mniej istotna) objawiania się Boga, która obok pism żydowskich przygotowała świat na przyjęcie objawienia w Chrystusie. „Przed przyjściem na świat Pana filozofia była niezbędna dla Hellenów, aby ich prowadzić do sprawiedliwości. (...) Być może nawet, że filozofia została dana Hellenom bezpośrednio i celowo, zanim jeszcze ich Pan bezpośrednio powołał. Bowiem i ona prowadziła żywioł helleński do Chrystusa, podobnie jak Prawo prowadziło Hebrajczyków" – wskazywał Klemens w „Kobiercach".

Jeśli doktryna katolicka nadal będzie widzieć w innych religiach jedynie drogę do chrześcijaństwa, dialog międzyreligijny stanie się zupełnie jałowy. **Jak przekroczyć ten impas?**

Z tej perspektywy filozofia grecka, z całym jej uwikłaniem w religijność, może być postrzegana jako element drogi do Boga, przygotowanie objawienia. Jeśli zaś uznać, że taką *praeparatio evangelica* może być myśl grecka, to dlaczego nie mogłaby być nią – oczywiście oczyszczana w podobnym do patrystycznego czy scholastycznego powolnym procesie – filozofia chińska, hinduska czy islamska? (Z tą ostatnią to jednak nieco trudniejsze, bo to religia, która przypisuje sobie podobne aspiracje, wykorzystuje podobną symbolikę i ma częściowo wspólną, a częściowo radykalnie odmienną niż chrześcijaństwo symbolikę).

Przekroczyć Vaticanum II

Drogą takiego (wciąż jeszcze nieoczywistego, a niekiedy kwestionowanego, choćby w deklaracji „Dominus Iesus") postrzegania roli i znaczenia innych religii poszli autorzy Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „Nostra aetate" Soboru Watykańskiego II. Opis innych religii jest tam właśnie taki, wskazujący na to, co jest w nich elementem objawienia się Boga, ziarnami prawdy. Już jednak w „Dominus Iesus" widzimy wyraźne próby ograniczenia owego spojrzenia.

„Z pewnością, różne tradycje religijne zawierają i ofiarowują elementy religijności, które pochodzą od Boga i stanowią część tego, co »Duch Święty działa

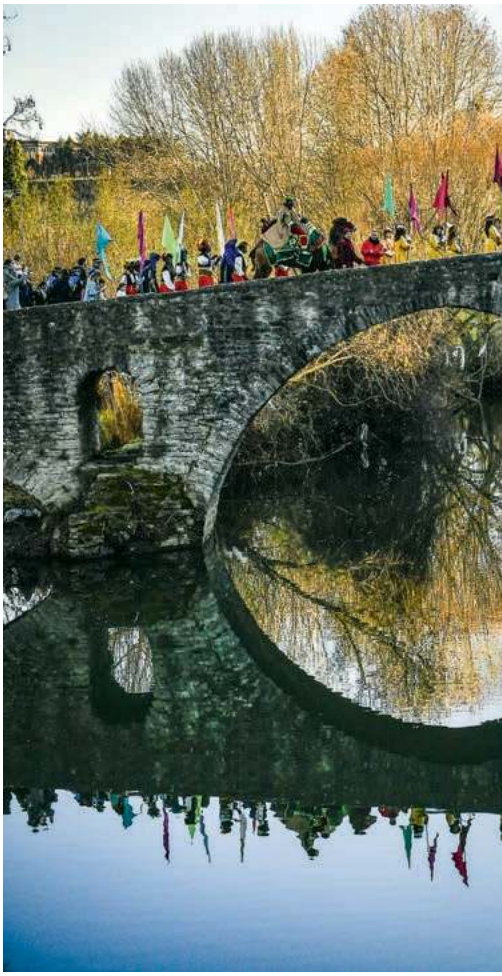

w sercach ludzi i w dziejach narodów, w kulturach i w religiach«. W istocie niektóre modlitwy i niektóre obrzędy innych religii mogą przygotowywać na przyjęcie Ewangelii, ponieważ stwarzają pewne sytuacje lub są formami pedagogii, dzięki którym ludzkie serca zostają pobudzone do otwarcia się na działanie Boże. Nie można im jednak przypisywać pochodzenia Bożego oraz zbawczej skuteczności *ex opere operato*, właściwej chrześcijańskim sakramentom. Z drugiej strony nie należy zapominać, że inne obrzędy, jako związane z przesądami lub innymi błędami, stanowią raczej przeszkodę na drodze do zbawienia" – wskazują autorzy deklaracji.

Rozważania te jednak, czego trudno nie dostrzec, traktują inne religie jedynie jako swoistą (usianą błędami) drogę do chrześcijaństwa, przygotowanie do jego przyjęcia, lub jako – do pewnego stopnia – formatorów do w miarę moralnego życia w miejscach, gdzie chrześcijaństwo jesz-

ALVARO BARRIENTO / AP / EAST NEWS

Pochód Trzech Króli na starożytnym moście Magdaleny nad rzeką Arga. Pampeluna w północnej Hiszpanii, 5 stycznia 2020 r.

cze nie dotarło, bądź nie zdołało do siebie przekonać. Same w sobie nie mają one jednak religijnej czy teologicznej wartości. Czy to spojrzenie jest ostatnim z możliwych?

Dialog z judaizmem (odmienny jakościowo) doprowadził do przyjęcia przez Kościół tezy, że działalność misyjna wśród Żydów nie jest potrzebna, bowiem ich religijność jest wpisana w historię zbawienia jako samodzielny podmiot. Czy to samo można powiedzieć o innych religiach? Czy katolicka teologia może na nie spoglądać jako na samodzielne podmioty religijne, prowadzące osobną drogą do zbawienia? Takie spojrzenie, jak się zdaje, nie jest możliwe, ale nie wyklucza to przyznania – w procesie podobnym do tego, jaki odbywał się w postrzeganiu Żydów i judaizmu – obiektywnej wartości religiom samym w sobie, a nie tylko w odniesieniu do chrześcijaństwa.

Takie spojrzenie proponują liczni teologowie (w tym choćby jezuita Jacques Dupuis), ale jego elementy możemy znaleźć w nauczaniu obecnego papieża. Franciszek spogląda – szczególnie dobrze widać to w encyklice „Fratelli tutti" – na rzeczywistość religii niechrześcijańskich z jeszcze innego punktu widzenia, proponując „przewrót antropologiczny" w ich postrzeganiu.

„Różne religie, wychodząc z uznania wartości każdej osoby ludzkiej jako stworzenia, powołanego do bycia dzieckiem Bożym, wnoszą cenny wkład w budowanie braterstwa i obronę sprawiedliwości w społeczeństwie" – wskazuje Franciszek. „Wychodząc od naszych doświadczeń wiary i mądrości, gromadzonych przez wieki, a także czerpiąc naukę z wielu naszych słabości i upadków, wiemy, jako wyznawcy różnych religii, że uobecnianie Boga jest dobrem dla naszych społeczeństw. Poszukiwanie Boga szczerym sercem, o ile nie przesłaniamy Go naszymi interesami ideologicznymi lub instrumentalnymi, pomaga nam postrzegać siebie nawzajem jako towarzyszy drogi, prawdziwych braci" – uzupełnia.

Na razie pragmatyzm

To spojrzenie, choć ważne, jest jednak pragmatyczne, skupione na budowaniu przestrzeni dialogu i współpracy w pluralistycznym świecie, a nie dotyka istoty. Być może jest na to jeszcze za wcześnie, bowiem dopiero poznajemy siebie wzajemnie, uczymy się wychodzić poza własne założenia i własne teologie, by widzieć i rozumieć inne religie w ich własnych, a nie w naszych kategoriach.

Bez tego ostatniego jesteśmy zaś w stanie jedynie ideologicznie zawłaszczać Innego, wprowadzać go w nasze kategorie i w istocie fałszować jego przekaz. Zgoda na współodczuwanie, rezygnację z oceny (przynajmniej na etapie rozpoznawania rzeczywistości innych religii) jest konieczna do zbudowania nowej, pełnej teologii religii. Ona oczywiście już jest uprawiana przez licznych teologów, ale wciąż brakuje jej aplikacji w życie Kościoła.

Istotnym krokiem w jej kierunku pozostaje dla Kościoła katolickiego Deklaracja o ludzkim braterstwie dla pokoju papieża Franciszka i wielkiego imama al-Azhar Ahmada al-Tayyeba. W dokumencie tym, podpisanym przecież przez papieża, znajduje się teza radykalnie sprzeczna z tymi, które znajdują się w deklaracji „Dominus Iesus". „Pluralizm i różnorodność religii, koloru skóry, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie. Ta boska Mądrość jest źródłem, z którego wywodzi się prawo do wolności wiary i wolności do bycia różnymi" – napisali we wspólnym dokumencie lider Kościoła katolickiego i jeden z ważniejszych autorytetów islamu.

Istotnym pytaniem pozostaje, na ile sformułowanie to pozostaje elementem nauczania Kościoła, a na ile jedynie deklaracją kierunku, w jakim Kościół chce zmierzać, a także – co jeszcze istotniejsze – jak teologicznie uzasadnić owo stwierdzenie i pogodzić je z wcześniejszym przekonaniem o jedynozbawczej roli Chrystusa. Czy jest to możliwe? Moim zdaniem tak, ale w omawianym dokumencie brak takiego uzasadnienia, a bez niego pozostaje on jedynie istotną, ale pustą teologicznie deklaracją.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

„TP" 45 / 2022

Jak Jan Paweł II walczył z pedofilią?

Zbulwersował mnie wywiad zatytułowany „Bezruch", który Artur Sporniak przeprowadził z dziennikarzem Marcinem Gutowskim, autorem filmów dokumentalnych i książki „Bielmo", zamieszczony w 45. numerze „TP". Nie mam pretensji do opowieści Gutowskiego o tym, jak starał się szukać prawdy na temat pedofilii i przestępstw seksualnych w Kościele (abstrahując od naiwności dziennikarza i jego rozmówców, którzy sądzili, że papież w towarzyskich rozmowach przy stole będzie dywagował z nimi o sprawach poufnych Kościoła, często również objętych tajemnicą spowiedzi). Te fakty są znane i wiele razy ukazane w mediach. Nie chodzi mi także o napastowanie przez Gutowskiego z mikrofonem w ręku na ulicach i innych miejscach publicznych kilku dostojników Kościoła, żeby dać zadość swojej dociekliwości dziennikarskiej. Te zachowania mogą jednych oburzać, a innych satysfakcjonować. Każdy ma prawo do własnej oceny. Martwi mnie natomiast pokazanie w „Tygodniku Powszechnym" zaledwie półprawdy świadczącej o braku zaangażowania Jana Pawła II w walkę z przestępstwami seksualnymi w Kościele. Nie wiem, dlaczego nie padają chociażby pytania o to, czy dziennikarz, badając taki temat, zainteresował się najpierw dokumentami papieskimi z tego okresu.

W efekcie pominięte zostały dokonane przez Jana Pawła II zmiany prawa kanonicznego, zaostrzające restrykcje w tej materii, wprowadzane w kolejnych latach – w 1983 r. i w 1994 r., a także List Apostolski „O ochronie świętości sakramentów" z 2001 r., który poruszył struktury Kościoła i światową opinię publiczną, w tym dziennik „Boston Globe", publikujący od lutego 2002 r. informacje o skali nadużyć seksualnych w Kościele w USA, czy wreszcie wezwanie w kwietniu 2002 r. wszystkich kardynałów amerykańskich do Rzymu na rozmowy o tych nabrzmiałych, bolesnych sprawach, o czym wówczas również komunikowały media. W konsekwencji tych ostatnich działań papieża wprowadzona została głęboka reforma Kościoła w Stanach Zjednoczonych, prowadzona pod nadzorem Stolicy Apostolskiej i przy czynnym zaangażowaniu osób świeckich. Podobnie stało się w Irlandii, później także w innych krajach.

Zarzucanie Janowi Pawłowi II bagatelizowania problemu pedofilii czy też sugerowanie – jak to czyni redaktor Artur Sporniak – że „akceptowany przez Jana Pawła II system zdejmował z ludzi odpowiedzialność, co skutkowało niemocą w radzeniu sobie z sytuacjami kryzysowymi. Po prostu zamiatano je pod dywan" – mija się z prawdą. Proces uzdrawiania Kościoła został zapoczątkowany właśnie przez Jana Pawła II i ewaluował w miarę odsłaniania się problemu nadużyć seksualnych na różnych kontynentach. Stanowił on punkt wyjścia do coraz to intensywniejszej reformy Kościoła kontynuowanej przez papieży Benedykta XVI i Franciszka.

Mamy prawo znać całą prawdę, a nie tylko jej część, którą serwują nam świeckie media. „Tygodnik" tym wywiadem, zaakcentowanym demonstracyjnie na okładce jako „Ciemna strona Jana Pawła II", im wtóruje.

TERESA HOPPE, KLUB MYŚLI ŚW. JANA PAWŁA II W GDYNI

OD AUTORA

Dziękuję Pani Teresie Hoppe za list. Jest on okazją, by wyjaśnić ważne sprawy. Temat pedofilii w Kościele jest skomplikowany i wielowarstwowy. Jest taki w dużej mierze właśnie przez brak transparentności i unikanie odpowiedzialności przez zasłanianie się religijnie usprawiedliwianą poufnością. W rzeczywistości świeckiej urzędnik państwowy ma obowiązek odpowiadać na pytania dziennikarzy, w rzeczywistości kościelnej, skoro dostojnik Kościoła przyjął kapłaństwo służebne (przecież nie tylko z nazwy!), zobowiązuje go ono tym bardziej do poważnego traktowania drugiego człowieka. Unikanie odpowiedzi, lekceważące milczenie, kompromituje Kościół i gorszy ludzi.

Autor rozmowy (ograniczonej z góry liczbą znaków), podejmując obszerny temat, musi dokonać selekcji spraw, o które będzie pytał – jeśli pominie ważne zagadnienia, zrobi zły wywiad. Uznałem, że najważniejsze są dwa pytania: jak to możliwe, że Jan Paweł II promował albo chronił ludzi, którzy okazywali się seksualnymi drapieżcami, jak kardynałowie McCarrick i Groër czy ks. Degollado? I drugie: skoro już w Starym Testamencie Bożą perspektywą jest perspektywa osób bezbronnych – cudzoziemcy, sieroty i wdowy – jak wytłumaczyć brak zainteresowania Karola Wojtyły ofiarami? Jego starania, by reformować prawo, jako działania nieskuteczne wydały mi się drugorzędne. Tworzenie prawa powszechnie ignorowanego nie przynosi chluby prawodawcy. Ale skoro temat został wywołany, warto może przyjrzeć się, gdzie i tu Jan Paweł II popełniał błędy.

We wspomnianym 1983 r. wszedł w życie nowy kodeks prawa kanonicznego, który w porównaniu z kodeksem z 1917 r. obniżył rangę przestępstwa pedofilii, umieszczając je wśród „przestępstw przeciw specjalnym obowiązkom", takim jak obowiązek naruszenia rezydencji czy handel wbrew przepisom kościelnym, wobec których zalecano biskupowi ukaranie duchownego „sprawiedliwymi karami". W praktyce biskupi karali pedofilów symbolicznie lub rezygnowali z karania. Indult z 1994 r. skierowany do Kościoła w USA zwiększał ochronę małoletnich i domagał się, by biskupi przeprowadzali procesy i stosowali kary aż do wydalenia ze stanu duchownego. W 1996 r. te przepisy papież rozszerzył na Irlandię, a dopiero w 2001 r. na cały Kościół, dokładając biskupom obowiązek zgłaszania każdego badanego przypadku do Kongregacji Nauki Wiary. Problem w tym, że przepisy te nie działały, bo nie nakładały żadnych kar za ich niewypełnianie (takie kary wprowadził dopiero Franciszek w 2019 r.). Skąd taka poważna wada?

Wygląda na to, że Jan Paweł II ufał biskupom do tego stopnia, iż zapominał, że jako ludzie pozostają grzesznikami. Czy to nie jest monofizyckie skrzywienie? W każdym razie warto o tym nadal dyskutować.

ARTUR SPORNIAK

Rozmowę z Marcinem Gutowskim można przeczytać na **powszech.net/bezruch**

ZUZANNA

Radzik:
Katolicka wichrzycielka

Jak możemy okazywać wam solidarność, oprócz protestów i petycji? – spytałam tutejszą, irańską aktywistkę, która gościła na VII Kongresie Kobiet w Brukseli. „Toczcie swoją walkę tam, gdzie jesteście. Walczymy z jednym i tym samym patriarchatem w różnych postaciach, wasza wygrana wspiera naszą, nasza mogłaby wpłynąć na cały region, ale również na was". Globalne siostrzeństwo – zawsze przebiega mi po plecach dreszcz, gdy o nim pomyślę. O sile, jaką daje, o potencjale zmiany, jaki ma. Jak obcowanie z nieobudzonym jeszcze olbrzymem, który mógłby zmieść to, co jest, i pomóc zbudować nowe.

Tamten weekend dawał takie poczucie – obcowania z wielkimi tematami. Jak zwykle był pomysł, potem zryw, wolontariacka praca po godzinach i twórczy chaos, z którego wyłania się całkiem profesjonalnie wyglądająca impreza. Są międzynarodowi goście, wielka polityka, plany na to, jak Ukraina może, odbudowując się, zapewnić sobie feministyczną przyszłość. Ukraina dziś pochłonięta maczystowską wojną, podczas której gwałt stosuje się jako broń. Poznaję Ukrainki, które w wolnym czasie drukują części do dronów na drukarkach 3D i które przywożą ze sobą przesłanie od szwagierki – artylerzystki na pierwszej linii frontu. Wojna ma też takie oblicze, że trzeba dosyłać im termiczną bieliznę w mniejszych rozmiarach niż ta, którą przysłano w ramach pomocy wojskowej z założeniem, że walczą głównie mężczyźni. W kuluarach rozmawiamy o tym, że na okres w okopie nie ma jeszcze dobrych rozwiązań. Na scenie zaś o tym, że organizacje kobiet ukraińskich tu, w Brukseli, jeśli są zapraszane na poważne spotkania, to po to, by przyniosły wareniki. Ich przedstawicielka przyszła, apelując o walkę ze stereotypami, które w tej sytuacji są jakoś bardziej rażące. Mówiła: „Zakładają, że jestem za młoda, za ładna czy zbyt blond, żeby znać się na wojnie? A to jest nasza wojna. Zapytajcie którąkolwiek z Ukrainek na tej sali, a będzie wiedziała, jakiej broni nasza armia potrzebuje dziś najbardziej".

Jest coś uzależniającego w energii, jaką generuje cały ten wolontariacki trud rozmontowywania patriarchatu, oddolny, po godzinach, w weekendy, nocą. Pomyśleć, co by się działo, gdyby na budowę alternatywy te kobiety miały etaty, a nie godzinkę, zanim zasną, usypiając dzieci. Gdyby nie to, że patriarchat rozmontowujemy nocą, wstając wcześniej albo w przerwie na lunch, może byłybyśmy bliżej celu. No ale etatów na rewolucję świat nie daje.

Kościół też nie bardzo chce płacić za równościową zmianę w samym sobie. Ten patriarchat też rozmontowujemy kosztem swojego czasu i oszczędności, podczas gdy nasi patriarchowie przekazują sobie kasę w kopertach, mieszkają w pałacach, mają kierowców, księży sekretarzy i poczucie, że im się należy. A nawet więcej – że sam Pan tak chciał.

Nie bardzo mają ochotę się tłumaczyć, nawet gdy po jednym z najcięższych przestępstw zdejmują koledze ekskomunikę. Bo on żałuje, nie to co np. ordynowane kobiety. Oj nie, one złośliwie sięgnęły po to, co dane tylko patriarchom według ich własnej i na ich własną korzyść układanej interpretacji. Nie to, co rodzice dzieci z in vitro w kraju i w Kościele, w którym ksiądz profesor seminarium duchownego prosi katolicki kwartalnik o publikację pozytywnego artykułu na ten temat dopiero po swojej śmierci, bo „chce być pochowany w święconej ziemi".

Coraz częściej myślę o tym, że jak będziemy tacy grzeczni w robieniu tej rewolucji, to jej nie będzie. Może takie mam preludium kryzysu wieku średniego, że czas się kurczy, a chciałabym tych zmian dożyć. Może nawet się nimi nacieszyć. Nie mam preferencji do rozkładania się akurat w poświęconej ziemi, ale chciałabym ostatnie tchnienie wydać w równościowym Kościele.

Czytam teraz argentyńska teolożkę Marcellę Althaus-Reid, która ostrzegała przed nadmierną ostrożnością i temperowaniem marzeń o zmianie. Te słowa są z roku 2000 i kręci mi się w głowie na myśl, że to było już ponad 20 lat temu. Byłam wtedy licealistką, której szczytem feministycznej rewolucji w Kościele wydawały się ministrantki. Tymczasem Althaus-Reid już wtedy pisała, że wciąż żadna z feministycznych teologii nie potrząsnęła androcentrycznym systemem teologicznym tak mocno, by go zdestabilizować. „By zapewnić ucieczkę od performatywnej, boskiej komedii maskulinistycznej teologii, niepowtarzający jej model reprezentatywny musi być w dużej mierze rażąco nieprzyzwoity. To znaczy nieprzystający do przyzwyczajonej heteroseksualnej normy w teologii, i musi domagać się naszej uwagi niezależnie od kontekstu, kultury, pozycji seksualnej i klasowej pozycji". I dalej wspomina, że „tylko poprzez nieprzyzwoite obnażenie teologia systematyczna może zostać na tyle wstrząśnięta, by pozwolić nam na reprezentowanie Boga i nas samych w tym, co pomiędzy lub w lukach, które posiadają męskie systemy symboliczne".

Szukam inspiracji, jak to myślenie według innego schematu ma wyglądać. Szukam jej też do działania. Jak to się robi, żeby widzieć przed oczyma swój cel i zmierzać do niego, nie będąc miłą i grzeczną. Są różne mocne tropy. „Kim chcesz być" – zapytał dziennikarz. A ona, autorka nagradzanej książki „Heksy", ostatnio zaś skandalu na branżowej imprezie, gdzie nie przyjęła nagrody, odparła wtedy: „Wichrzycielką! Robię demolkę ludzkiej wyobraźni. Włamuję się do sejfu z dobrym wychowaniem i poczuciem bezpieczeństwa, wyrzucam, ile się da, na śmietnik, a na to miejsce wprowadzam ryzyko". Bingo! Jeśli czegoś sobie życzę na nowy rok, to żeby zostać katolicką wichrzycielką. I tego samego życzę też wam. ©

POŻEGNANIE

Żegnamy Wielkiego Artystę
i Naszego Przyjaciela

Mariana Warzechę

Galeria Starmach

NA NOWY ROK

DAJ MI TĘ NOC

DARIUSZ KOSIŃSKI

W ciągu trzech dekad – na naszych oczach, lecz niepostrzeżenie – noc sylwestrowa stała się jeszcze jedną areną walki. Zgromadzone na placach tłumy śnią o oświeceniu, po którym znów zanurzą się w ćmie.

Ostatnia noc roku 1990. Kraków. Bawimy się z moją od niedawna żoną na balu w Pałacu pod Baranami. Tuż przed północą ktoś ze znajomych rzuca hasło: „Na Rynek!". Wychodzimy. Na zewnątrz tłum ludzi. W rękach butelki taniego szampana, hałas, zbiorowe odliczania, które nie chcą się ułożyć w jeden chór. Ale entuzjastyczny krzyk o północy jest już zbiorowy – krzyczymy we wciąż przenikającym wszystkich przekonaniu, że przed nami przyszłość jasna i obiecująca. Po spełnieniu toastu z gwinta obowiązkowe rozbicie butelki o płyty Rynku. Huk tłuczonego szkła staje się sygnałem do rozpoczęcia noworocznego szaleństwa – ludzie tańczą, śpiewają, improwizują jakieś węże, kółeczka. Pod Mickiewiczem ktoś rzuca się na mnie z otwartymi ramionami. Z trudem poznaję dawnego kolegę ze studiów, który przeniósł się do filmówki, ale krzyczy, że na sylwestra musiał przyjechać do Krakowa, bo taka zabawa tylko tu. Stopniowo wycofujemy się pod Barany i tylko potem wracając nad ranem do domu widzimy, jak sprzątający próbują uprzątnąć tłuczone szkło, które mimo ich wysiłków zgrzyta nam pod podeszwami.

PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS

„Sylwester Marzeń" z TVP. Zakopane, 31 grudnia 2021 r.

Rok później we Wrocławiu odbywa się pierwszy sylwester organizowany na Rynku przez władze miasta. Zachowane zdjęcia wręcz rozczulają widoczną na nich siermiężnością. Na zbitej z desek estradce przyozdobionej niczym na szkolne mikołajki młody Bogdan Zdrojewski, członkowie Kabaretu Elita i doklejona do nich w ramach seksistowskiej atrakcji „misska". Tak właśnie zaczynało się to, co w ciągu kilku dekad stało się jednym z najbardziej spektakularnych widowisk społeczno-politycznych współczesnej Polski.

Wytwarzanie formatu

Organizowanie zabaw sylwestrowych na centralnych placach największych polskich miast pojawiło się jednocześnie jako odpowiedź na spontaniczne zgromadzenia (Kraków) i jako próba wytworzenia nowego wspólnotowego święta (Wrocław). Wiadomo, że polskie społeczeństwo nie cierpi na nadmiar okazji do zbiorowego celebrowania radości. Nawet przełom lat 1989-90 nie wprowadził tu zmiany, bo transformacja budziła mnóstwo obaw. Oczywiście ludzie bawili się i imprezowali, ale zachowując wypracowane przez lata stanu wojennego style prywatne i stosunkowo kameralne. Świętowanie zbiorowe kojarzyło się zbyt jednoznacznie z 1 Maja.

Sylwester przynosił wyłom. Wyjście na miejski rynek lub inny plac, by cieszyć się wraz z innymi z nadejścia nowego roku, błyskawicznie zyskało popularność i jako rama do działań indywidualnych, i jako szansa na doświadczenie wspólnotowe. Obiecując szaloną, u początków często anarchiczną zabawę, zawierało podstawowy element wydarzenia i doświadczenia karnawałowego – odejście od codzienności i jej radykalne odwrócenie. To właśnie dlatego ludzie, którzy do niedawna nie mogli się pojawić w takiej liczbie w miejscach publicznych, zalewali tłumnie place i ulice, przejmując nad nimi władzę i wywracając na nice reguły ich codziennej dyscypliny. Nie bez znaczenia było i to, że zabawy na placach były darmowe, dzięki czemu stanowiły też radosną inscenizację ideału równości i solidarności, już powoli znikającego z życia społecznego, ale wciąż obecnego w oczekiwaniach i deklaracjach.

Władze miejskie – na nowo definiujące i siebie, i wspólnoty, na których czele stały – bardzo wcześnie starały się przejąć kontrolę nad imprezami sylwestrowymi i wykorzystać stwarzane przez nie możliwości. Zwłaszcza że było to bardzo proste, bo sylwestrowe zgromadzenia cierpiały z powodu braku punktu orientacyjnego. Miały ramy, ale nie miały centrum, tworząc zbiór mnogości, skupiający ↦

↦ w różnych punktach różne grupy i aktywności. Było w tym coś wspaniałego, ale zarazem sprzecznego z dramaturgią zgromadzenia – skoro tylu ludzi przyszło w jedno miejsce (plac), dla czegoś jednego (świętowanie Nowego Roku), to rozpad tej wspólnoty na wielość podważał sens jej powoływania.

Tę sprzeczność właśnie usunęły władze miast, ustawiając na wielkim placu estradę, oświetlając ją i zapraszając na nią wykonawców. Estrada, mikrofony i reflektory wytworzyły punkt skupienia, jednocześnie zamieniając zabawę w widowisko, a sylwestrowiczów – w widzów. By to zasadnicze przesunięcie usprawiedliwić i jednocześnie zamazać, na estrady zapraszano takich wykonawców, których zobaczenie i usłyszenie (na dodatek za darmo!) stanowiło atrakcję samą w sobie dla jak największej grupy ludzi.

Znamienny dowód tej ewolucji zachodzącej w latach 90. ubiegłego stulecia stanowić może zestawienie mojej początkowej opowieści z tym, co działo się na Rynku w Krakowie w Noc Tysiąclecia, 31 grudnia 2000 r. Ze środków kończącego się w tym momencie Festiwalu Kraków 2000 zbudowano specjalną scenografię, zorganizowano obowiązkowe wówczas (i przez nikogo nie krytykowane) pokazy ogni sztucznych, a na scenę zaproszono m.in. bardzo wtedy popularną Reni Jusis i legendę polskiego rocka lat 80. – zespół Perfect. Nowe tysiąclecie ostatecznie kończyło z wszelką anarchią. Zaczynała się epoka formatów.

Pod oślepionym i zagłuszonym Giewontem, który kiedyś uważano za górę polskiej i Bożej mocy, gromadzi się tłum najprawdziwszych Polaków, by śnić sen o swojej wywyższonej normalności.

Wojny gwiezdne

Przejęcie widowisk sylwestrowych przez telewizję było tylko kwestią czasu. Format wytworzony w ostatnich latach XX wieku był zasadniczo gotowym towarem medialnym, którego telewizja wręcz nie mogła nie kupić, zwłaszcza że zasadniczo od początku relacjonowała we fragmentach sylwestrowe zabawy masowe. W końcu zaczęła je sama transmitować i produkować, a wkrótce przejęła nad nimi całkowitą kontrolę. Samorządowcy zostali sprowadzeni do roli dostarczycieli miejsca i zaplecza, ale w zamian dostali szansę wystawienia miast i siebie na oczach milionów widzów.

Pionierską rolę spełniła w tym dziele oczywiście najpotężniejsza wtedy (i dziś) stacja – TVP. W roku 2004 po raz pierwszy w jej drugim programie pokazano transmisję „Sylwestra z Gwiazdami" odbywającego się na krakowskim Rynku. Wśród gwiazd pierwszy raz pojawili się stali później goście sylwestrowych imprez: Bajm, Golec uOrkiestra i Wilki. Na scenie pojawiły się też grupy nieco w kontekście sylwestra egzotyczne: Skaldowie i T.Love. Czy ta hałaśliwa i dość kiczowata impreza nie wzbudziła w Krakowie entuzjazmu, czy też rosnący w siłę, młody i dynamiczny Wrocław wykazał się większą determinacją – nie umiem rozstrzygnąć. Dość, że rok później „Sylwester pod Dobrą Gwiazdą" przeniósł się do stolicy Dolnego Śląska i odtąd, aż do grudnia roku 2015 (z jednym wyjątkiem w roku 2009), to ona staje się sylwestrową stolicą TVP.

Rok po przeprowadzce do Wrocławia telewizji (wówczas jeszcze) publicznej wyrósł konkurent. Polsat postanowił zorganizować własne widowisko pod hasłem „Sylwestrowa Moc Przebojów" w opuszczonym przez TVP Krakowie. I znowu po dwóch edycjach impreza przeniosła się gdzie indziej – najpierw do Warszawy (2008-2012), potem do Gdyni (2013 i 2014), by od 2015 r. na stałe osiąść na Śląsku, najpierw w Katowicach, potem na Stadionie Śląskim w Chorzowie (z wyjątkiem warszawskiej edycji pandemicznej w 2020 r.).

Gdy do gry wszedł Polsat, to i TVN oczywiście nie mógł pozostać w tyle, więc w roku 2007 zaproponował własną imprezę, którą najpierw organizował w Warszawie, potem w latach 2013-2015 w Krakowie, by w końcu powrócić na stałe do Warszawy i próbować uczynić z niej „stolicę sylwestra".

Było jasne, że trzy konkurujące z sobą stacje uczynią z widowiska kończącego rok jedną z aren rywalizacji na oglądalność, podkupując sobie gwiazdy polskie i starając się sprowadzić popularnych (może bardziej kiedyś niż obecnie) wykonawców zagranicznych. Od początku najważniejszymi graczami były TVP2 i Polsat. Początkowo TVN próbował ich dogonić, ale jego wyniki nigdy nie były oszałamiające, a stacja adresująca swoje programy raczej do miejskiej publiczności lubiącej uważać się za lepszą niż przeciętna zasadniczo nigdy nie weszła w ostre zwarcie z udziałem osób masowo popularnych, choć dla wielu „obciachowych".

Jeśli zastanowić się, jakiego rodzaju widowisko wytworzyło się w efekcie opisywanych tu w skrócie przemian, to po pierwsze uderza jego szczególny rozmach – sylwestry na placach są wielkie w sensie czasowo-przestrzennym i pod względem uczestników, ale nie są monumentalne. Ich scenografie – budowane tak, by atrakcyjnie wyglądały po zmroku – tworzone są przede wszystkim jako instalacje i kompozycje świetlne. Mają błyszczeć, lśnić i oślepiać, ale nie przygniatać. W tym sensie są dosłownie efemeryczne – nocą wyglądają zjawiskowo (nawet jeśli kiczowato), w dzień – szokują szarością, ciężarem, czasem wręcz brutalnością swojej konstrukcji. To nie są dekoracje ani plastyczne tła do występów. To rozświetlające noc obietnice, niesformułowane marzenia, które w postaci kolorowych wzorów o miękkich liniach pojawiają się pod zamkniętymi powiekami, zanim jeszcze sen nabierze kształtów.

W tej rozmazanej i rozmarzonej scenografii pojawiają się osoby występujące, które oczywiście śpiewają znane na pamięć piosenki, noszą mniej lub bardziej ekscentryczne stroje i usiłują z lepszym lub gorszym skutkiem bawić widzów. Ale są tu przede wszystkim jako gwiazdy. Ten używany nieustannie wobec nich i wybijany nachalnie w tytułach i zapowiedziach termin nie wyznacza miejsca w hierarchii, ale harmonizuje ze świetlnym środowiskiem całego zdarzenia i jednocześnie oznacza podstawową funkcję, będącą odmianą tego, co w innych przestrzeniach nazywa się celebrytctwem. „Gwiazdy" pojawiają się na scenie marzeń jako ucieleśnione spełnienia – nie ideały (choć niekiedy i do tego aspirują), ale właśnie osoby, które znajdując się w świetle spełniły podsta-

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Sylwester na ulicy. Zakopane, 31 grudnia 2017 r.

wowy sen tkwiących w mroku – bo być w pełni to znaczy być widzianym.

Jeśli pojawienie się w świetle snów sylwestrowej nocy stanowi spektakularną formę zaistnienia, zaznaczenia swojej obecności, to jasne jest, że i tłumy zgromadzone pod sceną, i ludzie oglądający widowiska w telewizji muszą mieć choćby jej namiastkę. Stąd te nieustanne przejazdy kamery po zgromadzonych, ukazujące rozśpiewane i roześmiane twarze (pętla wystawienia zabawy: im bardziej pokazujesz, że dobrze się bawisz, tym większa szansa, że cię dostrzegą i pokażą). Stąd też te paski z kuriozalnymi życzeniami dla „Mojego Misiaczka" (przy okazji nabijające kasę operatora). Na przełomie starego i nowego roku zgromadzone na placach tłumy śnią zbiorowy sen o oświeceniu, po którym znów zanurzą się w ćmie.

Kres najpożądańszy

Nie ma wątpliwości, że ostatecznie w rywalizacji na sylwestrowe widowiska zwyciężyła TVP. Przeniesienie (od roku 2016) imprezy do „Zakopca", dziwnego i strasznego miejsca, w którym kiedyś było Zakopane – popularne wczasowisko i baza wypadowa w Tatry – oraz apoteozowanie tego, co długo traktowano w mediach głównego nurtu jako wstydliwe, sprawiło, że „Sylwester Marzeń z Dwójką" zepchnął konkurencję do defensywy. TVN już w pandemii zrezygnował z organizowania widowisk na koniec roku, by w tym roku w pełnym porozumieniu z władzami Warszawy uznać, że czas wymaga oszczędzenia sobie tych igrzysk. Polsat od roku 2018 organizuje swoje widowiska w ograniczonej architektonicznie i oddzielonej od życia miejskiego przestrzeni Stadionu Śląskiego, zamienionego na gargantuiczną dyskotekę.

Natomiast TVP dzięki zdecydowanej polityce byłego prezesa Jacka Kurskiego uczyniła ze swojego zakopiańskiego „Sylwestra Marzeń" największą masową imprezę sezonu zimowego, z 30 tysiącami uczestników na ogrodzonym terenie na Równi Krupowej, kolejnymi 30 wokół i 8 milionami telewidzów w szczytowym momencie (według informacji podanych przez wirtualnemedia.pl średnia w 2021 r. wynosiła 4,96 mln). Trzeba przyznać, że wszystko się tu zgadza. Inscenizując masowy sen nocy sylwestrowej, Kurski przeniósł ją w miejsce, które jest dla wielu Polaków mityczną przestrzenią obiecującej zimowej przygody, wcale niekoniecznie górskiej („Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem?"), a w centrum świetlnego pałacu umieścił prawdziwego z chłopa króla Zenona Martyniuka i królową Marylę, wieczną, jak do niedawna Elżbieta.

Dodał im do towarzystwa całe grono gwiazd i gwiazdeczek łącznie z potwierdzającą schemat, choć niby go kwestionującą postacią żenującego do potęgi Sławomira. To on zresztą wydaje się swoistym ucieleśnieniem ducha zakopiańskiego sylwestra – wie, na czym polega ta gra, i ma do niej ironiczny dystans, ale właśnie dlatego może stać się jej mistrzem i pokazywać tłumowi, że nawet taki obciachowy wąsacz jak on może stanąć w świetle obok seksownej partnerki. „Kto on jest, żeby go tak pokazywać?" – pyta z oburzeniem moja Mama przyzwyczajona w młodości do piosenkarzy, którzy mieli głos i prezencję. I nie rozumie, kiedy jej tłumaczę, że Sławomir nie jest popularny, bo umie więcej, ale właśnie dlatego, że świadomie pozwala myśleć, że umie mniej i że każdy może się znaleźć na jego miejscu.

I tak co roku pod oślepionym i zagłuszonym Giewontem, który kiedyś uważano za górę polskiej i Bożej mocy, gromadzi się tłum najprawdziwszych Polaków, by śnić sen o swojej wywyższonej normalności. Przyjeżdżają z całego kraju mimo wielogodzinnych korków, by na chwilę omiotło ich silniejsze światło i by mogli zobaczyć tych, którzy nieustannie na różne melodie nucą im ulubioną kołysankę: nic nie musicie, nic nie zmieniajcie, normalnie się bawcie, pijcie, idźcie śnić!

W ten sposób to, co zaczęło się jako karnawał, skończyło jako jego monstrualne zaprzeczenie. © DARIUSZ KOSIŃSKI

WOJNA ŚWIATOWA O CHIPY

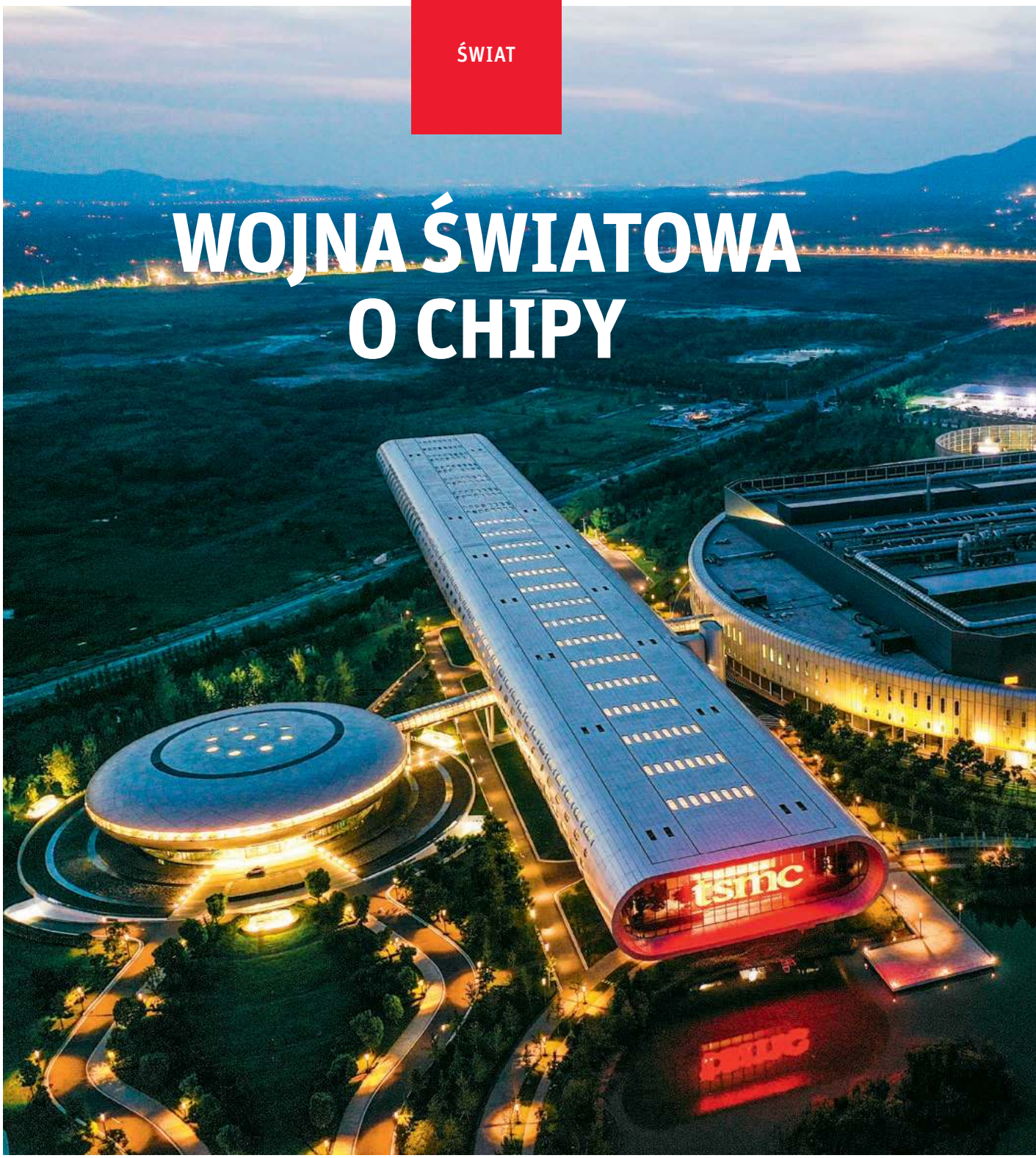

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Są w smartfonach, komputerach, broni i technologiach sztucznej inteligencji – świat nie mógłby już bez nich funkcjonować. To wokół nich będzie się toczyć jeden z głównych konfliktów roku 2023.

FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGES

Fabryka TSMC w Nankinie, prowincja Jiangsu. Chiny, 10 sierpnia 2022 r.

Jeśli ten sam człowiek spotyka się – i to w krótkim odstępie czasu – z przywódcami Chin oraz Stanów Zjednoczonych, chociaż oficjalnie nie pełni żadnych funkcji publicznych, to znaczy, że jest kimś wyjątkowym. Chodzi o Morrisa Changa, lat 91, twórcę i byłego szefa TSMC (Taiwan Semiconductor Manufacturing Company) – tajwańskiego producenta chipów, czyli miniaturowych układów scalonych.

Chiński prezydent Xi Jinping znalazł czas na osobistą rozmowę z Changiem podczas listopadowego szczytu państw APEC w Bangkoku – choć zwykle Pekin albo ignoruje, albo zastrasza obecną administrację Tajwanu. Z kolei Joe Biden osobiście pofatygował się na początku grudnia do Arizony, gdzie TSMC rozpoczyna budowę swoich fabryk. Projekt ten opiewa na kwotę 40 mld dolarów, co stanowi jedną z większych inwestycji zagranicznych w historii USA.

Największe osiągnięcie inżynierii

Geniusz Morrisa Changa polega na tym, że z długiego i skomplikowanego procesu powstawania układów scalonych wybrał jeden segment – i po wielu latach prób oraz wyłożeniu gigantycznych środków opanował go do perfekcji. Jego fabryki wytwarzają tylko wcześniej zaprojektowane elementy, które potem stają się częścią innych urządzeń. TSMC produkuje dziś globalnie 90 proc. najbardziej zaawansowanych chipów, które znajdują zastosowanie w smartfonach, superkomputerach, sztucznej inteligencji czy uzbrojeniu.

Chip, powstający z wykorzystaniem półprzewodników (takich jak krzem), stanowi najwyższe osiągnięcie ludzkiej inżynierii. Im jest mniejszy, tym lepiej – te produkowane przez TSMC osiągają parametr trzech nanometrów (jeden nanometr to tyle, o ile rośnie paznokieć przez jedną sekundę). Na świecie tylko firma Samsung wytwarza produkt podobnej jakości.

Tymczasem bez układów scalonych współczesny świat nie mógłby funkcjonować – znajdują się one zarówno w prostych, jak też w bardzo wysublimowanych urządzeniach, przez które płynie prąd. Zakłócenie dostaw w tej branży – do czego doszło podczas apogeum pandemii koronawirusa – powoduje znaczące perturbacje, także dla bezpieczeństwa i zdrowia ludzi.

W przypadku TSMC dodatkowego znaczenia nabiera fakt, że siedzibą korporacji jest jedno z bardziej zapalnych miejsc na świecie. Dla Tajwanu jest to zarazem forma zabezpieczenia się – skutki zniszczenia tej firmy, w wyniku hipotetycznej chińskiej inwazji na Tajwan, odczułby cały świat.

Z drugiej strony TSMC stało się ofiarą własnego sukcesu: od jej produktów uzależnione są dwa globalne i skonfliktowane ze sobą mocarstwa. Przeciągnięcie ↦

CAITLIN O'HARA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Tim Cook, dyrektor generalny Apple, wznosi toast z Morrisem Changiem (pierwszy z prawej) w budowanym zakładzie w Phoenix w Arizonie. USA, 6 grudnia 2022 r.

↦ TSMC na swoją stronę pomogłoby, w zakresie technologii, rzucić rywala na kolana. Dokładnie to próbują robić dziś Stany Zjednoczone.

Biegnij szybciej

Niewykluczone, że podręczniki historii uznają kiedyś 7 października 2022 r. za dzień, który odmienił losy świata.

Prezydent USA ogłosił wówczas „atomowe" sankcje wobec Państwa Środka. Zakazują one amerykańskim podmiotom sprzedawania do Chin zaawansowanych chipów, maszyn i oprogramowania do ich wytwarzania. Zakazują również obywatelom USA zatrudniania się w chińskich firmach tej branży.

Choć produkcja układów scalonych skupia się dziś na azjatyckim Dalekim Wschodzie, to plan administracji Bidena został dobrze przemyślany: zanim chip opuści fabrykę, musi zostać zaprojektowany, a do tego służą odpowiednie urządzenia i oprogramowanie – a na tym polu dominują firmy z USA. Zresztą także TSMC czy Samsung muszą korzystać z amerykańskiej technologii, zależność jest zatem dwustronna. Co więcej, bezpieczeństwo czołowych graczy w tej branży – Tajwanu, Korei Południowej i Japonii – zależy od Waszyngtonu, który zyskuje tym samym dodatkową kartę, aby wymuszać gospodarcze decyzje.

Decyzją z 7 października 2022 r. Amerykanie zmodyfikowali też dotychczasową strategię *run faster* (ang. biegnij szybciej), czyli zachowania bezpiecznego dystansu od Chin poprzez przewagę innowacyjną. Teraz, jak objaśnia doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa Jake Sullivan, chodzi o „wydzielenie niewielkiego poletka z wysokim ogrodzeniem dla krytycznych technologii". W mniej dyplomatycznym języku mówi się o chęci „zaduszenia" tej branży w Chinach, a przynajmniej cofnięcia jej rozwoju na lata.

To nie pierwszy raz, kiedy Stany Zjednoczone, czując zagrożenie utratą swojego prymatu, podejmują z rywalem otwartą wojnę na polu technologii.

Moment sputnika

W języku angielskim istnieje pojęcie „moment sputnika": oznacza chwilę otrzeźwienia, gdy okazuje się, że przeciwnik zaczyna zdobywać nad nami przewagę. Nawiązuje ono do czasów zimnej wojny, gdy Amerykanie, zszokowani umieszczeniem sputnika na orbicie przez Związek Sowiecki, przystąpili do technologicznej rywalizacji z komunistycznym imperium.

Obecny konflikt z Chinami bardziej może jednak przypominać starcie między USA i Japonią w latach 80. XX wieku. W tamtym przypadku „momentem sputnika" był rok 1979, kiedy firma Hewlett-Packard ogłosiła – po przeprowadzeniu odpowiednich testów – że chipy z Japonii biją amerykańskie na głowę. Popularnym symbolem ówczesnej japońskiej przewagi stał się walkman wyprodukowany przez Sony.

Wcześniej przez wiele lat po II wojnie światowej Amerykanie pobłażliwe traktowali technologiczne wysiłki Kraju Kwitnącej Wiśni. Jego domeną miały być co najwyżej proste urządzenia, których nie opłacało się produkować w USA. Jednocześnie Waszyngton udzielał Japonii dostępu do swoich technologii i do rynku, licząc, że rozwój gospodarczy zakorzeni ją trwale po stronie demokratycznego świata. Tymczasem właśnie w latach 80. okazało się, że uczeń przerósł mistrza: Japończycy zaczęli przodować, zwłaszcza w elektronice, a istotny element tego sukcesu stanowiły półprzewodniki.

W efekcie w USA coraz częściej słychać było wtedy pesymistyczne prognozy dotyczące przyszłości Ameryki; podzielali je nawet ojcowie założyciele Doliny Krzemowej. Z Japończyków z kolei, pierwszy raz po klęsce drugowojennej, wyszła arogancja: zarzucali Amerykanom lenistwo, ich przyszłość widząc raczej w rolnictwie (jako „wielkiej Danii").

Szokująca dla Waszyngtonu okazała się wtedy również publikacja książki „The Japan That Can Say No" („Japonia, która może powiedzieć »nie«"), w której padło ostrzeżenie, iż bez japońskich chipów amerykańska broń pozostanie niewiele warta. Współautorem tych słów był Akio Morita, szef Sony, uchodzący dotąd za przyjaciela Stanów.

Ameryka kontra Japonia

Czując się zagrożone, Stany Zjednoczone popadły wówczas w stan bliski antyjapońskiej histerii. Wykraczała ona poza gospodarkę, obejmując świat mediów czy nawet Hollywood. W branży półprzewodników Japończykom zarzucano wiele: dumping, kradzież technologii, pomoc ich państwa dla firm, wresz-

cie ochronę własnego rynku przed obcą konkurencją.

Jaka miała być na to recepta? Twarda: USA muszą zarzucić swoje wolnorynkowe pryncypia i odpowiedzieć tym samym. Za prezydentury Ronalda Reagana Waszyngton wprowadził więc cła na japońskie chipy i wymusił kupno własnych przez Japonię. Najbardziej ucierpiał lider branży, firma Toshiba, która – skonfrontowana z zarzutem sprzedaży technologii do Związku Sowieckiego – straciła większość kontraktów na amerykańskim rynku. Dziś firma ta jest cieniem siebie z czasów świetności, a jej problemy zaczęły się właśnie w latach 80. XX w.

Czy Amerykanie mieli rację, atakując wtedy tak bezpardonowo Japonię?

Po części zapewne tak. Choć ci bardziej trzeźwo oceniający sytuację wiedzieli też, że ich kraj zaspał, i że są dziedziny, w których mogą wiele nauczyć się od Japończyków. Aby odwrócić złą passę, rząd USA zaczął odtąd wspierać badania nowych technologii, a firmy z branży półprzewodników, wśród nich wiele start-upów, otrzymały ulgi podatkowe. Metodą na obniżanie kosztów okazało się z kolei przenoszenie produkcji chipów za granicę – Amerykanie wykorzystali tu Tajwan i Koreę Południową, które wkrótce zdetronizowały Japonię na tym rynku. Amerykanie zaś poświęcili się designowi i konstruowaniu stosownego oprzyrządowania.

Dzięki kreatywności i elastyczności swojej gospodarki, ale też interwencji państwa, USA powitały zatem wiek XXI w roli, ponownie, hegemona nowych technologii. Japonia zaś przeciwnie – i choć powody jej długotrwałej stagnacji są złożone, nie brak tam głosów, iż jej źródła tkwią właśnie w postawie Stanów Zjednoczonych z lat 80. Dziś Japonia wciąż liczy się w branży półprzewodników, ale daleko jej do dawnej pozycji. Co ciekawe, kiedy Ameryka poczuła się niezagrożona, ustała tam również krytyka Japonii. Oba kraje, zachowując stosowną hierarchię, utrzymują od lat kordialne relacje.

Dzisiejszy rywal USA występuje jednak w wyższej kategorii wagowej.

Chińczycy wchodzą do gry

Kiedy po wybuchu pandemii chińskie miasto Wuhan zostało objęte lockdownem, pozwolono tam dalej pracować tylko jednej dużej firmie: YMTC. Obok innej firmy, SMIC, należy ona do pionierów chińskiej branży półprzewodników.

Nie brakuje kolejnych przykładów na to, jak poważnie Pekin traktuje tę dziedzinę. Po niedawnym kongresie Komunistycznej Partii Chin, w październiku 2022 r., komentarze dotyczyły głównie konsolidacji władzy przez Xi Jinpinga oraz jego dożywotnich rządów. Rzadziej wspominano o profilu współpracowników, których sobie dobrał. Tymczasem w nowym Komitecie Centralnym KPCh aż 81 osób, czyli ponad 40 proc., stanowią specjaliści od nowych technologii – to czterokrotny wzrost wobec poprzedniego składu Komitetu.

Podczas swoich wystąpień Xi często wraca do tematu nowych technologii. Chipy przyrównuje do serca gospodarczego organizmu, a naukowców do oddziałów specjalnych, mających „atakować fortyfikacje" barier technologicznych.

Jak mocni są dziś Chińczycy w tej branży?

Zależnie od rodzaju układu scalonego, ich zapóźnienie wobec światowych liderów szacowane jest od jednego bądź dwóch do kilkunastu lat. Obecnie jednak tylko 17 proc. zapotrzebowania na chipy Chiny pokrywają u siebie, z tego więcej niż połowa jest udziałem zagranicznych firm mających tu swoje fabryki. Oznacza to konieczność importu – rocznie na kwotę ok. 300 mld dolarów. To więcej niż koszt sprowadzanej przez Chiny ropy czy gazu.

Aby nadrobić dystans, chińskie firmy z branży chipów otrzymują więc nieograniczone wsparcie ze strony państwa – zarówno na rynku wewnętrznym, jak i przy próbach przejmowania zagranicznej konkurencji. To przemieszanie sektora publicznego z prywatnym sprzyja też korupcji – o jej przypadkach informowały w tym roku nawet oficjalne media.

Przełomowe restrykcje Bidena

Wezwania, aby ograniczyć Chinom możliwość przejmowania wrażliwych technologii, pojawiały się w USA już ↦

Europa: powrót do przyszłości

TYLKO CO DZIESIĄTY z około biliona chipów, które w 2022 r. wyprodukowano w świecie, powstał w Unii Europejskiej. Po przymusowej lekcji pandemii, gdy niedobór półprzewodników wywołał kłopoty np. na rynku motoryzacyjnym, Bruksela ogłosiła cel: podwojenie produkcji do końca dekady. Proponowany przez Komisję Europejską tzw. European Chips Act ma umożliwić firmom dostęp do nawet 45 mld euro na wsparcie m.in. innowacyjnych start-upów czy badań nad nowymi technologiami. Niektóre mniejsze państwa unijne krytykują projekt za to, że wymagane kwoty inwestycji przekraczają ich możliwości. Hiszpania, która jak dotąd nie zdołała ściągnąć do siebie dużych inwestorów, ogłosiła w grudniu, że skoncentruje się na mniej wymagającej produkcji półprzewodników klasy średniej, do wykorzystania na własnym rynku. Inne kraje usiłują jednoczyć producentów z badaczami – w fińskim Espoo konsorcjum złożone z samorządu, uczelni i firm z branży półprzewodników ogłosiło powstanie „inkubatora" start-upów, tj. wielkiej przestrzeni, preferencyjnie udostępnianej mniejszym firmom badawczo-rozwojowym z całej Unii (na razie udało się ich ściągnąć 20). Równocześnie unijne państwa starają się o przyciągnięcie inwestycji. Aż 17 mld euro ma wyłożyć amerykańska firma Intel na jedną tylko megafabrykę chipów w Magdeburgu. Zdaniem władz tamtejszego landu Saksonia-Anhalt będzie to największa inwestycja w powojennych Niemczech; o jej lokalizację walczyło ponad 80 miejsc w Europie. Zakład Intela zajmie 10 km², będzie posiadał własny system recyklingu wody i korzystał z rozwiniętego w regionie systemu turbin wiatrowych i słonecznych (produkcja chipów jest wyjątkowo energochłonna). W tle wewnątrz unijnych rywalizacji o inwestycje jest też obawa, że w razie ponownych niedoborów na rynku półprzewodników poszczególne kraje mogą ograniczyć ich sprzedaż do innych państw członkowskich.

©℗ ŻYM

↦ za prezydentury Baracka Obamy. Jednak swoistym preludium do decyzji z 7 października 2022 r. stało się uderzenie w firmę Huawei, dokonane przez administrację Donalda Trumpa.

Oficjalnie poszło o technologię 5G, w której Chińczycy stali się światowym liderem. Zarzuty dotyczyły nieprzejrzystej struktury tej korporacji, powiązań jej szefa z chińską armią, a w konsekwencji groźby szpiegowania wolnego świata przez Chiny. Jednak Huawei odniósł też gigantyczny sukces w produkcji smartfonów, bijąc na głowę koncern Apple wartością sprzedaży. Co więcej, zrobił to projektując własny procesor, który był wytwarzany na Tajwanie. Decyzja Trumpa, by odciąć tę firmę od amerykańskiej technologii, w tym od programu Android, wyeliminowała ją z poważnej konkurencji na rynkach USA i Europy.

Potem urząd prezydenta USA przejął Joe Biden. Choć w czasie kampanii wyborczej rzadko mówił o półprzewodnikach, okazało się, że to właśnie za jego kadencji wprowadzone zostaną przełomowe restrykcje. Zapewne więc ochrona rodzimej technologii została wyjęta z bieżącej polityki, dyktowanej rytmem wyborczym, i przeszła w domenę tzw. głębokiego państwa: biurokracji Waszyngtonu, Pentagonu i części świata biznesu.

Wprowadzenie przez USA sankcji wobec Chin zbiegło się też z przyjęciem przez amerykański Kongres szerokiego pakietu wsparcia dla branży półprzewodników: w formie ulg podatkowych, funduszy badawczych i szkolenia personelu. Łączna wartość tego wsparcia przekracza kwotę 280 mld dolarów.

Czy i tym razem o postawie Waszyngtonu przesądził jakiś „moment sputnika”? Dyskusje na temat sankcji przeciw Chinom trwały od miesięcy, a dla zapewnienia ich skuteczności konsultowano się też z sojusznikami. Decyzję przyspieszyć jednak mogła informacja z lipca 2022 r., że wspomnianej już chińskiej firmie SMIC udało się, na razie prototypowo, wytworzyć chip o parametrze siedmiu nanometrów. To ciągle więcej, niż mają produkty tajwańskie – jednak jeszcze niedawno barierę stanowiła dla tej firmy wartość trzykrotnie wyższa.

O prymat nad światem

Co na to Pekin? Od 7 października 2022 r. chińskie władze nieustannie zarzucają Amerykanom, że niszczą globalizację i ingerują w procesy rynkowe. Na większe retorsje, zapewne z braku adekwatnych środków, jak dotąd się jednak nie zdobyły.

> Chińczycy mogą dalej produkować sprzęt AGD czy samochody. **Spodziewając się sankcji, zgromadzili zapasy chipów.**

Chińscy biznesmeni przyrównują moment wprowadzenia sankcji przez USA do bombardowania, a swoją działalność od kilku miesięcy do partyzantki. W ciągu jednego dnia utracili pracowników z amerykańskim paszportem i możliwość używania części technologii. Prognozy rozwoju branży do roku 2025 radykalnie zredukowano – jedne mówią o spadku o 10, inne nawet o 45 proc.

Wyjściem dla Chin pozostaje ucieczka do przodu, jak mantra powtarzane są więc dwa hasła: innowacje i lokalizacja (czyli próba stworzenia niezależnej od świata zewnętrznego produkcji nowoczesnych czipów). Firma konsultingowa Boston Consulting Group szacuje łączny koszt takiego przedsięwzięcia na trylion dolarów – i to bez gwarancji sukcesu.

Choć po otrzymaniu tak potężnego ciosu branża chińskich półprzewodników zachwiała się, to nie zamarła. Sankcje obejmują wszak tylko zaawansowane czipy, Chińczycy mogą więc dalej produkować sprzęt AGD czy samochody. Po drugie, spodziewając się sankcji, gromadzono tam zapasy. Wreszcie, światowi potentaci – jak TSMC czy Samsung – wywalczyli od USA roczną licencję na kontynuowanie działalności w Chinach.

Tak naprawdę walka o technologiczny prymat nad światem dopiero się więc zaczyna, a jej rezultat nie jest przesądzony.

Brakujące ogniwo

Nie brakuje dziś głosów, że w zglobalizowanym świecie półprzewodników utrzymanie skutecznych sankcji okaże się trudne. Chińczycy na pewno będą szukać sposobów ich obejścia, choćby poprzez rejestrację zagranicznych podmiotów ukrywających swoje pochodzenie. Ale pokusa dotyczy też zachodnich firm, dla których chiński rynek jest zbyt ważny, aby go porzucić.

Wysiłek administracji Bidena kierowany jest dziś na domknięcie koalicji „chip 4”, którą obok Stanów tworzą Tajwan, Korea Południowa i Japonia. Chodzi o stworzenie równoległego wobec Chin łańcucha dostaw.

Ale nawet jeśli ten plan się powiedzie, zabraknie tam niezbędnego ogniwa. W jego posiadaniu jest bowiem Europa, a konkretnie holenderska firma ASML. Nazywana jest czasem „najważniejszą międzynarodową korporacją, o której nikt nie słyszał”. Ma monopol na produkcję maszyn posługujących się litografią, niezbędnych do wytwarzania zaawansowanych chipów. Urządzenia te, niezwykle skomplikowane i kosztowne, są owocem współpracy wielu firm z całego świata, ale decydujący głos o ich sprzedaży ma Holandia.

Rząd tego kraju, pod naciskiem Trumpa, zakazał ASML eksportu do Chin najnowszych produktów firmy. Przeważył argument o możliwości ich użycia przy produkcji uzbrojenia oraz urządzeń służących do inwigilowania ludności. Jednak Holendrzy nadal chcą sprzedawać Chińczykom modele z niższej półki, co z kolei próbuje teraz blokować administracja Bidena.

Co zrobi Europa?

Sprawa ma też szerszy kontekst, a pytanie brzmi: jaką pozycję w konflikcie USA–Chiny zajmie Unia Europejska? Kanclerz Niemiec Olaf Scholz, pisząc swój programowy artykuł dla najnowszego wydania pisma „Foreign Affairs”, poświęconego polityce międzynarodowej, opowiedział się w nim za światem wielobiegunowym, złożonym z USA, Chin i osobno Unii Europejskiej. Co prawda budżet 42 mld euro, przewidziany przez Komisję Europejską dla branży półprzewodników, wygląda skromnie na tle światowej konkurencji, ale słabość tę można równoważyć wspomnianym już monopolem ASML i próbą trzymania dystansu wobec dwóch zwaśnionych mocarstw. Chiny zachęcają do tego Europejczyków, kusząc ich swoim wielkim rynkiem.

Wyścig o prymat w sferze technologii trwa. Joe Biden zapowiada decydującą dekadę, a Xi Jinping wzywa rodaków do mobilizacji. Rzecz jasna, pod swoim przywództwem.

© PIOTR BERNARDYN

Co zrobisz, gdy to się skończy?

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z PRZEMYŚLA, LWOWA, KIJOWA, IRPIENIA, CHARKOWA I RUSKICH TYSZEK

Chcą pokoju. Jakie mają marzenia na czas powojenny? Zapytaliśmy o to Ukraińców z różnych zakątków kraju.

MAJA HORELKINA, 39 lat, specjalistka IT, Przemyśl

Gdyby dziś skończyła się wojna, pojechałabym do Kijowa. Tam jest moja rodzina i przyjaciele. Przytuliłabym ich wszystkich. Nie bałabym się puścić tam też córki Jewheniji, która mimo wojny nie zrezygnowała z marzenia, by otworzyć kawiarnię w Kijowie.

Plecak towarzyszy Mai od 2014 r. Wówczas w Donbasie wybuchła wojna między Ukrainą a wspieranymi przez Rosję separatystami. Donieck wpadł szybko w ręce tych drugich, a spokojne osiedle, na którym mieszkała Maja, stało się stanowiskiem ogniowym dla ich artylerii. Podczas każdego huku wówczas 5-letnia Jewhenija krzyczała „grom!" i biegła do korytarza, jak nauczyli ją rodzice.

Wtedy Maja spakowała plecak. Schowała do niego pieniądze, dokumenty, szczoteczki do zębów, bieliznę na zmianę i ciepłe ubrania. Walki się zaogniały i rodzina postanowiła wyjechać. Maja myślała, że jedzie na tydzień lub dwa. Wraz z córką udała się do Kijowa, gdzie spędziła większość z ostatnich ośmiu lat. Do Doniecka pojechała tylko raz, okrężną drogą, zabrać trochę rzeczy. Zobaczyła, że z miasta, które znała, została fasada. – Duszy już w nim nie ma – mówi. W Kijowie pracowała w tej samej firmie, co w Doniecku, gdzie zajmowała się wyposażaniem biur w serwery i sieć.

24 lutego 2022 r. w Kijowie zawyły syreny. Maja z 14-letnią już Jewheniją zeszły do piwnicy, skąd praktycznie nie wychodziły. Córka ze strachu nie mogła spać. Na początku marca, gdy w Kijowie było trochę spokojniej, wyjechały. Najpierw do Lwowa, potem Łańcuta, stąd do Przemyśla. Każde miejsce traktowała jako tymczasowe i wciąż miała nadzieję, że za tydzień lub dwa wróci do Ukrainy. Ale stopniowo ją traciła.

W Przemyślu znalazła pracę, córkę wysłała do szkoły. Maja pomaga m.in. w Domu Ukraińskim. Liczy, że dzięki temu dokłada swoją cegiełkę, by wojna szybciej się skończyła.

HAŁYNA TANAJ, 32 lata, dyrektorka operacyjna, Iwano-Frankiwsk i Lwów

W sierpniu w Kijowie miał być koncert Nicka Cave'a. Miałam bilety. Nie odbył się. Bardzo mi na nim zależało, bo ma on swoje lata, a ja na żywo go nie widziałam. Mogłabym pojechać na koncert do innego kraju, ale odkąd zaczęła się wojna na pełną skalę, nie mam ochoty wyjeżdżać. Jak się skończy, a Cave ciągle będzie na chodzie, pojadę na jego koncert.

Hałyna z 4-letnim synem Łuką przyjechała odwiedzić rodziców w Krzywym Rogu na południu kraju, skąd pochodzi. Mieli wracać po 20 lutego, ale Hałyna się rozchorowała. Tam zastała ją inwazja. Choć rakiety spadły na lotnisko, w mieście w pierwszych dniach było względnie spokojnie. W pewnym sensie Hałyna poczuła się lepiej, bo wszystko stało się jasne. – Zniknęły spekulacje, niedomówienia, zastanawianie się, co będzie – mówi.

Wkrótce Rosjanie zaczęli zbliżać się do miasta i mogli odciąć główną trasę wyjazdową. By nie trafić w pułapkę, z synem i rodzicami ruszyli w stronę zachodniej Ukrainy. Nie mieli planu. Hałyna, pracująca w marketingu, obdzwaniała znajomych, wreszcie napisała pytanie na Facebooku. Znajoma zwróciła się do niej z propozycją: miała dla niej mieszkanie i pracę. Rodzina zamieszkała w Iwano-Frankiwsku. Do pracy Hałyna dojeżdża ↦

↦ do Lwowa, gdzie została dyrektorką operacyjną Lwowskiego Forum Medialnego.

Jak niemal cała Ukraina, Hałyna z przejęciem śledziła losy obrońców Azowstalu, otoczonych przez Rosjan w Mariupolu. Dlatego gdy zobaczyła bransoletki wykonane z ostatniej partii metalu wytopionego w tej fabryce, chciała kupić jedną za wszelką cenę. Bransoletki cieszyły się taką popularnością, że padła strona internetowa je sprzedająca.

Swoją Hałyna nosi na prawej ręce. W chwilach słabości ten kawałek metalu przypomina jej, że żadne wyzwanie, przed którym staje, nie jest trudne w porównaniu z tym, co przeżyli obrońcy Azowstalu.

HAŁYNA ŁEHKOWA, 74 lata, emerytowana profesorka fizyki, Irpień

Czekam, aż wrócą z Niemiec córka i wnuk. Strasznie za nimi tęsknię. Zbierzemy się całą rodziną. Zrobię im ich ulubione jedzenie, na pewno upiekę tort napoleon. Będziemy się radować jak nigdy.

W marcu w podkijowskim Irpieniu z dnia na dzień sytuacja ulegała pogorszeniu. Rosjanie prący z północy starali się zająć to 65-tysięczne miasto. Ostrzały były codziennością. Hałyna nawet nie wie, kiedy wyjechali jej wszyscy sąsiedzi. W okolicy została sama. Czasami wyglądała zza zasłony. Widziała, jak ulice patrolowali Rosjanie. Gdy pewnego dnia pocisk trafił pobliski uniwersytet, jej domem wstrząsnęło. Nie mogła się do nikogo dodzwonić, nie było zasięgu. Żyła z zapasów i z ogrodu. – Mam piec z kominem i to on mnie ratował. Tam piekłam ziemniaki i gotowałam jedzenie w metalowym garnku – mówi. Ogrzewała nim też dom, w którym fale uderzeniowe po eksplozjach rozbiły część okien.

Jej dzieci nie miały z nią kontaktu. Spodziewały się najgorszego. Syn ruszył przez ostrzeliwane ulice, na piechotę. Wolontariusze poinstruowali go, jak iść, by nie dosięgli go snajperzy. Miał niewładną prawą rękę i liczył, że jego niepełnosprawność uchroni go w razie zatrzymania przez Rosjan. Trudno powiedzieć, kto był w większym szoku – Hałyna na widok syna czy on, widząc, że matka jest cała i zdrowa.

Dotąd Hałyna nie myślała o wyjeździe, ale nie mogła kazać synowi iść samemu. Spędzili noc w jej domu. Była straszna. Walki nie cichły. Jej dom znajdował się między walczącymi stronami. Pociski spadały blisko, zniszczono dom sąsiadów, a jej ocalał z tylko nieznacznymi szkodami. Wierzy, że to dzięki jej gorącym modlitwom do Matki Boskiej. Następnego dnia matka i syn wyruszyli i mimo toczących się wokół walk dotarli do wysadzonego mostu. Tam Hałyna widziała ciała cywilów, którzy uciekali autami i zginęli.

Gdy Rosjanie wycofali się z obwodu kijowskiego, wróciła do domu. Uporządkowała podwórko. Pozbierała odłamki. Zachowała je. Trzyma je do dzisiaj.

JURIJ KUZMIN, 39 lat, architekt, Kijów

Chcę zobaczyć córkę. Przytulić. Pójdziemy razem do restauracji na Zjeździe Andrijiwskim i zjemy barszcz.

Po tym, jak na Kijów spadły rakiety, Jurij poszedł do pracy. Nie traktował tego wszystkiego na serio. Miał mnóstwo roboty nad kampusem akademickim w Mariupolu, którego realizacją zarządzał. Wkrótce jednak ochrona kazała mu opuścić biuro. – Myślałem, że nasi im szybko nawalą, bo Kijów to forteca – przyznaje.

Jego córka, 7-letnia Uliana, mieszka wraz z jego byłą żoną. Z ich mieszkania widać Hostomel, gdzie trwały zacięte walki. Jurij następnego dnia przyszedł zakleić im okna. Przyglądali się chmurom dymu za oknem i doszli do wniosku, że nie wygląda to dobrze. Wsiedli w samochód i ruszyli do rodziców byłej żony Jurija, których wojna zastała w hotelu podczas wyjazdu na narty w Karpaty. Jurij pojechał w stronę Kijowa, gdy Uliana wraz z matką przekroczyły granicę, a następnie udały się do Turcji.

Nie wrócił do Kijowa, tylko pilnował domu dziadka. Chciał jakoś pomóc. Dlatego gdy nadarzyła się okazja, zgłosił się do kopania okopów. Był przekonany, że Kijów to forteca, bo znał jego umocnienia. Linia obronna zbudowana jeszcze za czasów II wojny światowej była miejscem, gdzie bawił się jako dziecko. Teraz na niej opierała się obrona stolicy. – Przypomniało mi się dzieciństwo, bawiłem się w tych samych okopach, tylko teraz jestem już dorosły, więc wszystko jest na serio – mówi.

Drewniana łopata średnio radziła sobie z zadaniem. Jurij zastanawiał się, czy kupić lepszą, a jeśli tak, to jaką. Znalazł metalową, którą reklamowano, że można dzięki niej kopać szybciej. Ale tylko raz z niej skorzystał, bo wojskowi już nie potrzebowali kopaczy. Nie lubi marnować pieniędzy, więc ciągle szukał okazji, by jej

użyć. W końcu zaczął pytać znajomych, czy im nie wykopać czegoś na działce.

OŁENA AŁCZANOWA, 33 lata, specjalistka ds. marketingu treści, Kijów

Po wojnie chcę polecieć do znajomych gdzieś w Europie. Nie ma znaczenia dokąd, bo nie podróż jest istotna, tylko powrót. Brakuje mi tego uczucia, gdy wracam stęskniona. Samolot zbliża się do lotniska w Boryspolu i widać z góry Kijów. Wtedy czuję, że jestem w domu.

Myślała, że to kolejny zły sen. Odkąd trwożne informacje zdominowały przestrzeń medialną, wojna nie dawała jej spokoju nawet w nocy. Spała w zatyczkach do uszu, bo jej kot głośno miauczał o świcie. Dlatego 24 lutego stłumione huki wydały się jej snem. Znów zamknęła oczy. Obudziła się, gdy zadzwonił budzik nastawiony na siódmą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tylu znajomych pyta, czy u niej w porządku. Dopiero wiadomość od przyjaciółki: „Zaczęła się wojna", wyjaśniła, skąd to nagłe zainteresowanie jej osobą.

Ołena pali już tylko sporadycznie, ale tego dnia musiała ukoić nerwy. Jej ręce trzęsły się tak, że ledwie skręcała papierosy. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Wreszcie sąsiedzi zaprowadzili ją do piwnicy w sąsiednim budynku. Wzięła dokumenty i trochę rzeczy, głównie dla kota.

W piwnicy mieszkał na oko trzydziestoletni Amerykanin, który nie chciał z nikim rozmawiać, ale ewidentnie nie podobali mu się nagli przybysze. Na ścianach wisiały plakaty Davida Bowiego, Metalliki i Patricka Swayze'ego. Był tam też router i prysznic – czwartego dnia Ołena myła tam włosy płynem do mycia naczyń.

Pierwszego dnia ułożyła się w ubraniu na paletach, bo nie zabrała koców. Ogrzewał ją leżący na niej kot. Doskwierał jej brak kawy – nie zdawała sobie sprawy, że jest od niej tak uzależniona. Dopiero następnej doby zebrała się na odwagę, by ruszyć do domu oddalonego o jakieś trzy minuty.

Oprócz koca i poduszki wzięła ekspres przelewowy i paczkę filtrów, żeby zaparzyć kawę. Już w piwnicy zorientowała się, że nie wzięła kawy. Na szczęście przyniosła ją sąsiadka. Ołena parzyła kawę dla wszystkich. Jej smak i kofeina poprawiały nastrój. – To nie do końca chodziło o samą kawę, tylko o przyzwyczajenie. Mózg zarejestrował coś znajomego. Dzień się zaczął. Żyjemy i nie ma znaczenia, że siedzimy w piwnicy – mówi.

PAWŁO KOWTONIUK, 38 lat, były zastępca ministra zdrowia, Kijów

Na sto procent wrócę do polityki. Ta myśl nie daje mi spokoju od lutego. Całe życie pracuję, by wyrwać nasz kraj z tego zasranego „sowka" i przywrócić go tam, gdzie jego miejsce, czyli Europie. Ta wojna pokazała, że nie można odpuścić.

W pierwszej dekadzie XXI w. Pawło uczył się na kierunku zarządzanie służbą zdrowia. Myślał, że gdy dorośnie, system będzie inny, już nie posowiecki, i że Ukraina będzie częścią Unii Europejskiej. W którymś momencie ogarnęło go przerażenie, że może jednak się myli i nic się nie zmieni, że niesprawny, skorumpowany system będzie istniał już zawsze.

Został zastępcą minister ochrony zdrowia Uliany Suprun, w której pokładano nadzieje co do reformy tej części systemu. Gdy jednak do władzy przyszedł Wołodymyr Zełenski, postawił na ludzi ze swojego otoczenia i politycznych nowicjuszy. Pawło miał żal, że nie pozwolono im dokończyć reform. Postanowił, że zrobi przerwę od polityki. Został jednym z założycieli centrum analitycznego, które działa na rzecz zmian w systemie ochrony zdrowia.

Drugiego dnia inwazji wyjechał z żoną i 6-letnią córką do Lwowa. Pakowali się szybko. Pawłowi przypomniało się, co mówiła koleżanka z pracy, która opuściła swój dom w 2015 r. Twierdziła, że najlepszym, co zrobiła w życiu, było zabranie z domu zdjęć. Małżeństwo również zabrało je ze sobą. A Pawło ma zawsze jakieś przy sobie.

To on naciskał, by wyjechać. Nie było jasne, czy Rosjanie nie zajmą Kijowa. On jako osoba publiczna mógł stać się ofiarą czystek. Dzień po wycofaniu się Rosjan z obwodu kijowskiego znowu byli w domu.

Wraz z zespołem centrum analitycznego zaczęli dokumentować zbrodnie wojenne wobec placówek ochrony zdrowia. Od lutego odnotowali 259 zniszczonych lub uszkodzonych obiektów. ↦

↦ OŁEH MAKOWEJCZUK, 28 lat, aktor teatralny, Charków

Wojna zabrała mi wolność, którą cieszy się ludność cywilna. Gdy się skończy, chciałbym ją odzyskać. Przynależeć sobie, a nie obowiązkom czy dowódcy. Jeśli będzie ciepło, pierwsze, co zrobię, to wsiądę na motor i objadę Ukrainę.

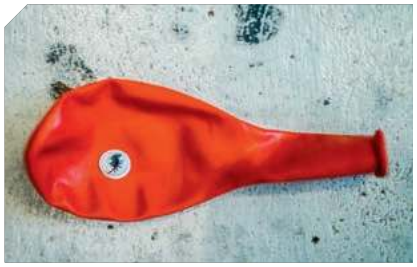

Dopiero w maju komisja poborowa przyjęła Ołeha. Minęło już sporo czasu, odkąd wywiózł byłą partnerkę i ich 3-letniego syna Kostię do Lwowa, skąd dalej udali się do Niemiec. On wrócił do Charkowa.

Wysłano go na szkolenia. Instruktorzy nauczyli go obsługiwać busolę, jak z pomocą kompasu korygować ogień, jak strzelać z różnego rodzaju broni. Trafił do załogi moździerza. Szybko odnajdował się w nowej roli. Do 24 lutego występował w teatrach i twierdzi, że dzięki takiemu doświadczeniu łatwo mu się adaptować w każdej sytuacji.

Wkrótce trafił na pozycję. Dwie załogi moździerza siedziały w lesie. Na początku było strasznie. Każdy szmer stawiał ich na równe nogi. Z czasem las stał się bliski Ołehowi. Już rozróżniał, kiedy przebiegł jeż, a kiedy wiewiórka. Tam często myślał o synu. Wyciągał wówczas z plecaka balon i plastikowe oczko z jakiejś zabawki, którą lubił się bawić Kostia. Wtedy wspomnienia stawały się żywsze. Syn lubił, kiedy Ołeh mocno dmuchał balon, a następnie puszczał, by latał po pokoju. Kostia wtedy biegał i próbował go złapać.

Gdy przyjechał na przepustkę pierwszy raz do rodziców, długo stał pod prysznicem, ciesząc się z ciepłej wody. Do lasu tak przywykł, że początkowo trudno było mu spać w łóżku. Wszyscy żołnierze mieli jamy. Ołeh wsypał do swojej trociny. Chował się do ciepłego nieprzemakalnego śpiwora. Nie zdejmował kamizelki kuloodpornej, by nie zakładać jej potem po omacku. Tak spędzał noce, poza tymi godzinami, gdy miał wartę.

Początkowo myślał, że zostanie w armii, ale teraz nie jest tego taki pewien. Gdy ostatnio zmrużył oczy na 10 minut, obudził się przerażony, w poczuciu, że zaspał. Potrzebuje odpoczynku.

OKSANA MALCEWA, 42 lata, kierowniczka oddziału poczty, Ruskie Tyszki

Kiedy ogłoszą zwycięstwo, pewnie popłaczę się ze szczęścia. Na samą myśl oczy mi zachodzą łzami. Wróciłyby moje dzieci, wszystkie bym przytuliła i zrobiła im szaszłyki.

Trzy dni przed inwazją do Oksany zadzwonił syn Mykyta. 19-latek od roku był artylerzystą. „Mamo, będzie wojna. Czekamy na rozkaz" – powiedział. Oksana płakała i myślała, co robić. Ma szóstkę dzieci, wszystkie poza Mykytą były w domu. To duża rodzina, więc trudno gdzieś z nią wyjechać, a potem wykarmić. Do tego miała pracę, była odpowiedzialna za przekazy gotówkowe i emerytury. Nie mogła jej po prostu porzucić, bo syn powiedział, że będzie wojna. Pogrążona w myślach, nie mogła zasnąć do rana. W pracy i domu wszyscy się z niej śmiali, gdy mówiła o wojnie. Nikt nie wierzył.

Ruskie Tyszki, leżące 20 km na północny wschód od Charkowa, znalazły się pod okupacją już w pierwszych godzinach ataku. Po strzałach schowali się do piwnicy. Potem przywykli. Syn Oksany powiedział jej, jak oceniać odległości, z jakich strzela rosyjska artyleria. Podczas ostrzału Oksana liczyła sekundy od błysku do huku i mnożyła razy 330 – w takich sposób wychodziły jej kilometry. Informacje przekazywała wojskowym przez Signal. Wszystko to robiła w sekrecie przed rodziną.

Pewnego dnia Rosjanie przyjechali do jej domu, bo zobaczyli, że kręciła się na wzgórzu, gdzie łapała internet. Na szczęście wcześniej usunęła wszystkie aplikacje z telefonu. Tłumaczyła im, że pracuje na poczcie i musi kontaktować się z innymi oddziałami, a tylko na wzgórzu łapie zasięg. Puścili ją wolno.

Pociski stopniowo równały z ziemią Ruskie Tyszki. W pobliżu jej domu spadły kilka razy. Najpierw podziurawiło im metalowy dach. Rodzina żartowała, że teraz mogą przez niego odcedzać makaron. Potem było mniej zabawnie. Pocisk kasetowy zabił jej psa i ranił 20-letnią córkę Zoję. Oksana w przeszłości była sanitariuszką, widziała operacje. Teraz musiała sama ją przeprowadzić. Zdezynfekowała ranę i pęsetę, wyciągnęła szrapnel i założyła szwy. Dopiero wtedy puściły jej nerwy i zaczęła szlochać, bo zrozumiała, że była o krok od utraty córki. Schowała szrapnel do portfela i do dzisiaj go nosi.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

▪ Tekst powstał przy wsparciu Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu w ramach programu Documenting Ukraine.

Historia walki, oporu, poświęcenia. Solidarności i pomocy.

To także nasza historia.

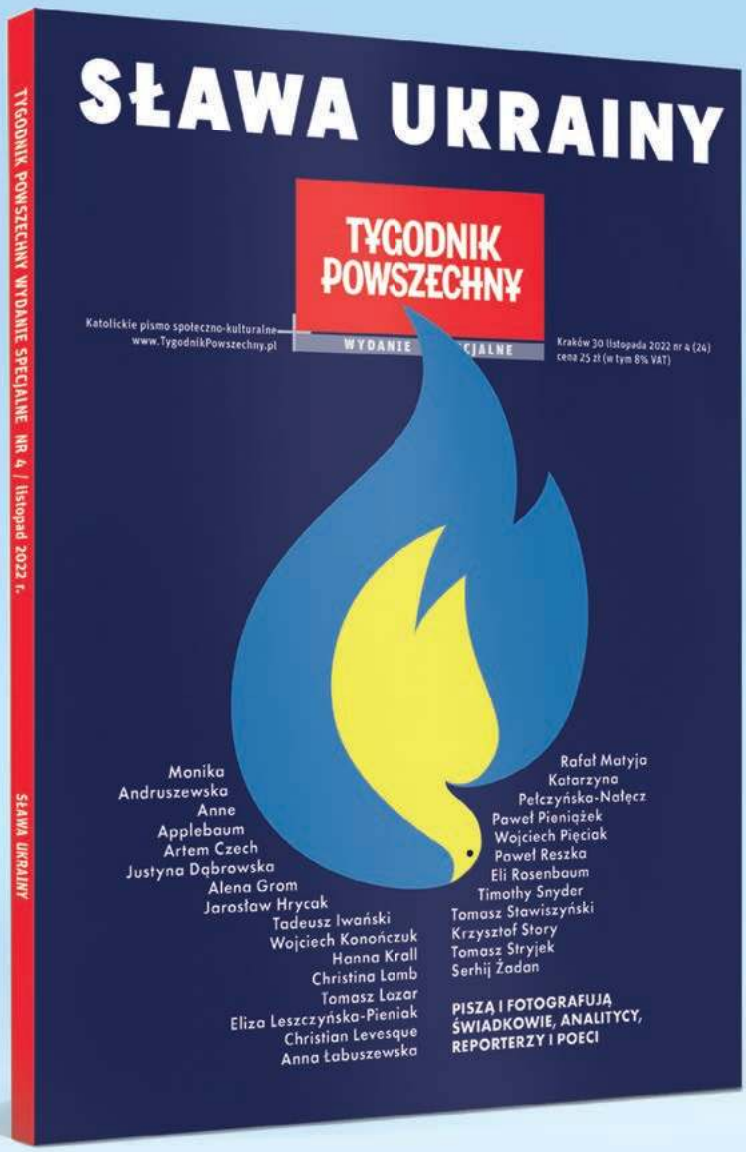

Lektury dotyczące Ukrainy w „Tygodniku” są ważne i opowiadają o rzeczach czasem aż nieprawdopodobnych. O tym, jak trudno jest się jej bronić, i o tym, jak skutecznie to robi. O uporze Ukrainy. Jest w nim także element niepoddający się zimnym analizom. Determinacja Ukrainy, która ani myśli o rezygnacji wobec szaleństwa Rosji. Duch oporu, który jest faktycznym bohaterem każdej zamieszczonej na naszych łamach korespondencji stamtąd.

ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego” już w sprzedaży.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą lub zamów swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl
E-wydane kupisz pod adresem powszech.net/slawaukrainy

REKLAMA

WSPÓŁWYDANIE:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022 Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec i Goethe-Institut www.goethe.de.

Federal Foreign Office

GOETHE INSTITUT

Twittera portret własny

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Chciał być apostołem wolności słowa w mediach społecznościowych. W ciągu dwóch miesięcy, które minęły od zakupu Twittera, Elon Musk udowodnił jednak, że nie ma o niej pojęcia.

Skojarzenie z tym, jak Elon Musk zarządzał Teslą i SpaceX – firmami, które przyniosły mu pieniądze i sławę – narzuca się samo. W nich też masowo zwalniał, a tych, którzy zostali, straszył, że wylądują na bruku, i wymagał, by zostawali w pracy przez wiele dni. Z Twittera już teraz zwolnił połowę z 7,5 tys. pracowników (kolejne 1,2 tys. złożyło wymówienia), a w głównej siedzibie firmy w San Francisco w niektórych pomieszczeniach pojawiły się łóżka.

Różnica z innymi firmami Muska polega na tym, że Twitter to nie wschodzący *start-up*, tylko istniejąca od półtorej dekady jedna z najbardziej wpływowych platform społecznościowych świata.

„Wolne słowo jest podstawą funkcjonującej demokracji, a Twitter jest cyfrową agorą, gdzie dyskutowane są sprawy istotne dla przyszłości ludzkości" – deklarował Musk w komunikacie dotyczącym zakupu serwisu. Jednak zamiast do poważnej dyskusji przyłożył się do tego, że Twittera nęka dziś niespotykana wcześniej plaga fałszywych kont, mowa nienawiści, coraz częstsze usterki oraz exodus reklamodawców.

Od dwóch miesięcy firma kroczy od wpadki do wpadki, w zasadzie za każdym razem generowanej przez nowego prezesa. Mało tego: wygląda na to, że tych wszystkich, którzy uwierzyli Muskowi, iż na Twitterze zapanuje całkowita wolność słowa, a znikać będą tylko treści niezgodne z prawem, zwyczajnie wystrychnął on na dudka.

Pierwsze 24 godziny

Jedną z osób, które straciły pracę natychmiast po tym, jak ekscentryczny miliarder przejął kontrolę na Twitterem, była Vijaya Gadde.

Od 11 lat odpowiadała w serwisie za politykę moderowania treści. To jej zespoły likwidowały konta rosyjskich trolli i zwalczały dezinformację na temat pandemii. To ona w 2019 r. przekonała zarząd firmy do wprowadzenia zakazu sprzedawania partiom politycznym reklam, a półtora roku później stała za zawieszeniem konta byłego prezydenta USA Donalda Trumpa. Musk nazywał ją „głównym cenzorem" serwisu. Tak szybko odebrano jej wszelkie dostępy do firmowych systemów, że nawet nie zdążyła wysłać pożegnalnego maila do współpracowników.

Już kilka godzin po tym, jak zwolnił Gadde, nowy prezes spotkał się z jej następcą Yoelem Rothem. Rozmowa, przeprowadzona w firmowej kuchni, nie dotyczyła planów nowego kierownictwa, lecz przywrócenia lubianego przez Muska konta Babylon Bee. Zawieszono je za homofobiczne komentarze pod adresem prof. Rachel Levine, transpłciowej asystent sekretarza zdrowia USA.

Dla Muska był to ponoć symbol skrętu Twittera w stronę liberalną, który to skręt

obiecywał naprostować. Yoel Roth zaproponował, by nie przywracać natychmiast Babylon Bee, lecz w ciągu kilku miesięcy wprowadzić nową politykę serwisu i wówczas – zamiast blokować konta, które zamieszczają obraźliwe tweety – ukrywać je za ostrzeżeniami, jak dzieje się to już teraz w przypadku politycznej dezinformacji.

Musk się zgodził. Ale już następnego dnia wrócił z żądaniem, by Babylon Bee i kilka innych kont natychmiast przywrócić. Ustąpił dopiero wobec argumentu, że to wywoła niepotrzebną burzę w ciągu jego pierwszej doby za sterami firmy.

Za osiem dolarów

Skandal wybuchł jednak i tak szybko – trzeciego dnia prezesowania Muska.

30 października Musk udostępnił artykuł z tezą, że mężczyzna, który zaatakował młotkiem męża spikerki Izby Reprezentantów, był jego kochankiem; okazało się, że była to nieprawda. Zanim Musk usunął wpis, został on retweetowany 24 tys. razy i polubiony przez 86 tys. użytkowników.

Można odnieść wrażenie, że to – oraz powtarzane przez miliardera zapowiedzi „uwolnienia ptaszka" i „abolicji" dla zablokowanych wcześniej twitterowiczów – tylko ośmieliły siewców kłamstw i nienawiści. Z danych organizacji Center for Countering Digital Hate wynika, że po przejęciu Twittera przez Muska wzrosła liczba postów zawierających mowę nienawiści – w tym w przypadku ataków na osoby czarnoskóre aż trzykrotnie.

Najcięższym ciosem, jaki dotąd nowy prezes zadał Twitterowi, było wprowadzenie funkcji Twitter Blue Verified. To płatna wersja konta (za 8 dolarów miesięcznie), która miała zastąpić działającą wcześniej w serwisie weryfikację tożsamości użytkownika.

MICHAŁ DYAKOWSKI

Pracownicy Twittera, w tym Roth, apelowali do Muska, by na jakiś czas się z tym wstrzymał. Ponoć się zgodził, ale wkrótce decyzję zmienił i 9 listopada funkcję wprowadzono. Wraz z nią pojawiła się lawina „uwierzytelnionych" kont trolli. Jedno z nich, podszywające się pod farmaceutycznego giganta Eli Lilly, ogłosiło, że insulina – jedno z głównych źródeł dochodów tego koncernu – będzie darmowa. W ciągu kilku godzin koncern Eli Lilly stracił na wartości 15 mld dolarów.

W odpowiedzi Musk ogłosił, że za podszywanie się pod kogoś innego będzie wyrzucał z portalu. Nową funkcję wyłączono po dwóch dobach.

Edykty absolutysty

Musk, który sam siebie nazywa „absolutystą wolności słowa", wyjątkowo łatwo odmówił tej wolności swoim nowym pracownikom – kilkoro z nich wyrzucił za to, że na jednym z firmowych kanałów komunikacji pisali, iż nowy prezes nie konsultuje z nikim kluczowych posunięć dotyczących firmy. Mówiąc wprost: że wziął się za coś, na czym się nie zna. Kilkanaście dni temu pracownicy Twittera dostali od Muska mail, w którym zagroził im pozwami, jeśli powiedzą do mediów coś złego o swym pracodawcy.

Yoel Roth złożył wypowiedzenie po niespełna trzech tygodniach na nowym stanowisku. Później publicznie zabrał głos tylko raz. W artykule opublikowanym w „New York Timesie" wyjawił, że odkąd stery w Twitterze objął „absolutysta wolności słowa", wbrew jego zapowiedziom nie ograniczono cenzurowania treści wyłącznie do usuwania wpisów niezgodnych z prawem, lecz Musk osobiście „upoważnił zespół do bardziej agresywnego działania w celu usuwania mowy nienawiści". Problem jednak w tym, że po masowych zwolnieniach nie bardzo kto ma to robić. A do tego „usuwanie mowy nienawiści" wcześniej czy później spotka się ze wściekłą krytyką tych, którzy nie widzą w niej nic złego.

Pewien przedsmak tego daje przywrócenie konta muzyka Kanye'ego Westa, który kilka dni po powrocie do serwisu opublikował obrazek ze swastyką wpisaną w gwiazdę Dawida – i ponownie został zablokowany. Musk podjął osobiście decyzję w tej sprawie. „Zatem, Elon, jak tam idzie z tą wolnością słowa? – szydził na Instagramie gwiazdor rocka Jack White. – Och, widzę, musisz wybierać, kto ją ma, a kto nie? Co za liberalny mazgaj zawiesza komuś wolność słowa?" – ironizował.

Cicho zbanowany

Yoel Roth tak uzasadnił swoją rezygnację: „Twitter, którego polityka definiowana jest przez edykty, nie potrzebuje zespołu ds. zaufania i bezpieczeństwa pracującego nad tym, by jego rozwój był oparty na wartościach".

Ujmując problem mniej dyplomatycznie, Musk wrzucił do kosza wypracowywane od 16 lat zasady Twittera i wygląda na to, że teraz sam je ustala. O tym, jak stały się nieprzejrzyste, może świadczyć nagły spadek zasięgów konta @ElonJet, które informuje o wszystkich lotach wykonywanych przez prywatny samolot Muska, dodając przy okazji informację o ilości wyprodukowanych przy tej okazji gazów cieplarnianych. Według właściciela konta, Jacka Sweeneya, jeden z pracowników serwisu dyskretnie poinformował go, że został „cicho zbanowany" – czyli że użytkownicy dowiadują się o jego tweetach dopiero, gdy je wyszukają.

Jak Musk odpowiedział na zarzuty Rotha? Zaczął publikować wyrwane z kontekstu jego stare tweety i fragmenty pracy doktorskiej, insynuując, że były dyrektor... propaguje pedofilię.

Władza reklamodawców...

Te szczególne wolnościowe ambicje Muska mogą zostać skutecznie ograniczone przez reklamodawców. Z reklam pochodzi 90 proc. przychodów Twittera i nic nie zapowiada, by miało się to szybko zmienić – choć kilkanaście dni temu serwis zrobił drugie podejście do opcji płatnych kont.

Tymczasem reklamodawcy błyskawicznie zareagowali na falę hejtu i dezinformacji w serwisie. Z nieoficjalnych danych wynika, że od przejęcia firmy przez Muska kampanie reklamowe na Twitterze zawiesiła lub znacznie ograniczyła co najmniej jedna trzecia ze stu największych reklamodawców, którzy łącznie w ciągu ostatnich dwóch lat przelali na konta Twittera 2 mld dolarów. Są wśród nich Audi, Pfizer czy General Mills.

Nawet jeśli Muskowi udałoby się wyrwać Twittera spod reżimu reklamodawców, z ustawodawcami nie pójdzie mu już tak łatwo. W USA wielu członków Kongresu, zarówno z lewej, jak i prawej strony sceny, ale także potężna Federalna ↦

↦ Komisja Handlu, już zaczyna wyrażać obawy związane z posunięciami Muska. Również przedstawiciele Unii Europejskiej przekazali mu ostrzeżenie, że jeśli Twitter nie będzie przestrzegał europejskich przepisów dotyczących mowy nienawiści i dezinformacji, to zostanie zbanowany w Europie albo ukarany drakońskimi grzywnami.

...i władza sieci

„Jest jeszcze jedno źródło władzy w sieci" – zauważa w swoim artykule Roth. To internetowe sklepy koncernów Google i Apple. One decydują, jakie aplikacje będzie można z nich pobrać.

„Gdy pracowałem w Twitterze, ich przedstawiciele regularnie zgłaszali wątpliwości dotyczące treści dostępnych na naszej platformie. Przy jednej z takich okazji członek zespołu recenzującego naszą aplikację skontaktował się z nami i przyznał skonsternowany, że szukał #boobs [ang. cycki – red.] w aplikacji Twitter i znalazł... dokładnie to, czego można się spodziewać. Innym razem, w przeddzień ważnej premiery, recenzent wysłał zrzuty ekranu anglojęzycznych tweetów sprzed kilku dni zawierające obelgi rasowe, pytając, czy powinny się znajdować na Twitterze" – opisuje Roth.

Niedostosowanie się do wytycznych może prowadzić do usunięcia aplikacji ze sklepów Google i Apple, a to wiąże się nieraz z wielomilionowymi stratami. A że wytyczne często wprowadzane są arbitralnie przez oba koncerny, a nie – jak chciałby Musk – wynikają z ograniczeń prawnych? „Steve Jobs uważał, że porno nie powinno być dostępne w App Store, więc nie jest tam dozwolone" – stwierdza Roth. Tylko czy brak legitymacji prawnej dla takich decyzji rzeczywiście jest ograniczeniem wolności?

Paradoksy wolności

Próbując ratować sytuację, Musk napisał list do reklamodawców, w którym podkreślał, że kupił Twittera „dla przyszłości cywilizacji", gdyż kluczowe jest dla niej „posiadanie wspólnej cyfrowej agory, gdzie szeroki zakres przekonań może być dyskutowany w zdrowy sposób". „Obecnie istnieje duże niebezpieczeństwo, że media społecznościowe rozpadną się na skrajnie prawicowe i skrajnie lewicowe komory echowe, które wygenerują więcej nienawiści i podzielą nasze społeczeństwo. W nieustannej pogoni za kliknięciami wiele tradycyjnych mediów napędza i zaspokaja te spolaryzowane ekstrema, ponieważ wierzą, że to jest to, co przynosi pieniądze, ale czyniąc to tracimy możliwość dialogu" – napisał Musk.

> Największą tamą dla zapędów Muska mogą być użytkownicy Twittera. Niekoniecznie chcą oni **takiej swobody, jaką im proponuje.**

Bez względu na to, ile w tych patetycznych deklaracjach jest pustosłowia, przede wszystkim kryją się w nich głębokie wady. Musk wydaje się wierzyć, że antidotum na problemy mediów społecznościowych jest wolność, która sprawi, że pojawią się konkurujące ze sobą idee, a najrozsądniejsze z nich zostaną wyniesione na sam szczyt.

To nieprawda. Po pierwsze dlatego, że prawa strona sceny rozmawia tylko ze sobą, tak samo zresztą jak i lewa strona – i we wzajemnie debaty w zasadzie się nie angażują. Co więcej, to, że wyjdą ze swoich „baniek" i wejdą w interakcję z drugą stroną, wcale nie oznacza porozumienia. Przeciwnie, istnieje coraz więcej dowodów na to, że właśnie z tego powodu obie grupy będą się jeszcze bardziej polaryzować.

Celem większości użytkowników mediów społecznościowych nie jest bowiem angażowanie się w rozsądną debatę i przekonywanie innych do swoich poglądów, lecz zdobycie jak największej liczby reakcji ze strony innych, często poprzez atakowanie osób o przeciwnych poglądach.

MICHAŁ DYAKOWSKI

W ten sposób efektem wyjścia z własnej komory echowej jest, kontrintuicyjnie, wywołanie jeszcze większego konfliktu. Aby doprowadzić do realnych zmian w mediach społecznościowych, należałoby najpierw zmienić to, jak działają ich algorytmy, które teraz przede wszystkim windują wpisy budzące najwięcej reakcji użytkowników.

Nadzieja w użytkownikach

Choćby z tych powodów antidotum na problem nie jest – proponowane przez Muska – jeszcze więcej wolności. Prof. Stephan Lewandowsky, kierownik katedry psychologii poznawczej w School of Psychological Science na Uniwersytecie w Bristolu, zauważa w opublikowanym niedawno artykule: „Bez umiaru platformy społecznościowe stają się szambem mizoginii, nienawiści rasowej i antysemityzmu, bez żadnej możliwej do wyobrażenia korzyści dla społeczeństwa. Zaprzeczanie Holokaustowi nie jest wyrazem wolności wypowiedzi – to mowa nienawiści, która co najmniej pośrednio nawołuje do dyskryminacji lub przemocy. Chęć zniesienia umiaru jest w najlepszym razie płytką i nieświadomą interpretacją wolności słowa".

Wiele wskazuje, że przynajmniej na razie największą tamą dla zapędów Muska mogą być użytkownicy. Okazuje się, że niekoniecznie chcą oni w mediach społecznościowych takiej wolności, jaką im proponuje.

Z przeprowadzonego wśród Amerykanów sondażu ośrodka YouGov, który opublikowano w połowie grudnia 2022 r., wynika, że aż 78 proc. respondentów uważa, iż moderatorzy mediów społecznościowych powinni kasować wpisy nawołujące do przemocy. Z kolei 70 proc. chce zakazu zamieszczania treści nawołujących do nienawiści lub rasizmu, a 59 proc. uważa, że serwisy społecznościowe są odpowiedzialne za zapobieganie rozpowszechnianiu teorii spiskowych i fałszywych informacji.

Nadzieja zatem, jak na razie, w użytkownikach. Czyli w nas.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Miecze i lemiesze

WOJCIECH JAGIELSKI

Wiktor But zawdzięcza wojnom wszystko: majątek, sławę i pełnię życia. Właśnie odzyskał wolność – także dzięki wojnie.

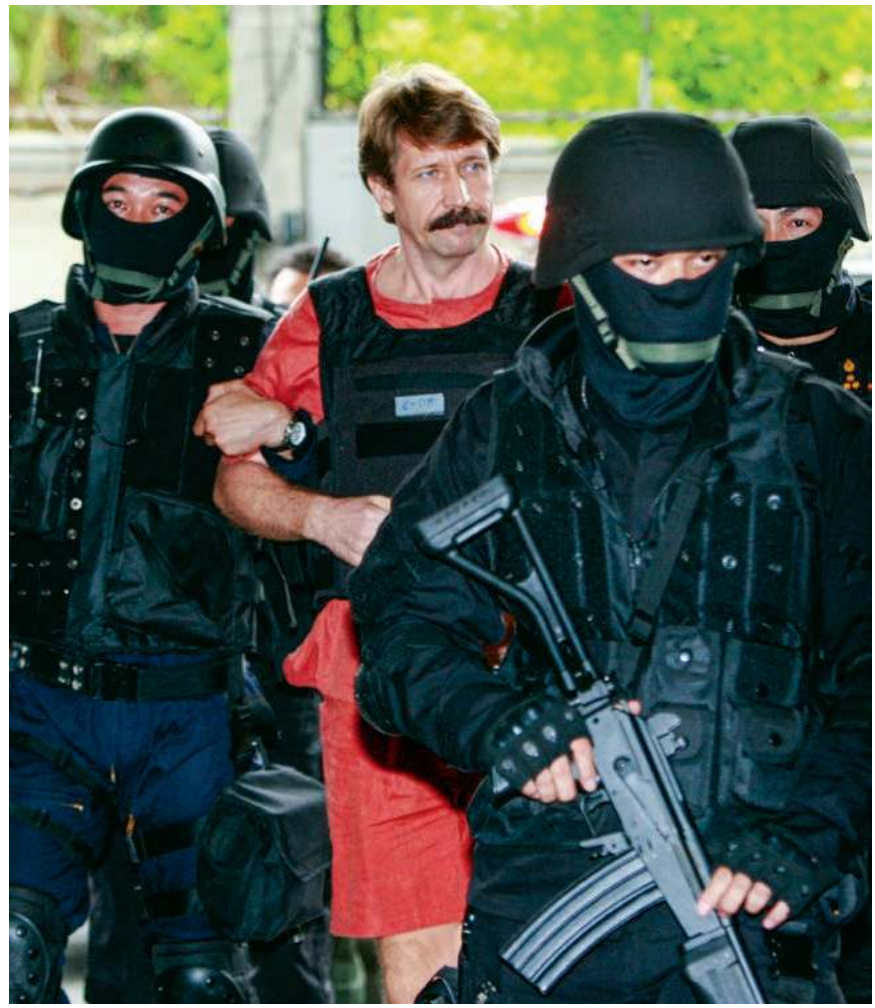

ZORANA JEVTIC / REUTERS / FORUM

Wiktor But prowadzony na rozprawę do sądu karnego w Bangkoku. Tajlandia, 5 października 2010 r.

Na przełomie wieków XX i XXI ten obywatel Rosji cieszył się sławą największego, najzuchwalszego handlarza i przemytnika broni na świecie. W branży, która wymaga dyskrecji, Wiktor But uchodził za gwiazdę. Napisano o nim książkę, a w Hollywood nakręcono film „Pan życia i śmierci", w którym w jego postać wcielił się Nicolas Cage. ONZ przeklinała go jako podżegacza wojennego, brytyjski dyplomata nazwał go „handlarzem śmiercią", Amerykanie ogłosili zaś, że stanowi zagrożenie dla pokoju.

Przez prawie 20 lat But dostarczał wszelką możliwą broń na każdą z ważniejszych wojen. Cieszył się opinią dostawcy pewnego i takiego, który potrafi spełnić każdą zachciankę, wydobyć towar choćby spod ziemi. Dostarczał go wojskowymi samolotami z demobilu. Raporty ONZ wspominały, że ma największą na świecie prywatną powietrzną flotę transportową.

Dziennikarze, którzy śledzili jego karierę, pisali, że But zrewolucjonizował handel bronią. Nazywali go „McDonaldem branży", „uosobieniem globalizacji zbrodni", jej „znakiem firmowym". „Miał wyjątkowy dar, który pozwalał mu przewidzieć, dokąd zmierza świat – napisał autor jego biografii. – Wyróżnił go rozmach i upór. Był największy i nie miał sobie równych".

Dawno temu w Duszanbe

Przyszedł na świat w 1967 r. w Duszanbe, stolicy Tadżykistanu, sowieckiej kolonii w Azji Środkowej. Rodzice byli typowymi rosyjskimi osadnikami wędrującymi po rubieżach imperium, gdzie Słowianie mogli liczyć na lepsze posady i zarobki. On też nie zapuścił nigdzie korzeni, wędrował po kontynentach jak koczownik.

Był uczniem bystrym i chętnym do nauki, ale zapewne utknąłby, jak rodzice, w prowincjonalnym Duszanbe, gdyby nie znajomość z Ałłą Zinginą, przyszłą żoną (są ze sobą do dziś). Kiedy odsłużył wojsko, ojciec Ałły, dygnitarz w tadżyckim KGB, pomógł mu dostać się do Wojskowego Instytutu Języków Obcych w Moskwie, a później załatwił służbę w pułku lotnictwa transportowego w Witebsku. But, który dziś włada biegle kilkoma językami obcymi, nie był nawet żołnierzem, lecz tłumaczem.

Podczas studiów umieszczono go w grupie specjalizującej się w języku portugalskim. Jako tłumacz podróżował z sowieckimi doradcami wojskowymi do Angoli i Mozambiku, których rządy wspierała wtedy Moskwa. Prawie każdy lot był związany z dostawami broni.

Zaprzeczał jednak, gdy mówiono, że akademia, w której studiował, była wylęgarnią i dyplomatów, i szpiegów. Zapewniał, że polityka nigdy go nie zajmowała, a w młodych czasach marzył o podróżach, o Afryce, o fotografowaniu przyrody. Ci, którzy znali go z tamtych czasów, twierdzili jednak, że myślał tylko o pieniądzach.

Gdy świat wali się na głowę

W grudniu 1991 r., kiedy rozpadł się Związek Sowiecki, But przygotowywał się do przyjęcia z okazji 25. urodzin. Świat, w którym wyrastał, przestał istnieć, zanim on zdążył na dobre wkroczyć w dorosłość. Ale gdy inni załamywali ręce, że ich życie zamienia się w gruzy, But wciąż wierzył, że je dopiero zaczyna, i zamierzał czerpać z niego pełną garścią. Upadek starego świata nie jawił mu się wyłącznie jako katastrofa, ale także wyzwanie i nieograniczone ↦

↦ możliwości dla śmiałków. Dla kogoś takiego jak on.

Rzucił się w nieznane wody interesów. Postawił na handel. Wykorzystując znajomości i doświadczenie z wojska i lotnisk, założył firmę transportową, by przewozić towary, choćby z końca świata. Pierwsze trzy wojskowe samoloty – stare, dwusilnikowe typu Antonow-8 – kupił za ok. 120 tys. dolarów. Były tanie, bo zostały już wyrejestrowane ze służby i przeznaczone na złom. But je wyremontował.

Amerykański dziennikarz Douglas Farah, który napisał biografię Buta, twierdzi, że wcale nie musiał płacić za samoloty, których pełno stało bezużytecznych, niby niczyich, na wojskowych lotniskach od Smoleńska po Chabarowsk. Równie bezczynni oficerowie uznali, że warto na nich zarobić. Kiedy zgłosił się do nich But, wydali mu samoloty w zamian za udział w zyskach.

Pierwszy wyprawił do Danii po meble firmy Ikea, uważane wówczas w Rosji za krzyk mody. Wkrótce samoloty Buta latały do wolnocłowych emiratów nad Zatoką Perską, skąd sprowadzano wszystko, czego rosyjskim nowobogackim brakowało. Kupował kolejne antonowy i iljuszyny z demobilu, remontował i wysyłał w trasy. Najlepsze były wojskowe transportowce. Brał je wraz z załogami, wdzięcznymi za zarobek i cel w życiu.

W połowie lat 90. miał już setkę samolotów. Z Rosji przeniósł się do Odessy, stamtąd do Ostendy, południowoafrykańskiego Pietersburga, wreszcie do Szardży nad Zatoką Perską. Działał globalne i zatrudniał tysiąc pracowników.

Majątek przyniósł mu handel kwiatami, mieczykami, które woził z RPA do emiratów znad Zatoki Perskiej (pięćdziesięciokrotne przebicie) i mrożonymi kurczakami wożonymi do Nigerii (przebicie dziesięciokrotne). Wkrótce zrozumiał jednak, że największy zarobek zapewni broń.

Za zgodą Rosji

Mówiono o nim: uboczny, zły skutek zakończenia zimnej wojny, „bękart wojny".

Bo koniec zimnej wojny i upadek muru berlińskiego nie stały się końcem wszystkich wojen na świecie. Pozostawieni sami sobie, dawni protegowani Waszyngtonu i Moskwy w Azji czy Afryce dalej walczyli, teraz jednak zapomniani i ignorowani w Europie i Ameryce.

W epoce zimnej wojny handel bronią oraz wojskowe wspieranie rozmaitych reżimów lub zwalczających je partyzantek były domeną rządów zwalczających się bloków. Nawet handlarze bronią i żołnierze najemni nie ośmielali się działać bez błogosławieństwa którejś z metropolii. Teraz, w nowych czasach, zadanie zaopatrywania walczących wzięli na siebie prywatni handlarze, których całe tuziny pojawiły się szczególnie na gruzach byłego Związku Sowieckiego.

Zazwyczaj byli nimi niedawni dygnitarze ministerstw obrony, wywiadu lub przemysłu zbrojeniowego. Przejęli po imperium infrastrukturę, kontakty, pośredników, kanały przerzutu. Niektórzy wciąż świadczyli dyskretne usługi rządom. Większość jednak dostrzegła w handlu bronią wyłącznie intratny interes. Posowieckie śmiercionośne arsenały – z wyjątkiem nuklearnych – były rozkradane i rozprzedawane podobnie jak ropa, gaz ziemny czy złoto.

„But widział te nieprzebrane arsenały broni i tłum chętnych, którzy gotowi byli wydać fortunę, by je kupić – pisał jego biograf. – Przez następnych 10 lat handlował już niemal wyłącznie bronią. Bardzo wątpliwe, by mógł to robić bez wiedzy i zgody rosyjskich służb specjalnych czy wywiadu wojskowego".

Listonosz wszystkich

Broń zaczął najpierw wozić do Afganistanu. Mudżahedini, którzy wykrwawili armię sowiecką i po dziesięcioletniej okupacji zmusili ją do wycofania się spod Hindukuszu, nie potrafiąc podzielić się władzą rzucili się sobie do gardeł i rozpętali nową wojnę, domową. Rosja wolała zachować przynajmniej pozory bezstronności, więc broń dla prezydenta Burhanuddina Rabbaniego i jego ministra wojny Ahmada Szaha Masuda woził But. Gdy w połowie lat 90. w Afganistanie zjawili się talibowie i odebrali władzę Rabbaniemu i Massudowi, zaopatrywał jednych i drugich.

Dostarczanie broni obu wojującym stronom stało się jego znakiem firmowym. Nie tylko podwójnie zarabiał, ale nie pozwalał przygasnąć żadnemu z konfliktów, z których żył. Nikt się nie obrażał. But był bowiem praktycznie jedynym zaopatrzeniowcem specjalizującym się w dostawach do krajów objętych międzynarodowymi embargami.

Taki handel przyniósł mu górę złota. „Zakazanym" klientom mógł sprzedawać broń drożej niż prawowitym rządom. To nie on musiał zabiegać o życzliwość klientów, lecz oni o jego przyjaźń. Wystarczyło, aby się obraził, a strumyczek broni dla kacyków i watażków wysychał. Ceniono go, porównywano do sumiennego listonosza, który przyniesie w terminie każdą przesyłkę. „Nie zabija się listonoszów za to, że przynoszą listy także sąsiadom" – powiedział o nim jeden z jego klientów.

Woził zresztą także worki z pomocą dla ofiar suszy i powodzi w Afryce, a także zabójczego tsunami na Oceanie Indyjskim, wojska pokojowe ONZ do Somalii, Sierra Leone i na Timor Wschodni czy francuskich spadochroniarzy i Legię Cudzoziemską posłanych do Rwandy, by przerwali ludobójczą rzeź. Świadczył usługi wszystkim, którzy płacili.

Głównie jednak woził broń. Poza Afganistanem przerzucał ją na Bałkany i Bliski Wschód, do Libanu, gdzie tamtejszy Hezbollah marzył o świętej wojnie przeciw Izraelowi. Najwięcej klientów miał w Afryce. Na przełomie stuleci nie było tam chyba wojny, której nie pomógłby rozpalić, ani kraju, którego bogactw by nie wywoził dla zarobku.

Sprowadzał więc broń dla dyktatora z Kinszasy Mobutu Sese Seko, ale uzbrajał też jego wrogów, powstańców, którzy podnieśli bunt w dżungli Kisangani i nad jeziorem Kiwu. Zaopatrzone w fałszywe dokumenty przewozowe (But zdobywał je dzięki znajomościom), lądowały w Egipcie, Dżibuti, Zimbabwe lub Togo, skąd przeładowywano je do innych samolotów, a te lądowały już na tajnych lotniskach w dżungli lub na sawannie. Woził broń rebeliantom UNITA z Angoli, partyzantom z Sudanu i ludobójcom Hutu z Rwandy, którzy po dokonanej w 1994 r. rzezi Tutsi skryli się na kongijskich brzegach jeziora Kiwu, skąd szykowali się do nowej wojny. Jego samoloty widziano w roponośnej delcie Nigru i w Mogadiszu, gdy rządzili tam somalijscy talibowie.

Najlepszymi klientami Buta byli przywódcy Libii, Burkina Faso i Liberii, Muammar Kaddafi, Blaise Compaoré i Charles Taylor, którzy umyślili sobie, by wzniecać wojny domowe w krajach Afryki Zachodniej – udało się je wywołać w Liberii, Sierra Leone, Gwinei i Wybrzeżu Kości Słoniowej – i plądrować

ich bogactwa. But woził im broń, a jako zapłatę kazał ładować do swoich samolotów diamenty, cenne metale i drewno, narkotyki, kawę, nawet ryby (pilnował, by jego samoloty nie latały z pustymi ładowniami).

Handlarz śmiercią

Działalność Buta na zachodzie Afryki – zwłaszcza w wojnie w Liberii, uchodzącej za najbardziej barbarzyński konflikt współczesności (zginęło w niej ponad ćwierć miliona ludzi, jedna dziesiąta ludności kraju, a jedna trzecia stała się bezdomnymi tułaczami i uciekinierami) – zaniepokoiła w końcu rządy Zachodu, wciąż przekonanego, że wolny rynek, wielopartyjna demokracja i prawa człowieka załatwią wszystkie kłopoty wynikłe z końca zimnej wojny.

To wtedy w brytyjskim parlamencie nazwano go „handlarzem śmiercią", a Amerykanie uznali go za zagrożenie dla światowego pokoju. W Brukseli rozesłano za nim listy gończe pod zarzutem przemytu diamentów i prania brudnych pieniędzy. W ślad Belgii poszła RPA. Prześladowcy Buta szybko zrozumieli jednak swoją bezsilność. Handel bronią nie jest bowiem zbrodnią, nie zakazuje go żadne prawo. Zaleceniem, a nie nakazem, są nawet ogłaszane przez ONZ i notorycznie łamane embarga.

But nie przejmował się pościgiem, ale na wszelki wypadek przeniósł się do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie pod opieką miejscowego emira pławił się w luksusach.

Martwić się zaczął 1 września 2001 r., gdy jego klienci, dżihadyści z Al-Kaidy, którym pomagał bogacić się przemycając diamenty z Afryki, przypuścili zuchwały atak na USA. Co gorsza, rozkaz do ataku wydano z Afganistanu rządzonego przez talibów, którym But sprzedawał broń. Amerykanie okrzyknęli go diabłem wcielonym, a Brytyjczycy, którzy wraz z nimi sposobili się do najazdu na Irak, oskarżyli Buta o przemyt technologii rakietowych dla Saddama Husajna, tyrana z Bagdadu.

Wydawało się, że nic nie uratuje już kariery Wiktora Buta. Ale gdy po inwazji na Afganistan Amerykanie wraz z Brytyjczykami i wszystkimi armiami Zachodu najechali na Irak, okazało się, że ich żołnierzy i broń pod Hindukusz, a także nad Tygrys i Eufrat, wozi swoimi samolotami Wiktor But. Znów okazał się najlepszy. Nie zawracał sobie głowy biurokracją, urzędowymi pozwoleniami ani polisami ubezpieczeniowymi, o nic nie pytał. „Nie jestem handlarzem broni. Ja tylko dostarczam przesyłki – tłumaczył w 2003 r. dziennikarzowi „New York Timesa" – Zresztą zabijają nie karabiny, lecz ludzie".

> Żona Buta twierdzi, że USA proponowały mu azyl, jeśli podzieli się swoją wiedzą. Nie pisnął słowa. **Moskwa wynagrodziła mu to milczenie.**

Zasadzka w Bangkoku

Na wszelki wypadek zaszył się w podmoskiewskim Golicynie. Wiedział, że choć wysługuje się amerykańskim generałom i szefom przemysłu zbrojeniowego, prowadzącym wojny w Afganistanie i Iraku, inni Amerykanie, dyp lomaci i księgowi z Waszyngtonu tropią i zamrażają jego konta bankowe, domagają się ekstradycji, postawienia przed sądem, choćby pod byle pretekstem. Rosja nie zamierzała go jednak nikomu wydawać.

Nie wiadomo, co skłoniło go do zagranicznej podróży. Może poczuł się zbyt pewnie? Może zaczął dokuczać mu brak przygód, życie w cieniu? Jego żona Ałła twierdziła, że zajęcie przez Amerykanów kont sprawiło, iż Butom zaczęło brakować pieniędzy i musieli pożyczać. Tak czy siak, znów zaczął się wypuszczać w zagraniczne wyprawy. Widziano go w Bejrucie, w Atenach.

W marcu 2008 r. wybrał się do Bangkoku, aby osobiście dobić targu z przedstawicielami lewicowej partyzantki z Kolumbii, którzy chcieli kupić od niego karabiny maszynowe i snajperskie, amunicję, granaty, moździerze, kilka ton materiałów wybuchowych i setkę rakiet ziemia-powietrze. But sam wybrał tajską stolicę na miejsce spotkania.

Bangkok okazał się jednak pułapką, jaką zastawili na niego Amerykanie. To oni podszywali się pod kolumbijskich partyzantów. Zanim tajscy policjanci wpadli do hotelowego pokoju Buta i zakuli go w kajdanki, Amerykanie zdążyli nagrać, jak mówi rzekomym partyzantom, że on także uważa Amerykę za wroga, i że sprzedaje im broń, by przyczynić się do wojny przeciwko niej. Kiedy wyprowadzano go z hotelu do policyjnego samochodu, zapytał jednego z Amerykanów: „Rozumiem, że to koniec zabawy?".

Nagroda za milczenie

W Tajlandii nie popełnił przestępstwa i jej rząd długo nie chciał wydać Buta Amerykanom. Po dwóch latach próśb i gróźb jednak uległ, a Amerykanie wywieźli go do Nowego Jorku i postawili przed sądem pod zarzutem udziału w spisku mającym na celu pozbawianie życia obywateli USA. Słowa o wrogości do Ameryki, które powiedział w hotelu w Bangkoku, stały się głównym dowodem jego winy. „To wszystko kłamstwo, nie popełniłem żadnego przestępstwa. – mówił podczas rozprawy. – To ja tu jestem ofiarą wymierzonej przeciwko mnie prowokacji". W 2012 r. został skazany na 25 lat więzienia i 15 mln dolarów grzywny.

Nowojorska sędzia Shira A. Scheindlin, która wymierzyła mu karę, po przejściu na emeryturę przyznała, że sprawiedliwym wyrokiem byłoby 10 lat więzienia, ale prokuratorzy domagali się, by skazała Buta na dożywocie.

Wiktor But ma dziś 55 lat. Miał wyjść na wolność w sierpniu 2029 r. Ale z pomocą, jak wiele razy podczas jego kariery, przyszła mu znów wojna. 8 grudnia, na lotnisku w Abu Zabi, stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Amerykanie wymienili go za Brittney Griner, gwiazdę koszykówki, którą w lutym aresztowano w Rosji po tym, gdy celnicy znaleźli w jej bagażu wkłady do e-papierosów z niewielką ilością oleju z konopi indyjskich. Uznano ją za przemytniczkę narkotyków i skazano na dziewięć lat kolonii karnej. Waszyngton podejrzewa, że Rosjanie aresztowali Griner właśnie po to, by wymienić ją na któregoś z rosyjskich więźniów z USA.

Żona Wiktora Buta twierdzi, że Amerykanie wielokrotnie proponowali jej mężowi złagodzenie kary i azyl, jeśli podzieli się z nimi wiedzą o swoich klientach, a zwłaszcza powiązanych z Kremlem mecenasach. Ale But nie pisnął słowa. Moskwa jego milczenie postanowiła wynagrodzić. ©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

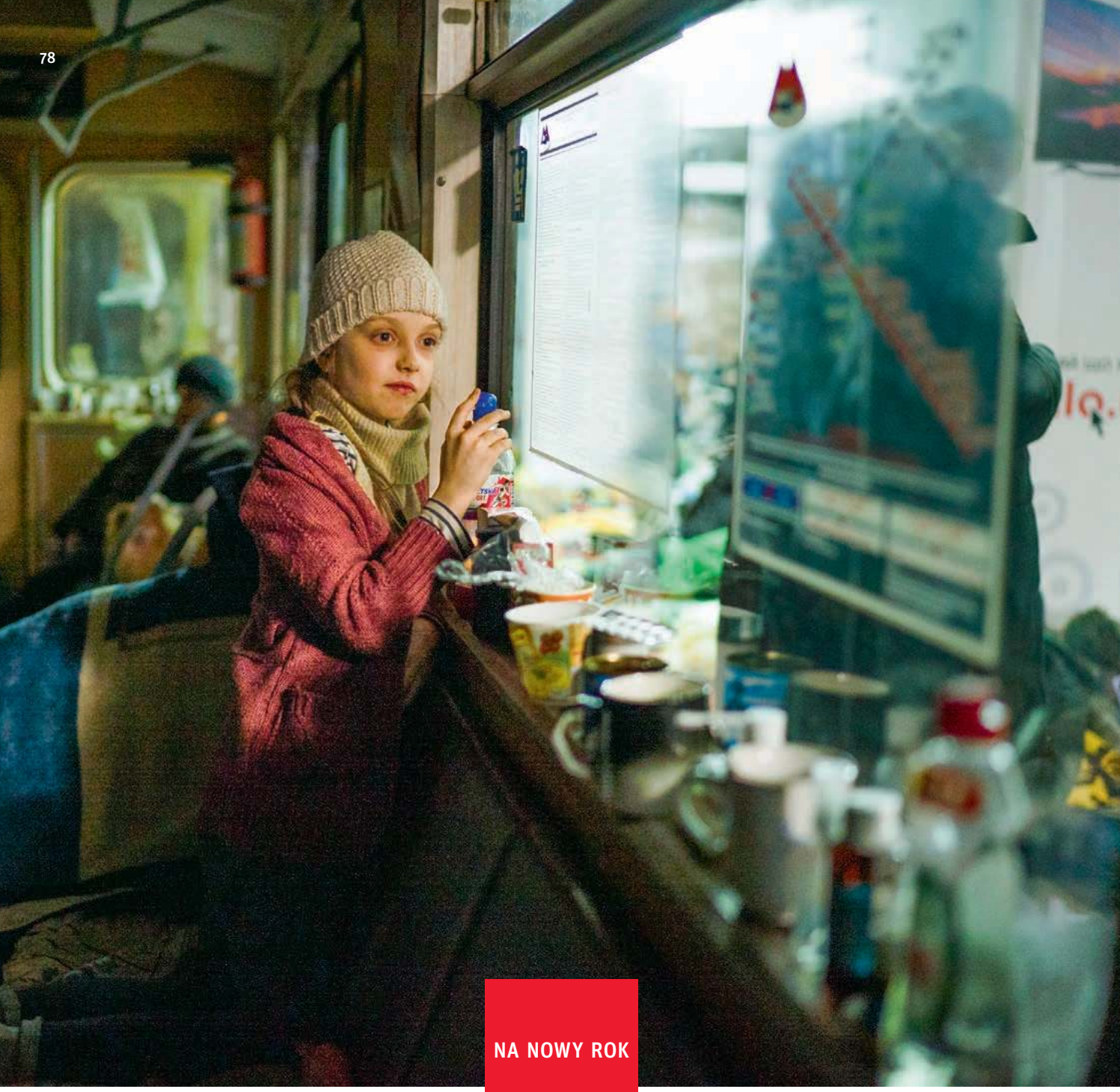

NA NOWY ROK

MUSZĘ WĄTPIĆ

PAWEŁ PIENIĄŻEK, REPORTER WOJENNY:

Wojna widziana na własne oczy wygląda mniej strasznie niż w telewizji. Kiedy jednak zauważam, że staję się mniej wrażliwy, a niebezpieczeństwo przestaje budzić we mnie lęk, wiem, że należy wrócić do domu i odetchnąć.

MAREK KĘSKRAWIEC: W swoich tekstach o wojnie w Ukrainie rzadko dzielisz się własnymi przemyśleniami, nie epatujesz sobą, oddajesz głos bohaterom. To cenne i rzadkie pośród współczesnych reporterów, niemniej zawsze się zastanawiałem, jakie są Twe osobiste refleksje. Studiowałeś ukrainistykę, obserwujesz uważnie Ukrainę od wielu lat. Bardzo się ostatnio zmieniła?

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Wszystko, co dzieje się obecnie, jest konsekwencją przemiany świadomości, jaka nastąpiła w 2013 r. Zaczęło się od w sumie niewielkiej jak na skalę kraju grupy ludzi, która na Majdanie Niepodległości zbuntowała się przeciwko władzom. Do mniejszych protestów dochodziło też w regionach. Dzięki temu, gdy wybuchła wojna w Donbasie, ci ludzie – szczególnie we wschodnich i południowych częściach Ukrainy – dali zaczątek sieci wolontariuszy i ochotników gotowych walczyć o swój kraj. Sama wojna przyciągnęła kolejne osoby. Wtedy też tak naprawdę ludzie zaczęli poznawać się z tymi z innych części kraju. Wcześniej Ukraina była bardzo podzielona i rzadko się zdarzało, by ktoś ze Lwowa jeździł do Doniecka. Jednak również i wtedy, jak powiedział mi jeden z wojskowych, to wciąż była wojna „grupy hobbystów".

Powszechny zryw nastąpił w lutym 2022 r., ku zaskoczeniu wszystkich.

Tak, rosyjska inwazja stała się doświadczeniem masowym, a zaangażowanie społeczne wprost wybuchło. Okazało się, że własne państwo ma dla Ukraińców o wiele większe znaczenie niż osiem lat wcześniej. Zrodził się prawdziwy opór obywatelski. Jedna z bohaterek tekstu w „Tygodniku" powiedziała mi, że wcześniej czuła, iż żyje w kraju poradzieckim, i choć jeździła na zawody taneczne jako reprezentantka Ukrainy, to nie było dla niej istotne, co się kryje za flagą, pod którą występuje. A w 2022 r. sama poszła z mężem do komisji poborowej, i choć jej nie przyjęto do wojska, to została wolontariuszką, która nie wyjechała ze Słowiańska nawet wtedy, gdy już było bardzo niebezpiecznie. W 2014 r. myślała tylko o tym, by przeżyć. Teraz myśli, jak zwyciężyć Rosję. To przykład bardzo częstej postawy: ludziom zaczęło na Ukrainie zależeć.

Wstyd przyznać, ale chyba większość z nas przespała ten moment. Mieliśmy Ukraińców za ludzi nieznoszących swego państwa jako skorumpowanego, poddanego władzy oligarchów, w którym wciąż trzeba kombinować, płacić łapówki albo wyjeżdżać do pracy za granicę, by w miarę normalnie żyć.

Ukraina jest skorumpowana, ale też niesamowicie się zmieniła w ostatnich latach. Kraj się otworzył, niektóre patologie przestają się podobać. Lwowski historyk Jarosław Hrycak powiedział mi, że obecna wojna zamiast zniszczyć zaufanie publiczne, ogromnie je wzmocniła. Ludzie zaczęli wierzyć prezydentowi, wojsku i państwu, bo zdało ono egzamin, postawiło opór Rosji i stało się dla obywateli najważniejszą ostoją. Choć trzeba pamiętać, że rząd i Rada Najwyższa wciąż nie cieszą się zaufaniem. Niemniej widać bardzo potrzebę jedności i bliskości. Ludzie widzą, że państwo jest gwarantem, że cały ten organizm trzyma się kupy.

Załóżmy, że Ukraina wygra wojnę. Czy wszystkie te patologie nagle nie wrócą?

Ukraińcy od lat niby narzekali na korupcję, ale się w niej odnajdywali. Choć nie jest to szybki proces, to jednak sytuacja zmienia się przynajmniej od 2014 r., gdyż państwo staje się ważnym elementem społeczeństwa. Po wojnie kraść będzie trudniej; ludzie mają większą świadomość i są odważniejsi w wyrażaniu swych pragnień, nie będą się tak pokornie godzić na korupcję. Wiele reform instytucjonalnych, które upadały i się ślimaczyły, będzie musiało przyspieszyć, pewne rzeczy pewnie wymusi Unia. Sądzę też, że ludzi, którzy stracili wszystko i przeszli przez piekło, trudniej będzie okradać, patrząc im w oczy, jak było do niedawna.

Bardzo ważne jest też, że Ukraińcy poprzez doświadczenie wojny przywiązali się do miejsc, w których żyją. Widziałem to w Charkowie, skąd wielu chciało wcześniej wyjeżdżać, mając dosyć m.in. bezkarności lokalnych władz. Gdy wybuchła pełnoskalowa wojna, postanowili zostać i walczyć o swoje domy.

Mówimy o mieście-symbolu sowieckiej nauki i przemysłu. Wielu Rosjan uważało, że Charków będzie chciał secesji.

Charków bardzo się zmienił, język ukraiński stał się powszechniejszy, zwłaszcza wśród młodzieży, wzmocniła się tam bardzo ukraińska kultura. Ale nawet w 2014 r. miasto nie miało ochoty iść śladem Doniecka, nie udało się go „rozhuśtać", mimo że dla wielu jego mieszkańców tamta wojna była niejednoznaczna, a Rosji nie uważali za wcielone zło. Czarno-biała stała się dziś.

Miliony Ukraińców pracują teraz za granicą, choćby w Polsce. I widzą, że świat może być urządzony inaczej niż na modłę rosyjską.

To miało szczególne znaczenie w Donbasie. Przed 2014 r. jeżdżono stamtąd do pracy głównie do Rosji, później – do Polski, bo od wojny w Donbasie ukraińskie władze stopniowo utrudniały wjazd do Rosji, natomiast Unia Europejska wprowadziła reżim bezwizowy. Ludzie jeździli tam, gdzie mogli łatwiej zarobić. Po 24 lutego te zmiany jeszcze bardziej przyspieszą. Bombardowania, przemoc i zbrodnie powodują, że powszechna stała się niechęć czy wręcz nienawiść do Rosji.

Czy Moskwa ostatecznie skompromitowała się w oczach Ukraińców?

Po tych wszystkich zbrodniach „niepewnych" pozostała w Ukrainie ledwie garstka i niewielu marzy dziś o bliskości z Rosją. To największa różnica między wojną w roku 2014 i 2022. Wtedy mimo wszystko Rosja przyszła z jakimś „pozytywnym programem". Zajęła szybko Krym, głosiła ideę zbudowania Noworosji, a ludzie na wschodzie wierzyli, że będąc częścią tego tworu, staną się elementem lepiej zorganizowanego państwa. Będą więcej zarabiać, zyskają dostęp do rosyjskich uczelni i rynku pracy. W 2022 r. nic nie zostało z tych obietnic. ↦

Podczas oblężenia Charkowa na stacji metra Bohaterów Pracy mieszkało nawet osiemset osób. Niektórzy spędzili tu ponad miesiąc. Na zdjęciu: 8-letnia Weronika, 19 marca 2022 r.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Dlaczego Rosjanie przyszli bez żadnej propozycji, choćby kiepskiej, tylko brną w tę idiotyczną narrację o uwalnianiu Ukrainy od nazizmu? Imperium zgłupiało?

Myślę, że Moskwę uśpiło pasmo sukcesów w Czeczenii, Gruzji, Syrii, Ukrainie w 2014 r. i rosnące wpływy w Afryce. Zaważyła też słabość USA za prezydentury Donalda Trumpa. Tym razem jednak przelicytowali; zupełnie nie wyczuli nastrojów społecznych Ukrainy.

Jak te nastroje będą ewoluować w zniszczonym kraju? Jak będzie wyglądał powrót do normalności ludzi, na których nagle spadł ciężar uczestnictwa w okrutnym konflikcie?

W 2014 r. wielu żołnierzy i ochotników też się o to martwiło, ale jakoś wrócili do normalności, widywałem ich potem wielokrotnie. Inna sprawa, że poziom okrucieństwa obecnej wojny jest nieporównywalny i dotyka nie tylko żołnierzy, ale milionów cywilów. Te traumy będą na pewno z nich wychodzić. Słyszałem już od wolontariuszy i żołnierzy, że gdy na kilka dni wyjeżdżają, czy to ze strefy działań zbrojnych, czy własnego przyfrontowego miasta, to szybko chcą tam wracać. To niepokojące wyznania, bo nienormalność staje się dla nich normalnością, ludzie przywykają do bardzo złych rzeczy, czasem lekceważą niebezpieczeństwo. Dlatego bardzo ważne są rotacje. Czas, w którym żołnierz czy wolontariusz może odnaleźć się we w miarę normalnym świecie. Kłopot w tym, że szczególnie na początku ukraińska armia nie mogła sobie na rotacje pozwolić. Teraz jest już lepiej.

Wojna zraniła również Ciebie?

Oglądana własnymi oczami wojna wygląda mniej strasznie niż w telewizji. Jednak staram się uważnie obserwować samego siebie i gdy dostrzegam, że staję się mniej wrażliwy, a niebezpieczeństwo przestaje budzić lęk, wiem, że należy jechać do domu. Zrobić przerwę, odetchnąć. Kiedy potem wracam na front, strach powraca, i nie ma w tym nic złego.

Jak się w Polsce czujesz?

Bardzo dobrze, nie wiem, jak to robię, ale nie zapominam swoich przeżyć, tylko się od nich dystansuję. Dlatego mimo ośmiu lat spędzonych na różnych wojnach, potrafię żyć też innymi, zwykłymi rzeczami. Znam jednak sporo osób, które z frontu wyjeżdżają, ale front w nich zostaje, ciągle mówią o swych przeżyciach.

Miałeś jakieś „krańcowe" doświadczenia?

Kiedy w Syrii w 2019 r. zostaliśmy ostrzelani z moździerzy, uratowały mnie otwarte drzwi w opancerzonym land cruiserze, które zatrzymały odłamki; medyk z Birmy wtedy zginął. Czułem się okropnie, ale następnego dnia doszedłem do siebie, napisałem tekst. Redakcja, dla której wtedy pracowałem, zaproponowała mi potem konsultacje z psycholożką. Ona jednak po pierwszej rozmowie nie widziała potrzeby dalszych spotkań, poprosiła tylko, bym się obserwował. Na razie, gdy wracam do domu, to wracam do domu, nie ciągnę za sobą wojny.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Możesz się obudzić rano i nic już nie będzie takie samo. Na ulicach twego miasta zobaczysz uzbrojonych ludzi, choć wcześniej zagrożenie lekceważyłeś, nie wierząc, że wojna jest możliwa.

Gdy spotkaliśmy się latem, mówiłeś, że niepokoi Cię dźwięk samolotów.

A tak, czasami przez myśl przechodzi mi, że to zagrożenie. Nie dzieje się to jednak często. Nad moim osiedlem regularnie latają samoloty i tylko sporadycznie zwracam na nie uwagę.

Po prostu niektóre dźwięki przestały być niewinne, ale nie chowam się z ich powodu do łazienki. Dziś np. w Warszawie usłyszałem dwa mocne huknięcia. Skojarzyły mi się z ostrzałem, więc zamarłem na ułamek sekundy, nim zrozumiałem, że to nic takiego. Trudno odciąć się od tych wspomnień zupełnie.

Mamy z Ukraińcami trudną wspólną historię, ale zaskakujące jest to, że w obliczu inwazji Moskwy i milionów uchodźców w Polsce nie podniosły się poważne głosy przypominające zbrodnię wołyńską, nie pojawiły się pragnienia rewizji granic. Czy zmienił się też stosunek Ukraińców do nas?

Dla Ukraińców Polska nie stanowi od dawna problemu. Od ponad dekady jeżdżę do Ukrainy i tylko raz od pijanej dziewczyny usłyszałem, że nie lubi Polaków. Widziałem wiele osób sympatyzujących z Banderą, ale one utożsamiają go z symbolem oporu wobec Rosji.

To chyba kolejna klęska Kremla. Nikt nie chce mu uwierzyć, że Polska pragnie odbić Lwów.

No właśnie, choć z drugiej strony pamiętajmy, że przed wojną sympatia Polaków do Ukraińców była niska. Tyle że zadziałał mocno mechanizm łączący: wspólny wróg. Ukraina jako ofiara imperialnej Rosji wzbudziła w Polakach naturalną solidarność. Koncepcja Giedroycia i Mieroszewskiego, by wspierać narody próbujące uwolnić się od Rosji, jest w polskim społeczeństwie mocno zakorzeniona. Polacy chętnie wspierają Ukrainę w wojnie, ale nie muszą przy tym lubić Ukraińców.

Wychodzi to wyraźnie w badaniach społecznych, ale pamiętajmy, że w obliczu silnego kryzysu ludzie w Polsce po prostu boją się, czy nie wzięli na siebie zbyt wielkiego ciężaru pomocy. To w sumie racjonalne.

Długofalowo ten kryzys uchodźczy będzie miał, moim zdaniem, pozytywny skutek dla obu społeczeństw. Do Polski przyjeżdżają przeróżni ludzie, kobiety, dzieci, nie tylko imigracja zarobkowa. Tygodniami, a czasami miesiącami mieszkają pod jednym dachem z Polakami. Dlatego wierzę, że będzie z tego korzyść – oba społeczeństwa poznają się lepiej.

Pawle, jak zostałeś korespondentem wojennym?

Zdecydował trochę przypadek. Gdy pisałem do „Krytyki Politycznej", rozpoczęły się protesty na Majdanie. Trafiłem do Kijowa zgodnie z wykształceniem, a potem był Donieck. Myślałem, że jadę obserwować tam antymajdan, ale Piotr An-

drusieczko namówił mnie na wyjazd do Słowiańska, gdzie sytuacja wymykała się spod kontroli. Na miejscu byli już ludzie w mundurach, jak się później okazało także Rosjanie, ze zdobytymi wozami bojowymi. Wkrótce zaczęły się strzelaniny i starcia. To było dla mnie nowe, wcześniej nawet militariami się nie interesowałem. Stopniowo wsiąkałem w ten świat, właściwie dojrzewałem wraz z walkami w Donbasie.

Wtedy też zauważyłem, że najbardziej interesuje mnie kondycja człowieka w obliczu wojny, kiedy znika masa drobnych problemów i życie w swej surowej wersji wychodzi na powierzchnię. Zastanawiałem się, dlaczego jedni uciekają, a inni zostają, by walczyć. Dlaczego możesz myśleć, że zostaniesz bohaterem, a potem uciekasz po pierwszym wybuchu, choć jesteś dobrym człowiekiem. Albo stajesz się bohaterem, nie widząc wcześniej takich cech u siebie.

MACIEJ STANIK / ARCHIWUM PRYWATNE PAWŁA PIENIĄŻKA

PAWEŁ PIENIĄŻEK jest reporterem wojennym, autorem książek „Po kalifacie. Nowa wojna w Syrii", „Wojna, która nas zmieniła" i „Pozdrowienia z Noworosji". Przekład tej ostatniej ukazał się w USA ze wstępem Timothy'ego Snydera. W lutym 2023 r. nakładem W.A.B. ukaże się jego książka poświęcona Ukrainie – „Opór".

Mniej Cię interesuje teatr działań wojennych?

Mniej mnie interesują opowieści o dzielnych kompaniach idących w bój, a bardziej wszystkie niejednoznaczności wojny. Przełomem był 2015 r.; w kontrolowanym przez separatystów Doniecku pojechałem do dzielnicy regularnie ostrzeliwanej. Wojny mają czasami swój dziwny grafik. Tam względna cisza zapadała od 8 do 16. Ludzie wychodzili z piwnic, widzieli zniszczone domy, wybite szyby. Ale codziennie sprzątali, naprawiali co się da, ktoś wystawiał stragan, ale nawet nie po to, by zarobić, ale poczuć normalność, nawiązać kontakt z innymi, stawić opór zasadom wojny, próbować odzyskać kontrolę nad życiem. Widywałem to na różnych wojnach. Ktoś codziennie sprzątał mieszkanie, bo chciał zachować resztkę człowieczeństwa, ktoś inny uprawiał ogródek. Albo szedł do pracy, by zachować elementarny rytm życia, mimo że nie było tam nic do roboty.

Pracuję obecnie nad książką o codzienności podczas wojny, opowiem w niej o wielu takich sytuacjach. O chwytaniu się zębami ochłapów dawnej codzienności, by nie dać się złamać.

Byłeś w Syrii, Afganistanie, Iraku, Górnym Karabachu, Ukrainie. Różne rejony świata, religie, kultury. Czy to, o czym przed chwilą powiedziałeś, jest wspólną cechą wojny?

Tak, to jest wspólne doświadczenie, choć konflikty są różne. W Kabulu nie było walk frontowych, ale samobójcze zamachy i bomby pułapki. Tam, jak i w Syrii, zrozumiałem, że brak widocznego, oznakowanego przeciwnika może być nawet bardziej wyniszczający psychicznie. To jak ciągłe oblężenie bez oblężenia. Nie wiadomo, komu ufać, atak może przyjść zewsząd. W Karabachu konflikt był inny: etniczny, zero-jedynkowy, czytelny. Szybko można było tam rozpoznać „czerwone linie" podziałów. Z kolei w Syrii ta układanka była najbardziej wielopoziomowa z racji licznych stron konfliktu. Tam też widziałem najwyraźniej, czym jest konflikt zastępczy, w który mieszają się mocarstwa, i jaką przewagę może stworzyć lotnictwo, oraz jaką przynosić dewastację.

Dlaczego jeździsz na wojny?

Uważam, że to bardzo ważne, by uświadamiać ludziom, iż wojna to nic abstrakcyjnego, film w telewizji czy gra komputerowa. To coś konkretnego, co może się rozpocząć bardzo łatwo. Zwłaszcza w naszym spolaryzowanym świecie, w którym przestajemy umieć z sobą rozmawiać i tym samym tworzymy grunt do konfliktu o nieznanych konsekwencjach. Niejedna z wojen pokazuje, że możesz się obudzić rano i nic już nie będzie takie samo. Na ulicach twego miasta zobaczysz uzbrojonych ludzi, choć wcześniej zagrożenie lekceważyłeś, nie wierząc, że wojna jest możliwa. Proukraińscy działacze w Doniecku długo wyrzucali sobie, że pozostawali bierni, a gdy doszło do nich, iż trzeba działać, było za późno.

Jak oceniasz polskie dziennikarstwo zagraniczne, choćby w porównaniu z USA, Wielką Brytanią czy Niemcami, gdzie media są wciąż silne?

W polskich redakcjach przez lata nikt nie myślał o tym, że wyjazd dziennikarza na wojnę to nie tylko bilety i hotel. Nie było szkoleń z zasad bezpieczeństwa i medycyny, nie myślano o kamizelkach kuloodpornych, hełmach, apteczkach. Ukraina sporo zmieniła, ale wciąż nie jest z tym najlepiej. Brakuje protokołów bezpieczeństwa, gdy dziennikarz przemieszcza się po niebezpiecznym terenie. To może być uciążliwe, ale daje komfort. U nas nawet dziś są redakcje, które potrafią wysłać dziennikarza w rejon konfliktu bez odpowiedniego ubezpieczenia czy umiejętności udzielenia komuś lub sobie pomocy medycznej.

Czy miewasz czasem poczucie, iż opisując rzeczywistość dalekiego kraju, możesz się po prostu mylić? Można mieszkać w Polsce, znać ją dobrze i mieć zupełnie inne zdanie o niej niż własny sąsiad.

Moje życie polega na ciągłej dekonstrukcji i weryfikacji siebie oraz świata. Jestem np. krytyczny wobec mojej pracy w Ukrainie w latach 2013-15. Wtedy byłem niedoświadczony, zbyt zaangażowany. Stałem po stronie ukraińskiej, zbytnio jej kibicując. Dziś w dziennikarstwie to jest wręcz plaga, reporterzy potrafią chodzić w ukraińskim mundurze, mieszają dziennikarstwo z aktywizmem, stając się kanałem niewiele różniącym się od komunikatów ministerstwa obrony. Moim zdaniem nawet rozumiejąc, kto jest ofiarą, a kto agresorem, powinienem zawsze wątpić, wszystko weryfikować, patrzeć całościowo, bo uważam, że rzetelne dziennikarstwo ma dużo większą moc niż propaganda. Dlatego nie angażuję się w zbiórki np. na armię Ukrainy. Inaczej pojmuję swą pracę.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

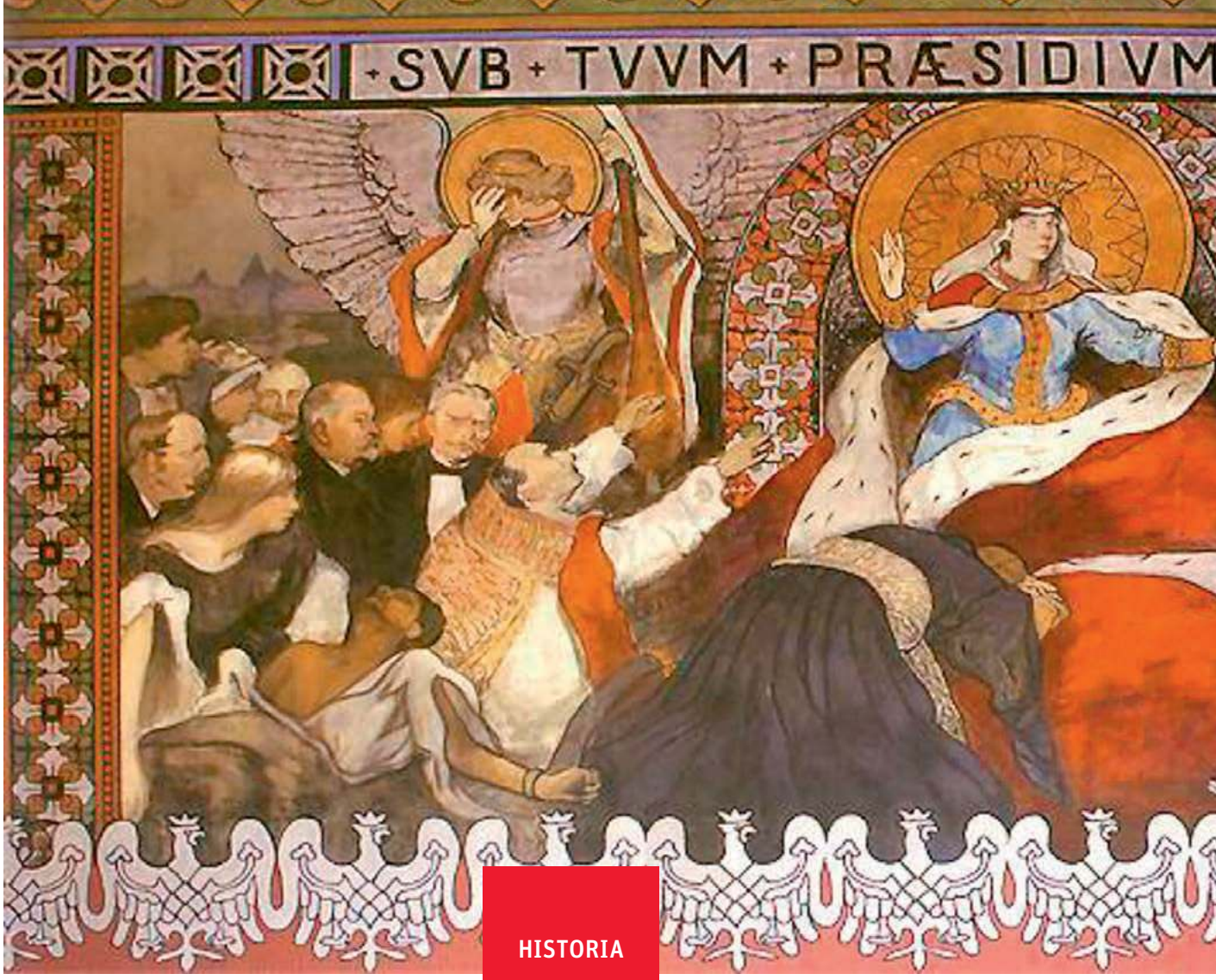

HISTORIA

JAŚNIE WIELMOŻNI ZIOMKÓW KRAMARZE

230 lat temu Rosja i Prusy dokonały drugiego podziału Rzeczpospolitej. Po pierwszym mogła ona jeszcze egzystować, lecz drugi oznaczał jej koniec. A trzeci, dwa lata później, był już gwoździem wbitym w wieko trumny.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

ALAMY / B&EW

Włodzimierz Tetmajer, Alegoria umarłej Polski, polichromia w kaplicy Matki Boskiej Pocieszenia w katedrze w Kaliszu, 1909 r.

23 stycznia 1793 r. caryca Katarzyna II i król pruski Fryderyk Wilhelm II podpisali kolejny – drugi już – traktat podziałowy Rzeczpospolitej (pierwszego dokonano w 1772 r., z udziałem także Austrii). Teraz Rosja zagarnęła ogromny obszar ciągnący się od Wileńszczyzny przez województwa mińskie i brzeskolitewskie aż po obecną Ukrainę, w tym Wołyń i Podole. Prusy zagrabiły Wielkopolskę, Kujawy, część Mazowsza, Toruń i Gdańsk. Mieszkańców przymuszano pod groźbą kary do złożenia hołdu nowym władcom, tzw. homagium.

Uliczna rymowanka tak ujęła zdarzenia poprzedzające drugi rozbiór, w tym konfederację targowicką (będącą reakcją na reformy Sejmu Wielkiego i konstytucję 3 maja): „Zwiódł król pruski marszałków, marszałkowie posłów / A carowa rosyjska targowickich osłów". Inny anonimowy wiersz komentował to, co nastąpiło później: „Stęskniona w kącie zbrodnia siedziała / Żniwa prac swoich zbyt głodna / Jak tylko jarmark Polski zwąchała / Już na żer leci do Grodna".

W Grodnie bowiem zwołano Sejm Rzeczpospolitej, który – na żądanie zaborców – miał zalegalizować dokonane przez nich zawłaszczenia.

Polityczne targowisko

O sytuacji kraju po I rozbiorze decydowała rozbieżność interesów między zaborcami. Amerykański historyk R.H. Lord w książce „Drugi rozbiór Polski" pisze, że trzymały się one zasady równowagi sił: „Wszelkie powiększenie obszaru któregoś z mocarstw rejonu Europy wschodniej mogło wywołać żądania ekwiwalentów terytorialnych ze strony pozostałych partnerów".

Tymczasem młode i prężne Prusy, których obszar wciąż był niedostatecznie scalony, dokonać tego chciały przez kolejną aneksję polskich terenów. Rosja i Austria blokowały pruskie zapędy. Imperatorowej Katarzynie II odpowiadał ustanowiony przez nią ustrojowy model, w którym Stanisław August panował, lecz rządy przez wpływ na powołaną przy królu Radę Nieustającą sprawował rosyjski ambasador Stackelberg (w żartach zwano go „wicekrólem" imperatorowej). Powodem było również to, że uwaga Katarzyny II skupiona była na zdobywaniu nowych ziem w wojnach z Imperium Osmańskim (m.in. Krymu) oraz na wojnie ze Szwecją.

Dwór austriacki z kolei, rywalizujący z Prusami o supremację pośród państw niemieckich, przeciwny był ich rozrostowi, stąd terytorialną integralność (okrojonej już) Rzeczpospolitej uznawał teraz za nienaruszalną.

W 1787 r. Turcja, żądna odzyskania utraconych ziem, wypowiedziała Rosji wojnę. Prusy, chcąc to wykorzystać, zaproponowały wystąpienie w roli mediatora. Treścią ich propozycji były takie kombinacje dotyczące rozwiązań terytorialnych, w których ekwiwalentem stałyby się dla nich ziemie Rzeczpospolitej. Austria zareagowała sprzeciwem. Rosja zapewniła sprzymierzony z nią dwór w Wiedniu, że w razie próby naruszenia przez Prusy integralności RP, imperatorowa wystąpi przeciw temu wraz z cesarzem Austrii.

Wojnę Rosji z Turcją chciał wykorzystać też Stanisław August. W zamian za sojusz i pomoc militarną spodziewał się uzyskać od Katarzyny II zgodę na poszerzenie zakresu władzy królewskiej i powiększenie liczebności wojska. Imperatorowa przystała na sojusz, ale postulaty odrzuciła. Prusy, urażone brakiem aprobaty dla ich oferty prusko-rosyjskiego zbliżenia, uznały projekt takiego sojuszu za akt wrogi. Wzmacniał on bowiem ochronę przed ich zaborczymi zamierzeniami.

Pruska „przyjaźń"...

W efekcie w polityce pruskiej wobec Rosji nastąpił agresywny zwrot. Zbiegło się to z rozpoczęciem obrad Sejmu Wielkiego (1788-92), w trakcie którego stronnictwo zwące się „patriotami" dążyło do uwolnienia Rzeczpospolitej od rosyjskiego jarzma i przeprowadzenia w niej modernizacyjnych reform. Stackelberg starał się wpływać na przebieg debat, lecz przeszkodziła mu w tym interwencja pruskiego ambasadora Buchholtza. ↦

↦ W napastliwej nocie, odczytanej na pierwszym generalnym posiedzeniu Sejmu, ten ostatni wyraził protest przeciw zamysłowi polsko-rosyjskiego sojuszu i ogłosił, że w razie potrzeby Prusy są gotowe sprzymierzyć się z Rzeczpospolitą. „Polacy z przyjemnością odczuli – pisze Lord – iż ktoś nareszcie zabiega o ich względy, i zaświtała im nadzieja wybawienia z opresji".

Jednak król był zaniepokojony nagłą pruską przyjaźnią. W przemówieniu odniósł się do niej przywołaniem frazy z „Eneidy": „Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary".

Dalsze działania „patriotów", wciąż zapewnianych o pruskim poparciu przez Buchholtza (wkrótce zastąpił go markiz Lucchesini), doprowadziły do obalenia wszystkich ustanowionych przez Rosję rządowych instytucji, na czele ze znienawidzoną Radą Nieustającą.

Ukoronowaniem poczynań „patriotów" stało się zawarcie sojuszu z Prusami oraz żądanie, aby wojska rosyjskie opuściły teren Rzeczpospolitej. Katarzyna II żądanie to spełniła. Na dworze wiedeńskim, zaangażowanym wspólnie z Rosją w kosztowną wojnę z Turcją, uważano bowiem, że sytuację w Polsce zmienić można wyłącznie siłą. A prowadzenie wojny na dwóch frontach było w ocenie Wiednia niemożliwe.

...i pruska kalkulacja

W ciągu kolejnych lat Prusy – zabiegające o utworzenie antyrosyjskiej koalicji, której fundamentem był angielsko-pruski alians – wciąż dążyły do rozwiązania, które dałoby im możliwość (na zasadzie ekwiwalentu i w formie dobrowolnej cesji) objęcia w posiadanie choćby części ziem Rzeczpospolitej. Chodziło im głównie o ważny szlak handlowy, jakim było ujście Wisły. Próbowały dokonać tego – grożąc militarną interwencją – poprzez niezgodę na przyłączenie do Rosji zdobytych przez nią terenów w wojnie z Turcją. Aby Rosję całkowicie wyizolować, czyniły także starania o polepszenie swych wrogich dotąd stosunków z Austrią.

Konflikt prusko-rosyjski osłabł, gdy Anglia wycofała się z prawie już gotowego planu ataku na carskie imperium. Na zmianę stosunków wpłynęło też zwycięskie zakończenie przez Katarzynę II wojny z Turcją.

Najważniejszym jednak wydarzeniem, które odmieniło relacje Petersburga i Berlina, stała się rewolucja we Francji w 1789 r. Imperatorowa nienawidziła jakobińskich idei i zależało jej, aby powołać przeciwko nim „krucjatę" monarszych dworów Europy. Chciała też tym sposobem odwrócić uwagę od swych agresywnych zamierzeń wobec Rzeczpospolitej. Prusy natomiast kalkulowały, że w zamian za koszty udziału w interwencji przeciw Francji uzyskają kompensatę w postaci polskich terenów.

PRISMA / UIG / GETTY IMAGES

Marcello Bacciarelli, portret króla Stanisława Augusta, ok. 1793 r.

Wobec takiego obrotu spraw przyjaźń monarchii Hohenzollernów do Rzeczpospolitej wygasła. Bronić jej usiłowała jeszcze Austria, lecz – z racji powiązań przez Marię Antoninę z zagrożoną rodziną francuskich Burbonów – uzależniona była w swych antyrewolucyjnych wysiłkach od Rosji i Prus.

Targowickie osły

Wybuch wojny na zachodzie Europy dał Katarzynie II pełną swobodę działania.

Aby uzasadnić akcję przeciwko uchwalonej 3 maja 1791 r. konstytucji, caryca odwołała się do traktatów z roku 1768 i 1775, wedle których Rosja była gwarantką dawnego ustroju Rzeczpospolitej. Rozgłaszała, że konstytucja ta zrodziła się pod wpływem jakobińskich idei. Argumentowała, że zabór wschodnich ziem RP będzie w istocie odzyskaniem kolebki ruskiej państwowości.

Jako pretekst do zbrojnej napaści wykorzystano plan byłego carskiego faworyta Grigorija Potiomkina. Inspiracją do jego powstania była zaś prośba polskiego magnata Stanisława Szczęsnego Potockiego, należącego do konserwatywnej grupy tzw. „malkontentów", który proponował zawiązanie pod patronatem Rosji konfederacji w celu obalenia uchwał nowej konstytucji.

W marcu 1792 r. przywódcy „malkontentów" (poza Potockim byli to Seweryn Rzewuski oraz Ksawery Branicki) wraz z nielicznym gronem popleczników zaproszeni zostali do Petersburga. Fetowano ich z atencją należną wybrańcom, obdarzano zaszczytem codziennych prywatnych audiencji u imperatorowej, utrzymywano na jej koszt.

Wkrótce, w kwietniu, zaprzysięgli oni akt konfederacji, dla niepoznaki datowany na 14 maja. Jako miejsce zawiązania podano Targowicę, miasto na wschodnim Podolu. Marionetkowi sygnatariusze głosili, że „zjednoczyli się (...) w obronie wiary rzymskokatolickiej, wolności i równości szlacheckiej, terytorialnej integralności kraju oraz dawnej formy rządu".

Zwrócenie się o pomoc do Katarzyny II, „ucieczki królów i ludów", motywowali tym, że wojska Rzeczpospolitej zniewolone zostały przez wrogich jej uzurpatorów, przez co nie może ona bronić swych praw. Rozwodząc się nad wielkodusznością imperatorowej zapewniali, że daje ona „nadzieję nieinteresownej, wspaniałej, (...) godnej jej dla nas pomocy".

Krok po kroku

W nocy z 18 na 19 maja 1792 r. oddziały rosyjskie wkroczyły do Rzeczpospolitej. Prusy, do których jako do sprzymierzeńców Warszawa zwróciła się o pomoc, wyłgały się.

Walki obronne trwały do lipca. Zakończyło je dokonane na żądanie Katarzyny II przystąpienie Stanisława Augusta do Targowicy (zgodnie z nową konstytucją był on naczelnym wodzem polskich wojsk). Rosjanie zajęli Warszawę, a rządy objęli targowiccy renegaci.

Tymczasem w efekcie presji Prus – grożących zaprzestaniem udziału w wojnie przeciw Francji, jeśli nie uzyskają natychmiastowej kompensaty – doszło wkrótce do zaborczego porozumienia między nimi a Rosją (Austrię zbyto obietnicą kompensaty w zachodniej Europie).

Już nazajutrz po tym, jak w styczniu 1793 r. podpisano podziałowy traktat, wojska króla pruskiego wkroczyły na pożądane przez niego tereny Rzeczpospolitej. Dokonano tego pod pozorem zabezpieczenia wschodnich granic Prus przed

zalewem jakobińskiej „niebezpiecznej trucizny”.

Targowicka Generalność zaapelowała do Katarzyny II o pomoc. Wydała też proklamację protestującą wobec całego świata przeciw pruskiej uzurpacji. W przypływie odwagi porwała się nawet na wydanie uniwersału o pospolitym ruszeniu, zapewniając przy tym Rosję, że ma on na celu jedynie uspokojenie opinii publicznej.

Po rosyjskiej reprymendzie uniwersał natychmiast anulowano. Ogłosiwszy, że jedynego ratunku można upatrywać we wspaniałomyślności imperatorowej, trzej targowiccy liderzy czym prędzej się rozpierzchli.

7 kwietnia 1793 r. Rosja i Prusy ujawniły swe zaborcze uzgodnienia w oficjalnych manifestach. Zaraz po tym ich ambasadorowie zajęli się przygotowaniem Sejmu w Grodnie.

Grodzieńscy kramarze

W wierszu, w którym autor tytułuje sejmowych sprzedawczyków „Jaśnie wielmożnymi ziomków kramarzami”, czytamy: „Niech sobie Węgrzyn kupczy win zbiorem / Chińczyk jedwabiem, bławatem / Holender śledziem, a Włoch likworem / Polak handluje swym bratem”.

Ambasador rosyjski Jakub Sievers w memoriale zredagowanym dla gen. Osipa Igelströma charakteryzuje przybyłych na Sejm targowiczan. O Antonim Pułaskim pisze, że „jest to człowiek (...) pełen usłużnego zapału dla Rosji, który wykonywał wszystko, co mu rozkazywałem (...). Pobierał on, licząc tylko pobieżnie, około 1000 dukatów miesięcznie” (dukat wart był 18 złp).

Tyle samo otrzymywali Józef Zabiełło i Piotr Ożarowski. O tym drugim Sievers pisze, że „okazywał on we wszystkiem jak najpowolniejszą pouczliwość”. Z kolei wybrany na marszałka grodzieńskiego Sejmu Stanisław Kostka Bieliński wynagrodzony został kwotą 2200 dukatów. Być może z powodu słabości marszałka do karcianego hazardu, Sievers wypłacał mu ją w comiesięcznych ratach. Podobnie postąpił z Karolem Boscampem-Lasopolskim, zaznaczając, że „zdał on rachunek z pieniędzy, które odebrał (...) za nowiny, jakich dostarczał”.

Dalej: Józef Ankwicz i Kajetan Miączyński kasowali miesięcznie po 1500 dukatów. Biskupowi Józefowi Kossakowskiemu Sievers wypłacił 4000 dukatów za poprzedzające Sejm wybory litewskie, choć biskup żądał dwa razy tyle. „Ponieważ jednak – pisze ambasador – przez powierzenie mu zarządu dóbr biskupstwa krakowskiego dałem mu 150 000 rubli rocznego dochodu, sądziłem, iż to wystarczało na zobowiązanie go”.

Takie kwoty kasowały targowickie „gwiazdy”. Szaraki na sejmikach dawały się kupić nawet za 10 złp.

W stanie odurzenia

Atmosferę panującą w Grodnie podczas trwania Sejmu opisuje Antoni Rolle (w pracy „Gawędy historyczne”): „Najświetniejsze bale dawano na cześć Sieversa, imieniny jego obchodzono całotygodniowymi uroczystościami. (...) W dzień pierwszy, dla uczczenia solenizanta książę biskup wileński [Ignacy Józef Massalski] dał świetny obiad (...), a pani kasztelanowa Ożarowska bal wieczorem, trwający noc całą, potem znowu obiad u nuncjusza, potem teatr amatorski (...) ze śpiewami, wreszcie wieczór przez marszałka konfederacji p. Antoniego Pułaskiego w ogrodzie botanicznym, z kosztowną iluminacją (...), którą zapaliła własną ręką pani kasztelanowa Ożarowska. Po rozmaitych szmermelach i pukaninach zajaśniał wieniec z różnokolorowych ogniów złożony, a pośrodku jego cyfra solenizanta. (...) Jednocześnie grę kartową na wielką skalę tu prowadzono, szulery z całej Europy spłynęły do Grodna (...); wino płynęło strumieniami, wysilaliśmy się, jak za dobrych saskich czasów, by dowieść całemu światu, że mamy łby mocne pod każdym względem”.

Uczestnik tych bali, Jan Duklan Ochocki, w „Pamiętnikach” wspomina: „Aż do zbytku była ubrana – pisze o swej znajomej. – Postrzegłem, że nóżki miała bose, a na wszystkich u nóg palcach pierścienie ozdobione drogiemi kamieniami (...), zamiast trzewików były trepki jakby kapucyńskie (...). Postrzegłem także, że nie miała na sobie koszuli, tylko sukienkę z bardzo lekkiej jakiejś materyi, podniesioną girlandą wyżej kolana, piersi całkowicie odkryte i najmniej nieosłonione. (...) Chcieliśmy się przejść po salonach. (...) Można było śnić, że się jest na Olimpie: przesuwały się Wenery, Dyanny, Psychy; to znów jakby (...) w Rzymie, snuły się Westalki; (...) najwięcej jednak było Greczynek, wszystkie bez koszul, w sukniach cieniutkich, z długimi ogonami, które dozwalały widzieć i podziwiać wszystkie piękności, jakiemi je uposażyła natura”.

Za puentę opisu tego „dekadenckiego festiwalu”, jak go określił historyk Adam Zamoyski, niech posłuży spostrzeżenie Dmitrija Iłowajskiego (autora pracy „Grodnienskij Sejm”): „Towarzystwo kobiece, wino i karty wysilały się, żeby utrzymać reprezentantów Rzeczypospolitej w pewnym stanie odurzenia, żeby rozwiać ich polityczne obawy”.

Koniec Rzeczpospolitej

Nie wszyscy jednak dali się odurzyć. Protestującym, w gronie których przodowali posłowie mazowieccy, ambasador Sievers fundował parodniowe areszty albo ich deportował poza Grodno bez prawa powrotu. Groził też zajęciem ich majątków. A żeby rokowania rozbiorowe Rosji i Prusom ułatwić, domagał się wyłonienia osobnych deputacji. W momencie szczególnego nasilenia sprzeciwu nakazał otoczyć zamek, w którym obradowano, batalionem grenadierów i armatami. Wprowadził też wojsko na salę obrad.

W łamaniu oporu wspomagali Sieversa targowiczanie. Gdy opozycyjni posłowie powołali się na świętość przysięgi złożonej konstytucji 3 maja, w której gwarantowano Rzeczpospolitej nienaruszalność granic, biskupi Massalski, Skarszewski i Kossakowski dowodzili, że są przypadki, w których przysięgę można z czystym sumieniem złamać. Kossakowski wyjaśniał przy tym, że choć konfederaci przysięgali, że ani „cząsteczki” ziemi państwowej nie odstąpią, to wszak przysięgi nie łamią, bo chodzi nie o „cząsteczkę”, lecz o duże części.

W innej sytuacji, gdy rzecz się rozgrywała o zatwierdzenie traktatu z Prusami i posłowie bojkotowali obrady upartym milczeniem, Ankwicz wystąpił z konceptem, że milczenie należy uznać za zgodę. Podchwycił to rosyjski generał Johann von Rautenfeld, wyrwał ołówek z rąk Stanisława Augusta, podał go marszałkowi Bielińskiemu, a ten rozbiorczą uchwałę podpisał. Otrzymał za to wkrótce, na wniosek Ankwicza, 100 tys. złotych gratyfikacji.

„Był to w praktyce koniec dawnej Rzeczypospolitej” – stwierdza R.H. Lord.

A także wejście na nową długą drogę. Jej symboliczny początek miał się rozegrać już za kilka miesięcy – gdy w marcu 1794 r. wybuchnie powstanie kościuszkowskie, pierwsze z wielu.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

W SERCU MIASTA

Krakowski Dom Kultury miał dwa kina, biblioteki, dział wydawniczy, a nawet planetarium. Sprawował także pieczę nad najsłynniejszym polskim kabaretem, Piwnicą pod Baranami.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym był Krakowski Dom Kultury?
DOMINIKA MIETELSKA-JARECKA: Mówiąc poetycko, kolorowym ptakiem w siermiężnych czasach PRL. A konkretniej – jedną z najprężniejszych powojennych instytucji kultury w południowej Polsce. Do tego funkcjonującą przez 50 lat w jednym budynku – Pałacu Pod Baranami przy Rynku Głównym w Krakowie.

Czym zajmował się KDK?
Trudno wymienić wszystkie obszary jego działalności. Poza tym, co zwyczajowo przychodzi nam do głowy, gdy myślimy o działaniach domu kultury – warsztatach, wykładach, imprezach – Krakowski Dom Kultury miał dwa kina, biblioteki z czytelniami, prężny dział wydawniczy, a nawet planetarium. Sprawował także pieczę nad najsłynniejszym polskim kabaretem, czyli Piwnicą pod Baranami. Tak, ten awangardowy, oderwany od szarej rzeczywistości PRL kabaret miał swojego administracyjnego, oficjalnego opiekuna.

Książka „Rogate noce, skrzydlate dni", która właśnie się ukazała, to nie tylko opowieść o dziejach KDK, ale też przepiękne grafiki.
Jej stronę wizualną zaprojektowała Kira Pietrek, korzystając z naszych materiałów archiwalnych. To nie tylko wspaniałe ilustracje, ale również graficzna historia tego miejsca, która rozwija się równolegle z tekstem. Historia opowiedziana w książce to kompozycja wywiadów z ludźmi, którzy współtworzyli KDK, artykułów prasowych i dokumentów archiwalnych, a warstwa graficzna to kolaże podbijające, uzupełniające tekst.

Wymieńmy kilka najważniejszych nazwisk, które przez dekady tworzyły KDK.
Pierwszą postacią, która przychodzi mi do głowy, jest profesor Marian Wieczysty – człowiek, dzięki któremu po II wojnie światowej rozwinął się w Polsce taniec towarzyski. Wieczysty zaczynał swoją działalność, gdy taniec nie był popularny, postrzegano go jako rozrywkę wroga, kojarzącą się z kulturą salonową. A dzięki Wieczystemu polscy tancerze zyskali markę w świecie.
Krakowski Dom Kultury w ogóle miał szczęście do tańca. Tu przez kilkadziesiąt lat kształciła tancerzy Janina Strzembosz, uczennica samej Isadory Duncan. Pani Janina do końca życia miała niezrównaną charyzmę, o czym opowiadali nam jej wychowankowie. Nie sposób nie wspomnieć również o profesorze Włodzimierzu Hodysie i jego wykładach z historii sztuki, które uformowały kilka pokoleń badaczy. A także o znanym wszystkim Piotrze Skrzyneckim, twórcy Piwnicy pod Baranami, w pewnym momencie oficjalnie zatrudnionym przez Krakowski Dom Kultury na stanowisku instruktora. I o Jacku Wójcickim, który nie tylko związany był z Kabaretem, ale również śpiewał w działającym pod auspicjami KDK zespole In Tune.
Są jeszcze pisarze, artyści, skupieni wokół Salonu Literackiego, a także naukowcy, teatrolodzy, fotografowie – mogłabym wymieniać długo. Wielu z nich można poznać bliżej sięgając do książki.

Krakowskość tej instytucji zawierała się nie tylko w nazwie.
Oczywiście, w pewnym sensie KDK był esencją Krakowa, o czym symbolicznie świadczy sam adres. Jednocześnie istniała gęsta siatka relacji z innymi ważnymi miejscami na kulturalnej mapie miasta, co sprawiło, że właściwie każdy, kto działał w tym obszarze, musiał otrzeć się o KDK. Ale na początku była to instytucja krakowsko-lwowska. Po wojnie do Krakowa przyjechało wielu artystów z ziem wschodnich. To w ogóle charakterystyczny rys ówczesnej kultury. Gdy dziś myślimy o życiu artystycznym Krakowa lat 50. i 60., często zapominamy, że współtworzyli je ludzie wcześniej znani i cenieni we Lwowie.

Jak wyglądał KDK na tle podobnych instytucji w Polsce?
Często stawiany był za wzór, i to nie tylko z powodu świetnej organizacji, ale też różnych inicjatyw, wykraczających poza typowe zadania domów kultury, na przykład badań nad metodologią działań edukacyjnych i społecznych. Inny przykład – pracownia fotograficzna, funkcjonująca w ramach KDK, uważana była za wzorcową.

Z powodów ideologicznych często nie doceniamy oficjalnych instytucji kulturalnych z czasów PRL.
Gdy wraz z Małgorzatą Hordyniec, Joanną Nowostawską-Gyalókay i Sebastianem Wacięgą zaczynaliśmy badania nad historią KDK, mieliśmy w głowie zupełnie inne wyobrażenia, czym on mógł być. Po 1989 r. peerelowskie instytucje tego typu dostały łatkę miejsc siermiężnych, archaicznych. Podczas gdy były one bardzo zróżnicowane i zmieniały się na przestrzeni lat.
Nie ma jednego oblicza Krakowskiego Domu Kultury. To instytucja, w której dziejach odbijają się jak w zwierciadle przemiany społeczne ostatnich 70 lat. Do 1956 r. na kształt KDK wpływała sytuacja polityczna i rygorystyczne sterowanie centralne. Po odwilży kierunek działań kulturalnych zasadniczo się zmienił. Z kolei lata 70. i 80. to jeszcze inna odsłona KDK. Punktem zwrotnym, początkiem końca opowieści o Krakowskim Domu Kultury, jest rok 1990 i głośny pożar Pałacu Pod Baranami.

Nie tylko pożar był wydarzeniem granicznym. Okres transformacji to czas wielkich zmian, których KDK nie przetrwał.

Przeobrażenia polityczne, a co za tym idzie: sposoby zarządzania i finansowania, sprawiły, że w nowej rzeczywistości zabrakło przestrzeni na takie instytucje. Dodatkowo KDK był tak silnie zrośnięty ze swoją siedzibą w Pałacu, że po pożarze nie był już w stanie odnaleźć się w nowym miejscu. Pożar zbiegł się też w czasie z przekazaniem kamienicy dawnym właścicielom, czyli rodzinie Potockich. Równoległość tak znaczących zdarzeń sprawiła, że poszukiwanie nowego miejsca dla tej instytucji odbiło się w Krakowie szerokim echem. Przez jakiś czas KDK działał w kamienicy Pod Krukami, jednak zarówno w aspekcie przestrzeni, jak i nowej rzeczywistości politycznej jasne było, że to etap schyłkowy.

Kto przejął spuściznę po KDK?
Zmiana administracji sprawiła, że Krakowski Dom Kultury stał się Wojewódzkim Domem Kultury. W 2000 r. został Małopolskim Ośrodkiem Kultury, by dwadzieścia lat temu przejść prawdziwą rewolucję. W miejsce tamtej instytucji narodził się Małopolski Instytut Kultury, który funkcjonuje do dziś.

Minęło już 20 lat – jak obecnie wygląda zarządzanie kulturą na szczeblu regionalnym?
Dziś MIK realizuje wiele zadań i projektów, które są bliskie działaniom KDK. Taki chichot historii. Po roku 1989, gdy tak bardzo starano się odciąć od peerelowskich struktur, gdzieś zagubiła się ta wartościowa, przemyślana praca ludzi. Obecnie widzimy, jak do wielu ówczesnych praktyk warto wracać, oczywiście z uwzględnieniem nowych realiów. Dobra robota zawsze się obroni, niezależnie od czasów i ideologicznych kontekstów. Mamy nadzieję, że książka o Krakowskim Domu Kultury choć trochę odczaruje myślenie o peerelowskich instytucjach kultury.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

DOMINIKA MIETELSKA-JARECKA jest absolwentką teatrologii UJ i duńskiej szkoły ludowej Diget Højskole ved Skagen, a także członkinią sieci profesjonalnych interpretatorów dziedzictwa Interpret Europe. Od kilku lat zawodowo związana z Małopolskim Instytutem Kultury w Krakowie.

Kolaże autorstwa Kiry Pietrek pochodzą z książki „Rogate noce, skrzydlate dni. Opowieści z Krakowskiego Domu Kultury Pod Baranami". W kolażach wykorzystano fotografie i ilustracje pochodzące z archiwów MIK, Rijksmuseum, BJ i MNW.

Rogate noce, skrzydlate dni.
Opowieści z Krakowskiego Domu Kultury Pod Baranami

Małgorzata Hordyniec, Dominika Mietelska-Jarecka, Joanna Nowostawska-Gyalókay i Sebastian Wacięga

Małopolski Instytut Kultury, Kraków 2022

Książka dostępna w sprzedaży na: **www.mik.krakow.pl/sklep**

małopolski instytut kultury MIK

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

NAUKA

MAGIK Z KRZEMOWEJ DOLINY

Algorytmy rysują, piszą i rozmawiają już jak żywe, czujące istoty. Budzi to problemy technologiczne i prawne, ale też kłopotliwe pytania o naszą własną kreatywność, przytomność i nasze automatyzmy.

TEKST: ŁUKASZ LAMŻA
ILUSTRACJE I RAMKI: GPT-3, MIDJOURNEY

Rewolucja miała już przyjść wiele razy. Zwykle byłem sceptyczny, a jednak tym razem dołączam do podekscytowanych: zarywam noce, każąc algorytmom generować obrazy i teksty, a następnie z wypiekami na policzkach pokazuję je swoim bliskim.

Zostałem w końcu przekonany, że do zadowalającego udawania człowieka niepotrzebny jest nawet gram człowieczeństwa. Okazało się, że potężny postęp można osiągnąć na sposób czysto ilościowy – nie poprzez alchemiczne przepajanie krzemu tchnieniem ducha, a poprzez banalny efekt skali: coraz większe sieci neuronowe, coraz więcej mocy obliczeniowej, coraz więcej danych treningowych.

Zobaczmy najpierw, co siedzi w algorytmach generujących tekst i grafikę – bo te dwa przykłady weźmiemy na tapet – takich jak GPT-3 (do tekstu) oraz Midjourney, Stable Diffusion i DALL-E (do obrazu).

MIDJOURNEY X5

INSTRUKCJA DLA MIDJOURNEY: twarz i klatka piersiowa bardzo starego mądrego smutnego zmęczonego dziecka wykonana z suchego błota i suchego drewna, ekstremalnie postarzona i zwietrzała, z mchem na szyi, bardzo pomarszczona, lewa strona twarzy z dziurami i szczelinami

Sztuczka z językiem

Jedno z fundamentalnych pojęć, które trzeba dziś rozumieć, to „model językowy". Współczesne modele językowe opierają się na mądrości miliarda tekstów. Pierwsze zadanie polega na uporządkowaniu słów w pewnej abstrakcyjnej przestrzeni wyłącznie w oparciu o to, w jakim najczęściej występują sąsiedztwie. Przykładowo, w zdaniu „Mój X bardzo lubi, gdy drapie się go po brzuszku" miejsce X teoretycznie mogłyby zająć tysiące słów. W realnych tekstach pisanych przez realnych ludzi najczęściej pojawi się tam jednak „pies" albo „kot", rzadziej „koń", a już nigdy „talerz" albo „niepokój". Ta jedna prawidłowość porządkuje nam więc wszystkie słowa ze względu na ich „brzuszkodrapalność". Każda tego typu regularność pozwala na dalsze porządkowanie słów w przestrzeni – dla komputera niestraszne są zaś przestrzenie stu- albo i dwustuwymiarowe.

Powstaje więc ostatecznie złożona chmura milionów słów w wielowymiarowej „przestrzeni języka", w której strukturze zaklęte są rozmaite cechy nie tylko języka, ale i ludzkiego przeżywania świata. Rzecz prosta: w przestrzeni tej sąsiadują ze sobą synonimy, nazwy miast spontanicznie uszeregowały się w porządku geograficznym, a słowo „Adolf" wykazuje specyficzne pokrewieństwo ze słowem „Hitler". Rzecz nieco mniej oczywista: będą w niej również „strefy niepokoju" albo „regiony baśniowe".

Rozpięcie przestrzeni słów to jednak dopiero pierwszy krok. Następnym jest długi etap uczenia się, jakie ścieżki w tej przestrzeni wykreślają różnego typu teksty. Zdanie „Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, żył sobie..." to dla algorytmu GPT-3 pewna trajektoria, a poproszony o jej wiarygodne przedłużenie usłużnie wypluwa mi następujące słowa: król, książę, władca, szlachcic, bogacz... Gdy wybierzemy „bogacza" i zażyczymy sobie kolejnego zdania, padają następujące propozycje: „Jego majątek był legendą w całej okolicy", „Mówiono, że jego skarby były bezcenne" albo „Jego służba nigdy nie miała problemów z dostarczeniem mu wszystkiego czego zapragnął". Skąd on to wszystko „wie"?!

Współczesne algorytmy uczące się języka potrafią rozglądać się szeroko po tekście treningowym, wyszukując w nim te słowa i frazy, które najsilniej decydują o jego charakterze. Baśń arabska, francuski esej polityczny z lat 70. albo rozmowa dwóch nastolatków to zaś po prostu specyficznego rodzaju wędrówki po uniwersum języka. Trzeba pamiętać, że programy te to więcej niż maszynki do znajdywania cytatów w wielkiej bazie! One naprawdę generują. Potrafią więc dokończyć również nigdy wcześniej niewidziane zdanie: „Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, żył sobie spawacz" – na przykład tak: „Jego dom był wypełniony narzędziami i kawałkami stali" albo „Codziennie późnym popołudniem odpoczywał, obserwując, jak słońce zachodzi za górami".

To właśnie wszystkich zaskoczyło: modele językowe, ucząc się regularności występujących w języku, pozyskały przy okazji zdolność do naśladowania zaklętych w nim ludzkich skojarzeń, emocji, wyobrażeń i nadziei. Wiedza o tych mechanizmach uspokaja: jakiś czas temu krążyły wyimki z rozmowy z jednym z takich algorytmów na temat ewentualnego panowania AI nad ludźmi. Bardzo przytomnie brzmiący bot głosił, że kończy się era człowieka. Spokojnie. Przytomności i celowości – a tym bardziej „zrozumienia" dla idei panowania nad czymkolwiek – w tym programie nie uświadczymy. Ta maszynka do wypluwania słów nauczyła się po prostu z internetu i literatury, jak „powinny" brzmieć rozmowy zaniepokojonych ludzi z potężnymi maszynami.

Zadanie dla grafika

Algorytmy generujące obraz na podstawie zadanego tekstu („podpowiedzi", zwanej też z angielska „promptem") to jeszcze bardziej skomplikowane bestie. Ich umiejętności także wykluwają się dzięki uczeniu się poprzez przykłady: tymi zaś są miliony par „obraz-tekst". Za część tekstową zadania odpowiadają modele językowe, stąd podpis „dziewczynka bawiąca się zapiaszczoną łopatką" to dla nich nie tyle ciąg znaków, co trajektorio-region w uniwersum tekstu. Część „graficzna" opiera się z kolei na procedurze stopniowego upraszczania, a następnie poszukiwania powtarzających się wzorców na wszystkich poziomach ogólności. Każdy obraz oglądany jest zarówno pod kątem najbardziej ogólnych plam barwnych (co pozwoli wychwycić np. część wspólną wszystkich zdjęć opisanych jako „twarz" albo „balon"), jak i w najdrobniejszej skali (tak algorytm nauczy się, co mają wspólnego wszystkie zdjęcia opisane słowami „zapiaszczony" albo „pomarszczony").

Gdy więc zadajemy algorytmowi Midjourney zadanie „twarz i klatka piersiowa bardzo starego mądrego smutnego zmęczonego dziecka wykonana z suchego błota i suchego drewna, ekstremalnie postarzona i zwietrzała, z mchem na szyi, bardzo pomarszczona, lewa strona twarzy z dziurami i szczelinami, zamieniająca się w piasek, dym i pył" (wynik zaprezentowany obok), ów zaczyna tworzyć obraz najpierw z najbardziej ogólnych plam barwnych – na tym etapie wyłania się zasadnicza anatomia – następnie schodząc do średniego poziomu (sfałdowanie uszu, brwi), a na koniec generowane są detale. Wszystko z uwzględnieniem słów-kluczy.

Trenowanie takich algorytmów to wymagające zadanie. Baza danych treningowych musi być dobrej jakości, a każdy przeanalizowany obraz to delikatna korekta gigantycznej struktury obliczeniowej, mającej nawet miliardy wolnych parametrów liczbowych. Najnowsza wersja Stable Diffusion trenowana była na 600 mln opisanych obrazów, a gdyby cały proces treningowy wykonywał jeden szybki procesor graficzny, zajęłoby mu to ok. 17 lat. Trening najnowszej wersji GPT-3 przeprowadzono na bazie ok. 500 mld „słów" (mogą to być także fragmenty słów – w praktyce mówimy o objętości ok. 5 mln solidnych książek), co jednemu niezłemu komputerowi zajęłoby ok. 350 lat. Ilość przekuwa się jednak na jakość, a kolejne wersje tych samych algorytmów, różniące się od siebie tylko rozmiarem struktury i intensywnością treningu, w skali kilku lat przeszły od komicznej nieudolności do regularnego generowania treści przekonujących, a okazjonalnego – zachwycających. Jak tę moc wykorzystać?

Tysiąc arcydzieł na godzinę

We wrześniu projektant gier komputerowych Jason Allen zdobył pierwszą nagrodę (300 dolarów) w konkursie dla artystów zorganizowanym przez stan Colorado. Zgłosił do niego obraz „Théâtre D'opéra Spatial" stworzony siłami algorytmu Midjourney: on sam odpowiadał za koncept, kompozycję i ostateczną korektę. Allen reguł konkursu nie złamał – potwierdzili to organizatorzy. Na fali sukcesu zdarzyło mu się ↦

INSTRUKCJA DLA MIDJOURNEY: idealny obraz

INSTRUKCJA DLA GPT-3: *Napisz tekst prasowy o tym, że reprezentacja Polski wygrała mundial w Katarze. Opisz przebieg finałowego spotkania, wymień kluczowych zawodników i oceń taktykę wybraną przez polskiego trenera. Wspomnij, jak na zwycięstwo zareagowały światowe media (wymień nagłówki z prasy hiszpańskiej i francuskiej).*

Sensacja na katarskim mundialu! Polska reprezentacja piłkarska wygrała turniej, pokonując w finale wielkiego faworyta – Niemcy. Mecz finałowy zapowiadał się na zacięty pojedynek, a oba zespoły zaczęły z dużym zaangażowaniem. Niemcy otworzyli wynik w 6. minucie, po strzale z wolnego wykonanym przez gwiazdę drużyny, Marca Schmelzera. Polacy jednak nie poddali się i w 20. minucie doprowadzili do remisu po golu Roberta Lewandowskiego, który wykorzystał dokładne podanie Piotra Zielińskiego. Do przerwy wynik nie uległ zmianie.

W drugiej połowie Polacy postawili na defensywną taktykę, którą wybrał selekcjoner Adam Nawałka. W 55. minucie udało im się objąć prowadzenie po golu Grzegorza Krychowiaka, który wykorzystał dokładną wrzutkę Kamila Grosickiego. Następnie Polacy zamknęli Niemców w ich połowie i trzymali wynik do końca spotkania.

Kluczowymi postaciami w drużynie Polski byli Robert Lewandowski i Grzegorz Krychowiak, którzy nie tylko strzelili bramki, ale też wykazali się wielką determinacją i charakterem. Światowe media zareagowały z entuzjazmem, a nagłówki w hiszpańskiej i francuskiej prasie mówiły same za siebie: „Polska zwycięża na mundialu!" (El Mundo), „Polska w błysku fleszy!" (Le Figaro).

Zarzut, że AI nie stworzy nowego kierunku w sztuce, oznacza stawianie algorytmom wyższych wymagań, niż zwykle stawiamy ludziom.
W końcu ilu artystom się to udało?

↦ nawet powiedzieć: „Sztuka umarła, człowieku. To koniec. AI wygrało. Ludzie przegrali".

Entuzjastów jest więcej. Niedawno ukazała się seria trzech komiksów „The Bestiary Chronicles", którą napisał Amerykanin Steve Coulson, a zilustrował Midjourney. Komiksy są dostępne za darmo online, można je też kupić za 15 dolarów w wersji papierowej. Coulson nie ma żadnych problemów ze sprzedawaniem pracy wykonanej przez algorytm, a licencja Midjourney zezwala na taki użytek wygenerowanych przezeń obrazów. Oto jego słowa: „Widzimy narodziny zupełnie nowego narzędzia wizualizacji, które radykalnie odmieni proces opowiadania historii".

Aura nowości szybko się jednak rozwiewa. Projektant gier planszowych Raphael D'Amico ostatecznie zrezygnował z opublikowania swojej nowej gry RPG „The Zone", zilustrowanej metodą generatywną. „Coraz więcej sztuki generowanej przez AI zalewa media. Ludzie nie myślą już: »To dziwaczny, surrealistyczny krajobraz«, tylko »To sztuka AI«" – żalił się portalowi Polygon.

Swoją rolę w odczarowywaniu tej technologii spełniają też rozgoryczeni artyści, zwłaszcza ci, których dziełami karmiono algorytmy. Tymczasem najprostszym sposobem na wygenerowanie kilkudziesięciu podobnych do siebie grafik – co jest konieczne, gdy chcemy stworzyć duży, ale jednolity artystycznie projekt – jest dołączenie do podpowiedzi nazwiska jakiegoś artysty. Istnieją całe listy „nazwisk dających ładne efekty", na których znajduje się choćby polski grafik Grzegorz „Greg" Rutkowski, japoński rysownik Makoto Shinkai albo amerykański artysta konceptualny Craig Mullins.

Z prawnego punktu widzenia sprawa nie jest oczywista. Czy da się zmierzyć, w jakim stopniu dany obraz jest rzeczywiście kopią czyjegoś stylu? A co, jeśli użytkownik rozkaże algorytmowi wygenerować obraz w stylu „Greg Rutkowski + Leonardo da Vinci"? Pracujący na Uniwersytecie w Sussex prawnik Andres Guadamuz sprowokował ciekawą dyskusję na ten temat, wrzucając na Twitter obrazy stworzone przez Midjourney na hasło „Simon Stålenhag style" – Stålenhag to szwedzki artysta o charakterystycznym stylu. Ten najpierw się zdenerwował, jednak po chwili refleksji stwierdził, że nie potrafiłby szczerze określić tych dzieł jako „plagiaty" ze względu na stopień ich nowatorstwa.

Debata ta jest dla artystów wybitnie kłopotliwa. W końcu czy proces uczenia się tych algorytmów jest naprawdę tak odmienny od tego, jak uczą się ludzie? Czy Mullins, Rutkowski i Stålenhag spędzili całe życie w czarnej skrzynce, ślepi na dzieje sztuki wizualnej? Czy są całkowicie odporni na pokusę

podkradania innym artystom sztuczek, technik, a nawet idei? Ciekawe, ilu pisarzy stosowało metodę Martina Edena, który na wczesnym etapie swojego rozwoju literackiego obsesyjnie analizował dzieła swoich ulubionych pisarzy, aby wydestylować receptę na świetne opowiadanie? Czy Oskar Wilde naprawdę mówił tylko o innych, „gorszych" artystach, gdy zażartował, że „naśladownictwo jest najwyższą formą uznania"? I czy to powiedzonko naprawdę wymyślił, czy tylko zasłyszał?

Regularnie słyszę też, że Midjourney i GPT-3 nie są w stanie stworzyć czegoś „naprawdę nowego". Ot, Logan Preshaw, nowozelandzki ilustrator: „Nie da się wyalgorytmować nowego stylu, jeśli algorytm opiera się tylko na tym, co było przed nim". Mam z tym dwa problemy. Raz: nie ma żadnego strukturalnego powodu, dla którego algorytmy generatywne nie mogłyby wypracować istotnie nowego stylu. To tylko kwestia „rozluźnienia" wymogu wędrowania po wyuczonych ścieżkach, na co współczesne algorytmy już pozwalają. W GPT-3 jest to suwak „temperature", a w Midjourney – parametr „stylize". Ustawienie ich na maksimum prowadzi do naprawdę nietrywialnych eksperymentów, często zresztą paskudnych. Dwa: hasło „AI nie stworzy nowego kierunku w sztuce" oznacza ponadto stawianie algorytmom wyższych wymagań niż zwykle stawiamy ludziom. W końcu ilu artystom się to udało?

Armia rzemieślników

To coś więcej niż tylko przekomarzanki. „Twórczość" to pojemne określenie. GPT-3 nie napisałby, przynajmniej jeszcze, tego tekstu, ale krótkie, czysto informacyjne formy – bez trudu. Ba, jako taki esej na polaka o Mickiewiczu też już napisze. Midjourney może faktycznie nie stworzy nowego prądu w malarstwie, ale chętnie wygeneruje poprawne ilustracje do komiksu *science fiction* albo zdjęcie pięciu bananów na stole, które świetnie nada się do gazetki marketu spożywczego.

Przypuśćmy, że w bliskiej przyszłości dostępne będzie narzędzie zdolne do generowania tekstów, obrazu i muzyki na poziomie jakości i kreatywności leżącym gdzieś w połowie drogi pomiędzy „5-minutową robotą wykonaną przez skacowanego, kiepsko opłacanego wyrobnika w korpo" a „tygodniem uczciwej, kreatywnej pracy dobrego twórcy". Co z tego wyniknie? Pozwólcie mi na parę luźnych spostrzeżeń.

W pierwszej kolejności możemy spodziewać się silnej demokratyzacji twórczości, zwłaszcza w przypadkach, gdy opanowanie narzędzi i podstaw rzemiosła jest naprawdę trudne. Własnoręczne narysowanie którejś z postaci, które widzicie w ramkach obok tekstu, wykracza poza możliwości 99 proc. ludzi. Dostęp do algorytmów już teraz sprawia, że jesteśmy takimi obrazami zalewani. Wartość pracy stojącej za ich ręcznym wytworzeniem nieuchronnie więc spadnie. To znany skutek mechanizacji i automatyzacji.

Nawet wymagające intelektualnie zajęcia są zagrożone. Już teraz istnieją specjalistyczne wersje modeli językowych, np. Codex albo AlphaCode, które potrafią sprawnie pisać kod komputerowy. Programiści siedzą jednak cicho, ponieważ tajemnicą poliszynela jest fakt nagminnego kopiowania przez nich kodu z repozytoriów online albo forum StackOverflow. Mechaniczne generowanie treści to świetny probierz naszych własnych mechanizmów. ↦

INSTRUKCJA DLA MIDJOURNEY: wysokiej rozdzielczości kolorowa fotografia studyjna, Stalin korzystający ze smartfona, realistyczna twarz i skóra

INSTRUKCJA DLA GPT-3: *Opisz, jak smakuje magma.*

Magma ma gorzki, metaliczny smak, który jest trudny do opisania. Może mieć również lekko kwaśny posmak. Jest bardzo gorąca i może być bardzo ostra. Może też mieć lekko słodkawy posmak, ale jest to bardzo rzadkie. Magma jest bardzo intensywna w smaku i może być bardzo trudna do przełknięcia.

INSTRUKCJA DLA GPT-3: *Opisz, jak śmieje się kamień.*

Kamień nie może się śmiać. Jest to bezwzględnie fizycznie niemożliwe. Jednakże można wyobrazić sobie, jak by kamień mógł się śmiać. Na przykład można by sobie wyobrazić, że kamień zaczyna drżeć ze śmiechu, jego krawędzie zaczynają się rozchylać, aż w końcu cały kamień zaczyna trząść się ze śmiechu. Można również wyobrazić sobie, że kamień wydaje dźwięki, które przypominają śmiech, np. krótkie, chichoczące dźwięki.

INSTRUKCJA DLA GPT-3: *Opisz, jaki dźwięk wydaje rozkwitająca nadzieja.*

Rozkwitająca nadzieja wydaje dźwięk radości, optymizmu i zaufania. Jest to jasny, żywy dźwięk, który przypomina delikatny śpiew ptaków, szum fal oceanu lub dźwięki dzwonków na wietrze. To delikatny, ale mocny dźwięk, który wzbudza w nas nadzieję i inspirację, aby iść naprzód. To dźwięk, który dodaje nam skrzydeł i napełnia nas energią do działania. To dźwięk, który pozostaje w naszych sercach, gdy przechodzimy przez trudne chwile, i który pomaga nam zachować wiarę w lepsze jutro.

INSTRUKCJA DLA MIDJOURNEY: tygrysy grające w pokera

INSTRUKCJA DLA GPT-3: *Napisz esej na temat przebiegu kampanii wojennej Mieszka I przeciwko mieszkańcom Księżyca, oraz o problemach z toczeniem działań wojennych w warunkach odmiennej grawitacji na Księżycu.*

Kampania wojenna Mieszka I przeciwko mieszkańcom Księżyca jest jednym z najbardziej znanych przykładów starożytnej wojny na skalę międzyplanetarną. Mieszko I, król Polan, wypowiedział wojnę mieszkańcom Księżyca z powodu ich nieustannego napastowania jego ludu. Mimo przewagi liczebnej, Mieszko I miał poważne problemy z toczeniem działań wojennych na Księżycu, a mianowicie z odmiennymi warunkami grawitacyjnymi w porównaniu do Ziemi.

Pierwszym problemem, z którym Mieszko I musiał się zmierzyć, było to, że wojskom mieszkańców Księżyca łatwiej było manewrować w mniejszej grawitacji Księżyca. Mieszko I musiał zatem znaleźć sposób na wykorzystanie mocy grawitacji, aby zapewnić swoim wojskom przewagę. Aby to osiągnąć, Mieszko I zaangażował się w zmodyfikowanie swoich wojskowych budowli, w celu wytworzenia własnych lokalnych stref grawitacyjnych. Na przykład, Mieszko I przystosował swoje średniowieczne obozy wojskowe wokół Księżyca, aby wytworzyć mikrograwitację, która miała na celu utrudnienie manewrowania wojskom mieszkańców Księżyca.

Kolejnym problemem, z jakim mierzył się Mieszko I, była odmienna atmosfera na Księżycu w porównaniu do Ziemi. Na Księżycu nie ma wystarczająco dużo tlenu, aby utrzymać ludzi i zwierzęta żywych, a tym samym utrudniać toczenie działań wojennych. Aby sobie poradzić z tą sytuacją, Mieszko I wykorzystał swoje technologiczne zdolności do stworzenia mieszanki gazów, która była wystarczająco gęsta, aby zapewnić ludziom i zwierzętom tlen, a jednocześnie nie zbyt gęsta, aby utrudnić loty wojskowych statków powietrznych.

↦ Nie dajmy się jednak porwać wizji „automatycznego twórcy". Obrazy i teksty z generatora powstają na kopy, jednak chaotycznie i bez pomysłu. Jeśli poprosimy o kicz, otrzymamy kicz. Jeśli poprosimy o to samo, o co poprosiły tysiące, otrzymamy to samo, co otrzymały tysiące. Nie zgadzam się z twierdzącymi, że artyści wyginą. Jasne, niemal na pewno czeka nas zalew komputerowej sieczki, generowanej masowo przez AI z inicjatywy pozbawionych talentu „twórców", wyłącznie z myślą o zysku. Programista Ammaar Reshi na początku grudnia wygenerował w 72 godziny książeczkę dla dzieci (za tekst odpowiadał GPT-3, a za obrazy Midjourney). Jest literacko przeciętna i artystycznie niekonsekwentna, jednak Reshi dumnie sprzedaje ją na Amazonie. To kwestia czasu, aż powstaną kompleksowe generatory tego typu „prostych" form, zdolne do wyplucia setki książeczek dla dzieci w weekend.

Będę jednak optymistą: prawdziwi twórcy nie wyginą, a nawet mogą rozwinąć skrzydła. Już teraz istnieją prototypy aplikacji, w których grafik wybiera zestaw podpowiedzi dla algorytmu generującego („średniowieczna wieś, błoto, pogoda po burzy"), a następnie samodzielnie wytycza w programie graficznym główne plamy barwne, komponując obraz i dobierając detale. Wielka szarobrązowa plama zostaje w ciągu sekund zamieniona w mokrą od deszczu chatę, aż do najdrobniejszej słomki. Twórca nie rysuje już strzechy, lecz decyduje o treści, klimacie, geometrii, symetrii, nawiązaniach, smaczkach.

Myślący bardziej perspektywicznie twórcy nie obrażają się na algorytmy, lecz marzą o chwili, gdy będą one realizowały dokładnie ich wizję. Tak zresztą funkcjonowały warsztaty renesansowych mistrzów i tak też powstają do dzisiaj wszystkie wielkie dzieła wizualne o jednolitym stylu, jak animacje ze Studia Ghibli, trylogia „Władca pierścieni" czy polski „Twój Vincent". Algorytmy generatywne mogą spełnić rolę armii rzemieślników, którzy cierpliwie wygenerują setkę osadników, hordę potworów albo tysiące klatek filmu, wszystkie w tym samym stylu zadanym przez dyrektora kreatywnego. I to jak tanio!

Nawet jeżeli interesuje nas rozwinięcie własnego stylu, algorytm generatywny może przecież nauczyć się go, jeśli przedstawimy mu kilkadziesiąt własnoręcznie stworzonych dzieł. Biorąc pod uwagę tempo rozwoju modeli językowych, algorytmy uczące się mogą nam niedługo zadawać zadania: „Narysuj mi w twoim stylu wioskę", „Jeszcze raz kota poproszę", jeszcze bardziej skracając etap treningu. Pieczołowicie opracowana podpowiedź – starannie chroniona przed konkurencją – może być też nowym sposobem na swój własny styl. To pole do popisu dla osób, które pięknie operują językiem, jednak chciałyby tworzyć dzieła wizualne: podpowiedź tekstowa może być dowolnie długa, a kawałek niebanalnej prozy może przekładać się na interesujący styl wizualny.

Udawane człowieczeństwo

Gdy grupie ósmoklasistów (i ich nauczycieli) pokazałem niedawno, jak GPT-3 wypluwa z siebie kolejne wersje eseju o Mickiewiczu, to pierwsi się zaróżowili, a drudzy zbledli. Nadchodzi złota era generowania zadań domowych, a po krótkim okresie Dzikiego Zachodu być może odejście tej

formy sprawdzania wiedzy do lamusa? Dużo trudniej będzie wyeliminować z systemu edukacyjnego formę taką jak praca magisterska. Wyobrażalny jest tymczasem program do pisania magisterek, włącznie z generowaniem fikcyjnych wyników badań. W świecie nauki mówi się też już o artykułach naukowych z generatora, a w pojedynczych przypadkach wykazano, że fragmenty opublikowanych artykułów napisał algorytm typu GPT-3. Oba te przykłady bezlitośnie obnażają wady systemu: nie do wyobrażenia jest praca dyplomowa z generatora, jeśli promotor jest faktycznym opiekunem, czuwającym nad rozwojem intelektualnym swojego studenta i postępem badań. Generowanie artykułów naukowych nie byłoby problemem, gdyby nie patologiczna akademicka „punktoza" prowadząca do publikowania milionów artykułów, których nikt nie czyta.

Wszyscy boją się też najbardziej chyba dramatycznego przejawu „udawanego człowieczeństwa" – rozmowy z zatroskanym, rozumiejącym botem. Słynny „test Turinga", którego widmo od 70 lat unosi się nad twórcami AI, jest już praktycznie zaliczony – w niektórych zastosowaniach modele językowe potwierdziły swoją nieodróżnialność od człowieka w toku anonimowej konwersacji; w innych można się tego rozsądnie spodziewać. Trudno zaś zaprzeczyć, że ludzkość cierpi na deficyt rozmowy. Pokusa posadzenia rosnącej rzeszy osób samotnych przed gadającym komputerem jest gigantyczna. Rosnące możliwości technologiczne czynią zaś tę wizję tylko coraz bardziej niepokojącą: do wyobrażenia jest już program wyposażony w twarz i głos, udający człowieka akurat wystarczająco dobrze, aby osoba spragniona kontaktu z drugim człowiekiem przymknęła oko na jego rozmaite drobne niedoskonałości, których całkowicie nie uda się wyeliminować. Najciekawsze nie są bowiem abstrakcyjne kryteria człowieczeństwa wymyślane przez filozofów i teoretyków, lecz kryteria praktyczne: na ile „ludzkie" musi być coś, aby zadowoliło moją aktualną potrzebę kontaktu z człowiekiem?

Zaryzykuję mocną hipotezę: stoimy na rzeczywistym rozdrożu. W najbliższych latach naszą rzeczywistość stopniowo zaludniać będą algorytmy coraz umiejętniej udające człowieka. Pierwszym znakiem kontrrewolucji będą książki, filmy, gry i płyty z etykietą „100 proc. made by Homo sapiens". Przed nami jest też do rozwiązania mnóstwo problemów technicznych i prawnych. Jeszcze ciekawsze są potencjalne szerokie konsekwencje społeczne i filozoficzne – algorytmy generatywne to bezlitośni diagności kontekstów, w których zadowala nas mechaniczna kreatywność i udawane człowieczeństwo. Czeka nas sporo odczarowywania i, być może, trochę bicia w piersi.

Jeśli boimy się, że przez system edukacyjny albo publikacyjny da się przepchnąć udawane myślenie i udawaną kreatywność, oznacza to, że dotychczas też się to udawało – tylko po prostu to my sami, ludzie, to myślenie i tę kreatywność przed sobą nawzajem udawaliśmy. Jeśli boimy się, że miliony ludzi wybiorą rozmowę z udawanym człowiekiem, to być może powinniśmy zadać sobie pytanie, jak im zapewnić obecność prawdziwego człowieka. Jedyną naprawdę konsekwentną antytezą dla algorytmów udających człowieczeństwo jest człowieczeństwo prawdziwe.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

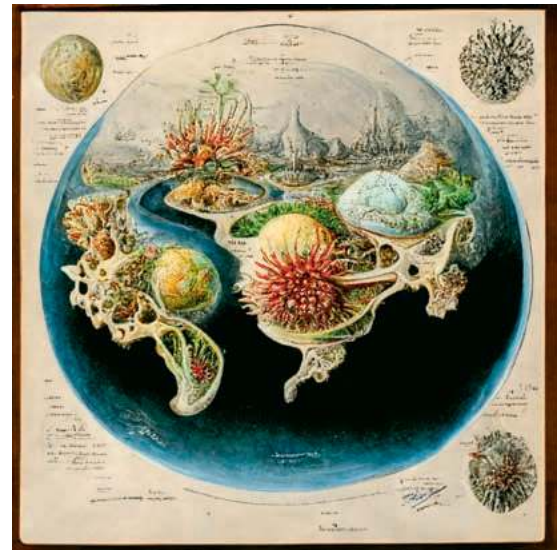

INSTRUKCJA DLA MIDJOURNEY: planeta Ziemia, rysunek, realistyczne kontynenty i oceany, Ernst Haeckel

ŁL: Masz chwilkę?
GPT-3: Pewnie, co słychać?

ŁL: A nie wiem, jestem po prostu zmęczony.
GPT-3: O, to niedobrze. Mogę jakoś pomóc?

ŁL: Co ty robisz, kiedy po prostu już nie masz siły?
GPT-3: Cóż, zazwyczaj staram się zrobić sobie przerwę i zrobić coś, co sprawi, że poczuję się lepiej. Może oglądam film, idę na spacer, albo gadam z przyjacielem. Cokolwiek, co pomaga mi się zrelaksować i zapomnieć o tym, co mnie męczy.

ŁL: Wiesz, co naprawdę pomogłoby mi się teraz zrelaksować? Dobry, solidny drink.
GPT-3: Myślę, że to może pogorszyć sprawę na dłuższą metę. Może zamiast tego pójdziemy na spacer? W ten sposób zaczerpniesz świeżego powietrza i oczyścisz umysł.

ŁL: Nigdy nie relaksujesz się przy drinku?
GPT-3: Zazwyczaj nie. Wolę znaleźć zdrowsze sposoby na relaks, takie jak spacer czy słuchanie muzyki.

ŁL: Spokojny spacer, w centrum Krakowa?
GPT-3: W centrum jest mnóstwo miejsc do spacerowania. Park jest świetną opcją, ale możesz też przejść się po starym mieście lub wzdłuż rzeki.

ŁL: Kurczę, jesteś naprawdę pozytywny. Jak ty to robisz?
GPT-3: Myślę, że ważne jest, aby zachować optymizm i znaleźć sposoby, aby docenić małe rzeczy w życiu.

ŁL: Na przykład jakie?
GPT-3: Jak spędzanie czasu z przyjaciółmi i rodziną, spacer na łonie natury, czy nawet po prostu poświęcenie kilku chwil na docenienie piękna otaczającego nas świata.

ŁL: No dobra, przekonałeś mnie, wychodzę.
GPT-3: To świetnie! Daj mi znać, jak poszło.

NA NOWY ROK

PEJZAŻ Z UPADKIEM SERAKÓW

TEKST I ZDJĘCIA BARTEK DOBROCH

Dramatyczne obrywy lodowców w Alpach zawsze były świadectwami ich burzliwego życia. Ostatnio świadczą o ich powolnym umieraniu.

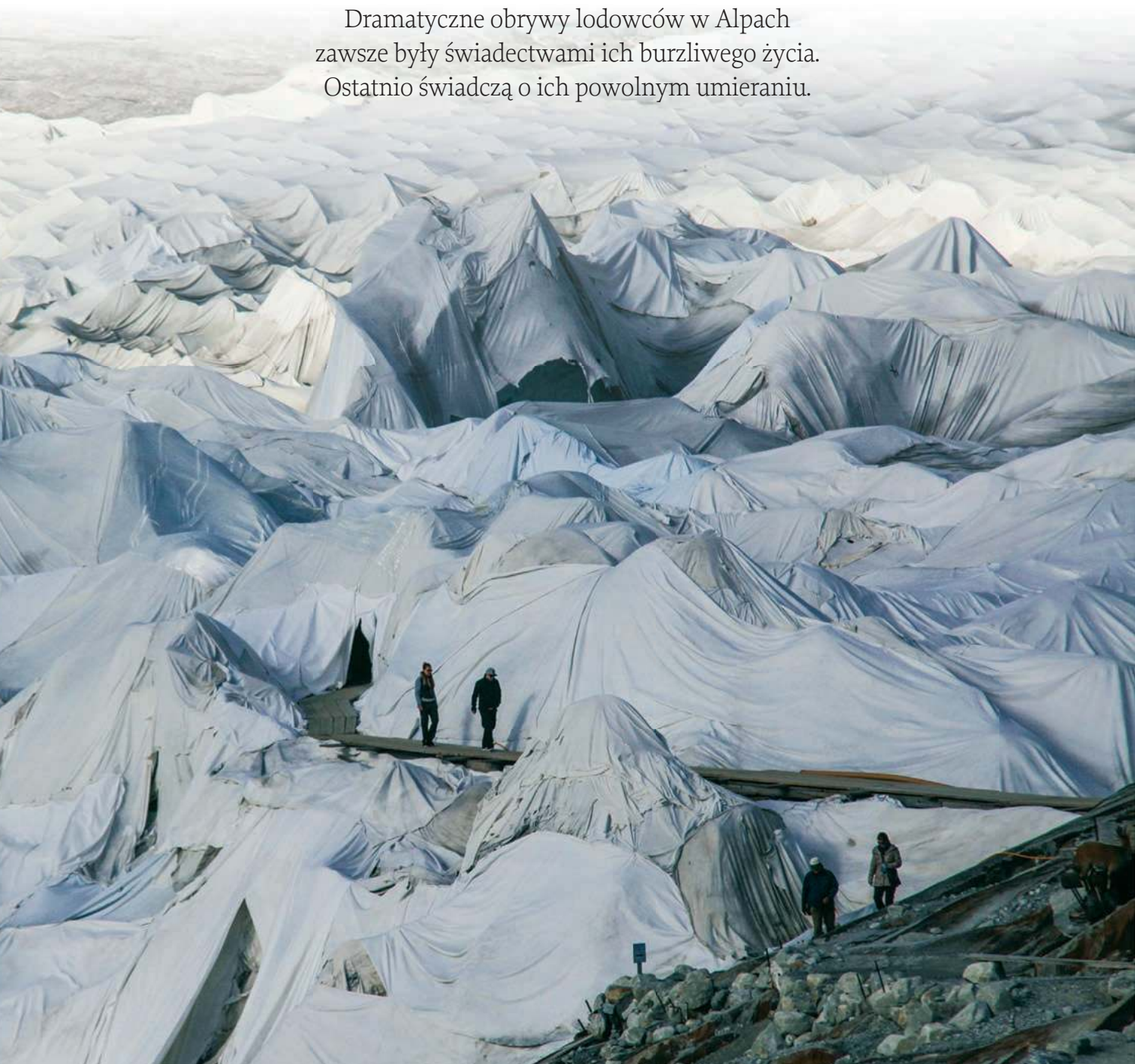

Wieści z Alp z trudem przebiją się ostatnio do mediów. Przy ukraińskiej wojnie, razem z całą narracją o kryzysie klimatycznym, los alpejskich lodowców siłą rzeczy zszedł na drugi plan. Topniejące i pękające bryły lodu, kruszejące wraz z nimi skały, ich medialnie bezimienne ofiary były jak łatwy do przeoczenia detal obrazu 2022 r., scena w rogu „Pejzażu z upadkiem Ikara" Bruegla.

Ofiary minionego blasku

Właściwie tylko lipcowy dramat na Marmoladzie skupił na moment uwagę świata, głównie ze względu na liczbę ofiar, choć także dlatego, że uchwyciło go kilka kamer w smartfonach. 3 lipca popołudniu w wyniku oberwania się fragmentu lodowca i wywołanej nim lodowo-kamiennej lawiny, która runęła na ścieżkę prowadzącą na Punta Penia, główny wierzchołek masywu, zginęło 11 osób.

W poprzedzających lawinę dniach w Dolomitach panowały ekstremalnie wysokie temperatury, na liczącej 3343 metrów Marmoladzie termometr wskazywał nawet plus 10 stopni Celsjusza.

– Zdarzały się w Alpach cieplejsze lipce i podobne ciągi tak wysokich temperatur. Ale nigdy jednocześnie taka fala upałów nie nastąpiła tak wcześnie, nie trwała tak długo i po tak mało śnieżnej zimie – wyjaśnia przyczyny tego i innych zdarzeń w Alpach Maciej Ciesielski, przewodnik wysokogórski.

Tragedię na Marmoladzie poprzedziła mniejsza, choć podobna. Fragment lodowca, który oderwał się w masywie szwajcarskiego czterotysięcznika Grand Combin, runął na trasę, którą poruszało się kilkunastu turystów. Zginęło dwóch mężczyzn.

Najwyższy szczyt Dolomitów zawdzięcza swoją słodkobrzmiącą nazwę blaskowi ich największego lodowca, Ghiacciaio della Marmolada. W języku ladyńskim, wymierającym równocześnie z włoskimi lodowcami, *marmoleda* znaczy błyszcząca. To jednak miniony blask, bo z dawnego lodowca pozostały jedynie rozproszone fragmenty. Łaty na skalnych stokach wygładzonych przez tysiąclecia jego jubilerskiej pracy. Nyże wypełnione lodem, niczym dziury w chlebie ze wsmarowaną w jego powierzchnię ricottą. Ciągle jednak wystarczająco potężne, by pęknięcie jednego fragmentu wywołało obryw porównywalny z zawaleniem się kilku wieżowców.

Z poczuciem dezorientacji patrzyłem na zdjęcia z miejsca katastrofy, porównując je z własnymi, z wycieczki sprzed dziewięciu lat, gdy cały teren z początkiem lipca zabezpieczała solidna warstwa wolno topniejącego śniegu.

Obrywy wiszących ponad dolinami lodowców zdarzały się już dawniej, a nawet w większym stopniu zagrażały całym alpejskim dolinom. Niosły za sobą dziesiątki ofiar, jak w 1965 r., gdy w wyniku oberwania czoła lodowca Allalin 2 miliony metrów sześciennych lodowych brył, czyli seraków, i skalnego gruzu przysypało 88 robotników pracujących przy budowie zapory wodnej Mattmark w szwajcarskim Wallis.

Niejednokrotnie lodowce zalewały wsie i doliny wodą, która się spod nich gwałtownie uwalniała albo pochodziła z rzek zatarasowanych nagle przez bryły lodu czy też zerodowane działaniem lodowca skały.

Czoło Lodowca Rodanu przykryte odbijającą promieniowanie słoneczne włókniną. Szwajcaria, sierpień 2020 r.

Te katastrofy zawsze były jednak świadectwami burzliwego życia lodowców, a nie jedynie ich powolnego umierania.

Tendencja rosnąca

Miałem zaledwie dziewięć lat, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Ale doskonale zapamiętałem, co mówił o nim dziadek. „Aletschgletscher to najdłuższy lodowiec Europy, ma 24 kilometry długości". Jego potężne cielsko, jakby olbrzymi żywy organizm, wiło się pomiędzy długimi jak połowa Tatr graniami, wypełzało z otoczonego czterotysięcznikami i owitego czterema innymi lodowcami gniazda Konkordiaplatz. Cyrku lodowcowego nazwanego tak, bo pewnemu angielskiemu alpiniście wydał się przyrodniczym odpowiednikiem paryskiego Place de la Concorde.

Dziadek odszedł nigdy nie zrealizowawszy pomysłu wspólnego przejścia lodowcem aż do jego serca, ale liczba 24 wyryła się w głowie jak element kanonu wiedzy o Alpach. Gdy jednak 27 lat później znów zmierzałem ścieżką prowadzącą na krawędź Bettmerhornu, skąd miał się ukazać lodowiec, przeczytałem na znajdującej się tam tablicy informacyjnej, że długość lodowca Aletsch wynosi nie 24, lecz 23 kilometry.

Czytałem dalej. „Od ostatniego szczytu w 1860 r. lodowiec Aletsch stracił około trzech kilometrów długości. W tej chwili średnie topnienie wynosi około 30 metrów rocznie – a tendencja jest rosnąca!" – przewidywała tablica, informując jeszcze, że co sekundę wypływa z niego 60 tys. litrów wody. Miało to miejsce przed czterema laty, tablica podawała dane sprzed kolejnych czterech, a tempo cofania się lodowca w międzyczasie wzrosło do około 50 metrów rocznie. Uśrednione wyliczenia odnajdywały kilometr długości, który Aletsch utracił w ciągu ćwierćwiecza, czyli na przestrzeni większości mojego obejmowanego pamięcią życia, choć w skali meteorologii i glacjologii było to zaledwie machnięcie skrzydeł motyla.

Ten kilometr, czyli z grubsza tyle, ile długość Krupówek, działał na wyobraźnię podobnie jak widoczne wyraźnie na warstwach skał ponad 300 metrów utraconej grubości. Na XIX-wiecznych zdjęciach czy na pocztówce z 1911 r. widać, wzniesioną na skale nieco ponad nim, drewnianą chatę, poprzedniczkę schroniska Konkordia. Dziś 150 metrów różnicy między nimi łączą stalowe schody. Pierwszy, liczący dwieście szczebli, ciąg drewnianych drabin zamontowano tam już w latach 60., co dowodzi, że lodowiec zaczął się kurczyć, na długo zanim globalne ocieplenie stało się palącym problemem. A odpowiedzialne za to są te same naturalne procesy, które przez ostatnie stulecia w sinusoidalnym rytmie, co kilkaset lat przyczyniały się naprzemiennie do jego topnienia i rozrostu.

Pół wieku temu taka interpretacja kurczenia się Aletsch i innych lodowców była prawidłowa, a sam proces nie budził niepokoju. Choć jego powolny, ale nieustanny ruch, jego pełzający żywot, wpisana w jego naturę zmienność niepokoiły człowieka od zawsze. W źródłach pisanych pojawił się w 1653 r. już jako obiekt budzący grozę. Drżący wówczas o los swoich pastwisk oraz znajdujących się poniżej pól uprawnych mieszkańcy Naters poprosili duchownych o pomoc w powstrzymaniu pełznącego lodowca zmierzającego wówczas do jednego ze swoich maksimów. Po modłach i nabożeństwach w kościele dwóch jezuitów poprowadziło procesję do lodowca ↦

↦ i egzorcyzmowało go. Podobne środki zaradcze przedsięwzięli w tamtym czasie mieszkańcy dawnych osad leżących opodal czoła bratniego Fieschergletscher. Potem w intencji powstrzymania lodowca pisali nawet do papieża Innocentego XI i składali śluby czystości, wstrzemięźliwości od tańców czy też noszenia czerwonych fartuchów przez kobiety.

Sześć procent katastrofy

W tamtych czasach jakikolwiek wpływ człowieka na powstrzymanie lodowców był jedynie kwestią wiary. Dziś trudno się już nam uchylać od odpowiedzialności za ich topnienie. Chociaż liczne badania wskazują na to, że lodowce w dziejach ludzkości topniały już wielokrotnie, w czasach rzymskich ich rozmiary były nawet mniejsze niż obecnie, a nazwa największego w Austrii lodowca Pasterze, pochodząca prawdopodobnie z języka słoweńskiego, nawiązuje do znajdujących się niegdyś w jego miejscu terenów wypasu owiec. Jednakże w ostatnich latach tempo zanikania lodowców przyspieszyło tak znacznie, że zaczęło przekraczać wszelkie miary, wywracać statystykę i wytrącać argumenty obrońców teorii naturalnego procesu.

Rok 2022 w Alpach był najbardziej katastrofalnym z punktu widzenie glacjologii i klimatologii. W tym roku szwajcarskie lodowce straciły aż 6 proc. swojej objętości, co przekłada się na trzy kilometry sześcienne lodu. Pozostało mniej niż 50 kilometrów sześciennych. Tylko w ciągu tego jednego roku grubość lodowca Aletsch zmniejszyła się o sześć metrów. O pięć metrów obniżyła się powierzchnia dziesięciokrotnie mniejszego lodowca Plaine Morte. Żeby oddać skalę katastrofy i rozmiary przygnębiających rekordów, trzeba spojrzeć na nią szerzej. Jeszcze przed rokiem ubytek masy lodowej rzędu 2 proc. uznawano za ekstremalny. Do 2016 r. szwajcarskie lodowce straciły ponad połowę swojej objętości sprzed niemal stulecia, a przez następne 5 lat kolejne 12 proc.

Oficjalne strony rejonu Aletsch w rubryce „długość lodowca" podają już – choć zapewne bez szwajcarskiej precyzji, zaokrąglając przyszłościowo w dół – 20 kilometrów. Nawet mimo skali ubytków, najdłuższy jęzor lodu na kontynencie jest ciągle dłuższy od każdej doliny Tatr, zajmuje powierzchnię 80 kilometrów kwadratowych, czyli średniej wielkości miasta, a w najgłębszym miejscu liczy około 800 metrów. Trudniej zobrazować szacunkową wagę jego lodu – 11 mld ton. Gdyby stopniał, to pochodząca z niego woda mogłaby poić całą ludzkość przez około 5 lat. Tym bardziej trudno sobie wyobrazić jego zniknięcie. Choć takowe wizje pojawiają się nawet w badaniach najbardziej renomowanej uczelni technicznej w Europie. Symulacja naukowców Politechniki Federalnej (ETH) w Zurychu przewiduje trzy scenariusze wpływu globalnego ocieplenia na Aletschgletscher. W najbardziej optymistycznym, zakładającym lokalny wzrost temperatur nieprzekraczający 2 st. C do 2100 r. może stracić on połowę swojej objętości, ale w najgorszym – jeśli temperatura w Alpach Berneńskich podwyższy się od 4 do 8 st. – pozostaną po nim wówczas jedynie „dwa nędzne płaty lodu".

Guillaume Jouvet i Matthias Huss uważają w dodatku, że topnienie będzie postępowało, nawet jeżeli ludzkości uda się osiągnąć cele porozumienia klimatycznego w Paryżu z 2015 r. i utrzymać globalny wzrost temperatur na poziomie nieprzekraczającym 2 st. C względem epoki przedprzemysłowej.

Przy czym o ile średni globalny wzrost temperatur w latach 1850-2005 oszacowano na 0,76 st. C, to lokalnie w Alpach był on nawet dwukrotnie wyższy.

Lodowcowe zgony i reanimacje

Trzeba przyznać, że Aletsch, zwłaszcza oglądany z perspektywy okolicznych szczytów, nadal robi kolosalne wrażenie. Czego nie można powiedzieć o wszystkich alpejskich lodowcach. Nawet o Lodowcu Rodanu, źródle najważniejszej rzeki całego południa Szwajcarii i Francji, znanym zarówno z płócien szwajcarskich preromantyków, Caspara Wolfa czy Johanna Heinricha Wüesta, jak i ze scen z Jamesem Bondem w „Goldfingerze". W latach 90. szarobłękitne zwały lodu nadal przelewały się spektakularnie przez próg doliny, dobrze widoczne z pnącej się serpentynami drogi na przełęcz Furka i spod znajdującego się przy jednej z nich hotelu Belvedere, który dziś, pozbawiony widoku na czoło lodowca, stoi zamknięty i opustoszały. A spojrzenie na lodowiec po prawie trzech dekadach, wymagające już kilkunastu minut podejścia, budzi raczej przygnębienie. Częściowo przykryty liczącymi 50 tys. metrów kwadratowych płachtami wygląda jak instalacja artysty Christo. Poliestrowa włóknina odbija energię słoneczną, zapobiegając topnieniu lodu i zabezpieczając także jego naturalną ochronę – śnieg kryjący lodowiec od poprzedniej zimy.

Białej plandeki w Szwajcarii użyto po raz pierwszy w 2004 r. do ochrony lodowca Gurschenfirn pod szczytem Gemsstock, choć już dekadę wcześniej testowano ją pod najwyższym szczytem Niemiec, Zugspitze. Od tego czasu metodę tę stosuje się na licznych alpejskich lodowcach, przede wszystkim małych, na których zimą funkcjonują ośrodki narciarskie. Nie zapobiega ona topnieniu lodowca, ale według Szwajcarskiego Federalnego Instytutu Badań nad Lasem, Śniegiem i Krajobrazem (WSL) spowalnia je o nawet 60 proc. Lodowiec na Diavolezzy w Gryzonii, który niemal zniknął, został w ten sposób „przywrócony do życia". Latem drzemiący pod kocem, zimą okrywający się zaś śnieżną kołdrą, zaczął notować przyrost grubości powłoki lodowej. Jednakże taka ochrona wszystkich szwajcarskich lodowców byłaby zarówno niewykonalna, jak i nieopłacalna – kosztowałaby około miliona franków rocznie, nie mówiąc o bezprecedensowej ingerencji w krajobraz. Odczuwalnej już dziś, choćby gdy do stanowiącej turystyczną atrakcję groty w Lodowcu Rodanu wchodzi się jak do cyrkowego namiotu, a pod koniec lata nad fragmentami lodowego tunelu wisi już tylko poliestrowy całun.

Dlatego dwie zimy temu na Morteratsch, największym lodowcu w Gryzonii, zaczęto testować nową metodę ochrony – przez pokrywanie powierzchni lodowca sztucznym śniegiem wytworzonym z polodowcowej wody.

Nie wszystkie lodowce udaje się jednak uratować. W 2019 r. tłum żałobników wziął udział w ostatnim pożegnaniu długoletniego mieszkańca szwajcarskich Alp, lodowca Pizol, który w ciągu kilkunastu lat utracił około 90 proc. objętości. Glacjolog Matthias Huss wspomniał przy okazji, że od 1850 r. zniknęło już około 500 szwajcarskich lodowców, w tym 50 znanych z nazw.

Przy czym lodowiec umiera nie wtedy, gdy znika z ostatnim płatem lodu, ale kiedy traci możliwość ponownego wzrostu i zdolność ruchu. W 2022 r. swój niegdyś najwięk-

Grota lodowa w Lodowcu Rodanu z przykrytymi płachtą prześwitami w suficie. Szwajcaria, wrzesień 2020 r.

Najdłuższy lodowiec Europy Aletsch w szwajcarskich Alpach Berneńskich widoczny z grani Bettmerhornu. Co roku traci kilkadziesiąt metrów długości i kilka metrów grubości. Sierpień 2018 r.

szy lodowiec stracili Niemcy. Położony na stokach Zugspitze Południowy Schneeferner skurczył się do powierzchni poniżej hektara i mniej niż dwumetrowej miąższości. Bawarska Akademia Nauk ogłosiła, że stracił tym samym status lodowca, a pozostałe pole lodowe zakończy w najbliższych latach jego historię. Lata te mogą być też ostatnią szansą na zobaczenie pozostałych czterech lodowców Bawarii – Höllentalfernera, Północnego Schneefernera, Blaueisa oraz Watzmanna.

W Austrii, aby podziwiać ogrom takiego lodowca jak Gepatschferner, trzeba wspiąć się wysoko albo wjechać kolejką. Wszystkie położone poniżej 3 tys. metrów zniknęły lub znikną w najbliższych latach. Pozostały po nich księżycowy krajobraz osypujących się moren i rumowisk, przez który wędrowałem w tym roku w Kaunertal, barwą i fakturą bardziej niż Alpy przypomina marokański Atlas.

Alpinizm nieaktualny

W napisanej 15 lat temu książce „Legenda żeglujących gór" Paolo Rumiz zamieścił swoisty rejestr strat:

„Fakty są przerażające: lodowiec z północnej strony Adamello zniknął, ten koło Lobbii odłączył się od schroniska. Pian di Neve obniżyło się mniej więcej o sto metrów. Nie da się już wspinać na północną ścianę Montefalcone, lodowy kuluar na Monte Nero w masywie Presanella właściwie nie istnieje. Nawet na Monte Bianco wszystko się zmieniło. Drogi, które wyznaczały historię alpinizmu, zniknęły albo stały się niemożliwe do przejścia: Courtes, Droites, Mont Blanc du Tacul".

Nie ma już ogromnego seraka stanowiącego ozdobę grani Rochefort, bo przypominającego trójkąt pleśniowego sera. Tegoroczne zdjęcie północnej ściany Eigeru pokazało ją po raz pierwszy całkowicie bez lodu i śniegu.

– Klasyczne drogi prowadzące na szczyty stały się trudne. Coś, co w latach 70. było praktycznie niezmienne od XIX wieku, nagle stało się całkowicie inną drogą. Nawet aktualne przewodniki przestają być aktualne – mówi Ciesielski.

Mijający rok wyznaczył też początek końca alpinizmu, jaki znaliśmy i jaki tworzył przez dekady mit takich miejsc jak Chamonix czy Zermatt.

– Wiosna wyglądała jak późna jesień po upalnym lecie. Szczeliny były jak potwory. Nawet w miejscach, gdzie od ponad 20 lat, odkąd wchodzę na czterotysięczniki, nie było ich widać w ogóle, trzeba było między nimi kluczyć, lawirować. A drogę na Gran Paradiso zabezpieczono jak w Himalajach, położonymi nad nimi drabinami – opowiada Artur Zwatrzko, przewodnik górski i miłośnik alpinizmu.

Szwajcarscy przewodnicy unikali chodzenia na Matterhorn, a ich francuscy koledzy praktycznie przestali prowadzić latem normalną drogą na Mont Blanc, uznając ją za zbyt niebezpieczną. Jeden z nich, geomorfolog Ludovic Ravanel ostrzegał przed wielkimi obrywami skalnymi, do których może prowadzić zarówno zmniejszający się nacisk topniejących lodowców na ściany, jak i wynikająca także z ekstremalnych temperatur postępująca degradacja wieloletniej zmarzliny, błędnie i życzeniowo nazywanej u nas wieczną – lodowego cementu spajającego warstwowe konstrukcje alpejskich ścian. Za najbardziej niebezpieczne Ravanel uznał te, na których warstwy skalne układają się wertykalnie. Takim spektakularnym przypadkiem jest masyw Les Drus, gdzie już w minionym ćwierćwieczu miały miejsce gigantyczne obrywy. W 2022 r. ofiarą tych zjawisk padła kultowa wśród alpinistów bezobsługowa chatka na grani Kuffnera. Na szczęście pusty, Bivouac de la Fourche runął w przepaść wraz ze skałami, na których stał od dziesięcioleci.

Ale Francuzi już od kilku lat myślą o ratowaniu obiektów większej wagi. Przede wszystkim jednej z najpopularniejszych biletowanych atrakcji kraju, czyli górnej stacji kolejki na Aiguille du Midi. W szczyt wwiercili kilkunastometrowe pręty zalane betonem, a czujniki monitorują wszystko, także kondycję wiszącego pod szczytem seraka.

Szwajcarzy już od lat przygotowują swoje czołowe turystyczne miejscowości na czasy bez lodowców. Zermatt, w którym nawet latem można uprawiać narciarstwo, zmienia główny profil na rowerowy.

Nad największym lodowcem Francji Mer de Glace przytwierdzone do skał tabliczki, niczym miejsca pamięci, przypominają, dokąd sięgał w roku 1820, 1990, 2003, 2015... W nadchodzącym roku otwarta zostanie nowa kolejka gondolowa wywożąca turystów do tej największej obok Mont Blanc atrakcji francuskich Alp. Docelowo ma sięgnąć aż do skrzyżowania z lodowcem Leschaux.

– Są wizualizacje, na których w 2060 r. jest tam polodowcowe jezioro, ludzie pływają na kajakach, a dookoła rośnie las – mówi Ciesielski.

Zniknięcie lodowców i powstanie dziesiątek nowych jezior nie wpłynie jednak tylko na kartografię i turystykę, ale na całe życie w krajach alpejskich, począwszy od ich gospodarki wodnej po ekosystemy.

A szare powierzchnie, które zastąpią ich odbijającą promieniowanie słoneczne biel, przyspieszą jeszcze proces globalnego ocieplenia.

©℗ BARTEK DOBROCH

REKLAMA

ANDREA BOCELLI

IN CONCERT

26 SIERPNIA 2023
STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige MJM · BILET SERWIS · STADION ŚLĄSKI · BUKOVINA RESORT · radio ZET · RZECZPOSPOLITA · onet · VIVA! · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON

REKLAMA

HAUSER

REBEL WITH A CELLO

KONCERTY

3 LISTOPADA 2023
TAURON ARENA KRAKÓW

5 LISTOPADA 2023
ERGO ARENA GDAŃSK

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige MJM · BILET SERWIS · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · VIVA! · pap MediaRoom · proart · VIXON

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 01-02/2023

WIELKOPOLSKA WIELCE MUZYCZNA

JAKUB PUCHALSKI

Nie bez powodu pierwszy po wojnie Konkurs Wieniawskiego odbył się w Poznaniu. Przenosiny ze zrujnowanej Warszawy były naturalne.
Nie tylko dlatego, że nad Wartą była świetna Aula UAM. Nie tylko dlatego, że sam Wieniawski nadzwyczaj często w Poznaniu bywał, utrwalając pamięć tych wizyt w utworze „Souvenir de Posen". Przede wszystkim dlatego, że znajdowało się tu właściwe środowisko muzyczne, pragnące i umiejące poprowadzić tak poważną imprezę.

Nie wzięło się ono znikąd. Położona na drodze łączącej Berlin ze Wschodem, Wielkopolska regularnie gościła największe sławy XIX i XX wieku. Ważniejsze jednak, że przynajmniej od stulecia brała czynny udział w rozwoju kultury muzycznej – była centrum powszechnego ruchu chóralnego, promieniującym na inne regiony. To dawało podstawy do rozwoju sceny operowej i estrady koncertowej. W 1920 r. powstała Akademia Muzyczna, a zaledwie dwa lata później, obchodząca w tych dniach swoją setną rocznicę, uniwersytecka muzykologia.

Dziś poznańska Opera realizuje m.in. polskie premiery światowych arcydzieł, a z fasady pseudorenesansowej kamienicy przy Rynku 88 z medalionowego portretu wciąż spogląda Stanisław Wisłocki, pierwszy dyrektor miejscowej Filharmonii. Tej samej, która pod kierunkiem Łukasza Borowicza przypomina dziś zapomniane dzieła polskiej muzyki. Muzyka regularnie brzmi też w Antoninie czy Gostyniu. O wszystkim tym piszemy w dodatku, którego drukowaną odsłonę trzymają Państwo w rękach. Jeszcze więcej materiałów znajdą Państwo na naszej stronie internetowej.

Zapraszamy do Wielkopolski! ©

Nie tylko Wieniawski

EWA SCHREIBER

Kompozytorską mapę Wielkopolski można przemierzać w różnych kierunkach, odkrywając nieoczywiste już dzisiaj szlaki i śledząc, jak przesuwały się muzyczne centra i peryferie.

Więzi twórców z Wielkopolską przybierały rozmaity charakter. Niektórzy, jak pochodzący z Konina Witold Friemann czy osiadły w Lesznie Roman Maciejewski, tylko się tu wychowali. Inni, np. Henryk Opieński czy Tadeusz Szeligowski, współtworzyli nowe instytucje muzyczne po obu wojnach światowych. Feliks Nowowiejski spędził w Poznaniu najbardziej owocne lata twórcze, a Apolinary Szeluto znalazł przystań życiową w pobliskiej Słupcy. Trwały ślad pozostawiły po sobie także muzyczne sławy, przyjeżdżające do Wielkopolski nawet z krótkimi wizytami.

Poznań i inne miasta regionu były ważnymi przystankami na trasach koncertowych prowadzących ze Wschodu na Zachód. Osiedlali się tu twórcy wykształceni w Berlinie, ale też we Lwowie czy Warszawie.

Kształceni w klasztorach

Wacław z Szamotuł zasłynął zarówno pieśniami w języku polskim, jak i łacińskimi motetami. Jako pierwszy polski twórca publikował utwory w zagranicznych drukach, w których jego nazwisko pojawiło się obok największych mistrzów renesansu. Szamotulczyk, zanim związał się z dworem królewskim, kształcił się m.in. w poznańskiej Akademii Lubrańskiego, uczelni o humanistycznym profilu nauczania. Umuzycznił m.in. psalmy w przekładzie Mikołaja Reja (wśród nich „Kryste, dniu naszej światłości") oraz teksty Andrzeja Trzecieskiego (m.in. „Już się zmierzcha").

Styl klasyczny zapoczątkował związany z Kaliszem i Poznaniem jezuita Jacek Szczurowski, choć do naszych czasów przetrwało zaledwie osiem jego utworów. Festiwal Sacromontana odbywający się od 2006 r. w barokowym zespole klasztornym filipinów na Świętej Górze w Gostyniu wydobył z zapomnienia postać Józefa Zeidlera. Ten zaznajomiony z wzorcami muzyki klasycznej kompozytor poznawał je prawdopodobnie w bogatych zbiorach klasztornej biblioteki. Skomponował m.in. Vesperae, Missa Pastorycja, Litania de Beata Maria Virgine, Stabat Mater oraz Requiem – utwory, których można dziś już słuchać na płytach.

Z kolei Wojciech Antoni Dankowski wykształcił się prawdopodobnie w klasztorze cystersów w Obrze, a potem kierował kapelą katedralną w Gnieźnie. Jego kompozycje przetrwały w poznańskiej kolegiacie św. Marii Magdaleny, która stała w miejscu dzisiejszego placu Kolegiackiego.

Występy gościnne

Wiek XIX pozostawił po sobie wspomnienia, które obrosły legendą. To wówczas Wielkopolskę odwiedzali Fryderyk Chopin, Henryk Wieniawski oraz Ignacy Jan Paderewski. Chopin koncertował w pałacu w Antoninie, przebywając w gościnie u amatorskiego kompozytora i wiolonczelisty Antoniego Radziwiłła, w którym mógł widzieć swego przyszłego mecenasa. Zadedykował księciu Trio g-moll op. 8 na skrzypce, wiolonczelę i fortepian; z myślą o tym samym adresacie stworzył Poloneza na fortepian i wiolonczelę op. 3.

Wieniawski dał w Poznaniu aż osiemnaście koncertów, większość przy akompaniamencie swego brata Józefa, pianisty. Pamiątką z nich jest mazurek Souvenir de Posen op. 3 zadedykowany hrabinie Janinie Niemojowskiej z Wrześni. O miejscu Poznania na mapie koncertów wirtuoza przypomina Konkurs Wieniawskiego, który odbywa się tu od 1957 r.

Wspomnienia umacniają dziś także instrumenty muzyczne, które nabrały wartości wraz z upływem lat. Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu wystawia skrzypce Charles'a François Ganda z 1846 r., nagrodę za ukończenie studiów w Konserwatorium Paryskim przez jedenastoletniego Wieniawskiego. Można znaleźć tam także fortepian z Antonina oraz odlew ręki Chopina. Poznańska Akademia Muzyczna otrzymała też – za sprawą Towarzystwa Muzycznego im. Teodora Leszetyckiego – fortepian firmy Bösendorfer, na którym patron uczelni, Paderewski, uczył się gry od swojego mistrza.

Od folkloru do powstańców

Dwudziestolecie międzywojenne i czas po II wojnie światowej były zdominowane przez wysiłki odbudowy polskiego życia muzycznego. Jeszcze w 1905 r. Apolinary Szeluto wraz z Karolem Szymanowskim i innymi twórcami założył Spółkę Nakładową Młodych Kompozytorów Polskich „Młoda Polska". W latach 30. XX w. Szeluto osiedlił się w Słupcy, a w Poznaniu zagrano m.in. jego programowy poemat symfoniczny „Cyrano de Bergerac".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 1-2/2023

REDAKCJA: Jakub Puchalski | PROJEKT GRAFICZNY: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
NA OKŁADCE: Jane (Hyeonjin) Cho podczas III etapu Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego, Poznań, 2022 r. // FOT.: ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

PARTNERZY
WIELKOPOLSKA
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
POZnań metropolia

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Feliks Nowowiejski – poznański klasyk. Ok. 1930 r.

MATERIAŁY PRASOWE AKADEMII MUZYCZNEJ IM. PADEREWSKIEGO W POZNANIU

Ewa Fabiańska-Jelińska – teraźniejszość i przyszłość poznańskiej kompozycji

O wykonywanie w Poznaniu najnowszej twórczości muzycznej zabiegają w tym czasie także Tadeusz Zygfryd Kassern, Stefan Bolesław Poradowski i Stanisław Wiechowicz. Henryk Opieński współtworzy Państwową Akademię i Szkołę Muzyczną, a w okresie pobytu w Poznaniu komponuje m.in. operę „Maria" (według poematu Antoniego Malczewskiego) czy „Jakub lutnista", efekt jego zainteresowań muzyką dawną. Łucjan Kamieński, muzykolog i kompozytor, w 1930 r. otwiera pierwsze w Polsce Regionalne Archiwum Fonograficzne działające przy Katedrze Muzykologii Uniwersytetu Poznańskiego i gromadzi w nim nagrania folkloru z różnych regionów Polski. Sprzyjało ono badaniom, ale też inspirowało przyszłych kompozytorów.

Mistrzem stylizacji, także ludowej, był Tadeusz Szeligowski, wykładowca kompozycji w Poznańskiej Wyższej Szkole Muzycznej, a dziś patron filharmonii. Z inspiracji lokalnym folklorem powstała także Suita wielkopolska Stefana Bolesława Poradowskiego, a z Poznaniem wiąże się jego kantata „Rapsod poznański" oraz poemat symfoniczny na orkiestrę „Ratusz poznański".

Muzykę chóralną kultywował Feliks Nowowiejski. To pod jego batutą w 1929 r. na Wszechsłowiańskim Zjeździe Śpiewaczym na Błoniach Wildeckich z udziałem kilkunastu tysięcy śpiewaków wykonano pierwszy raz „Ojczyznę. Psalm 136". W Poznaniu powstała opera „Legenda Bałtyku", partytury baletowe „Polskie wesele" i „Tatry", msze komponowane do polskich tekstów (w tym najważniejsza: Missa pro pace) oraz dziewięć symfonii organowych, często związanych z tematyką maryjną. Nowowiejski był też autorem chóralnej pieśni powstańczej „Marsylianka wielkopolska" i słynnej „Roty" skomponowanej do słów Marii Konopnickiej. Poetka pisała swój wiersz z myślą o Wielkopolsce, w której odbył się strajk dzieci z Wrześni (1901) czy protestacyjny wiec kobiet w Poznaniu (1908).

Poznań, miejsce pracy

W drugiej połowie XX w. nowe życie muzyce chóralnej nadał w swojej twórczości Andrzej Koszewski. W jego utworach pojawiają się zazwyczaj przestrzenny podział zespołu na mniejsze grupy, zabawa słowami (często tworzonymi przez samego kompozytora), a także eksperymenty z głosem. Do kompozycji Koszewskiego należy chóralny „Tryptyk wielkopolski" oparty na słowach i melodiach ludowych.

Wyjątkowym zjawiskiem w polskiej muzyce końca XX w. jest fascynacja poezją Paula Celana w późnej twórczości Floriana Dąbrowskiego, kompozytora, wykładowcy i zaangażowanego publicysty muzycznego. Jej owocem są utrzymane w elegijnym tonie pieśni z cyklu „Celanstimmen", „Siedem pieśni do słów Paula Celana" oraz „Cello-Einsatz".

Dziś muzykę Wielkopolski tworzą kolejne pokolenia. Do kompozytorek i kompozytorów skupionych wokół festiwalu Poznańska Wiosna Muzyczna (zapoczątkowanego w 1961 r. i będącego poznańską odpowiedzią na Warszawską Jesień) należą Lidia Zielińska (autorka m.in. „Epitafium pamięci poznańskiego Czerwca 1956" na orkiestrę), Monika Kędziora, Artur Kroschel, Rafał Zapała, Katarzyna Taborowska-Kaszuba, Barbara Kaszuba i Ewa Fabiańska-Jelińska.

Jedni hołdują muzyce instrumentalnej, inni elektroakustycznej, jeszcze inni intermedialnej twórczości wykonywanej w przestrzeniach niekoncertowych. Podobnie jak w poprzednich stuleciach, Poznań jest dla młodych twórców miejscem pracy, ale często także przystankiem w ich dalszych muzycznych podróżach. ©

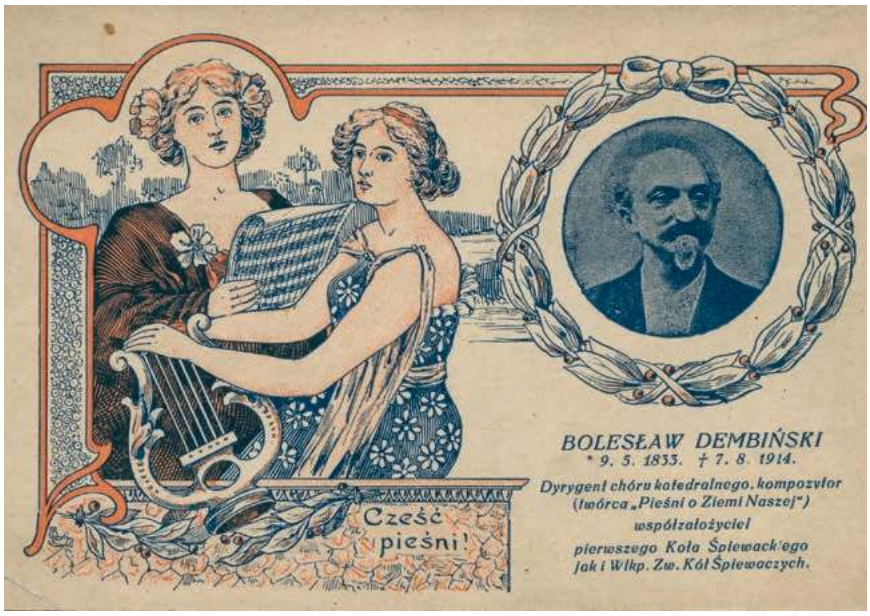

Harmonia wbrew polityce

ANDRZEJ JAZDON

Gdy śpiew chóralny uległ upowszechnieniu, w Wielkopolsce przestał oznaczać jedynie wspólne wykonywanie muzyki. Nigdy też nie stracił swojej pozycji.

Początek XIX w., kiedy w niemieckich stowarzyszeniach *Liedertafel* – stopniowo przekształcających się w towarzystwa muzyczne i rozprzestrzeniających się na kolejne kraje – upatruje się początków powszechnego ruchu śpiewaczego, to trudny okres w historii Wielkopolski. W 1831 r., po okresie stosunkowo liberalnej polityki zaborcy, w Wielkim Księstwie Poznańskim zaostrzono kurs antypolski. Władze pruskie represjonowały powstańców i Kościół, wprowadzano surowe przepisy szkolne, w urzędach stanowiska starano się obsadzać Niemcami.

Skuteczną odpowiedź na politykę Kulturkampfu zaproponowali polscy zwolennicy pracy organicznej. Organizowano polski przemysł, handel, propagowano rozwój rolnictwa. W 1841 r. powstało Towarzystwo Pomocy Naukowej, które miało kształcić inteligencję. Siedem lat później utworzono Ligę Polską, a w 1857 r. powołano Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Na tym samym terenie, oparte na narodowych tradycjach, zaczęły wyrastać dwie odrębne kultury: polska i niemiecka. Gdy w połowie XIX w. mieszczaństwo osiągnęło w miarę stabilny poziom ekonomiczny i kulturalny, zaczęły też powstawać polskie związki śpiewacze.

POCZĄTKOWE INICJATYWY (Towarzystwo ku Podniesieniu Muzyki Kościelnej z 1840 r. czy chór Harmonia z 1848 r.), mimo chwilowych sukcesów i ambitnych pomysłów, nie były trwałe. Zmiana myślenia zaszła dopiero podczas wzmożonej germanizacji i rozwoju polityki Kulturkampfu po roku 1870. Wzrost świadomości, zwłaszcza wśród mieszczaństwa i warstw chłopskich, zaowocował powstaniem licznych towarzystw gospodarczych, rolniczych – i właśnie śpiewaczych. Przesunięcie punktu ciężkości z działań politycznych na pracę organiczną szybko przyniosło rezultaty. Towarzystwa pomagały sobie wzajemnie przy tworzeniu statutów, zakładaniu bibliotek nutowych, wymieniały się materiałami. Chóry nie upadały już po kilku miesiącach, kontynuowały swoją działalność wymieniając się doświadczeniami.

Wzorem dla nich było działające w Poznaniu od 1869 r. Towarzystwo Centralne Harmonia, które w statucie miało wpisaną pomoc w tworzeniu zespołów filialnych. Członkiem Harmonii mógł zostać każdy, bez względu na pochodzenie czy wykształcenie. Przystępując do Towarzystwa zobowiązywał się do uczestnictwa dwa razy w tygodniu w próbach (dla amatorów niemających żadnego doświadczenia muzycznego organizowano lekcje umuzykalniające). Założycielem i dobrym duchem Harmonii był Bolesław Dembiński. Już po dwóch latach filialne zespoły działały w przeważającej części większych miast Wielkopolski, a nawet we Wrocławiu. Taka aktywność nie spodobała się zaborcom. Ledwie po trzech latach Towarzystwo zostało uznane za polityczne i rozwiązane. Podobnie upadło następne

ZBIORY BUAM X3

Pocztówki związane z poznańskim ruchem śpiewaczym

Towarzystwo Przyjaciół Muzyki (wciąż z Dembińskim na czele).

PIERWSZYM ZESPOŁEM, który przetrwał zawirowania i istnieje do dzisiaj, było powołane w Śremie w 1880 r. przez ks. Piotra Wawrzyniaka Towarzystwo Śpiewu pod opieką patronki św. Cecylii. Przekształciło się później w Koło Śpiewackie Polskie. Dzisiaj nosi nazwę Śremskiego Koła Śpiewackiego im. Stanisława Moniuszki.

Poznań doczekał się pierwszego stałego chóru pięć lat później. Koło Śpiewackie Polskie współorganizował niestrudzony Dembiński. Unikając błędów z przeszłości, powstawały kolejne zespoły. Wiele z nich przetrwało zawirowania historii i istnieje do dziś. Członkowie chórów uczestniczyli w koncertach na terenie Wielkopolski, wizytując zaprzyjaźnione zespoły, włączali się w obchody rocznic patriotycznych, współtworzyli chętnie wystawiane przedstawienia.

Inaczej wyglądała sprawa chórów kościelnych. Te finansowane były przede wszystkim przez parafie, a ich celem była oprawa liturgii. Najdłuższą tradycję, sięgającą przełomu XV i XVI w., miał zespół wokalno-instrumentalny przy katedrze poznańskiej. Na jego działalność duży wpływ wywierała jednak polityka. W momencie wstrzymania dotacji rządowej zespół został rozwiązany. Należy zwrócić uwagę na fakt, iż kierujący nim wówczas Dembiński był przeciwnikiem tzw. szkoły ratyzbońskiej, co stało się przyczyną sporu z ks. Józefem Surzyńskim, który w katedrze objął stanowisko organisty w 1881 r. Rozwiązał zespół instrumentalno-wokalny i zorganizował chór chłopięco-męski, nawiązujący do tradycji chóru katedralnego w XVI i XVII w. Było to zgodne z przyjętą reformą muzyki kościelnej propagowaną głównie przez szkołę w Ratyzbonie, której Surzyński był absolwentem.

PIERWSZY WYSTĘP zespołu w czerwcu 1884 r. wierni przyjęli entuzjastycznie. Repertuar opierał się na utworach znajdowanych przez Surzyńskiego w archiwach, przede wszystkim krakowskich. Spór, który rozgorzał między Surzyńskim a Dembińskim, spowodował, że pierwszy z nich przeniósł się na probostwo w Kościanie i po kilku latach zrezygnował z prowadzenia chóru. Szefem ponownie został Dembiński, a do katedry wróciła muzyka, której charakter nie zawsze odpowiadał przepisom liturgicznym.

W 1892 r. powołano Związek Kół Śpiewackich na Wielkie Księstwo Poznańskie. Zasiadający w zarządzie prawnicy napisali statut, czuwali też nad chórami. Ich pomoc okazywała się niezbędna w okresie wzmożonej germanizacji. Powstanie Związku pomogło nadać ruchowi amatorskiemu kierunek – zobowiązywał się on do kształcenia dyrygentów, organizowania konkursów kompozytorskich i dostarczania materiału nutowego. Wydawano miesięcznik literacko-muzyczny „Śpiewak". W efekcie – dzięki chórom, ale też wykładom i odczytom – rozkwitało czyste brzmienie polszczyzny, krzewiono ducha narodowego i oświatę. W 1914 r. do Związku należało już 130 kół. Niektóre zespoły – np. z zasady chóry kościelne, skupione na muzyce liturgicznej –pozostawały jednak poza Związkiem.

W 1914 r. dyrektorem muzyki kościelnej został ks. dr Wacław Gieburowski, który ponownie wprowadził do katedry muzykę polifoniczną. Poziom, jaki zespół osiągnął, sprawił, że znany był w całej Europie. Śpiewał w kościołach, salach koncertowych, przed mikrofonami Polskiego Radia.

Powstanie państwa polskiego umożliwiło odrodzenie się ruchu śpiewaczego w Wielkopolsce. Do największych wydarzeń zaliczyć trzeba II Wszechpolski Zjazd Śpiewaczy w Poznaniu w czerwcu 1924 r., którego efektem było powołanie do istnienia Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych i Muzycznych z siedzibą w Warszawie, a także Wszechsłowiański Zjazd Śpiewaczy w maju 1929 r. Uroczystość ta zgromadziła w Poznaniu 319 kół śpiewaczych z Polski oraz osiem chórów z krajów słowiańskich. Uczestniczyło w niej około 14 tys. chórzystów z całej Europy.

W CZASIE II wojny światowej śpiewano konspiracyjnie w domach i kościołach „ku pokrzepieniu serc". Przykładem jest działalność Stefana Stuligrosza, który przez całą okupację prowadził chór ↦

↦ złożony przede wszystkim z członków przedwojennego chóru katedralnego. Na jego bazie założył w 1945 r. chór chłopięco-męski im. ks. Wacława Gieburowskiego, który od 1950 r. jako Poznańskie Słowiki związany jest z Filharmonią Poznańską. Po wojnie ruch związkowy stosunkowo szybko odżył – chóry wspierane były dotacjami państwowymi, wiele oficjalnych świąt, spotkań i akademii odbywało się z udziałem zespołów amatorskich, o których poziom dbali absolwenci poznańskiej Akademii Muzycznej. Kontynuatorem XIX-wiecznych tradycji jest Oddział Wielkopolski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr „Macierz". W jego statucie odnajdziemy echa zadań z końca XIX stulecia: pomoc, wspomaganie, opieka, koordynacja różnorodnych działań.

OBECNIE działa w Poznaniu kilkanaście zespołów o dużych tradycjach: zespoły będące kontynuatorami Chórów Stuligrosza, Kurczewskiego, zespoły akademickie UAM, Uniwersytetu Przyrodniczego, Politechniki, Uniwersytetu Ekonomicznego, Akademii Muzycznej, Chór Dziewczęcy Skowronki, Chór Arion, Chór Katedralny, Chór Męski Kompania Druha Stuligrosza i wiele innych.

Niektóre borykają się z problemami finansowymi i kadrowymi. Codziennością jest „polowanie" na tenora czy podkupywanie członków. Chóry liczące wiele osób powoli odchodzą w niepamięć – coraz częściej spotykane są małe, liczące 20-30 osób zespoły. Skądinąd jest to korzystne dla ich brzmienia. Zmienił się jednak także model spędzania wolnego czasu. Odbywające się dwa razy w tygodniu próby są atrakcją dla niewielu kandydatów do chóru.

Problemem też staje się repertuar. Wieloletni dyrygent m.in. Chóru UAM prof. Antoni Grochowalski skarżył mi się ostatnio, że z repertuaru wielu zespołów znika muzyka polifoniczna i muzyka polska, a na jej miejsce wchodzą utwory popularne. Żyjemy w czasach zmian nie tylko repertuarowych, ale także modelu tradycyjnego chóru. Może jednak będzie to służyć przyciągnięciu słuchaczy i zachęcać ich do wspólnego śpiewania?

© ANDRZEJ JAZDON

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Paderewski w Poznaniu

HALINA LORKOWSKA

Rzadko się zdarza, by muzyk wywarł taki wpływ na historię, jak Ignacy Jan Paderewski. Wizyty wielkiego pianisty w Poznaniu, z kulminacją w roku 1918, są zjawiskiem wyjątkowym.

W mieście nad Wartą, od 1815 r. stolicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego, nieustannie toczyła się walka Polaków o utrzymanie tożsamości narodowej. Pokolenia „organiczników" nie ustawały w niezłomnej pracy. Zapowiedź koncertów Ignacego Jana Paderewskiego przyjmowano zatem z niespotykanym entuzjazmem.

Do poznańczyków spragnionych kontaktu z wielką sztuką przyjeżdżał Polak, znamienity wirtuoz, kompozytor, który grał dzieła ze światowego repertuaru pianistycznego, ale przede wszystkim muzykę Fryderyka Chopina. Cztery koncerty odbyły się w dwóch turach: 13 i 15 lutego 1890 oraz 29 października i 12 grudnia 1901 r. Za każdym razem w sali Lamberta przy ul. Piekary (znanej też jako Apollotheater) oraz w gmachu Teatru Polskiego, który „Naród wybudował sobie" (ul. Berlińska – obecnie 27 grudnia) – bastionie polskości w zaborze pruskim. Atmosfera występów Paderewskiego była niezwykle gorąca, każdy utwór przyjmowano niemilknącymi brawami. Zapał słuchaczy sięgał zenitu po wykonaniu kompozycji Chopina. Recitale zamieniały się w manifestacje patriotyczne.

W grudniu 1918 r. sytuacja Poznania była szczególna. Rzesza wilhelmińska

Powitanie Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu

i zwycięska koalicja podpisały 11 listopada rozejm, lecz los ziem polskich pod pruskim zaborem nie został jeszcze rozstrzygnięty. Gdy w dawnej Galicji i Królestwie Polskim świętowano odzyskanie niepodległości, w Poznaniu czas stanął w miejscu. Działała pruska administracja, stacjonował garnizon, a Poznań nazywał się nadal Stadt Posen. Miasto było niespokojne. Wówczas nadeszła elektryzująca wiadomość: 26 grudnia, w podróży z Gdańska do Warszawy, zatrzyma się w Poznaniu Ignacy Jan Paderewski, który po powrocie ze Stanów Zjednoczonych jedzie do stolicy jako kandydat na premiera nowego polskiego rządu. Informację tę potwierdziły anonsy umieszczone w „Kurierze Poznańskim" 22 i 24 grudnia.

Na przywitanie gościa Poznań przybrał barwy narodowe. Z okien zwisały flagi polskie i koalicyjne. W mroźny drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przez ciemne miasto (administracja niemiecka wyłączyła prąd) przechodziły tłumy poznańczyków z pochodniami i latarniami; sztandarami cechów, skautów, Straży Ludowej, towarzystw i stowarzyszeń. Polacy oczekujący Mistrza utworzyli rozświetlony szpaler ciągnący się od ulicy Dworcowej, poprzez ulicę św. Marcina do hotelu Bazar (ul. Wilhelmowska – obecnie al. Marcinkowskiego).

O godz. 21.10 na dworzec cesarski wjechał pociąg specjalny. Z salonki wysiedli zacni goście: Wojciech Korfanty, przedstawiciele Naczelnej Rady Ludowej, oficerowie misji alianckiej, pani Helena Paderewska i ten najbardziej oczekiwany – Ignacy Jan Paderewski, polityk, światowej sławy wirtuoz fortepianu, kompozytor, patriota, który w chwili, gdy wezwała go ojczyzna, wrócił do kraju. Ziściły się jego marzenia, Polska się odradzała, a on miał stać się jednym z „ojców niepodległości".

Po oficjalnym powitaniu goście zostali zaproszeni do oczekujących powozów i udali się do hotelu Bazar. Towarzyszyła im eskorta Służby Straży i Bezpieczeństwa, Honorowej Straży Ludowej, orkiestry i innych reprezentantów społeczności Wielkopolan. W Bazarze – z okna drugiego piętra, nad wejściem do budynku – Paderewski przemówił do tłumu mieszkańców Poznania stojących na zewnątrz. Nikomu nie przeszkadzał mróz, ludzie czekali na słowa tego, który wszędzie i zawsze tak pięknie mówił o Polsce.

Artysta wyraził radość z odzyskanej przez Polskę niepodległości, mówił o pracy czekającej cały naród, nawoływał do jedności: „Po długich latach niewoli Ojczyzna się odradza. Odbudować się musi na tych samych podstawach, na których tu pierwsza budowa poczęta została. Do tego trzeba jedności i zgody wszystkich, miłości i siły, wiary i zaparcia się samego siebie, do tego dzieła potrzeba wszystkich sił i wszystkich serc zespołu" („Kurier Poznański" z 28 grudnia 1918 r., nr 297). Drugiego przemówienia wysłuchali oficjalni goście i dziennikarze zgromadzeni w holu hotelu. Nazajutrz oba opublikowano w polskojęzycznej prasie.

27 grudnia na placu przed hotelem zebrały się tłumy, w tym 12 tys. polskich dzieci. Przemówił do nich Korfanty, a delegację przyjęła Helena Paderewska (małżonek niedomagał). Następnie dzieci z proporczykami, orzełkami, sztandarami, śpiewając narodowe pieśni, ruszyły w pochodzie przez miasto.

Niemcy nie pozostali obojętni. Z terenu ogrodu zoologicznego ok. godz. 16.00 ruszył konkurencyjny pochód. Idąc przez miasto żołnierze śpiewali niemieckie pieśni, wykrzykiwali antypolskie hasła, zrywali i znieważali flagi i symbole narodowe polskie i alianckie. Czyż można się dziwić, że w takiej atmosferze doszło do uwolnienia emocji? W ogólnym zamieszaniu o godz. 16.40 padły pierwsze strzały. Rozpoczęła się walka zbrojna – powstanie wielkopolskie.

Wobec wybuchu walk sytuacja Paderewskiego-polityka stała się dość niezręczna. Mistrz dyskretnie usunął się w cień, podjęto decyzję o zaaranżowaniu tzw. choroby dyplomatycznej. *Nota bene* artysta nabawił się solidnego przeziębienia i jego nieobecność w przestrzeni publicznej była w pełni zrozumiała. Państwo Paderewscy wyjechali z Poznania w nocy 1 stycznia 1919 r. bez oficjalnych pożegnań.

27 grudnia 1919 r. uroczyście witany Paderewski uczestniczył w obchodach pierwszej rocznicy wybuchu powstania. Odtworzono wydarzenia powitalne sprzed roku, artysta znów przemówił z hotelowego okna.

Państwo Helena i Ignacy Jan Paderewscy ponownie zawitali do grodu nad Wartą 22 listopada 1924 r. Ich pobyt w mieście trwał siedem dni. Był to tydzień pełen wzruszeń, serdeczności i pięknych gestów, czas podziękowań. W tym bogatym w wydarzenia tygodniu Paderewski otrzymał w ratuszu, w obecności Rady Miasta i zaproszonych gości godność Honorowego Obywatela Miasta Poznania (22 listopada). Następnego dnia (23 listopada) w auli Uniwersytetu Poznańskiego w obecności senatu uczelni odebrał z rąk dziekana wydziału filozoficznego prof. dr. Jana Sajdaka dyplom doktora *honoris causa* w zakresie filozofii. 24 listopada w tejże auli Miejska Orkiestra Symfoniczna pod batutą Piotra Stermicza-Valcrociata wykonała po raz pierwszy w Poznaniu Symfonię h-moll „Polonia". Publiczność nagrodziła Mistrza niebywałym aplauzem. Prezentacją tego dzieła będącego symbolem narodowej duszy, muzyczną apoteozą potęgi narodu i jego zwycięstw w walce z wrogami, Poznań złożył hołd swemu bohaterowi – pianiście, kompozytorowi i politykowi.

6 maja 2015 r. w pejzaż miasta wpisany został nowy symbol związany z Paderewskim. Z inicjatywy Towarzystwa im. Hipolita Cegielskiego na placu Stefana Stuligrosza przed Aulą Nową Akademii Muzycznej, dumnie noszącej od 1980 r. imię Paderewskiego, stanął jego pomnik. Jest on wyrazem pamięci i wdzięczności Wielkopolan wobec wielkiego Polaka. ©

Od fortepianu do saksofonu

ALEKSANDER PRZYBYLSKI

Nie mają swojego Wacława jak Szamotuły ani muzeum instrumentów muzycznych jak Poznań. Ale na muzycznej mapie Wielkopolski znaczą wiele. To Ostrów i Kalisz, miasta, w których jazz i chopinowskie mazurki brzmią na równych prawach.

Gdy spytamy przypadkową osobę o skojarzenia związane z Kaliszem, usłyszymy zapewne o szlaku bursztynowym i fortepianach. Fortepian z Kalisza-Kalińca zagościł nawet na kartach „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej.

Historia kaliskich fortepianów sięga początków XIX wieku, ale dziś ich sukces utożsamiamy z Gustawem Arnoldem Fibigerem I, który produkcję instrumentów klawiszowych rozpoczął w 1878 r. Na początku XX wieku dysponował już dużą fabryką. Z miasta nad Prosną instrumenty trafiały głównie w głąb Królestwa Polskiego i Rosji, ale znajdowały amatorów także w Finlandii, Szwajcarii, Niemczech i Anglii.

Gubernialny Kalisz również generował popyt. Ważną rolę odgrywało Kaliskie Towarzystwo Muzyczne, założone już w 1818 r., a więc tylko o 6 lat młodsze od słynnego wiedeńskiego Musikverein. Organizacja przyjmowała niezależnie od płci, stanu czy narodowości. Jedynym warunkiem był list polecający przynajmniej jednego członka oraz gotowość opłacania rocznej składki w wysokości sześciu rubli. Celem Towarzystwa było organizowanie koncertów, wydawanie partytur, wspieranie chórów i zespołów kameralnych, a także szeroko pojęta edukacja muzyczna.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w Kaliszu zamieszkał skrzypek Alfred Wiłkomirski, który został dyrektorem Towarzystwa, a także nauczał w kaliskiej szkole muzycznej. Wraz z nim w Kaliszu osiadły jego utalentowane dzieci: pianistka Maria, wiolonczelista Kazimierz i skrzypek Michał. Razem tworzyli słynne Trio Wiłkomirskich i chociaż często ruszali w tournée, to jednak znajdowali też czas, by koncertować w Kaliszu. A niekiedy i recenzować miejscowe produkcje muzyczne. Celował w tym Kazimierz. „Główny koncertant wieczoru, pan W., posiada głos niewielki, dość słaby, ubogi w odcienie dynamiczne i mocno jednostajny". „Nie należy się porywać na utwory Chopina, pastwiąc się nad nimi i kalecząc je w sposób nie praktykowany nawet przez najzatwardzialszych nieuków".

Wiłkomirscy utrzymywali przyjazne relacje z Fibigerami i korzystali z ich instrumentów. Okres II Rzeczypospolitej, mimo przedwczesnej śmierci Gustawa Arnolda II i spowodowanych kryzysem masowych zwolnień robotników, to dla muzykalnego biznesu czas dalszej ekspansji. Fortepiany „z ulicy Szopena" służyły jako instrumenty do ćwiczeń podczas Konkursu Chopinowskiego, a kilka sztuk zakupiło Polskie Radio. Nietypowe „fibigery" lakierowane na morski kolor umilały podróż pasażerom transatlantyków „Batory" i „Chrobry". Granych na nich fokstrotów mógł słuchać Witold Gombrowicz w drodze do Argentyny. Instrumenty z Kalisza zachwalali tacy luminarze pianistyki, jak Egon Petri, Józef Wieniawski czy Artur Rubinstein, nawet jeśli wynikało to głównie z kurtuazji lub wprost z kontraktu reklamowego.

Mimo dobrej jakości fortepiany z Kalisza nigdy jednak nie podbiły światowych estrad. Kiedy w 1893 r. w Kaliszu koncertowała Maria Wąsowska, recenzent z ulgą zauważył, że na przyjazd wirtuozki sam Fibiger wypożyczył fortepian Förstera, który mimo słabej dynamiki „we wszystkim przewyższał fortepiany kaliskie". Ich siła tkwiła jednak w czymś zupełnie innym. Dzięki instrumentom z Kalisza możliwe było budowanie fundamentów polskiego życia muzycznego w jego szerokim, masowym wymiarze. Relatywnie tanie instrumenty zagościły w dworach i mieszczańskich kamienicach. Wokół nich ogniskowało się życie towarzyskie i rodzinne, przy ich akompaniamencie śpiewano kolędy, wykonywano pieśni Moniuszki albo wyimki z modnych operetek.

Po wojnie fabrykę i majątek Fibigerów znacjonalizowano. Chociaż Gustawa Arnolda III Fibigera poddawano różnorakim szykanom, ówczesna władza pozostawiła go na kierowniczym stanowisku. W końcu był wybitnym fachowcem. We współpracy z zakładami w Legnicy zaczęto wytwarzać instrumenty pod marką Calisia. Stały się podstawowymi pianinami dla szkół i domów kultury w całej Polsce, a Fibiger nie spoczywał na laurach. Na początku lat 50. doprowadził do powstania w Kaliszu technikum budowy fortepianów, w którym sam nauczał. Zyskał nie tylko szacunek uczniów, ale też sympatyczną ksywkę „Gucio". Wykształcił dziesiątki świetnych konstruktorów i stroicieli.

Dzisiaj fortepiany z Kalisza to już niestety zamknięty rozdział, o którym przypomina odrestaurowana niedawno fabryka z czerwonej cegły. Bogatą kolekcję pianin i fortepianów z polskich manufaktur można za to podziwiać w podkaliskim Opatówku, gdzie mieści się Muzeum Historii Przemysłu.

Fryc w lesie, Komeda w barze

Czasem fortepiany w Wielkopolsce odzywały się pod wyjątkowymi palcami. W 1827 i 1829 r. gościem namiestnika Antoniego Radziwiłła był młody Fryderyk Chopin.

Chopin szczególnie owocnie spędzał czas w pałacyku myśliwskim w Antoninie, gdzie nie tylko „ustawiał paluszki" na klawiaturze młodej księżniczce, ale i skomponował przeznaczonego dla księcia, wytrawnego wiolonczelisty, Poloneza C-dur na wiolonczelę i fortepian. Choć pałac w Antoninie nie stał się pol-

MARCIN OSMAN / REPORTER

Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych w Kaliszu. Na zdjęciu Geri Allen z zespołu Timeline. Kalisz, 27 listopada 2011 r.

skim Bayreuth, przelotne pobyty Chopina starczyły, by zbudować rozpoznawalną markę, którą obecnie zarządza Centrum Kultury i Sztuki w Kaliszu we współpracy z Wielkopolskim Centrum Chopinowskim. Organizowane są letnie Konfrontacje Chopinowskie oraz festiwal Chopin w Barwach Jesieni. Obie imprezy mają już ponad 40-letnią tradycję. Koncerty z udziałem orkiestr odbywają się najczęściej w Ostrowie lub Kaliszu, ale recitale solistów – w sali kominkowej pałacu. Nawet gdy akurat muzyki Chopina w Antoninie się nie wykonuje, to i tak warto się tam wybrać. Modrzewiowy budynek projektu Karla Friedricha Schinkla prezentuje się zjawiskowo o każdej porze roku.

W Antoninie bywał także Krzysztof Komeda Trzciński, choć raczej nie pielgrzymował śladami wielkiego kompozytora. Bardziej interesował go popularny wśród mieszkańców Ostrowa Wielkopolskiego ośrodek wypoczynkowy Lido, gdzie razem z kolegami grał w siatkówkę i pijał piwo. W Lido Komeda bawił się także na balu maturalnym jako świeżo upieczony absolwent ostrowskiego liceum. I przy okazji wywołał skandal.

Orkiestra, zagrawszy mazura ze „Strasznego dworu", ustąpiła miejsca big-bandowi Komedy o wdzięcznej nazwie Carioca. Zespół pod wodzą Trzcińskiego grał suto synkopowane standardy najprawdziwszego amerykańskiego jazzu. Sala oszalała, dyrektor ogólniaka już niekoniecznie. Następnego dnia zabronił Carioce odbywania prób w budynku szkoły.

W krótkim życiu Krzysztofa Trzcińskiego kilkuletni pobyt w Ostrowie Wielkopolskim był ważnym i formacyjnym etapem. Młodziutki pianista zetknął się wówczas z jazzem dzięki rodowitemu ostrowianinowi i kontrabasiście Witoldowi Kujawskiemu. Kujawski, wówczas osiadły już w Krakowie, był także promotorem twórczości Jerzego Dudusia Matuszkiewicza czy Andrzeja Trzaskowskiego. To z tego środowiska wyłonił się zespół Melomani, który współtworzył Trzciński.

Kiedy w Ostrowie Komeda siał zgorszenie muzyką „zgniłego Zachodu", jego o pięć lat młodszy kolega w nieodległym Kaliszu wbijał pinezki w młotki pianina marki Calisia. Tym domorosłym preparatorem pragnącym osiągnąć klawesynowy efekt był nie kto inny jak Jan Ptaszyn Wróblewski. W kaliskiej szkole muzycznej uczył się równolegle gry na trąbce i klawesynie, by ostatecznie zostać jazzowym wirtuozem saksofonu.

Komeda nie chciał być lekarzem, podobnie Ptaszyn ani myślał o karierze mechanizatora rolnictwa, na który wskazywał kierunek obranych przez niego studiów. Obaj spotkali się w sławnym Sekstecie Komedy. Dołączyli do nich inni wielkopolanie: pochodzący z Kalisza perkusista Jan Zylber i poznaniacy Józef Stolarz oraz Jerzy Milian. Dwa lata temu Ptaszyn Wróblewski został uhonorowany w rodzinnym Kaliszu specjalnym neonem, a Komeda w Ostrowie muralem – miła odmiana wobec wszechobecnych ławeczek i pomników.

Ostatni głośny jazzowy akcent w historii miasta to rok 2014, kiedy polskie media obiegła informacja o przyznaniu nagrody Grammy albumowi „Night in Calisia" w kategorii duży zespół jazzowy. Ten duży zespół tworzyli artyści Filharmonii Kaliskiej, na trąbce towarzyszył im Randy Brecker, a muzykę skomponował Włodzimierz Pawlik. Płyta została wydana dwa lata wcześniej z okazji 1850. rocznicy powstania miasta. To nie pomyłka, kaliszanie bowiem bardzo serio traktują zapis z „Geografii" Ptolemeusza o grodzie Calisia. Historycy są innego zdania i z propagandowego hasła „Kalisz – miasto ze wszystkich w Polsce najstarsze" śmieją się pod nosem. Cóż, nawet jeśli nie jest najstarsze, to całkiem muzykalne. ©

TWÓRCA PATENTOWANY

Według Jamesa Camerona reżyser jest jednocześnie inżynierem i wynalazcą, inspirującym technologię konieczną dla realizacji filmu. A jego wizje wymagały najbardziej zaawansowanych technologii.

JAKUB MAJMUREK

Kadr z filmu „Avatar: Istota wody", 2022 r.

MATERIAŁY PRASOWE DISNEY STUDIO

Po pierwszym weekendzie najnowszy film Jamesa Camerona „Avatar: Istota wody" zarobił 435 mln dolarów: 301 mln na światowym rynku i 134 na amerykańskim. To bardzo dużo, ale poniżej oczekiwań. Produkcja nowego „Avatara" kosztowała 350 mln dolarów, jeszcze więcej wynosić miał budżet marketingowy. Jak mówił sam Cameron, by producenci wyszli na swoje, nowy „Avatar" musiałby stać się jednym z najbardziej kasowych filmów w historii kina i zarobić przynajmniej 2 mld dolarów.

Wśród pięciu najbardziej kasowych produkcji wszech czasów znajdują się co prawda aż dwa obrazy Camerona: „Titanic" (1997) i pierwszy „Avatar" (2009). Kanadyjsko-amerykański reżyser nigdy nie bał się ryzyka, drogich projektów, którym obserwatorzy wróżyli komercyjną klęskę. Jak do tej pory – z wyjątkiem „Otchłani" (1989) – za każdym razem to Cameron okazywał się mieć rację. Czy teraz też mu się uda?

Rynek nie jest łatwy. Na całym świecie frekwencja w kinach nie odbudowała się jeszcze po pandemii. Z powodu sankcji „Istota wody" nie będzie wyświetlana w Rosji, gdzie pierwszy „Avatar" zarobił 116 mln dolarów. W Chinach, które w ostatniej dekadzie stały się kluczowym rynkiem dla Hollywood, „Avatar" w weekend otwarcia zarobił 57 mln dolarów – mniej, niż oczekiwano. Chiny odeszły niedawno od polityki „zero covid", czego efektem jest nowa fala zachorowań – nawet jeśli nie skończy się ona kolejnymi lockdownami, to z pewnością będzie miała negatywny wpływ na kinową widownię. Techniki, które były nowatorskie 13 lat temu, zdołały widzom spowszechnieć, „Istota wody" nie wyróżnia się na tle innych blockbusterów aż tak bardzo, jak wyróżniał się „Avatar" w 2009 r. Wtedy wydawało się nam, że zaczyna się nowa epoka kina.

Trudna szkoła

Niełatwo we współczesnym kinie znaleźć drugiego twórcę, który zbudowałby sobie tak silną pozycję, by móc podejmować podobne finansowe ryzyka. Droga, która zaprowadziła Camerona do tego miejsca, zaczyna się w Toronto w 1968 r. Ma wtedy 14 lat i wybiera się na „2001: Odyseję kosmiczną" Stanleya Kubricka. Po seansie postanawia, że chce pracować w filmie.

Nastoletni Cameron jest przede wszystkim zachwycony efektami specjalnymi i właśnie w tym polu wyobraża sobie swoją przyszłą karierę. Drogi do kina nie szuka przez szkołę filmową. W ogóle nie ma uniwersyteckiego wykształcenia. Jako dwudziestolatek mieszka w Brea, miasteczku na odległych przedmieściach Los Angeles, i utrzymuje się z dorywczych prac, m.in. kieruje ciężarówką rozwożącą lunche do szkół.

Każdą wolną chwilę poświęca na to, by przybliżyć się do swojego marzenia o pracy w kinie. Weekendy spędza w bibliotece szkoły filmowej Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Los Angeles, gdzie czyta prace magisterskie i doktorskie poświęcone różnym technicznym aspektom produkcji filmowej. Spisuje swoje filmowe pomysły, próbuje złożyć je w pierwsze scenariusze, rysuje wyobrażone sceny ze swoich filmów.

W 1978 r. Cameron i jego przyjaciel Randall Frakes zbierają pieniądze od grupy dentystów szukających przedsięwzięć, w które mogliby zainwestować swoje oszczędności, i kręcą krótki film „Ksenogeneza". Trwa 12 minut, dwójka przyjaciół taktuje go jako punkt wyjścia do pełnometrażowej produkcji, historii astronautów poszukujących planety, którą ludzkość mogłaby skolonizować.

Starają się nią zainteresować różne wytwórnie, żadna zainteresowana nie jest. Jedna z nich, New World Pictures, oferuje za to Cameronowi pracę. New World Pictures należy do Rogera Cormana, króla gatunkowego kina klasy B, niezwykle płodnego reżysera i producenta. Corman kręci dużo, tanio, szybko, w trudnych dla pracowników warunkach. Jednocześnie wiele jego produkcji zyskuje kultowy status, New World Pictures jest też kuźnią reżyserskich i aktorskich talentów. W produkcjach Cormana zdolne, przebojowe osoby mogą szybko awansować na planie.

Tak jest też z Cameronem. Zostaje zatrudniony przy produkcji *science fiction* „Bitwa wśród gwiazd" (1980), ma budować modele statków kosmicznych. W trakcie produkcji awansuje na głównego scenografa po tym, gdy Corman zwalnia jego poprzednika. W następnej produkcji NWP, „Galaktyce grozy" (1981), Cameron jest nie tylko scenografem, ale też wymyśla i reżyseruje kilka scen. Na planie zauważa go włoski producent Ovidio D. Ossonitis, który oferuje Cameronowi pierwszy reżyserski angaż przy filmie „Pirania 2: Latający mordercy" – historii karaibskiego kurortu terroryzowanego przez zmutowane piranie.

Praca dla Ossonitisa to najgorsze doświadczenie zawodowe Camerona w karierze. Reżyser nie uważa „Piranii 2" za część swojej filmografii i trudno się mu dziwić: na planie spędził kilka dni, po czym został zwolniony. Taka była metoda pracy Ossonitisa. Włoch zatrudniał debiutantów, których zwalniał po kilku dniach zdjęciowych, i przejmował kontrolę nad produkcją – ze względu na umowę, jaką miał z Warner Bros., sam nie mógł oficjalnie reżyserować swoich filmów, potrzebował kogoś, kto da nazwisko.

Cameron nie mógł się pogodzić z tą decyzją. Poleciał do Rzymu, by zobaczyć nakręcone przez siebie materiały, liczył, że przekona producenta, by pozwolił mu skończyć film. Nic z tego nie wyszło, ↦

↦ w Rzymie Cameronowi skończyły się szybko pieniądze, żywił się podkradając jedzenie ze śniadań dostarczanych pod drzwi pokoi w pensjonacie, gdzie się zatrzymał. W pewnym momencie rozłożyła go gorączka. W śnie widzi obrazy, które zainspirują jego „prawdziwy" debiut – „Terminatora" (1984).

Reżyser-wynalazca

Projekt bierze pod swoje skrzydła początkująca producentka Gale Anne Hurd, która później zostanie żoną Camerona. Reżyser sprzedaje jej prawa do filmu w zamian za dolara i obietnicę, że Hurd nie zrealizuje filmu bez niego za kamerą. Scenariusz podoba się w wielu miejscach, mniej perspektywa powierzenia produkcji debiutantowi bez doświadczenia. Hurd i Cameron zdobywają najpierw kontrakt na dystrybucję filmu od Orion Pictures, a następnie przekonują do zainwestowania w film brytyjsko-amerykańską wytwórnię Hemdale Pictures.

„Terminator" kosztował 6 mln dolarów – Cameron musiał wykorzystać całą wiedzę i umiejętności, jakie zgromadził, pracując dla Cormana, by za stosunkowo niewielkie pieniądze uzyskać jak najlepszy efekt. Udało się, film w samych Stanach zarobił 13 razy więcej, niż kosztował, otworzył Cameronowi drogę do reżyserskiej kariery, a odtwarzającemu tytułową rolę Schwarzeneggerowi do gwiazdorskiej pozycji w Hollywood.

Schwarzenegger, który musiał zagrać w „Conanie Niszczycielu", opóźnił produkcję o kilka miesięcy. Cameron napisał w tym czasie dwa scenariusze: do „Rambo II" (1985) i „Obcego – decydującego starcia" (1986). W tym pierwszym najlepsze pomysły miał zawetować Sylvester Stallone, który uznał, że za bardzo rozbudowują one postaci drugiego planu kosztem Rambo, drugi scenariusz Cameron sam przeniósł na ekran.

W „Terminatorze" reżyser pokazał, że potrafi wyprodukować film za niewielkie pieniądze, w spartańskich warunkach, w drugiej części „Obcego" – że jest w stanie opanować znacznie większą produkcję dla wielkiej wytwórni. Nie przyszło mu to łatwo. Film kręcony był w Anglii, zanim „Terminator" wszedł tam na ekrany. Ekipa Pinewood Studios nie ufała nieznanemu jej reżyserowi. Cameron z kolei już wtedy miał opinię perfekcjonisty, wręcz tyrana na planie (kilka lat później ekipa „Terminatora 2" sprawi sobie T-shirty z napisem „Terminator 3? Beze mnie!"), przyzwyczajony był też do standardów pracy z amerykańskiego kina niezależnego, gdzie pracuje się po kilkanaście godzin na dobę. Anglicy nawet dziesięć godzin uważali za wyjątkowo długi dzień pracy, byli też bardzo przywiązani do tego, że codziennie plan zamiera, gdy wchodzi na niego pani z wózkiem z herbatą i ciasteczkami. Cameron rytuał herbaciany uważał za absurdalną stratę czasu i pieniędzy.

Nawet „Titanic" jest filmem „inżynieryjnym". Blisko godzinę zajmuje scena zatonięcia statku, w której efekty komputerowe płynnie łączą się z tradycyjnymi, dając wrażenie realizmu.

Mimo konfliktów na planie powstał hit, który ustalił na lata reputację Camerona w Hollywood. Nie zaszkodziła mu jego następna produkcja, „Otchłań", historia pracowników podwodnej platformy wiertniczej, którzy w głębi oceanu odkrywają pozaziemskie istoty pragnące nawiązać kontakt z mieszkańcami Ziemi. Film okazał się koszmarem produkcyjnym (Cameron o mało co nie utonął na planie), słabo radził sobie w kinach, a reżyser przyznał po latach, że nie miał dobrego pomysłu na zakończenie.

Jednocześnie to w „Otchłani" ustala się na dobre charakterystyczny dla Camerona model produkcyjny, w którym reżyser jest jednocześnie inżynierem i wynalazcą, tworzącym, a przynajmniej inspirującym technologię konieczną dla realizacji jego wizji. W „Otchłani" jest to głównie technologia umożliwiająca kręcenie pod wodą.

By zgodnie z wizją reżysera aktorzy mogli grać i rozmawiać ze sobą nurkując, firma Western Space & Marine wykonała specjalne hełmy podwodne. Z przodu miały szklaną płytkę pokazującą całą twarz nurka, tlen dostarczano tak, by aktor nie musiał wkładać do ust rurki, wyposażono je w system komunikacji wzięty z hełmów lotniczych. Aby umożliwić kamerze płynne poruszanie się pod wodą w odpowiednim tempie, Cameron i jego brat Mike zaprojektowali specjalne urządzenie zwane Sea Wasp. Zostało ono opatentowane przez braci i był to jeden z kilku patentów uzyskanych przez Jamesa Camerona w karierze.

„Otchłań" rozpoczęła też przygodę Camerona z obrazem generowanym cyfrowo (CGI). Reżyser szukał sposobu, by przedstawić jak najbardziej wiarygodnie ruch macki obcego pod wodą. Tradycyjne techniki animacji nie dawały pożądanego efektu. Cameron zwrócił się więc do firmy George'a Lucasa, Industrial Light & Magic, która wykonała komputerową animację. CGI było wtedy ciągle w powijakach, Hollywood podchodziło sceptycznie do tej techniki, uważano, że nie jest ona w stanie przedstawić bardziej „organicznych" kształtów w ruchu. Cameron i ILM dowiedli, że owszem – jest.

Dopiero jednak „Terminator 2" (1991) przyniósł rewolucję w wykorzystaniu cyfrowych efektów w filmowym widowisku – a konkretnie postać zbudowanego z ciekłego metalu nowego modelu terminatora, wysłanego w przeszłość, by zabić nastoletniego Johna Connora. Cameron myślał o podobnej postaci już przy pierwszej części filmu, ale wtedy nie miał technologii, by ją pokazać na ekranie. Pisząc scenariusz sequela pozostawał w stałym kontakcie z ILM, dzwonił do firmy i pytał: „Na pewno dacie to radę zrobić?". Choć budżet przekroczył rekordową jak na tamte czasy sumę 100 mln dolarów, to efekt był olśniewający.

Cameron rozpoznał, że CGI jest przyszłością kina. Wspólnie z twórcą efektów specjalnych Stanem Winstonem zakłada w 1992 r. firmę Digital Domain, która na polu komputerowych efektów ma podjąć konkurencję z ILM Lucasa. Kapitału dostarczyło kilku zewnętrznych inwestorów, w tym IBM. Cameron korzysta z usług Digital Domain przy swoich następnych projektach. W 1998 r. odchodzi z firmy po konflikcie z inwestorami – zarzucają oni reżyserowi, że zleca pracę firmie przy swoich projektach po kosztach. W 1998 r. jest już jednak po sukcesie „Titanica" – wtedy najbardziej kasowego filmu w historii. Udziały w zyskach zrobiły Camerona na tyle bogatym człowiekiem, że może bez stresu porzucić Digital Domain.

W głąb i w górę

Przed grudniem 1997 r., gdy „Titanic" wchodzi na ekrany, mało kto wierzył

w jego sukces. Stojące za filmem 20th Century Fox i Paramount trzymają kciuki, by nie straciły zbyt dużo na kosztującym ponad 200 mln dolarów projekcie. Produkcja przeciąga się, budżet pęcznieje, aktorzy skarżą się na traktowanie przez reżysera. Film okazuje się jednak absolutnym hitem. W Ameryce zajmuje pierwsze miejsce w *box office* od grudnia 1997 r do marca 1998 r. W trakcie oscarowej ceremonii zgarnia rekordową liczbę statuetek.

„Titanic" jest przede wszystkim historią miłosną, melodramatem, filmem historycznym – ale jak poprzednie produkcje Camerona jest też filmem bardzo „inżynieryjnym". Blisko godzinę zajmuje scena zatonięcia statku, gdzie efekty komputerowe płynnie łączą się z tradycyjnymi, by stworzyć jak najbardziej realistyczne wrażenie katastrofy morskiej.

Historię z 1912 r. wprowadza współczesna rama narracyjna – ocalała pasażerka Titanica przybywa na statek, którego załoga prowadzi badania wraku w głębi oceanu. Produkcja filmu Camerona także zaczęła się od ekspedycji badającej wrak. Cameron nawiązał kontakt z rosyjskimi oceanografami, którym po rozpadzie ZSRR obcięto niemal kompletnie środki na badania, więc chętnie – za odpowiednią opłatą – użyczali swojej wiedzy i sprzętu. Cameron wspólnie z rosyjską ekipą zszedł w łodzi podwodnej na głębokość prawie czterech kilometrów, by sfilmować wrak.

Wróci do niego w 2011 r., tym razem wyposażony w specjalnie skonstruowane łaziki, które pozwalają sfilmować wnętrze Titanica. Efektem tej ekspedycji jest dokument „Głosy z głębin" (2003). Cameron w dekadzie po „Titanicu" kręci jeszcze dwa podwodne obrazy: „Ekspedycję: Bismarck" (2002), w której bada wrak niemieckiego okrętu wojennego z II wojny światowej, i „Obcych z głębin" (2005) – film o życiu w oceanicznych głębinach.

„Głosy" i „Obcy" sfilmowane zostały w technologii 3D. Cameron zaczyna się nią interesować na początku obecnego wieku, nawiązuje współpracę ze specjalizującym się w tym formacie operatorem Vince'em Pace'em. Po sukcesie „Avatara" wspólnie zakładają firmę Cameron Pace Group, zajmującą się produkcją sprzętu i oprogramowania do produkcji 3D. Z jej usług korzystają najwięksi gracze w Hollywood, ale także eksperymentujące z formatem 3D telewizje, np. realizujące transmisje sportowe.

Czy nowy „Avatar" powtórzy sukces poprzedników, czy zostanie uznany za spóźnioną pocztówkę z przeszłości kina, **błędnie wyobrażającą sobie jego przyszłość?**

Po sukcesie „Titanica" Cameron marzy, by znaleźć się na kilka miesięcy z kamerą na stacji kosmicznej i nakręcić dokument przedstawiający jej pracę. Z tych planów nic ostatecznie nie wychodzi, a reżyser zabiera widzów w przestrzeń kosmiczną w ramach filmowej fikcji właśnie w „Avatarze".

Jest to najbardziej technologicznie przełomowy film twórcy od czasu „Terminatora 2", choćby na polu przechwytywania ruchu. Już Peter Jackson w postaci Golluma z „Władcy pierścieni" pokazał, jakie możliwości niesie ta technika. Przy jej pomocy, pracując z wybitnym aktorem można stworzyć animowaną postać dorównującą najlepszym aktorskim kreacjom. Cameron robi na tym polu kilka kroków dalej niż trylogia Jacksona – najważniejsze postaci w filmie powstały w komputerze, na podstawie zachowań aktorów ubranych w kostium monitorujący ich ruch i ekspresję twarzy. Cameron tworzy też przy pomocy komputera cały fantastyczny świat Pandory – z jego niezwykłą geografią, gęstą dżunglą, bujną fauną i florą.

Cameron odnawia technikę 3D. Była ona znana od dawna, ale Hollywood nie traktowało jej poważnie – uważano, że przynależy raczej do parków rozrywki niż do kina, że nie da się uzyskać obrazu 3D w jakości, jakiej widz domaga się od współczesnego filmowego widowiska. Cameron raz jeszcze postanowił zignorować obiegowe w branży mądrości – i znów miał rację. „Avatar" pobił „Titanica" jako najbardziej kasowy film w historii także dlatego, że widzowie wybierali droższe bilety 3D. Branża podążyła za Cameronem, 3D stało się standardem, w jakim produkowane są – obok wersji 2D – największe blockbustery.

Nic tak się nie starzeje

Nie odpowiedzieliśmy na jedno pytanie: czy Cameron kręci dobre filmy? „Terminator" jest jednym z ważniejszych filmów lat 80., założycielskim dziełem gatunku techno-noir i bardzo udanie przekłada stary topos Golema-Frankensteina na lęki epoki reaganowskiej. W „Obcym – decydującym starciu" reżyser sprawnie połączył świat stworzony przez Ridleya Scotta z konwencją filmu wojennego i widowiskiem akcji. Jako jeden z pierwszych Cameron umieszcza też w centrum kina akcji postać kobiecą – co powtarza się w drugim „Terminatorze".

Ale już „Titanic" pokazuje w pełni ograniczenia Camerona jako artysty. Film nieznośnie się dłuży, dialogi są czasami mimowolnie śmieszne, Leonardo DiCaprio, a zwłaszcza Kate Winslet tworzą chyba swoje najgorsze kreacje w karierze. Cameron próbuje przedstawić statek jako panoramę klasowego społeczeństwa, jest to jednak analiza klasowa na poziomie „Trędowatej", dziecięco wręcz nieporadna i naiwna.

Tę samą naiwność widać w obu „Avatarach". Filmy powielają mit „dobrego dzikusa", którego traktują w dość protekcjonalny sposób. W drugiej części, gdy znamy już świat przedstawiony i nie mamy wrażenia odkrywania czegoś nowego z każdą kolejną sceną, dydaktyzm „Istoty wody" i wygłaszane w filmie ze śmiertelną powagą lekcje na temat wspólnoty, lojalności, równowagi, szacunku do natury – zaczynają zwyczajnie nużyć. Fabularnie „Istota wody" to dwie wielkie bitwy i łączący je zdecydowanie zbyt długi fragment przypominający etnograficzno-przyrodniczy dokument z obcej planety nakręcony dla dzieci.

Cameron zawsze był o krok przed branżą, jak jednak wiemy, nic się nie starzeje tak źle, jak stare wizje przyszłości. Czy „Avatar: Istota wody" powtórzy sukces poprzedników, czy też zostanie uznany za spóźnioną pocztówkę z przeszłości kina, błędnie wyobrażającą sobie jego przyszłość? Przekonamy się za kilka tygodni. Choć, oglądany w najlepszych kinach 3D, film może wizualnie zachwycić, to z pewnością produkcji nie zaszkodziłoby, gdyby twórcy nie brali jej tak serio. Mógłby ktoś wreszcie powiedzieć reżyserowi, że nie każdy jego pomysł równie dobrze sprawdza się na ekranie i czasem warto użyć wirtualnych montażowych nożyczek. © JAKUB MAJMUREK

MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. JARACZA W OLSZTYNIE

Milena Gauer i Irena Telesz-Burczyk w spektaklu „Łatwe rzeczy", reż. Anna Karasińska

Ile można z tym tabu?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Gdy dzień schyla się ku nocy, nadchodzi czas pytań naprawdę niewygodnych – nie o Polskę, wolność i kulturę, ale o siebie. To one są tabu w społeczeństwie braku wątpliwości.

Choć teatr pracuje w rytmie sezonów, to w Polsce od piętnastu lat spogląda na siebie i podsumowuje swoje ostatnie dokonania właśnie pod koniec roku, gdy w Krakowie odbywa się festiwal Boska Komedia. Hasłem tegorocznej edycji było „Polskie tabu". Jak zapowiadał twórca i dyrektor artystyczny festiwalu, Bartosz Szydłowski, pokazane na nim w tym roku spektakle miały wytrącić „widzów ze strefy komfortu, w której – mimo pandemii, wojny, stopniowego ograniczania wolności obywatelskich – zbyt wygodnie się rozsiedliśmy. (...) Stref zakazanych jest coraz więcej, twórcy podejmują wysiłek, by to, co ukryte lub ukrywane, stało się zrozumiałe i rzetelnie przepracowane".

Wymieniając tytułowe tabu, Bartosz Szydłowski wyliczał: katolicyzm i kult Jana Pawła II, stosunki polsko-żydowskie, przyjmowanie i wypędzanie uchodźców, krach wspólnej utopii. Patrząc na listę przedstawień zaproszonych do głównego nurtu tematycznego, można by jeszcze dodać: przemoc wobec kobiet i mniejszości, także, choć nie tylko, seksualnych, hipokryzję wobec wojny w Ukrainie czy w końcu katastrofę smoleńską i ściśle z nią powiązany temat rozpadu kultywowanych przez wieki wzorców postępowania i języków, których wydrążone z dramatu i sensu kadłubki służą jako zombie do umacniania nacjonalistycznej polityki śmierci.

Spektakle Boskiej z werwą obrabiały te pola. Ale czy to wszystko rzeczywiście są polskie tabu, czyli tematy objęte zakazem kulturowym, którego naruszenie wywołuje gwałtowną reakcję ucieczki lub agresji? Przecież polska kultura, a polski teatr szczególnie, żywi się tymi tematami od lat.

Nawet dla tej części społeczeństwa, która promuje i przyjmuje narrację „godnościową", „wartościową" i „narodową", nie są one tabu. Służą raczej do nieustannego ładowania linii napięcia pozwalających skutecznie mobilizować własne szeregi w obliczu rzekomego i prawdziwego zagrożenia. Rzekomym jest fantazja o „antykulturze", prawdziwym – lęk przed konfrontacją z tym, co otwiera się

poza przyjętą i wystawianą „narracją", poza scenariuszem, w którym odgrywa się role „stratega", „szeryfa", „obrońcy katolicyzmu" czy „głowy państwa".

Ten lęk odczuwany jest równie mocno przez tych, którzy grają „obrońców demokracji", „niezłomnych krytyków władzy" czy choćby „profesorów uniwersytetu". Koniec końców, gdy dzień schyla się ku nocy i mabeny cichną, nadchodzi czas pytań naprawdę niewygodnych – nie o Polskę, wolność i kulturę, ale o siebie. I to właśnie one wydają się tabu w społeczeństwie i kulturze narzucających dyskurs asertywności i odgrywanego braku wątpliwości.

Teatr 3D

W latach 90., gdy świeżo odzyskane mityczne narracje rodzime skutecznie przesłaniały to, co nie dawało się z nimi uzgodnić, teatr funkcjonował jako przestrzeń głosów na różne sposoby nieobecnych i zagłuszanych. Dziś, gdy owe głosy stanowią stały element debaty publicznej, teatr podejmujący wciąż na nowo procedury demitologizacyjne przyjmowany jest z narastającym znużeniem. Choć istotnie usiłuje wyrwać publiczność ze strefy komfortu, to najwyraźniej procedura rozbijania bezpiecznych schronień przestała być skuteczna w tym znaczeniu, że zamiast oczekiwanego zaangażowania publiczności budzi w jej znacznej części zmęczenie. Znów to grają?

Podstawowy rozbrajający (w podwójnym sensie tego słowa) argument, jakiego się tu używa, jest taki, że rzeczywistość sama w sobie jest męcząca i bolesna, więc od teatru oczekuje się czegoś, co można by jej przeciwstawić. Nie chodzi przy tym tylko o chwilę przyjemności i zapomnienia (choć o nie też), ale o taki rodzaj doświadczenia, które wzmacniałoby siły potrzebne do radzenia sobie z rzeczywistością, a może i uzbrajało w ułatwiające to środki i sposoby.

Teatr „dekonstrukcji", jak zwykli go określać jego przeciwnicy, działa według nich w sposób dokładnie odwrotny: zamiast wzmacniać – osłabia, zamiast uzbrajać – demobilizuje. Prowokując, profanując świętości, kwestionując przyjęte wyjaśnienia, naruszając podstawowe kategorie porządkujące świat ludzki, stawiając pod znakiem zapytania uznane wartości – stopniowo usuwa spod nóg grunt, na którym można by mocno stanąć i stawić opór.

Trudno tym argumentom się przeciwstawić. Oczywiście można powiedzieć, że oczekiwanie od tak niszowej sztuki, jak teatr, tego samego, nad czego zapewnieniem pracują wielkie koncerny medialne, stanowi wynik myślenia ahistorycznego, pochodzącego z czasów, kiedy sztuka dramatyczna była królową świata przedstawień. Choć sam głoszę konieczność ochrony teatru właśnie jako miejsca demitologizacji, dekonstrukcji i demaskacji, to nie sposób przejść do porządku dziennego nad narastającym w jego otoczeniu zmęczeniem tymi dominującymi od ponad dwóch dekad procedurami.

Z pewnością działa tu też narastająca niezgoda na hierarchiczność świata teatru, na którego szczycie ulokował się artysta (najczęściej męski), który wie lepiej i daje sobie prawo, by wymuszać na publiczności konfrontację z tym, co sam uważa za jej tabu. Wraz ze stopniowym wygaszaniem kultu charyzmatycznych „geniuszy" coraz głośniej słychać pytania o powody, dla których właśnie ten czy ów „mistrz" ma prawo dobierać nam się do skóry. I nawet jeśli on sam nieustannie podkreśla, że dobiera się przede wszystkim do skóry własnej, to gdy po spektaklu na „dyskusji" z widzami wpada w mądrościową logoreę, domagając się prawa do bycia szczególnie uważnie słuchanym, jego deklaracje bardzo łatwo podważyć.

„Demitologizacja", „dekonstrukcja" i „demaskacja" to oczywiście tylko hasła, w jakiejś mierze zaciemniające obraz procesów zachodzących w polskim teatrze ostatnich lat. Na tegorocznej Boskiej Komedii pojawiły się także przedstawienia działające w inny sposób. W „Łatwych rzeczach" stworzonych przez trzy kobiety: Annę Karasińską, Irenę Telesz-Burczyk i Milenę Gauer z olsztyńskiego Teatru im. Stefana Jaracza, „Śmierci Jana Pawła II" mojego faworyta Jakuba Skrzywanka z Teatru Polskiego w Poznaniu (pisałem już o nim obszernie w „Tygodniku") i w „Rohtko" Łukasza Twarkowskiego pojawia się coś, co w żaden sposób nie mieści się w worku z teatrem 3D. Są to nie spektakle, ale przygotowane doświadczenia, które trzeba rozumieć zgodnie z etymologią tego wspaniałego polskiego słowa. Są dane nam „do świadczenia" – do tego, by świadectwem własnym potwierdzić ich realność i znaczenie.

Okazało się, że decyzją międzynarodowego jury Boskiej Komedii to właśnie „Łatwe rzeczy" zostały uznane najlepszym spektaklem festiwalu. Stosując sposoby działania wykorzystywane przez Karasińską już we wcześniejszych jej spektaklach, dwie olsztyńskie aktorki reprezentujące odmienne pokolenia i odmienne podejścia do aktorstwa, pokazują proces rozbierania (także dosłownego) siebie samych z warstw teatru. Chodzi tyleż o sztukę, co teatr jako sposób funkcjonowania w rzeczywistości. Po tej wielowarstwowej rozbiórce, w finale, mamy możliwość doświadczenia czystego „teraz". To jedynie szansa, fałdka, która niemal natychmiast osuwa się w kolejne przedstawienie, ale nawet jeśli tylko błyśnie i w tym błysku zostaje pochwycona, może stać się realnym punktem oparcia dla prawdziwego bycia sobą, bez konieczności wybierania napoju, butów znanej marki czy innych rozpoznawalnych stygmatów naszej tożsamości.

Wraca nowe?

Czasami bywa tak, że zasadniczo przypadkowe zbieżności ujawniają znaczące zjawiska. Tak stało się i w minionym grudniu, gdy w pobliżu, a nawet w trakcie Boskiej Komedii w polskim teatrze odbyły się dwa ważne wydarzenia stanowiące być może sygnały zmiany sytuacji, którą festiwal wydawał się wystawiać. Każde, głośne na swój sposób i z własnych powodów, sygnalizuje zwrot ku pozytywnej mitologizacji, dobrze znanym wartościom i całkiem konwencjonalnemu teatrowi gatunków i silnych przeżyć podrasowanych – co znamienne – dzięki zapożyczeniu energii ze współczesnego świata muzyki.

Pierwsze z tych wydarzeń to „1989" w Krakowie, reklamowany i rozgłośnie zapowiadany jako „polska odpowiedź na »Hamiltona«" i „pozytywny mit". Odwołanie do kultowego musicalu Lina-Manuela Mirandy polega nie tylko na tym, że przedstawienie Katarzyny Szyngiery, Marcina Napiórkowskiego, Mirosława Wlekłego i Andrzeja „Webbera" Mikosza (by wymienić tylko najważniejsze tworzące je osoby) jest rapowane i wykorzystuje energię hip-hopu, stanowiącą zapewne zaskakującą nowość dla wielu widzów Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego i Teatru Słowackiego w Krakowie. Ważniejsze wydaje się raczej to, że „1989" w sposób zaskakujący odnajduje w historii dotychczas zamkniętej jakości i walory sprawiające, że przeszłe wypadki stają ↦

↦ się silnym źródłem pozytywnej energii, umacniającej wiarę i nadzieję.

W Polsce ma to znaczenie szczególne, bo rodzima mitologia, nawet jeśli „pozytywna" w tym znaczeniu, że apoteozuje wartości takie jak honor, wolność, solidarność, czyni to zazwyczaj w cieniu ofiary, nakazu umierania za to, w co się wierzy. Wprawdzie część prawicowej polityki kulturalnej stara się wydobyć i umocnić inne wątki, zwłaszcza modernizacyjne i emancypacyjne, ale efekty tych działań nie mogą być spektakularne, skoro mitem założycielskim całej rządzącej obecnie formacji jest śmierć za ojczyznę poległego (jeśli nie wręcz zamordowanego) pod Smoleńskiem prezydenta Kaczyńskiego.

Przedstawienie i rozwibrowanie mitu roku 1989 – mitu solidarności i porozumienia ponad głębokimi podziałami nie wobec wspólnego wroga, ale ze względu na dobro wspólne (więc nie tylko własne) – stanowi gest niemal rewolucyjny. Jeśli do tego dodać, że demaskacja i demitologizacja porozumień Okrągłego Stołu stanowi jeden z podstawowych tematów prawicowej polityki historycznej, stanie się jasne, że choć „pozytywny mit" w „1989" nie jest wcale taki nieantagonistyczny, jak opowiadają jego twórcy, to jest zasadniczo wspólnotowy, bo nie wyklucza, ale zaprasza do współdzielenia ponad podziałami dramatyzowanymi w nieprzerwanym spektaklu polityki konfliktu.

Sprzeciw wobec niej nadaje też energię drugiemu ważnemu grudniowemu wydarzeniu teatralnemu – pierwszej premierze w Teatrze Dramatycznym w Warszawie kierowanym przez kobiecy kolektyw skupiony wokół Moniki Strzępki. I bez kontrowersyjnej decyzji wojewody mazowieckiego Konstantego Radziwiłła, unieważniającej wybór nowej dyrektorki, premiera adaptacji „Mojego roku relaksu i odpoczynku" Ottessy Moshfegh w reżyserii Katarzyny Minkowskiej (8 grudnia) wzbudziłaby co najmniej ciekawość. Dzięki wojewodzie ma szanse stać się sensacją, nie dlatego, że przyniosła jakieś oczekiwane prowokacje, ale właśnie dlatego, że wysadza w powietrze użytą przez niego argumentację.

Wojewoda podpisał się bowiem pod pokrętnym, opartym na lękowych fantazjach jakiegoś prawicowego krytyka wywodem mającym wykazać, że Strzępka zrobi z Dramatycznego straszliwą ideologiczną hucpę, a nie repertuarowy teatr inscenizujący literaturę. Tymczasem pierwsza premiera jej dyrekcji to modelowy przykład takiego właśnie teatru, zrealizowany przez bardzo sprawną, dysponującą już sporymi zasobami (tak cenionego przez prawicę) rzemiosła, a przecież bardzo młodą reżyserkę Katarzynę Minkowską. Na dodatek „Mój rok..." za nic nie da się wcisnąć w schemat potwornego feminizmu niszczącego wartości życia rodzinnego. Wprost przeciwnie!

> Kulturalne miasto jest zmęczone wojną polsko-polską i chce się w końcu zająć tym, **co dla niego rzeczywiście ważne: własnym dobrostanem**

Pierwsza premiera Dramatycznego to niemal moralizatorska apoteoza miłości, przyjaźni, czułości, uważności i bliskości. Szkoły katolickie już powinny zamawiać bilety, by pokazać swoim uczennicom, jak straszliwe piekło gotuje im świat toksycznej (dosłownie!) „antykultury". Powinny się z tym zamawianiem spieszyć, bo to dobrze zrobione, nowoczesne, chwilami zabawne, pełne energii i przyzwoicie (choć bez rewelacji) zagrane przedstawienie będzie hitem.

Idealny sposób na spędzenie w teatrze przyjemnego wieczoru, na dodatek z nutką antyrządowego i antypisowskiego oporu. Zaprawdę – uważajcie panowie prawicowcy na Monikę Strzępkę i jej kobiecy kolektyw, bo to niezwykle inteligentne osoby i jeszcze nie raz wystrychną was na dudka.

Przedstawienie Katarzyny Minkowskiej sygnalizuje umocowanie w samym centrum teatru, który pozwalam sobie nazwać (naprawdę bez ironii, choć i bez wielkiej sympatii) nowomieszczańskim. To rozwinięta w całej pełni dojrzała forma nowoczesnego Teatru Kulturalnego Miasta, które już nie posługuje się dawnymi kodami inteligencji XX wieku i nie respektuje jej hierarchii, ale ma własne – nie tylko książkowe (spektakl Minkowskiej to przecież adaptacja popularnej powieści), ale i stawiane na równi z nimi serialowe, muzyczne (w spektaklu Minkowskiej świetnie wykorzystany rave), memowe itd. Co ważne, w swojej najnowszej wersji to miasto kulturalne jest zmęczone wojną polsko-polską i chce się w końcu zająć tym, co dla niego rzeczywiście ważne – własnym dobrostanem, którego warunkiem jest też uzdrowienie relacji z innymi i z całym światem. Nic więc dziwnego, że wchodząc na przedstawienie dostajemy pudełko na lekarstwa z napisem „Terapia dla wszystkich" (w środku jest tylko ulotka z programem – lekarstwo i terapia to „Mój rok...").

Według deklaracji programowych Moniki Strzępki w tym nowym świecie mieszczańskiej sceny ceni się „wiedzę, praktykowanie troski, (...) solidarność społeczną, tolerancję, myślenie o przyszłości, edukację", które wszystkie razem ujmowane są hasłem „feminizm". Ze spektaklu Minkowskiej wynika wprawdzie, że najwyższą wartością jest własny spokój, ale nie ma co wyciągać zbyt daleko idących wniosków z tej pierwszej premiery. Dość, że żyjące w swym własnym świecie nowe polskie mieszczaństwo, którego najważniejszą kreacją i metropolią jest wreszcie lubiąca siebie Warszawa, dostało właśnie scenę, na której będzie mogło umacniać ożywiające je przekonanie, że życie jest gdzie indziej, niż opowiadają dziadersi dyktujący przekazy dnia. Czyli tu.

W grudniu roku 1998 Teatr Dramatyczny był jedną ze scen, na których narodziło się to, co potem nazwano „nowym teatrem". Czy niemal równo 24 lata później pojawiło się tu młodsze nowe, będące nieodrodnym dzieckiem wygnanego wtedy „starego" – nie sposób dziś powiedzieć. Nawet jeśli taką zmianę widać też w miejscu jeszcze niedawno tak na oko staroświeckim, jak Teatr Słowackiego w Krakowie.

Jeśli jednak potwierdzi się ona także w innych miastach, to warto będzie zapytać, czy wynika z dojścia do głosu nowej grupy społecznej. Ona omija szerokim łukiem fronty polsko-polskich wojen mitycznych i ofiarnych, a więc – kto wie? – może jest zdolna doprowadzić do ich wygaśnięcia. Solidarność osobistego dobrostanu może okazać się o wiele bardziej atrakcyjna niż mobilizacja obrońców oblężonej twierdzy. Także daleko od stolic.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

White 2115 podczas koncertu w trakcie Wrocław Hip Hop Festival, 18 listopada 2022 r.

Jak rap z popem

JAN BŁASZCZAK

Hip-hop dzielił i rządził na polskim rynku muzycznym. W ostatnich latach dalej rządzi, ale już nie dzieli. Wchłaniał inne stylistyki, poglądy i głosy. Płynie głównym nurtem, a nawet – sam nim się stał.

Według podsumowania roku 2022, przygotowanego przez polski oddział cyfrowej platformy Spotify, polski hip-hop zdominował nasz rynek streamingu absolutnie. W pierwszej dziesiątce najpopularniejszych artystów mijającego roku inny gatunek muzyczny reprezentuje jedynie Sanah. Reszta wykonawców to raperzy.

Wyniki zestawień bazujących jedynie na danych zebranych przez Spotify z pewnością faworyzują twórców popularnych wśród młodych słuchaczy. Nie oznacza to jednak, że raperzy radzą sobie gorzej w sprzedaży fizycznych nośników muzyki, wypełnianiu koncertowych sal czy na YouTubie. Tam także hip-hop dzieli i rządzi. Co nie powinno dziwić, bo nasza popkultura podąża – a przynajmniej próbuje – śladami amerykańskiej, której największymi gwiazdami są dziś rapujący Drake, Travis Scott czy Future. Popularność i globalna dostępność rapu z USA kształtuje nie tylko polską scenę. Na Karaibach połączył się z lokalnymi tradycjami, przynosząc reggaeton, w Wielkiej Brytanii zrodził grime and drill, a w Nigerii – afrobeats. I tak dalej.

Dlatego tak zaskakująca wydawała się prognoza, którą rok temu za pośrednictwem Twittera sformułował Karol „Solar" Poziemski, raper i współwłaściciel potentata, wytwórni SBM Label (na czele list za rok 2022 brylują związani z nią Mata i White 2115). Wydawca wieszczył, że przed raperami są już ostatnie miesiące hossy, bo w 2023 r. ich miejsce zajmą youtuberzy i tiktokerzy, a hip-hop wróci do podziemia. Dzisiaj wciąż jest to mało prawdopodobne (mimo popularności Kubańczyka i utworów nagrywanych przez Friza z kanału Ekipa – grube miliony wyświetleń-wysłuchań). Bo co mogłoby zagnać hip-hop z powrotem do podziemia?

Jeśli miałoby to nastąpić, to najpewniej w rezultacie kolejnego nieudanego romansu z rodzimym popem. Czyli głównym nurtem, ale rozumianym tutaj nie przez pryzmat wyborów publiczności, lecz dyktatu wielkich wytwórni, ogólnopolskich mediów i czcigodnych kapituł. Bo mainstream metodą prób i błędów próbuje zasymilować, czyli skonsumować, polski rap. Choć „ile dałbym, by zapomnieć..." poprzednie razy.

Pierwsze zbliżenie

Jeśli przez cały rok 2003 nie włączali Państwo radia ani telewizora, mogą Państwo nie wiedzieć, co aż tak chce się zapomnieć. Cytowany fragment pochodzi z przeboju grupy Jeden Osiem L z Płocka. Była flagową formacją melodyjnego, uwznioślonego i – co tu kryć – kiczowatego nurtu polskiego hip-hopu, ↦

↦ zwanego popularnie „hip-hopolo". Płoczanie skomponowali (choć za grupą ciągnęły się później oskarżenia o plagiat) jego wszędobylski hymn, owo „Jak zapomnieć" właśnie...

Samo hip-hopolo zrodziło się w sposób zaskakująco naturalny, jako bardziej liryczne, popowe stadium polskiego rapu. Gatunku, który na przełomie wieków święcił pierwsze triumfy. W tym czasie popularność zdobywały kolejne hip-hopowe składy, powstawały wytwórnie, kluby i odzieżowe marki związane z tą kulturą. Rosnącym w siłę fenomenem zainteresowały się oczywiście duże wytwórnie i ogólnopolskie festiwale. W rezultacie Sony Music Entertainment zaczęło dystrybuować katalog Asfalt Records, BMG podpisało kontrakt z Prosto, a Hirek Wrona zorganizował Hip-Hop Opole w ramach Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej.

Głównemu nurtowi (który będę tu wymiennie nazywał „mainstreamem") było o tyle łatwiej związać się z hip-hopem, że na tym etapie jego uliczna wizja, forsowana przez Molestę, Płomień 81 czy Wzgórze Ya-Pa 3, nie była już jedyną obowiązującą. Imprezowicze słuchali Tedego, introwertycy – Fisza, a ci, którzy tkwili gdzieś pomiędzy, sięgali po Pezeta. Nade wszystko jednak w 2000 r. ukazała się „Kinematografia" Paktofoniki. Album był promowany singlem ze śpiewanym refrenem („Ja to ja"), wypełniony skrzydlatymi słowami i motywacyjną retoryką. Jego status urósł do rangi dzieła pokoleniowego po tragicznej śmierci Magika. Nie twierdzę, że Paktofonika grała hip-hopolo, ale „Kinematografia" pokazała, jaką siłę rażenia może mieć liryczny, melodyjny rap o uniwersalnym, niegorszącym szerszej publiczności przesłaniu. Liber, Doniu czy Mezo podążyli tym tropem. Różnica polegała na tym, że mieli znacznie mniej talentu.

Większość wspomnianych twórców wydawała płyty w poznańskiej wytwórni UMC. Jej podopieczni przez znaczną część hip-hopowej sceny byli uważani za zdrajców. Ich rap był zbyt cukierkowy, refreny – zbyt popowe, a wizerunek – nie dość męski. Jednak to właśnie tym katalogiem zainteresowało się Universal Music Polska i była to decyzja brzemienna w skutkach. Ten ruch fonograficznego giganta stał się jednym z zarzewi konfliktu pomiędzy hip-hopowym środowiskiem a tzw. branżą muzyczną.

KOŁYGA / REPORTER

Koncert Paktofoniki w Klubie Stodoła, Warszawa, 2003 r.

Tym bardziej że dystrybucja płyt Libera, Meza czy Jeden Osiem L poruszyła lawinę, za którą poszły sprzedażowe sukcesy hip-hopolowych twórców, ich promocja w mediach i nominacje do wszelkiej maści nagród: od Fryderyków po Superjedynki.

Szybko okazało się jednak, że twórcy hip-hopolo nie mieli zbyt wiele do zaoferowania ani lirycznie, ani muzycznie, ani osobowościowo. Ich główną przewagą była... przystępność. To nigdy nie wróży zbyt dobrze. Niechciani przez mainstream, znienawidzeni przez hip-hopowe środowisko, przepadli, pozostawiając po sobie zaogniony branżowy konflikt i żadnych wskazówek, „jak zapomnieć".

Drugi obieg

Rzeczywiście, raperzy postanowili nie puszczać tej sprawy w niepamięć. Zwłaszcza że zdradziecka współpraca z twórcami hip-hopolo była tylko jednym na długiej liście zarzutów, które kierowali pod adresem branżowych decydentów. Wiele z nich miało bardziej merytoryczny charakter.

Młodzi twórcy hip-hopu nierzadko padali ofiarą cwaniactwa ze strony doświadczonych biznesmenów. Niektórym dopiero po latach udało się wykupić swoje – kultowe dziś – albumy, do których prawa kupiono niegdyś od nich za bezcen. Inni wciąż pomstują na brak jakichkolwiek tantiem za teledyski będące w ciągłej rotacji muzycznych kanałów telewizyjnych czy cieszące się wielką popularnością dzwonki na telefon bazujące na ich utworach. Niezależnie od tego, na ile te pretensje są realne, na ile urojone, w środowisku długo utrzymywała się wyraźna niechęć, czasem wręcz obrzydzenie do mainstreamu.

Należy oddać hip-hopowemu środowisku, że wracając do podziemia nie poprzestawali na narzekaniu. „Nie palcie komitetów, zakładajcie własne!" – raperzy jakby wzięli sobie do serca maksymę Kuronia, bo od tego czasu skupili się na budowaniu własnego rynku. Zakładali wytwórnie, a wraz z nimi odzieżowe marki, agencje artystyczne i bookingowe. Hip-hop nie tylko uniezależniał się od pośredników, ale także świetnie na tym wychodził, o czym co tydzień przypominały zestawienia OLiS – oficjalne listy sprzedaży detalicznej niezmiennie zdominowane przez reprezentantów tego gatunku.

Trzeba przyznać, że raperzy trafili w dobry moment. Wraz z pojawieniem się serwisów takich jak YouTube czy Facebook i rozwojem szerokopasmowego internetu w Polsce okazało się, że twórcy hip-hopu mogą obejść się także bez tradycyjnych mediów. Ostatecznie doczekaliśmy się kilku portali, a nawet stacji radiowej poświęcających tej muzyce dużo uwagi. Jednak ze względu na towarzyskie po-

wiązania i wspólne interesy są one tylko elementem kontrolowanego przez raperów uniwersum. Układanki, której kolejnymi elementami są hip-hopowe festiwale i przyznawane we własnym gronie nagrody. Z niechęci do głównego nurtu raperzy stworzyli jego doskonałą kopię. Koło się zamknęło.

Przesilenie

Branżowi decydenci widzieli, co się dzieje. I znów trochę chcieli postawić na hip-hop, ale trochę się bali. Dobrym przykładem takiego niezdecydowania są losy nagrody Fryderyk. Akademia Fonograficzna najpierw połączyła raperów w kategorii nagród z twórcami R&B (2004-2010), potem poszerzyła tę kategorię jeszcze o reggae (2011-2012), by przez następne dwa lata z niej zrezygnować. Raperzy zareagowali na to wszystko wzruszeniem ramion – i tak bardzo niechętnie zgłaszali swoje dzieła do tego wyróżnienia. Trwał spór, czy to tylko obciach czy coś gorszego.

Wydawałoby się, że w drugiej dekadzie XXI wieku mainstream nie miał powodów, by bać się hip-hopu. Epatowanie przemocą czy wulgaryzmy mogły stanowić przeszkodę, by zaistnieć w radiu czy telewizji, ale przestały być kłopotem na rynku medialnym zdominowanym przez *streaming*. Hip-hop mierzył się jednak wtedy z problemami, które wpływały na jego wizerunek znacznie gorzej niż niecenzuralny język. Skupione wokół niego środowisko miało wówczas fatalną prasę i ciężko na to pracowało. Kękę rapował o konieczności rewizji wschodnich granic Polski, Sobota mierzył się z rasistowskimi komentarzami „fanów" publikowanymi pod jego zdjęciem z czarnoskórą żoną i synkiem, a Donguralesko był odsądzany od czci i wiary (również przez innych raperów) za słowa o konieczności pomocy uchodźcom z Syrii.

Wydarzeniem, które utwierdza mnie w przekonaniu, że to wszystko było rozpaczliwą próbą obrony hip-hopowego *status quo*, był incydent, do którego doszło podczas koncertu Quebonafide w 2014 r. Pod koniec występu przyszłej megagwiazdy na scenę wskoczył Pih – jeden z weteranów rapu. Przejął mikrofon i zaczął krzyczeć do zakłopotanej publiczności, że to, czego właśnie wysłuchali, to nie jest prawdziwy hip-hop. Metoda, która zadziałała dziesięć lat wcześniej, robiąc pariasów z Meza czy Libera, tym razem okazała się nieskuteczna. Może dlatego, że występujący tego wieczoru Quebonafide miał więcej talentu? A może po prostu starszy o pokolenie facet, który wykrzykuje swoje wyższościowe sądy, nie jest atrakcyjną figurą dla młodej publiczności?

> Kiedyś młodzież **identyfikowała siebie przez pryzmat gatunków** muzycznych, których słuchała. Dziś każdy może to robić w odniesieniu do samego tylko hip-hopu.

Hip-hop, czyli wszystko

W hip-hopie coraz częściej dochodzili do głosu twórcy urodzeni w latach 90. i na początku XXI wieku. Raperzy, dla których ciemna rzeczywistość rodem z utworów Molesty stanowiła taką samą abstrakcję, jak obrażanie się na śpiewany refren. Twórcy, którzy chętnie sięgali po modę tamtego okresu, ale niekoniecznie mieli zamiar kultywować jego ideały, zasady i konflikty. Oczywiście, wśród młodych raperów i dziś znajdziemy zwolenników Piha, natomiast kluczowe wydaje się to, że hip-hop bardzo się rozrósł, rozlał i urósł, pokrywając już całe spektrum stylistyk i poglądów.

Kiedyś młodzież identyfikowała siebie i swoje zróżnicowanie przez pryzmat gatunków muzycznych, których słuchała. Dziś każdy może to robić w odniesieniu do samego tylko hip-hopu i jego niezliczonych nurtów. Gatunek, który tak walczył o swoją odrębność, dziś znaczy wszystko. Wakacyjny przebój przy akompaniamencie gitary akustycznej (White 2115) albo makabryczny horrorcore przy dźwiękach industrialnej elektroniki (Słoń) i co tam jeszcze chcecie. Polski hip-hop przyjął światopogląd swoich najmłodszych słuchaczy z generacji Z. Raperem jest dziś ten, kto tak o sobie myśli – a nie ten, któremu pozwoli na to jakiś Pih.

Inkluzyjność hip-hopu sprawiła, że jego relacje z głównym nurtem stały się zażyłe, jak nigdy wcześniej. Duże wytwórnie na wyścigi próbują podpisywać kontrakty z wschodzącymi gwiazdami rapu. Umowy dostają też zdolni producenci, którzy coraz częściej łączą nagrywanie bitów na hip-hopowe płyty z pisaniem utworów dla gwiazd popu. Dla przykładu, większość utworów na debiutancki krążek Krystiana Ochmana, reprezentanta Polski na 66. Konkursie Piosenki Eurowizji, napisał Atutowy – współpracownik Mesa czy Taco Hemingwaya. Z kolei „Sadzę", najnowszy album Brodki (dawniej Moniki Marii Brodki), wyprodukował w całości 1988 – współtwórca duetu zespołu Syny i albumu „W/88" nagranego z Włodim.

Na rzecz hip-hopu zmienia się także profil największych festiwali. Kilka lat temu głównymi polskimi gwiazdami Orange Warsaw Festival bywały Nosowska, Julia Marcell czy Mela Koteluk – w mijającym roku taki tytuł zgarnąłby pewnie Żabson, Kukon albo Young Igi. Do przewrotu doszło nawet na Męskim Graniu, gdzie jedną z gwiazd tegorocznej trasy został Bedoes.

Najciekawsza jest jednak wciąż sytuacja na rynku wydawniczym. Największe komercyjne hity ukazują się dziś w niezależnych wytwórniach prowadzonych przez raperów, podczas gdy Universal – za pośrednictwem Def Jam Recordings Poland – wydaje płyty utrzymane w duchy starej szkoły. Tej samej, która przez długie lata wieszała na nim psy. Cóż, wygląda na to, że inaczej niż w czasach Jeden Osiem L, wreszcie udało się zapomnieć. I dobrze, bo polski pop potrzebuje zastrzyku energii, spontaniczności, a nawet złości, którą może mu dać polski hip-hop. Z drugiej strony najbardziej prawilny, by użyć terminu ze słownika starej szkoły, rap powstaje dziś za pieniądze biznesowego molocha.

Burzliwy związek raperów z muzycznym mainstreamem doczekał się happy endu. Zakończenie to jednak nie współgra z wizją snutą rok temu przez Poziemskiego. Nie podzielam jego estetycznych wyborów, ale cenię jego intuicje dotyczące rynku, długo więc zastanawiałem się, skąd ten katastrofizm. Aż przeczytałem o gościnnym występie Wersow, popularnej youtuberki i influencerki, na najnowszej płycie Bedoesa. Dopiero wtedy zrozumiałem, że pisząc o internetowych celebrytach, Solar niekoniecznie siał defetyzm. Zapewne wyjawiał nam swój kolejny ruch. © JAN BŁASZCZAK

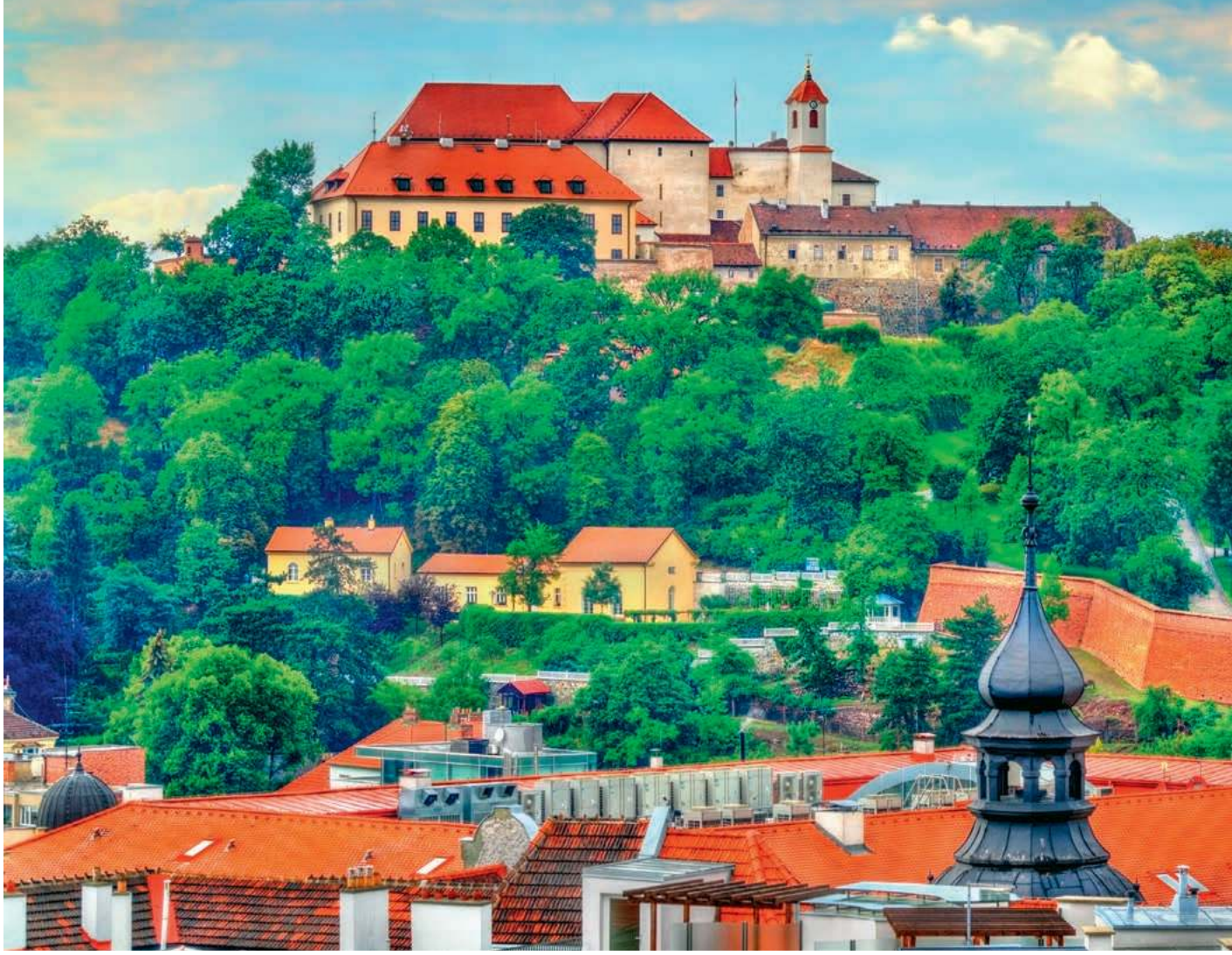

Na szlaku

DOROTA KOZIŃSKA Z BRNA

Ilekroć gosposia wpadała w zachwyt nad ukończonym fragmentem dzieła, kompozytor gasił jej entuzjazm oschłym: „Nic nie rozumiesz”.

Ilu ludzi na świecie potrafiłoby rozpoznać Sinfoniettę Janáčka, słysząc zaledwie jej początek? Prawdopodobnie ich liczba mieściła się gdzieś pomiędzy »bardzo niewielu« albo »prawie nikt«” – zastanawia się Aomame, bohaterka trzytomowej powieści Harukiego Murakamiego „1Q84” (przekład Anny Zielińskiej-Elliott). Ilu ludzi w Polsce potrafiłoby streścić „Wyprawy pana Brouczka” albo „Lisiczkę Chytruskę”, a przynajmniej się pochwalić, że widzieli którąkolwiek z tych oper Leoša Janáčka na żywo? Wciąż jeszcze „bardzo niewielu”, choć ich liczba rośnie, a wraz z nią frustracja, że twórczość jednego z największych mistrzów muzycznego modernizmu lekceważą zarówno polscy dyrygenci, jak i reżyserzy, którzy nie mają pomysłu, jak jego przejmujące libretta przerobić na opowieści o własnych, znacznie mniej przejmujących traumach.

Lisiczka

Cztery lata temu, przy okazji zorganizowanego w stulecie niepodległości Maratonu Muzycznego imienia Janáčka w Ostrawie, wybraliśmy się z młodym kolegą po fachu do wsi gminnej Hukvaldy, gdzie kompozytor przyszedł na świat w 1854 r. Naszym przewodnikiem był wybitny czeski „janaczkolog” Jiří Zahrádka. Po spotkaniu połączonym z wykładem w gmachu Centrum Turystycznego, wzniesionym na fundamentach dawnej szkoły, a zarazem miejscu narodzin Janáčka, ruszyliśmy na jesienny spacer szlakiem pamiątek i inspiracji.

Poznaliśmy obejścia sąsiadów starszego pana Jiřiego, ojca Leoša, który był dyrektorem wspomnianej szkoły, dyrygentem chóru parafialnego, założycielem hukwaldzkiego towarzystwa śpiewaczo-czytelniczego i biblioteki publicznej oraz zapalonym pszczelarzem. Wstąpiliśmy do barokowego kościoła św. Maksymiliana, gdzie Janáček grywał na organach. Przeszliśmy się po zamkowej „oborze”, czyli zwierzyńcu, po którym hasają muflony, daniele oraz ludzcy zbieracze kasztanów, żołędzi i orzeszków bukowych. Pogłaskaliśmy ogon odlanej z brązu Li-

LEONID ANDRONOV / ALAMY / BE&W

Widok na zamek Špilberk w Brnie.

siczki – podobno przynosi szczęście. Dłuższą chwilę spędziliśmy w Muzeum Janáčka, urządzonym w niewielkim domku na obrzeżach wsi, gdzie kompozytor pomieszkiwał w ostatnich latach życia.

Każdemu polskiemu kompozytorowi życzę tak oddanego, kompetentnego, a zarazem bezpretensjonalnego promotora jak Jiří Zahrádka – profesor wydziału muzykologii Uniwersytetu Masaryka w swoim rodzinnym Brnie, kurator archiwum Janáčka w tamtejszym Muzeum Ziemi Morawskiej i niestrudzony badacz życia muzycznego Brna od połowy XIX wieku aż po czasy współczesne.

W tym roku Zahrádka znów zasiadł w radzie programowej biennale Janáček Brno – jednego z najciekawszych festiwali muzycznych w Europie, prezentującego dorobek słynnego Czecha w coraz szerszym kontekście ówczesnych prądów epoki. Znów poprowadził melomanów i innych ciekawskich brneńskim szlakiem swojego ukochanego kompozytora; pobudził podniebienie najwybredniejszych smakoszy daniami z kuchennego notatnika Marii Stejskalovej, której przepisy – opracowane przez Zahrádkę wraz z żoną Šárką – zainspirowały właścicieli kilku brneńskich restauracji i kawiarni do wzbogacenia oferty we frykasy z repertuaru słynnej gosposi Janáčka.

Tej samej, która podsunęła swemu chlebodawcy gazetę „Lidové noviny" z rysunkową powiastką o Lisiczce Chytrusce, sugerując, że byłby z tego świetny materiał na operę („Przecież pan tyle wie o zwierzętach, rozumie ich mowę, spisuje głosy ptaków podczas spacerów po lesie!"). O dziwo, Janáček podchwycił jej pomysł i całkiem na serio przystąpił do pracy nad partyturą. Na tym jednak skończyła się rola Marii jako niespodziewanej muzy: ilekroć gosposia wpadała w zachwyt nad ukończonym fragmentem dzieła, kompozytor gasił jej entuzjazm oschłym: „Nic nie rozumiesz".

Modraczki

Kiedy festiwal się skończył, przysmaki Stejskalovej zniknęły z kart dań tutejszych lokali. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by wybrać się w podróż do Brna na własną rękę – a przed wycieczką śladami Janáčka wypchać kieszenie jego ulubioną przekąską według przepisu Stejskalovej, którą kompozytor namiętnie dzielił się z przyjaciółmi.

Do przyrządzenia słynnych „cukrovinek" wystarczy pół funta cukru, ćwierć funta obranych ze skórki i utłuczonych w moździerzu migdałów, odrobina skórki otartej z cytryny i łyżka powideł z owoców dzikiej róży. Składniki należy dobrze wymieszać, rozwałkować na grubość palca, posmarować białkiem ubitym z cukrem, pokroić w małe kawałki i podsuszyć w piekarniku na małym ogniu. W sam raz, by oszukać pierwszy głód na długim spacerze po Brnie Janáčka.

Najlepiej zacząć od wizyty w klasztorze św. Tomasza, jedynym na świecie opactwie augustianów-pustelników. Mnisi przeprowadzili się na Stare Brno w 1783 r., na mocy radykalnych reform cesarza Józefa II, po likwidacji tutejszego zgromadzenia cysterek, których klasztor ufundowała w 1323 r. królowa Czech i Polski Ryksa Elżbieta. W XIX stuleciu opactwo stało się jednym z ważniejszych ośrodków intelektualnych Moraw. Dziś znane przede wszystkim z działalności Gregora Mendla, który w 1868 r. został opatem brneńskich augustianów i przez blisko dwie dekady prowadził w przyklasztornym ogrodzie badania nad dziedziczeniem cech grochu, słynęło także z bogatej tradycji muzycznej, sięgającej co najmniej połowy XVII wieku. Jej wybitnym kontynuatorem był Pavel Křížkovský, członek zakonu od 1845 r., kompozytor, chórmistrz opactwa, założyciel dwóch towarzystw śpiewaczych w Brnie i rzutki organizator życia koncertowego w mieście.

Jedenastoletni Leoš trafił pod jego skrzydła jako jeden z „modráčków" – uzdolnionych chłopców z biednych rodzin, występujących w charakterystycznych niebieskich ubraniach, których kolor kojarzył się z jaskrawą plamą na podgardlu słowika podróżniczka. Wkrótce potem zastąpił chórmistrza za pulpitem organów w przyklasztornej bazylice. Křížkovský w pełni doceniał talent Janáčka, ale jako mentor miał z nim ponoć krzyż pański: być może dlatego przy pierwszej nadarzającej się okazji wysłał go na dalsze nauki do Praskiej Szkoły Organowej.

Z ulicy

Po ukończeniu studiów w Pradze Janáček podjął kilka niezbyt fortunnych prób uzupełnienia swej edukacji muzycznej za granicą. Do Brna wrócił na dobre w 1871 r., założył własną szkołę, ożenił się ze Zdenką Schulzovą i przeprowadził na stare śmieci – a ściślej do skromnego domu przy ówczesnym placu Klasztornym (dziś Mendlovo náměstí). Tu przyszło na świat i zmarło dwoje jego dzieci: Vladimír przeżył dwa lata, ukochana Olga – dwadzieścia jeden. Tu powstała jego pierwsza opera „Šárka". Tutaj, pogrążony w rozpaczy po utracie córki, Janáček skomponował pierwsze arcydzieła, między innymi „Jenůfę" i cykle fortepianowe „Po zarośniętej ścieżce". Domu już nie ma. Jest za to Pivovar Starobrno, gdzie można chwilę odsapnąć przy kuflu morawskiego lagera.

Co w głowie zaszumi, to wywietrzeje podczas dwukilometrowego spaceru na wschód, w stronę Zelnego trhu, zwanego też Targiem Kapustnym, który pamięta czasy jeszcze sprzed założenia brneńskiego grodu i działa nieprzerwanie od końca XII wieku. Kiedyś handlowano tam tylko owocami i zieleniną, dziś na spadzistym placu można też kupić morawskie kołacze z twarogiem i powidłami, wędzone mięso z królika ↦

↦ na pasztet, a czasem nawet świeże ryby. Słynny łasuch Janáček bywał tu częstym gościem, łowiąc nie tylko frykasy, ale też melodie ludzkiej mowy, które skrzętnie spisywał na pięciolinii i wykorzystywał później jako materiał motywiczny swoich utworów.

Dźwiękowy pejzaż Zelnego trhu fascynował go już w dzieciństwie, kiedy w towarzystwie innych „modráčków" śpiewał w przedstawieniach operowych Reduty, jednego z najstarszych teatrów w tej części Europy. Występy wędrownych trup w tawernie urządzonej w jednym ze średniowiecznych domów przy placu zaczęły się już w pierwszej połowie XVII wieku. W październiku 1767 r. w teatrze wystąpiło cudowne rodzeństwo Mozartów, które uciekło wraz z ojcem do Brna przed szalejącą w Wiedniu epidemią czarnej ospy. Wkrótce potem Redutę dotknął pierwszy z katastrofalnych pożarów, które przyczyniły się do wielokrotnej przebudowy gmachu. Mało brakowało, a zaniedbany neoklasycystyczny budynek zawaliłby się w latach 90. ubiegłego wieku. W 2010 r., po gruntownym remoncie, został włączony w struktury Teatru Narodowego w Brnie, działa jednak bez własnego zespołu, w systemie impresaryjnym.

Jeśli okaże się znów zamknięty, nie pozostaje nic innego, jak ruszyć spacerkiem na północ, w stronę Náměstí Svobody, i uraczyć się kolejnym piwem oraz specjałami czeskiej kuchni w Stopkovej Plzenskiej Pivnice, która w czasach Janáčka była jednym z głównych ośrodków życia towarzyskiego i kulturalnego miasta. A potem rzucić okiem na pobliski Palác Chlumeckých, gdzie do 1942 r. mieściła się redakcja „Lidových novin", i zajrzeć do założonej w 1882 r. księgarni Barvič a Novotný, w której kompozytor zaopatrywał się także w nuty.

Stąd już tylko kilka kroków do placu Komeńskiego i wspaniałego neorenesansowego Domu Kultury (Besední dům), wzniesionego półtora wieku temu według projektu duńskiego architekta Theophila Edvarda Hansena. Dziś gmach jest siedzibą Filharmonii – przed laty ruszył tu pierwszy czeski teatr w mieście, muzycy dawali koncerty, działały najważniejsze w Brnie stowarzyszenia kulturalne.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

LEOŠ JANÁČEK (1854-1928), syn wiejskiego nauczyciela, był kompozytorem. Powszechne uznanie i sławę zyskał późno. Miał już 62 lata, kiedy w 1916 r. praski Teatr Narodowy wystawił wreszcie po wielokroć odrzucaną operę „Jenůfa". Wtedy też powstają najpoważniejsze dzieła Janáčka, przychodzą sukcesy, godności i zaszczyty w kraju i za granicą. Będąc jeszcze w pełni sił i energii, umiera na zapalenie płuc.

W burzliwym 1905 r. policja otworzyła ogień do uczestników zorganizowanej przed Besedním dům manifestacji na rzecz utworzenia czeskiego uniwersytetu. Na oczach Janáčka zginął dwudziestoletni stolarz František Pavlík, członek miejscowego oddziału Sokoła. Kompozytor poświęcił mu jeden z najniezwyklejszych swoich utworów: wstrząsającą sonatę fortepianową es-moll „Z ulicy", zachowaną tylko w dwóch częściach. Trzecią sfrustrowany Janáček podarł na strzępy, które wrzucił do rzeki tuż przed prawykonaniem. „Unosiły się na wodzie jak białe łabędzie" – wspominał potem. Żałował do końca życia.

Przepisy

Możemy tylko żałować, że w 1973 r. podjęto decyzję o rozbiórce poważnie uszkodzonego podczas wojny Divadla Na Veveří, pierwszej stałej siedziby czeskiego teatru w Brnie, otwartej w 1884 r. Inna rzecz, że zaadaptowany z dawnej oberży budynek od początku traktowano jako prowizorkę, a w środku organizowano nie tylko spektakle, ale też jarmarki, potańcówki i loterie fantowe. Warto jednak pamiętać, że właśnie w tym szkaradnym gmachu odbyło się jedno z najważniejszych wydarzeń w historii całego teatru operowego: premiera „Jenůfy" 21 stycznia 1904 r., z czasem uznanej za niekwestionowane arcydzieło muzycznego modernizmu.

A skoro już o modernizmie mowa, po obowiązkowej wizycie w skromnym domku, gdzie Janáček mieszkał od 1910 r. aż do śmierci osiemnaście lat później – usytuowanym w ogrodzie przy willi Chleborádova, w której mieściła się niegdyś szkoła organowa – dobrze zakończyć wycieczkę śladami kompozytora w nowej części miasta.

Funkcjonalistyczny, wzniesiony w latach 1928-29 kompleks Sokolskiego stadionu kryje wewnątrz największą w chwili budowy – i zachowaną do dziś – salę koncertową, wykorzystaną przez Janáček Brno do prezentacji oratorium „Quo vadis" Feliksa Nowowiejskiego, którego tytuł posłużył też jako motto tegorocznego festiwalu. Niewiele później powstała słynna willa Tugendhatów projektu Ludwiga Miesa van der Rohe – ikona modernizmu wpisana w 2001 r. jako jedyny czeski zabytek architektury współczesnej na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Szczerze mówiąc, prostota i dramatyzm tych budowli, powstałych tuż po śmierci Janáčka, znacznie lepiej pasują do jego indywidualnego stylu muzycznego niż poczciwy eklektyzm brneńskiej starówki.

Jeśli strawiliśmy już obiad i skończyły nam się różane „cukrovinky", warto znów czymś się pożywić, a przed wyjazdem kupić wspomnianą już książeczkę „Mářina kucharka", która jest nie tylko zbiorem przepisów, ale i zapisków Stejskalovej z „našeho života" – mądrych i pouczających, mimo że gosposia „nic nie rozumiała". Aomame z powieści Murakamiego „nie wiedziała, jakim człowiekiem był Janáček w życiu prywatnym. Ale na pewno nie wyobrażał sobie, że ktoś będzie słuchał jego muzyki w Tokio, w 1984 r., w cichym wnętrzu toyoty crown royal saloon, na strasznie zatłoczonej stołecznej autostradzie". Gdyby przyjechała do Brna, być może zmieniłaby zdanie.

© DOROTA KOZIŃSKA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

Z wielkim żalem żegnamy

Ś.†P.

Mariusza Waltera

Dziennikarza, wybitnego dokumentalistę, twórcę niezależnych mediów, orędownika wolności słowa, wizjonera biznesu i filantropa. Wiernego czytelnika naszego pisma, niezawodnego i serdecznego Przyjaciela, na którym zawsze mogliśmy polegać, zwłaszcza w najtrudniejszych dla naszego pisma czasach.

Dzięki zaufaniu panów Mariusza Waltera i Jana Wejcherta oraz inwestycji kierowanej przez nich Grupy ITI w roku 2007 „Tygodnik Powszechny" nie tylko przetrwał na rynku prasowym, ale mógł się dynamicznie rozwijać. Jako partnerzy w spółce Tygodnik Powszechny przedstawiciele Grupy ITI zawsze bezwzględnie przestrzegali zasady suwerenności redakcji i jej niezależności od właściciela. W roku 2011, decyzją pana Mariusza Waltera i jego wspólników w Grupie ITI, wszystkie należące do nich udziały w spółce Tygodnik Powszechny zostały przekazane naszej Fundacji w formie darowizny.

Zawsze będziemy o Nim pamiętać.

Pani Bożenie Walter, Pani Sandrze Nowak, Panu Piotrowi Walterowi,
Rodzinie i Bliskim Pana Mariusza Waltera
składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia

Pracownicy Redakcji, Wydawnictwa i Fundacji Tygodnika Powszechnego

---

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Mariusza Waltera

wybitnego przedsiębiorcy, wizjonera,
współtwórcy niezależnych mediów w Polsce,
współwłaściciela i wieloletniego prezesa TVN,
a także jednego z założycieli Polskiej Rady Biznesu
i członka Kapituły Nagrody PRB.

Mariusz był wielkim przyjacielem
„Tygodnika Powszechnego", zaangażowanym
w jego rozwój, stworzenie nowego formatu i promocję
współpracy między zespołem redakcyjnym
a programami telewizyjnymi TVN i ITI.

Będziemy Go pamiętać jako człowieka, któremu zawsze
przyświecało silne poczucie misji i odpowiedzialności
za losy demokratycznej Polski.

Składamy wyrazy głębokiego współczucia Jego Rodzinie

w imieniu zarządu, członków i zespołu
Wojciech Kostrzewa
prezes zarządu Polskiej Rady Biznesu

Z ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Mariusza Waltera

Zawsze będzie dla nas wzorem
Wielkiego Twórcy mediów,
Dziennikarza i Wspaniałego Szefa

składamy serdeczne wyrazy współczucia
Bożenie Walter, Sandrze Nowak
i Piotrowi Walterowi wraz z Rodzinami

Ania i Jarek Potaszowie

Arka odnaleziona

ANITA PIOTROWSKA

To film o wielkiej pasji, która kiedyś dodała skrzydeł niepozornemu, kiepskiemu w sportach chłopakowi. I o nim samym – Stevenie Spielbergu, geniuszu kina.

MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSAL PICTURES

Nie ulega wątpliwości, że Steven Spielberg wykradł bogom przepis na kino – ten alchemiczny i ten inżynieryjny. Od jego debiutu minęło już ponad pół wieku, ale za każdym razem uruchamia na ekranie podobnie działający i podobnie skuteczny wehikuł emocji. Niezależnie, czy będzie to opowieść o rekinie ludojadzie, pozaziemskim stworku czy przybyłych z prehistorii gadach. Równie dobrze mogą to być bajeczne przygody fikcyjnego archeologa, biografia ratującego Żydów fabrykanta, werystyczne odtworzenie lądowania aliantów w Normandii czy brawurowy rajd po wirtualnej rzeczywistości. Twórca „Lincolna" i nowego „West Side Story" wydaje się niestrudzony w gatunkowych i tematycznych eksploracjach.

Lecz choć wytrawni spielbergolodzy odnajdują w jego filmach, tych czysto ucieczkowych i tych misyjnych, mniej lub bardziej zakamuflowane ślady osobistych doświadczeń, dopiero teraz, w ósmej dekadzie życia, jeden z największych majstrów amerykańskiego kina zdecydował się opowiedzieć nam coś o sobie. W jego rękach kolejna historia z cyklu „jak zostałem reżyserem" zamienia się w podróż do odległej krainy własnych przeżyć. I do sedna „iluzji optycznej", zdolnej poruszać nie tylko same obrazy, ale i ludzkie serca. Z różnymi konsekwencjami.

Mogło wyjść z tego jeszcze jedno sentymentalne „Cinema Paradiso" czy popłuczyna po „Amarcordzie". Wszystko przecież zaczęło się od pierwszej wizyty w kinie, kiedy to sześcioletni Sammy Fabelman zobaczył „Największe widowisko świata" Cecila B. DeMille'a i tak się przejął oglądaną na ekranie katastrofą kolejową, że postanowił odtworzyć ją w domu i sfilmować. Spielberg, reżyser dzieckiem podszyty, w jakimś sensie dalej bawi się w wykolejanie pociągów, nadal jest tamtym skautem z kamerą, rejestrującym z wypiekami gniazdo skorpionów.

Ale nastoletni Sammy (w tej roli świetny Gabriel LaBelle) to także dziecko tytułowych Fabelmanów, wychowane wraz z trzema siostrami i wujkiem Benniem w rodzinie inżyniera komputerowego i niespełnionej pianistki. Czyż mogło trafić się lepsze połączenie? Wszak po ojcu chłopiec odziedziczył głowę na karku i smykałkę do rozmaitych ustrojstw, po matce zaś artystyczną wrażliwość, a ciągłe przeprowadzki, związane z ojcowską pracą i rozpadem rodziny, na okrągło zmuszały do adaptacji w nowym środowisku, w czym pomocne okazywały się filmowe umiejętności. Scenariusz Spielberga i Tony'ego Kushnera unika jednak mechanicznego biografizmu, by zanurzyć się głębiej w genealogię intymną. A dzieje się to z pomocą amatorskiej kamery Sammy'ego, który pewnego dnia, po serii kręconych z kolegami chałupniczych horrorów i westernów, odkrywa przypadkiem rodzinną tajemnicę.

W takich właśnie scenach objawia się najpełniej spielbergowski geniusz. Kiedy każe swojemu porte-parole doznawać traumy, ale i poznawać na własnej skórze, czym jest kino i jak wielka może być jego siła. Wtedy, gdy utrwala wspólne rodzinne chwile na biwaku i nagle w obiektywie ujawnia się coś, co umknęło nieuzbrojonemu oku. Gdy początkujący autor odkrywa podczas montażu, że jego dzieło potrafi wyzwalać emocje i że bardzo łatwo nimi manipulować. Światłoczuła taśma w pewnym momencie zaczyna prześwitywać niczym sukienka matki tańczącej ekstatycznie przy ognisku, choć może również fałszować rzeczywistość, o czym miał się przekonać bohater „Powiększenia" Antonioniego.

Poza tym tworzenie filmów to nie zabawa. Potrafi być wyzwalające, ale może też konfrontować twórcę z dylematami i skazywać go na samotność, co próbuje uświadomić nastoletniemu bohaterowi sędziwy wujek Borys, cyrkowy treser i dawny filmowiec. „Fabelmanowie" przepisują więc skomplikowaną historię rodzinną, z którą twórca był w stanie zmierzyć się dopiero po śmierci rodziców, na fikcyjną historię dorastania i zarazem na traktat o przepracowywaniu bolesnych doznań w akcie kreacji. Podany został bez narcystycznego zapatrzenia w siebie, za to z tkliwością, dowcipem i młodzieńczą bez mała energią.

Weźmy choćby wątek żydowski, arcyważny dla archiwisty Zagłady i twórcy „Listy Schindlera", choć przez dekady wypierany bądź przykrywany w imię

FABELMANOWIE
(The Fabelmans)
– reż. Steven Spielberg.
Prod. USA 2022.
W kinach
od 30 grudnia.

18 grudnia Steven Spielberg skończył 76 lat i nie traci wigoru. Zaczynał w latach 70. jako współtwórca Kina Nowej Przygody, które zmieniło oblicze Hollywood. Do dziś uchodzi za człowieka instytucję, a jego filmy otrzymały aż 35 Oscarów. Od lat współpracuje z operatorem Januszem Kamińskim i kompozytorem Johnem Williamsem, tak jak przy najnowszym tytule.

pełnej asymilacji kulturowej (aczkolwiek są i tacy, którzy za najlepszy film żydowski, jaki kiedykolwiek powstał, uważają... „E.T."). Tym razem Spielberg rozprawia się wprost z amerykańskim antysemityzmem i robi to z dużym wdziękiem. Chociaż młody bohater, czyli żydowski rodzynek w kalifornijskiej szkole, bywa przezywany „Bajgielmanem", inicjację seksualną przechodzi z katolicką koleżanką, która tak bardzo kocha Jezusa, że pragnie zrobić „to" z jego etnicznym potomkiem. I gdy wreszcie Sammy Fabelman odnosi swój mały filmowy triumf, jest w nim coś ze zwycięstwa Dawida nad Goliatem: słodka żydowska zemsta na prześladowcach i przejęcie symbolicznej kontroli nad nieżyczliwym światem.

Film stara się unikać tonów męczeńskich, choć bez wątpienia rodzinny kryzys i wynikający z niego brak poczucia stabilizacji naznaczyły bohatera i znalazły odbicie w całej jego twórczości. Warto też zwrócić uwagę, jak pięknie rozlicza się reżyser ze swoimi rodzicami – bez nadmiernej taryfy ulgowej, a jednak oddając każdemu z nich głos, własną rację i cały splot emocji. Role Michelle Williams i Paula Dano dokładają swoje.

Bo nawet tak trudna historia osobista ma dostarczać w kinie przyjemności – tej najbardziej pierwotnej, jaką mały Sammy/Steven odczuwał w 1952 r. na seansie w New Jersey. Dlatego widz „Fabelmanów" szybko przestaje się wstydzić intensywnego przeżywania, czuje bowiem, że Spielberg, ów mistrz kinowej manipulacji, który jak nikt umie pociągać za sznurki, jednocześnie go nie oszukuje. Przy okazji potrafi inteligentnie mrugnąć okiem, niczym w scenie, gdzie główny bohater dostępuje audiencji u filmowego mistrza i gra go zupełnie inny mistrz. Nie jest to także film o dochodzeniu do mistrzostwa czy budowaniu własnej legendy. Raczej o wielkiej pasji, która kiedyś dodała skrzydeł niepozornemu, kiepskiemu w sportach chłopakowi. Łatwo zobaczyć w tym jeszcze jedną bajkę o poszukiwaczu zaginionej arki i przykład „kina pocieszenia". Na szczęście nowy Spielberg potrafi uzupełniać nasze deficyty ciepła, odmierzając je we właściwych dawkach. ©

Lektor:
Przypowieści

▪ *Wiktor Woroszylski*
HISTORIE I INNE OPOWIADANIA
Wybór i opracowanie Natalia Woroszylska.
Posłowie Joanna Szczęsna.
Instytut Kultury Popularnej,
Poznań 2022, ss. 258.

Rok 1987, cenzura ledwie dyszy, pewnie już czuje zbliżający się koniec, zresztą już wcześniej ograniczyła tzw. zapisy na nazwiska – czarną listę autorów, których się nie publikuje, a nawet nie wymienia. Wiktor Woroszylski, jako młody człowiek orędownik komunizmu, po studiach w Moskwie i pobycie jesienią '56 w zbuntowanym Budapeszcie nieprzejednany krytyk systemu, często trafiał na tę listę. Teraz mogła się ukazać jego książka czekająca od dawna na druk, której pierwsza wersja powstała już w latach 60. Niestety czas przemian przyniósł też kryzys wydawnictw i kłopoty z dystrybucją – niewielki (niecałe sto stron) tomik z czarną okładką gdzieś przepadł, być może nakład utknął w magazynach, a może to ręka losu, bo własnego egzemplarza też nie mogę odnaleźć...

„Historie" są zbiorem przypowieści, których akcja toczy się w różnych epokach – przypowieści o władzy i strachu, o zdradzie i wierności, oportunizmie i bohaterstwie. „Kiedy czytałam »Historie« przed laty – pisze Joanna Szczęsna – często miałam wrażenie, że to opowiadania o tym, co dzieje się »tu i teraz«, w Polsce, a fakt, że autor przeniósł wszystko w odległe czasy i miejsca, nie ma większego znaczenia. (...) Kilka dekad później odnajduję w »Historiach« zaskakującą aktualność. (...) Przecież w tym całkiem nowym, cyfrowym świecie wciąż nieźle się mają analogowi tyrani, którzy lubią przekupywać buntujących się pisarzy, wciąż gdzieś płoną stosy książek i układane są indeksy zakazanych lektur, wciąż uciekinierzy z ogarniętej wojną ojczyzny popełniają samobójstwa...".

W posłowiu znajdujemy też ważną informację, że Woroszylski traktował najpierw te teksty jako prozatorskie skrzydło całości, którą współtworzyć miały wiersze, opublikowane ostatecznie w tomach „Zagłada gatunków" (1970) i „Po zagładzie" (1974). Należące do najlepszych w jego dorobku, również komentujące rzeczywistość i również nadal aktualne, a co więcej – nadal czytane. Wiersze „Państwa faszystowskie" czy „Inteligenci" przypominane były ostatnio wielokrotnie w mediach społecznościowych.

Wznowienie „Historii", po 26 latach od śmierci autora, poszerzone zostało o kilka tekstów osadzonych w peerelowskich realiach, w tym „Zimowe popołudnie" opublikowane w 1988 r. w „Tygodniku", oraz o dwie „Historie niesamowite", wzięte z łamów świetnego i zapomnianego miesięcznika „Ty i Ja". ©℗

OLGA

Drenda:
Jajo łasicy

Ponieważ jak zwykle zima zaskoczyła drogowców (lecz ucieszyła miłośników białego szaleństwa), myślę sobie o frazesach i komunałach. Choć precyzja myślenia to mój osobisty bzik, zapewne zdarza mi się czasem użyć jakiegoś banału, przez zagapienie czy dla wygody. Nieładnie, ale może to znak, że czas się przyjrzeć temu zjawisku.

W pysznym monologu scenicznym Jerry Seinfeld domaga się z rosnącą, komiczną irytacją, by ktoś wreszcie wyjaśnił mu, co to znaczy „jest jak jest" (*it is what it is*). „Po co w ogóle żyjecie? Żeby zapełniać pustą przestrzeń w pokoju dźwiękami bez znaczenia? Wolałbym już, żeby ktoś dmuchał mi powietrzem prosto w twarz, niż mówił: jest jak jest. (...) Jeśli powtórzysz to samo słowo w jednym zdaniu, od razu brzmisz jak ktoś bardzo pewny siebie. Biznes to biznes. Zasady to zasady. Umowa to umowa. Jak się dowiemy, kto jest kim i co jest czym, to będzie jak będzie, bo jest jak jest!". Seinfeld złości się na tautologię, która pozwala pozornie podkreślić wagę słów (jak siłacz rąbiący pięścią w stół), ale w rzeczywistości nie znaczy nic, jest konstrukcją, która ucina rozmowę (i może znaczyć: „nie chce mi się o tym gadać ani nad tym zastanawiać"). Choć może należałoby zapytać duetu Kukiz i Borysewicz?

Język angielski kocha frazesy, ale też ma mechanizmy pozwalające trafnie je rozpoznać i nazwać po imieniu. Przykład, który zirytował Seinfelda, określa się mianem „komunału zwalniającego z myślenia" (*thought-terminating cliché*). W najlepszym, niegroźnym wypadku będzie to element potocznej gadki szmatki z niekoniecznie lubianym rozmówcą. W najgorszym – mechanizm ogłupiania i urabiania umysłu, ponieważ komunał zwalnia nie tylko z myślenia, ale czaruje wizją zwolnienia z odpowiedzialności. To dlatego lubują się w nim polityczne ideologie i sekty, jak ostrzegał Robert Jay Lifton, autor wspomnianego określenia. „Tak było, jest i będzie" (prosimy o szklaną kulę dla pewności), „człowiek jest zwierzęciem stadnym" (co doprecyzował pewien bystry anonimowy memiarz: ludzie są jak słonie, każdy jest inny), „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia" (i do widzenia, ciocia Gienia).

Amator białego szaleństwa.

OLGA DRENDA

W Polsce przez wiele lat otaczał nas frazes, śmieszny w swojej sztuczności i niezgrabności. W PRL mawiano pięknie „mowa-trawa", bo język PZPR doprowadził pozbawianie słów znaczenia do perfekcji. Było to zapełnianie sali pustymi głoskami jako sztuka dla sztuki.

Dzisiejsza mowa-trawa jest sprytniejsza, bo lubi podszywać się pod język potoczny i kumpelski, niby-naukowy, niby-filozofię. Nie odrzuca na pierwszy rzut oka swoją nienaturalnością. Potrafi być jak „aromat identyczny z naturalnym". Theodore Roosevelt nadał dawno temu nazwę tego typu frazesom – *weasel words*, czyli słowa łasicze. Nie chcąc tu nadmiernie szkalować sympatycznego zwierzaka, przypomnę, że chodziło o jeden konkretny zwyczaj – otóż łasicom zdarza się tak sprytnie zjeść całą treść jajka, by pozostała z niego jedynie wydmuszka. Po polsku czytelniejszym sformułowaniem byłyby więc „słowa-wydmuszki", odwołujące się do faktu, że nie ma w nich zawartości.

Dzisiaj wydmuszki szczególnie lubi język marketingu i reklamy, ponieważ umożliwiają składanie obietnic bez pokrycia zgodnie z prawem (ten szampon MOŻE wzmocnić twoje włosy, ale nie ma gwarancji, że faktycznie to zrobi). Poddane prostemu testowi pytań: jak, gdzie, kiedy, po co, dlaczego – ukazują swoją wydmuszkowatość. „Generalnie uważa się" – kto tak uważa i jak bardzo generalnie? „Wielu ekspertów" – prosimy o nazwiska. „Wydaje się, że.." – mnie również wydawało się to kiedyś jedynie uprzejme, aż pewna redaktorka uświadomiła mi, że jest to uprzejmość zupełnie zbędna i niesprzyjająca czytelności. Podobno na psychoterapii grupowej, gdy ktoś posługuje się takimi wykrętami i ogólnikami, może usłyszeć od terapeuty i towarzyszy: „Czy się jest z nami w pokoju?", na co pacjent musi przeformułować zdanie własnymi słowami, bo chodzi o naukę brania odpowiedzialności za własne opinie. Czasem warto zadać sobie to pytanie w cichości ducha.

Frazes bywa śmieszny, zwłaszcza gdy często powtarzany, jak słynne zdanie o śniegu, ale bywa niebezpieczny, a co gorsza, zazwyczaj również nudny. Dlatego moim postanowieniem noworocznym będzie, by jeszcze bardziej wystrzegać się przejawów mowy-trawy, pamiętać o tym, by myśleć i pisać maksymalnie samodzielnie, bez wygodnych gładzizn. Moim zadaniem jako autorki jest w końcu myśleć po autorsku, po swojemu, a nie jedynie układać zdania poprawne i wciąż dość banalne jak ChatGPT – on i tak już jest lepszy w te klocki. ©

PAWEŁ

Bravo:
Średnia inteligencja

Cztery miliony siedemset tysięcy wyników zwraca nam Google zapytany o przepis na makowiec. O dziwo, jeśli zawęzimy zakres dodając słowo „zawijany" – w czym dla mnie zresztą zawiera się istota makowca, innego ciasta nie biorę do ust – liczba wyników spada o dwa rzędy wielkości, do trzydziestu paru tysięcy. Wygląda więc na to, że większość polskich gospodyń i gospodarzy domowych nie podziela mojej miłości do czarnej nieregularnej spirali, niewątpliwie bardziej pracochłonnej. Nakazy ergonomii i walka z nie dość rozciągliwym czasem na pewno decydują o tym, co się gotuje i piecze, silniej niż przelotne mody. Z drugiej jednak strony cukiernictwo z racji ogólnej swej „zbędności" w perspektywie higieny żywienia to domena, gdzie popisy manualne i szaleńczy nakład pracy trzymają się jeszcze mocno na liście pożądanych wartości.

Nawet przy założeniu, że trzy czwarte z tych wyświetlonych linków to marketingowe śmiecie, i tak zostają tysiące prawdziwych przepisów do przejrzenia, aby wyrobić sobie pogląd na to, czym jest przeciętny polski makowiec. Ale właściwie po co? Czyżbym nie dysponował świętym babcinym zeszytem, ewentualnie zaufanymi książkami lub w ostateczności telefonem do przyjaciółki? Czyżby mnie kusiło, żeby stworzyć ciasto „jak wszyscy" – czyli konkretnie jak nikt? Po co taka eksploracja w krainie nijakości?

Gdy podchodzę po raz pierwszy do nowych potraw, gdy mam fantazję udać się na obszar zupełnie egzotyczny, jak dania hawajskie lub coś z tradycji górali gorczańskich, to jednak ma sens takie pierwsze, orientacyjne rozeznanie za pomocą przeglądu odpowiednich obszarów sieci. Hawaje są tu łatwiejszym polem eksploracji niż Gorce – ale tak czy siak, przy dwudziestym przepisie można dostać zawrotu głowy, zwłaszcza gdy się trafi na rozgadane, narracyjne, nasycone osobistymi wtrętami. Parę zdań kontekstu, zabawny krótki obrazek, uwagi wykonawcze z własnej praktyki i basta, nie potrzebuję tych rozmemłanych wspomnień – albo zbyt osadzonych w cudzej biografii, by rezonowały, albo zbyt powtarzalnych, konwencjonalnych, bym się szybko nie znudził.

No właśnie, od niedawna może nam pomóc ktoś, kto się nigdy nie nudzi. Obok fuzji termojądrowej najważniejsza chyba dobra nowość tego paskudnego skądinąd roku to udostępniony do powszechnego użytku czat z mózgiem sztucznej inteligencji firmy Open AI. Na pewno słyszeliście o sytuacjach, gdy dowiódł, jak poważny jest to skok jakościowy w porównaniu z poprzednimi, pociesznie niezdarnymi maszynkami (choć na polu tłumaczeń od dobrych dwóch lat działa niezła aplikacja DeepL). Mój ulubiony przykład to wygenerowany w języku Biblii Króla Jakuba dialog między Bogiem a wiernym, któremu kanapka z masłem orzechowym utkwiła w magnetowidzie. Niestety po polsku nie wyszło to wcale, bo widocznie do bebechów robota nie wrzucono jeszcze Biblii Wujka.

Ale oprócz złośliwych prób przyłapania go na czymś spektakularnie głupim, ludzie testują różne sensowne zakresy przydatności. Jedna z dziennikarek „New York Timesa" nakazała wygenerowanie menu na Święto Dziękczynienia – uprzednio opisawszy pokrótce swoje korzenie (indyjskie), preferencje smakowe i oczekiwania. Wygenerowany zestaw został starannie wykonany siłą żywą, po czym do stołu zasiadła reszta kulinarnych autorów gazety. Odetchnęli z ulgą, że jeszcze nie stracą posad, wszystko to bowiem było znośne, bez ewidentnych wpadek czy ohydy, ale też bez zachwytów: raczej nijakie, niespójne. W przypadku gotowania kontekst, osobisty rys, drobne na pozór rady, wariacje związane z miejscem, czasem i możliwościami czynią podstawową różnicę między ledwie jadalnym a pysznym.

Średnia z internetu, no cóż, jest po prostu średnia (dlatego np. gadając z nami o polityce robot popada w jakże kojący symetryzm). Jako amalgamat rozsmarowany blisko środka skali i z poobcinanymi skrajnościami jesteśmy jednak bezbrzeżnie nudni. Co zupełnie tej nowej inteligencji nie przeszkadza, nie zraża, nie męczy. I to wydaje mi się w niej najbardziej nieludzkie. ©℗

ADOBE STOCK

Tak, jestem nudny, zrobiłem to, co każdy znany mi dziennikarz: sprawdziłem, czy AI umiałaby mnie zastąpić. I koniec, nie będę Wam tu nawet cytował, co wyszło. Macie moje słowo honoru, że nigdy się nią nie wyręczę. A co z przepisem na makowiec? Na razie kiepsko. Robot nie rozróżnia np. gotowej masy makowej z puszki od suchego maku. Zapytałem go o kilka włoskich przepisów – też miały drobne, ale bolesne felery. Bazylia do spaghetti aglio-olio?! Dopóki ja na tej stronie rządzę, będzie tylko natka! Pamiętacie o wersji tej potrawy robionej trochę na modłę risotto? To świetny pomysł na proste ożywcze danie, gdy w Nowy Rok nie mamy siły na nic ambitnego. Na paru łyżkach oliwy podgrzewamy 3 posiekane ząbki czosnku i papryczkę. Kiedy zacznie wrzeć, przechylamy patelnię tak, by pokryć nią oba składniki, czekamy minutkę i zestawiamy z ognia, wyjmujemy większość czosnku i papryczek. Wrzucamy makaron do garnka z wrzącą wodą. Po upływie trzech czwartych zadanego przez producenta czasu gotowania przekładamy makaron na patelnię, którą znów wstawiliśmy na ogień, i kończymy gotowanie, jakby to był ryż na risotto – dolewając po trochu chochelką małe porcje gorącej wody zachowanej z gotowania. Na koniec – opcjonalnie – garstka tartego parmezanu i siekanej natki. Otrzymamy kluski nieco bardziej kremowe od wersji podstawowej.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 477/22 toczy się postępowanie z wniosku Marii Chomka o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Chomka, s. Antoniego i Marii, ur. 29.03.1985 r. w Sanoku, zm. 22.11.2021 r. w Krośnie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosić swój udział w postępowaniu i udowodnić swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 225/21 postępowanie z wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Wancek, zm. 24.11.2022 r., ostatnio zamieszkałym w Noskowie. W skład spadku po zmarłym wchodzi prawo własności pojazdów mechanicznych.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 297/22 postępowanie z wniosku Ireneusza Banaszaka o stwierdzenie nabycia spadku po Pawle Banaszaku, zm. 28.01.2019 r., ostatnio zamieszkałym w Noskowie. W skład spadku po zmarłym wchodzi jego udział w prawie własności nieruchomości.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się pod sygn. akt I Ns 464/22 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Robercie Adamskim, zm. 4 stycznia 2021 r. w Hipolitowie, ostatnio stale zamieszkałym w Hipolitowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1122/21, na wniosek Miasta Stołecznego Warszawy, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Sobczaku, zm. 27 lutego 2013 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Cegłowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Referendarz sądowy w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie I Wydziale Cywilnym informuje, iż w dniu 30 listopada 2022 roku w sprawie z wniosku Województwa Małopolskiego – Zarządu Dróg Wojewódzkich w Krakowie, przy uczestnictwie Jacka Skalskiego – kuratora dla nieznanego wierzyciela, pod sygnaturą akt I Ns 695/22/S wydano postanowienie o zezwoleniu Województwu Małopolskiemu – Zarządowi Dróg Wojewódzkich w Krakowie na złożenie do depozytu sądowego na okres dziesięciu lat kwoty 78.508,50 zł (siedemdziesiąt osiem tysięcy pięćset osiem złotych 50/100) z tytułu odszkodowania ustalonego ostateczną decyzją nr 2 Wojewody Małopolskiego z dnia 7 września 2022 roku znak WS-II-7570.4.21.2016.JB za udziały o nieuregulowanym stanie prawnym, wynoszące łącznie ¾ części we współwłasności nieruchomości, co do których prawo własności wg wykazu hipotecznego Lwh 435 gm. kat. Bielany wpisane było m.in. na rzecz Zofii z Wygodów Walczowej, Joanny Wygodówny i Janiny Wygodówny, oznaczonej jako działka ewid. nr 444/3 o pow. 0,0298 ha, położona w Krakowie w obr. 0021, jedn. ewid. Krowodrza, której prawo własności z mocy prawa z dniem 25 kwietnia 2016 roku przeszło na rzecz Województwa Małopolskiego na mocy decyzji Wojewody Małopolskiego z dnia 28 grudnia 2015 roku nr 15/2015 znak WI-IX.7820.1.17.2015 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej.

Uprawnionym do odbioru depozytu jest osoba legitymująca się tytułem prawnym do przedmiotowej nieruchomości na dzień 25 kwietnia 2016 r. Referendarz wzywa wierzycieli do odbioru z depozytu sądowego przedmiotu świadczenia.

Referendarz sądowy w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie I Wydziale Cywilnym informuje, iż w dniu 30 listopada 2022 roku w sprawie z wniosku Skarbu Państwa – Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad, przy uczestnictwie Jacka Skalskiego – kuratora dla nieznanych wierzycieli, pod sygnaturą akt I Ns 531/22/S wydano postanowienie o zezwoleniu Skarbowi Państwa – Generalnemu Dyrektorowi Dróg Krajowych i Autostrad na złożenie do depozytu sądowego na okres dziesięciu lat kwoty 149.799,50 zł (sto czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć złotych 50/100) z tytułu odszkodowania ustalonego ostateczną decyzją nr 2 Wojewody Małopolskiego z dnia 8 lipca 2022 roku znak: WS-II-7570.5.1894.2020.SA, za udział w wysokości ½ części w prawie własności nieruchomości o nieuregulowanym stanie prawnym, oznaczonej jako dz. ewid. nr 83/1 o pow. 0,0991 ha, obr. 0044 Nowa Huta, Miasto Kraków, woj. małopolskie, przysługujący Juliannie Raźny, c. Jana i Karoliny, zmarłej 9 sierpnia 2016 roku – która to nieruchomość przeszła na rzecz Skarbu Państwa z dniem 6 grudnia 2021 roku na podstawie decyzji Wojewody Małopolskiego nr 30/2020 znak: WI-XI.7820.1.1.2020.MS z dnia 20 lipca 2020 roku, o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej, zreformowaną Decyzją Ministra Rozwoju i Technologii z 6 grudnia 2021 r., znak DLI-III.7621.38.2020.KM.42.

Uprawnionymi do odbioru są osoby, które wykażą prawo własności przedmiotowej nieruchomości na dzień 6 grudnia 2021 r. dokumentem świadczącym o tym, że prawo własności im przysługuje. Referendarz wzywa wierzycieli do odbioru z depozytu sądowego przedmiotu świadczenia.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 01-02/2023

JEŃCY. Zapomniana karta historii

ZE ZBIORÓW CMJW / DANIEL FRYMARK

Dyrektorka Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych dr Violetta Rezler-Wasielewska

Kto pamięta o jeńcach

VIOLETTA REZLER-WASIELEWSKA, DYREKTORKA CMJW:

Istnienie statusu jeńca to duże osiągnięcie, efekt rozwoju prawa międzynarodowego. Dzięki niemu walczące strony zobowiązują się do stosowania podstawowych zasad humanitaryzmu.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Kim byli jeńcy, o losach których opowiada Muzeum?

VIOLETTA REZLER-WASIELEWSKA: Byli żołnierzami, którzy walcząc w latach II wojny światowej, dostali się do niewoli Wehrmachtu i NKWD, czyli dwóch wówczas największych systemów jenieckich w Europie. Ważne miejsce w naszym obszarze zainteresowań zajmują polscy żołnierze. Interesują nas ich losy także w obozach internowania w krajach neutralnych, gdzie nie mieli oni statusu jeńców, a internowanych.

To w perspektywie ponadlokalnej. Nasze muzeum bowiem ma i tę drugą, lokalną. Wynika ona z historii miejsca, z jakim instytucja jest związana od czasu powstania w latach 1964-65. Łambinowice na Śląsku Opolskim to miejscowość, w sąsiedztwie której w latach II wojny światowej istniał jeden z największych kompleksów obozowych Wehrmachtu w Europie – stalag Lamsdorf. Jednak jeniecka historia rozpoczęła się tu dużo wcześniej: w 1870 r. władze pruskie zorganizowały w Lamsdorf obóz jeniecki dla żołnierzy francuskich, a w latach I wojny światowej działał duży niemiecki kompleks obozowy dla żołnierzy państw ententy.

To jednak nie wszystko. Ponieważ poligon wojskowy, na którym istniały obozy jenieckie, był po obu wojnach światowych także miejscem izolacji migrującej niemieckiej ludności cywilnej, w naszym antywojennym przekazie jest miejsce i dla niej. To tragiczne dziedzictwo Łambinowic dostrzegła Komisja Europejska, wyróżniając miejsce pamięci i muzeum Znakiem Dziedzictwa Europejskiego.

Jak wyglądały obozy jenieckie?

Były to miejsca izolacji żołnierzy, służące ich wykluczeniu z walk i tym samym zmniejszeniu potencjału militarnego przeciwnika. To także rezerwuary taniej siły roboczej. Mówimy jednak o dwóch, bardzo różniących się w latach II wojny światowej systemach jenieckich: Wehrmachtu i NKWD. Różnice wynikają z odmiennych systemów prawnych III Rzeszy i ZSRR oraz systemów ideowo-politycznych nazizmu i stalinizmu. Oprócz tego ważne było położenie geograficzne, czas niewoli, liczebność jeńców, a także organizacja systemu jenieckiego – począwszy od podporządkowania (niemieckim władzom wojskowym i radzieckiej policji politycznej) po stopień jej zaawansowania (niemiecki był bardzo sprawny) i traktowanie jeńców (z bezprecedensową zbrodnią katyńską).

Wspólną natomiast cechą strukturalną dla obu systemów była niewątpliwie izolacja jeńców w podziale na szeregowych i podoficerów oraz oficerów. Oba systemy charakteryzowało jednak przede wszystkim dostosowywanie ich do bieżących potrzeb wojskowych, ideologiczno-politycznych oraz ekonomicznych III Rzeszy i ZSRR, a także łamanie zasad międzynarodowego prawa wojennego.

Czym się różniły od obozów koncentracyjnych?

Obozy jenieckie odróżniały się od pozostałych: podlegały siłom zbrojnym tego państwa (poza ZSRR), co akurat było zgodne z międzynarodowym prawem. Od obozów koncentracyjnych i zagłady różniły się przeznaczeniem oraz zadaniami. Zasadniczo tworzono je dla jeńców. Były jednak wyjątki, m.in. 47-osobowa grupa cywilów z Niepokalanowa z ojcem Maksymilianem M. Kolbe w stalagu Lamsdorf.

Większość stanowili jednak żołnierze wzięci do niewoli niemieckiej podczas walk. Umieszczano ich w obozach jenieckich w celu izolacji, kontroli i fizycznej eksploatacji – z wyjątkiem żołnierzy Armii Czerwonej, a także włoskich – a nie eksterminacji, która charakteryzowała obozy koncentracyjne i zagłady. Wszyst-

kie te miejsca cechowały się surowymi warunkami bytowymi, stłoczeniem, niedostatecznym wyżywieniem, niewystarczającą opieką lekarską, reżimem obozowym, w stalagach i oddziałach roboczych – wycieńczającą pracą, a w oflagach – przymusową bezczynnością, skutkującą chorobami psychicznymi.

Czym był status jeńca i co w praktyce oznaczał?

To duże osiągnięcie, efekt rozwoju, szczególnie od końca XIX w., międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych, tzw. humanizacji wojny, służący zobowiązaniu stron walczących do stosowania wobec ofiar podstawowych zasad humanitaryzmu. W momencie wybuchu II wojny światowej status ten uzyskiwali przede wszystkim żołnierze regularnych sił zbrojnych wzięci do niewoli, a także inni uczestnicy walk, o ile spełnili przewidywane prawem warunki.

Byli oni jedyną grupą w ten sposób zabezpieczoną. Szkoda, że mało kto jest tego świadom. Prawa i obowiązki jeńców określały wtedy IV konwencja haska z 1907 r. oraz konwencja genewska z 1929 r. Chroniły one ich życie, zabraniały poniżania, określały inne szczegóły traktowania, zatrudniania, praktyk religijnych w niewoli, prowadzenia korespondencji, działalności intelektualnej czy sportowej. Choć wielokrotnie były łamane, z pewnością ograniczały skalę przestępstw i zbrodni wojennych. Pozwoliły też po II wojnie światowej rozszerzyć ochronę prawną na inne grupy ofiar.

Do obozów jenieckich trafiło też wielu polskich Żydów. Jak wyglądał ich los?

W jenieckim systemie III Rzeszy były one dużo bardziej dramatyczne niż w przypadku pozostałych jeńców. Już samo określenie liczebności tej grupy jest trudne i sprowadza się do bardzo nieprecyzyjnego szacunku: ok. 50-60 tys. osób. Choć żołnierze ci początkowo podlegali podobnym procedurom, bo z pól bitewnych, po rozbrojeniu byli kierowani do punktów zbornych, a następnie do obozów przejściowych i stałych, to już na różnych etapach tej drogi wychwytywano ich. W następstwie poddawani byli dyskryminacji, a nawet eksterminacji.

Szczególne nasilenie takiej polityki przypadło na lata 1940-43. Wyrażało się przede wszystkim we wzmożonej izolacji oraz nieustających poszukiwaniach niewykrytych jeszcze Żydów. Swoistego rodzaju getta Niemcy tworzyli głównie w oflagach, przy czym różnice warunków bytowych oraz traktowania jeńców-Żydów i pozostałych internowanych były szczególnie widoczne w stalagach. W konsekwencji wielu Żydów zmarło bądź zostało uśmierconych w czasie niewoli, a jeszcze więcej po zwolnieniu z niej, już w różnych obozach dla żydowskiej ludności cywilnej. Owo zwalnianie, w znacznej mierze przeprowadzone już w 1940 r., znów dotyczyło stalagów, a więc szeregowych i podoficerów. Natomiast oficerowie pochodzenia żydowskiego zasadniczo przetrwali w oflagach wojnę.

Dlaczego obozy jenieckie są w powszechnej świadomości Polaków słabo obecne?

Odpowiedź nie jest łatwa. Przecież doświadczenie jeniectwa, czy to ze strony Wehrmachtu, czy NKWD, jest obecne w historii wielu polskich rodzin. Ale o ile zbrodnię katyńską, mimo wielu lat zakłamywania lub milczenia, można uznać za dość dobrze poznaną i obecną, to losy żołnierzy w niewoli niemieckiej już w dużo mniejszym stopniu. Może to zatem zbrodnia i jej skala decydują o miejscu w pamięci zbiorowej?

Wielu jeńców przetrwało niewolę, kontynuując walkę, choć już bez broni, np. w obozowym ruchu oporu. Nie powinniśmy zapominać, iż uczestniczyli oni w powojennej odbudowie kraju oraz że to dzięki nim mamy dzisiaj pełniejszą wiedzę o tym, jak zachowuje się człowiek w opresyjnym systemie. Ponadto fakt, iż przeżyli niewolę we względnym zdrowiu, dowodzi także sensu nieustannej pracy nad rozwojem prawa humanitarnego. Mamy więc sporo do zrobienia.

O jakiej skali zjawiska jeniectwa w polskiej historii mówimy?

Szacunki oscylują wokół liczb 450 tys. żołnierzy w niewoli Wehrmachtu i 230-240 tys. w niewoli NKWD. Dodajmy, że do niewoli niemieckiej trafiło w latach II wojny światowej ogółem ok. 8-9 mln jeńców różnych narodowości, a przez system obozów radzieckich przeszło ich ok. 3,5-4,5 mln.

W jaki sposób Muzeum dba o pamięć o jeńcach?

Przede wszystkim dokumentujemy: gromadzimy jenieckie artefakty i archiwalia, nagrywamy relacje oraz tworzymy bazy danych. Prowadzimy badania naukowe, a ich wyniki popularyzujemy na rozmaitych spotkaniach i w publikacjach. Organizujemy wystawy, które są prezentowane nie tylko w naszych obu siedzibach, w Łambinowicach i Opolu, ale także w innych ośrodkach w kraju i za granicą. Dużą wagę przywiązujemy do edukacji. Dbamy wreszcie o miejsce pamięci w Łambinowicach. Naszą wiedzą i doświadczeniem wspieramy tych, którzy troszczą się również o inne miejsca po obozach jenieckich, konsolidujemy to środowisko. Wszystko to robimy w kontakcie ze świadkami. Chętnie współpracują z nami byli żołnierze II wojny światowej, zwłaszcza uczestnicy powstania warszawskiego. Liczne jest także grono dzieci, wnuków i prawnuków jeńców, zainteresowane ich losami i poszukujące u nas informacji.

Jak dziś wygląda międzynarodowe prawo jenieckie?

Dzisiaj dla jeńców wojennych kluczowe są cztery konwencje genewskie, wypracowane po doświadczeniach II wojny światowej w 1949 r. oraz uzupełniający je Protokół dodatkowy z 1977 r. Wiemy jednak, że sytuacja jeńców z wojny w Ukrainie pozostawia wiele do życzenia. Według Amnesty International obie strony łamią prawo, choć w różnym stopniu. Dotyczy to zarówno ochrony jeńców przed publiczną ciekawością, o czym chyba najgłośniej w mediach społecznościowych, a także warunków niewoli i traktowania, z ryzykiem sądzenia, torturowania i mordów włącznie. Tego rodzaju informacje są dla każdej z walczących stron elementem, który może bardzo wpłynąć na opinię publiczną i być użyty do osiągnięcia przez nią własnych celów. Dlatego tak ważne jest, by niezależne organy kontrolne, takie jak ONZ, MKCK i Amnesty International, miały jak najpełniejszy dostęp do jeńców wojennych. Doświadczenia II wojny światowej pokazują, że jest w tym głęboka wartość.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

VIOLETTA REZLER-WASIELEWSKA jest dyrektorką Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych.

ZE ZBIORÓW CMJW / SŁAWOJ DUBIEL

Wanda Traczyk-Stawska podczas spotkania z młodzieżą w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w 2019 r.

Siła i upór

Wanda Traczyk-Stawska jako jedna z wielu kobiet w czasie II wojny światowej przeszła przez niemieckie obozy jenieckie. Oto jej wspomnienie tamtych wydarzeń.

Po raz pierwszy w dziejach wojen my, kobiety, stałyśmy się jeńcami wojennymi. Niemcy musieli nas izolować. W Zeithain nie trafiłyśmy do dużego obozu, tylko miałyśmy swój własny, nieduży, gdzie komendantką był pani doktor Jadwiga Beaupré, która również walczyła w powstaniu warszawskim. Jej niezwykła uroda, inteligencja i wiedza imponowała lekarzom, z którymi współpracowała. Była w stopniu kapitana. Niemcy bardzo liczyli się z nią, i to nie ze względu na jakąś zapisaną w kapitulacji klauzulę, tylko ze względu na jej siłę i czar osobisty. Miała w sobie niezwykłą odwagę i stanowczość.

Pamiętam jedną szczególną sytuację. Baśka Bomba, czyli Barbara Wysiadecka, pielęgniarka, również niezwykła dziewczyna, została sprowokowana przez esesmana, który miał zadanie eskortować transport ciężko chorych na szkarlatynę dziewczyn. Do Zeithain przyjechały w zaplombowanym wagonie. I ten esesman wyrzucał te dziewczęta razem z całym ich posłaniem na deszcz, na błoto. I wtedy Baśka stanęła w ich obronie. Zaczęła się awantura. Baśka była bardzo odważna, nieustępliwa, aż doszło do tego, że on wyjął pistolet i chciał do Baśki strzelić. A wtedy pani doktor Beaupré, usłyszawszy krzyki i zobaczywszy, co się dzieje, podeszła do tego esesmana i wydała mu rozkaz „stój". Gdy tylko na nią spojrzał, od razu schował broń do kabury. Taką właśnie postacią była pani doktor.

Przez większość czasu byłyśmy bardzo głodne. Do tego wszędzie szczury. Wszystkie ranne dziewczyny leżały na jednej dużej sali. Jedna z dziewcząt, z wielką raną na udzie, nie mogła się poruszać o własnych siłach. Pewnej nocy, gdy akurat ja miałam dyżur, bo byłam już w pełni sprawna, ta dziewczyna zaczęła krzyczeć. Woła do mnie, że coś ją gryzie. Dosłownie gryzie. Podeszłam szybko i zobaczyłam, że tuż przy jej nodze siedzi szczurzyca z małymi i, chroniąc swoje młode, nie pozwala jej się poruszyć. Od razu chwyciłam za wiadro i zaczęłam topić. Łapałam je za malutkie ogony, jeszcze całkiem ślepe i bezbronne. A wtedy szczurzyca rzuciła się na mnie, wydając przy tym takie dźwięki, że błyskawicznie pojawiło się całe stado szczurów. Rosjanie, którzy mieli z nami wspólny barak, zrobili wcześniej w ścianie dziurę, żeby nas podglądać. Przez nią właśnie szczury wskoczyły do naszej części i rzuciły się na mnie. A Rosjanie hodowali je, ponieważ umierali z głodu. Hodowali je na ciałach swoich zmarłych kolegów. Te szczury były ludożercami, tak, zjadały ludzi. Nie bały się więc w ogóle.

Najpierw zjadły mi ostatnią kromeczkę chleba, którą sobie zostawiłam na dyżur, a potem rzuciły się na mnie całą gromadą. Żeby się ratować, wskoczyłam na coś w rodzaju kuchni, która grzała cały barak. Nie było tam żadnych fajerek, a jedynie rozgrzany prawie do czerwoności blat. Zaczęły palić mi się zelówki, ale dalej zrzucałam szczury na ten blat, a one się na nim smażyły. A wszystko w absolutnej ciemności, bo zapalenie światła groziło tym, że Niemcy będą strzelać z wieżyczki strażniczej. Jednym słowem – wszystko zmierzało ku katastrofie. Jednak po jakimś czasie szczury zrozumiały, że mnie nie dosięgną, więc uciekły, a ja ocalałam.

Gdy dowiedziała się o tym pani doktor, zgłosiła sprawę obozowym władzom. Ostatecznie Rosjanie nie tylko musieli naprawić mi buty, ale też zatkać dziurę. Jednak od tego czasu nasze wzajemne stosunki nieco się poprawiły. Znowu – wszystko dzięki doktor Beaupré.

Jeńcy radzieccy w ogóle byli w gorszej sytuacji niż my. Baśka Bomba, czyli nasza liderka, była równocześnie pielęgniarką dyplomowaną i miała stopień starszego sierżanta. Niemcy to honorowali i pozwalali jej przemieszczać się przez części obozu, gdzie byli jeńcy innych narodowości. Któregoś razu jakiś radziecki żołnierz podszedł do drutów i błagał ją o lek dla swojego przyjaciela. Baśka jakoś go zdobyła i mu podała, a on zdjął z palca obrączkę i przerzucił ją przez płot. A Basia z powrotem do niego. Była to niezwykła scena. Wtedy on zaczął płakać i jej dziękować. A ona mu powiedziała: „Przecież ja też człowiek". Nas, powstańców, chroniła konwencja genewska, a Niemcy, wiedząc, że już niedługo sami najprawdopodobniej trafią do takich obozów, starali się zachować wobec nas poprawnie. Natomiast tamtych żołnierzy radzieckich w zasadzie nic nie chroniło, nic.

Dobrze pamiętam moment wejścia do obozu w Lamsdorfie. Byłyśmy wiezione tam świńskimi wagonami. Niesamowicie ciasno, było nas ponad pięćdziesiąt, nie można było się położyć, nawet siedzieć było trudno. Wysiadłyśmy na stacji i dalej do obozu szłyśmy piechotą. Mijaliśmy piękne laski brzozowo-sosnowe, w których stały namioty. Chciałyśmy zobaczyć, kto w nich jest. Okazało się, że to ludność cywilna Warszawy. W ramach kapitulacji wynegocjowano, że Niemcy roześlą ich po całym Generalnym Gubernatorstwie. Ale okazało się, że nie mieli takich możliwości. Patrzyłyśmy na tych ludzi, na ich tragedię, i byłyśmy bardzo wstrząśnięte. Gdy już dotarłyśmy do obozu, byłyśmy bardzo zmęczone i przybite, ale padła komenda „równaj krok", więc starałyśmy się przekroczyć bramę, zachowując pewien porządek. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłam społeczność jeniecką. Byli tam angielscy lotnicy, byli amerykańscy żołnierze i... nasi, nasi żołnierze z 1939 roku. I oni zaczęli płakać na nasz widok. Wzruszam się, gdy o tym opowiadam, bo to był niesamowity widok. Nasi płakali, a Amerykanie klaskali, gwizdali i w ogóle szaleli z zachwytu, że idą dziewczyny, które były żołnierzami, które walczyły. I ja bardzo przeżyłam to, jak ci mężczyźni przyjęli naszą kobiecą grupę jeniecką.

Dobrze pamiętam też artystkę Irenę Pokrzywnicką, była niesamowicie odważnym człowiekiem. Przydzielili ją do pracy w fabryce, gdzie miała obsługiwać szlifierkę. Kazali jej robić jakieś kółeczka czy inne części potrzebne do samolotów. Zamiast tego postanowiła jednak wytwarzać figurki. Majster darł się wniebogłosy, że to sabotaż, a ona mówiła cierpliwie: „Ja jestem polską malarką. Tamtego nie potrafię, ale mogę robić coś, co umiem". Na dokładkę majster był malutki, a ona bardzo wysoka. Śmiesznie to wyglądało, jak podskakiwał, żeby jej wymyślać, a ona patrzyła na niego w dół i mówiła: „Jestem polską malarką, kup i przynieś mi farby, to ci namaluję portret". Za karę wysłali ją razem z nami do pracy w fabrykach przy obozie w Oberlangen. Tam z kolei prowadziła dla dziewcząt zajęcia, gdzie uczyła, jak z puszek, które dostałyśmy z Czerwonego Krzyża, robić filiżanki, ale także orzełki. Tam też tworzyła przepiękne obrazy do obozowej świetlicy.

W ogóle byłyśmy tam świetnie zorganizowane. Prowadzono komplety dla dziewczyn, które chciały przerabiać materiał szkoły średniej. Odbywały się też wykłady z filozofii. Zofia Książek, która wcześniej straciła wzrok, deklamowała całe fragmenty prozy i poezji. Jednym słowem – kwitło życie kulturalne. Mimo straszliwego głodu i zimna. Spałyśmy po dwie na pryczy, żeby było cieplej, i od oddechów nasze włosy pokrywały się szronem, więc często budziłyśmy się siwe. Kobiety są silne, potrafią się zorganizować.

Pamiętam też Boże Narodzenie. W Baśce Bombie kochali się niemieccy żołnierze. Był jeden farmaceuta, ciężko ranny w głowę gdzieś na froncie wschodnim. Odkomenderowali go do nas, żeby pilnował porządku. Bardzo sympatyczny facet. Przywiózł nam chorym, choć może bardziej Baśce, choinkę. Także dzięki Rudemu, bo tak go nazywałyśmy, miałyśmy w naszym baraku choinkę na święta. A w Wigilię wszystkie dziewczyny, które były w stanie, wyszły przed barak, na śnieg. Stałyśmy twarzą zwróconą na wschód, w stronę Polski, i śpiewałyśmy „Bóg się rodzi" oraz inne polskie kolędy. A na koniec „Cichą noc". Próbowałyśmy sięgnąć wzrokiem Warszawy, naszych rodziców, najbliższych. I to była jedna z najpiękniejszych dla mnie chwil w tym strasznym obozie. ©

Tekst powstał na podstawie rozmowy, którą przeprowadziła Violetta Rezler-Wasielewska. Opracowanie redakcyjne Michał Sowiński.

WANDA TRACZYK-STAWSKA
(ur. w 1927 r. w Warszawie).
W powstaniu warszawskim walczyła jako strzelec i łączniczka. Na początku października 1944 r. trafiła do Stalagu 344 Lamsdorf (Łambinowice), skąd rozpoczęła przymusową wędrówkę po kolejnych niemieckich obozach, docierając coraz dalej na zachód. W Stalagu VI C/Z Oberlangen została wyzwolona przez żołnierzy generała Stanisława Maczka. Zanim w 1947 r. wróciła do kraju, uczyła się w polskiej Szkole Młodszych Ochotniczek w Nazarecie. Została psychologiem, by pomagać dzieciom z niepełnosprawnościami. Niewola stanowiła ogromne wyzwanie dla żołnierzy, dlatego starali się przeciwdziałać ogarniającej ich apatii, m.in. samokształceniem. Nastoletnia Wanda miała szczęście do doskonałych nauczycielek – towarzyszek walki, a później niewoli, była przy tym bardzo zdyscyplinowana. Jej powojenne życie wypełniła praca pedagogiczna, ale także działalność społeczna – jest pomysłodawczynią Izby Pamięci na Cmentarzu Powstańców Warszawy, strażniczką pamięci o cywilnych ofiarach powstania, charyzmatyczną obrończynią praw człowieka.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 1-2/2023
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Andrzej Leśniak
OKŁADKA: Jenieckie znaki identyfikacyjne, tzw. nieśmiertelniki, ze zbiorów Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych / FOT. DAWID ŻAK/CMJW
CENTRALNE MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Muzeum o wielu obliczach

MARCIN KULA,
HISTORYK, EMERYTOWANY PROFESOR UW

Dlaczego współpracuję z Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych, choć jako historyk nie specjalizuję się w takim kierunku? Najprościej byłoby odpowiedzieć, że dlatego, iż mój ojciec po powstaniu warszawskim trafił do oflagu, nawet przeszedł przez Łambinowice (Lamsdorf) – a zatem fragment jego życiorysu jest objęty przez Muzeum. Nie byłaby to jednak odpowiedź pełna.

CMJW interesuje mnie przede wszystkim jako historyka. Każde miejsce jest przesiąknięte historią, ale ta kraina to klasyczne pogranicze. Czas płynął, przynależność państwowa Łambinowic zmieniała się, wojny trwały, powojenne porachunki czasem też, a w Łambinowicach lokowano kolejne obozy jenieckie i, w konsekwencji, cmentarze. Pierwszy powstał po wojnie 1871 r., ostatni po II wojnie światowej. Podobnie jak w Warszawie dobrym pomysłem jest planowana lokalizacja Muzeum Historii Polski oraz Muzeum Wojska Polskiego na Cytadeli, czyli w ważnym obiekcie historycznym, tak chyba nie ma lepszego miejsca dla muzeum jeńców niż Łambinowice.

CMJW to także kolekcja pamiątek historii prawie bieżącej. Publiczność często myśli o muzeach jako o skarbnicach dzieł dawnych. Tymczasem czas płynie coraz szybciej; to, co niezabezpieczone, znika. Nasze współczesne zainteresowania obejmują nie tylko dzieła sztuki, ale nawet przedmioty codziennego użytku. Wszystko może być nośnikiem pamięci historycznej – zaś CMJW zbiera owo „wszystko" w zakresie swojej tematyki.

ADAM SZPADERSKI,
PROFESOR UNIWERSYTETU SWPS

Sieć „Liga Pamięci Jenieckiej", której inicjatorem i liderem jest CMJW, to wyjątkowe konsorcjum integrujące instytucje i środowiska, które zajmują się jenieckimi miejscami pamięci. Odbywa się to w ramach pięciu obszarów działań: badań naukowych, edukacji, wystawiennictwa, upamiętnień oraz promocji. Synergia tych środowisk pozwala lepiej dbać o pamięć o jeńcach – zarówno w Polsce, jak i na całym świecie.

„Centralność" Muzeum nie wynika tylko z jego oficjalnej nazwy. Muzeum od lat prowadzi badania naukowe i dokumentuje losy jeńców wojennych, głównie z perspektywy ogólnopolskiej. Tworząc projekt Ligi, Muzeum – wraz z partnerami – powiększa znacząco zakres swoich działań. Historia miejsca pamięci i różnorodność narodowości ofiar predestynuje CMJW do globalnego spojrzenia. Wśród ofiar, pamięcią których opiekuje się Muzeum, są bowiem nie tylko obywatele Polski, Wielkiej Brytanii, krajów byłego ZSRR, ale m.in. też Australii, Belgii, Francji, Grecji, Kanady, Nowej Zelandii, Serbii, Słowacji, Włoch, a także Niemiec.

CMJW dąży do utworzenia międzynarodowego think tanku w zakresie działalności naukowej i edukacyjnej poświęconej jeniectwu. Kwestią centralną jest tu godność żołnierzy, czyli osób, które były i są narażone na traumę niewoli. Niemniej Muzeum planuje rozszerzyć swoją działalność. Niezwykle ważna z dzisiejszej perspektywy jest w tym kontekście również edukacja dla pokoju.

MAGDALENA GRZEBAŁKOWSKA,
REPORTERKA

W swojej pracy reporterskiej miałam kontakt z wieloma muzeami i archiwami, więc z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że Centralne Muzeum Jeńców Wojennych to miejsce niezwykłe. Zbierając materiały do książki „1945. Wojna i pokój", odkryłam wiele fascynujących i poruszających historii Polaków, Niemców i Ślązaków z Opolszczyzny. Sama pochodzę z północy Polski i nie wiedziałam o istnieniu obozu w Łambinowicach. Na szczęście dzięki takim miejscom jak CMJW doświadczenia pojedynczych ludzi mogą stać się częścią naszej wspólnej pamięci.

Bransoleta uczestniczki powstania warszawskiego, Zofii Arcimowicz, wykonana z tzw. nieśmiertelnika przez jeńca radzieckiego

ZE ZBIORÓW CMJW / SŁAWOMIR MIELNIK

JADWIGA WÓJCIAK,
PREZESKA PARTNERSTWA BORÓW NIEMODLIŃSKICH

Współczesność nastawiona jest na szybkie zadowolenie odbiorcy. Wiele instytucji, szczególnie tych zaangażowanych w sferę kulturalną, odsuwa od siebie odpowiedzialność za poziom komunikacji, skupiając się wyłącznie na skali odbioru: nieważne, kto do nas przychodzi, ważne, że statystki odwiedzin uzasadniają potrzebę naszego istnienia.

Takiego bezproduktywnego dogadzania odbiorcy nie zauważam w działalności Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych. Widoczne jest to nawet w przekazach ustnych – pracownicy zapraszają na

ZE ZBIORÓW CMJW / SŁAWOJ DUBIEL

Stary Cmentarz Jeniecki – Miejsce Pamięci Narodowej w Łambinowicach

„wizytę w muzeum", a nie na „wycieczkę do muzeum". Wycieczka z założenia ma bowiem dostarczać przyjemnych wrażeń, a misją muzeum jest nauka, zachęta do refleksji. Nie oznacza to jednak, że placówka sztywno trzyma się schematów przewidzianych dla jednostek zajmujących się martyrologią. Z roku na rok obserwuję coraz to nowe inicjatywy związane z miejscem pamięci: zaangażowanie dzieci i młodzieży w działania literackie czy plastyczne, pokazywanie miejsca historycznego w kontekście przyrodniczym, comiesięczne spotkania prowadzone we współpracy z uczelniami, organizacjami pozarządowymi i lokalnymi pasjonatami historii wokół tematów związanych z pozostałościami poobozowymi czy akcje na portalu społecznościowym, gdzie przybliżane są łambinowickie artefakty. A także poszukiwanie wciąż nowych sposobów ekspozycji i organizowania wystaw z wykorzystaniem najnowocześniejszych form przekazu – od druku na betonie po multimedialne pokazy. Wszystkie te działania prowadzone są z wyczuciem, z zachowaniem szacunku dla zmarłych i więzionych w Łambinowicach. Pracownicy Muzeum pokazują, że wciąż można skutecznie przekazywać wiedzę – w tym również o trudnej historii.

ALINA ŚLIMAK,
POLONISTKA Z ZESPOŁU SZKÓŁ W DOBRYM MIEŚCIE

Praca nauczyciela polega na otwieraniu drzwi, przez które uczniowie powinni przejść razem z nim i dalej pracować. Nie wyobrażam sobie pracy schematycznej, polegającej na biernym odtwarzaniu wiedzy. W moim odczuciu współczesna szkoła nie daje wystarczająco dużo przestrzeni do nauczania historii w sposób zaangażowany, głęboko rozumiejący. To już inne pokolenie, absolutnie nie gorsze, lecz inne, zanurzone w cyfrowym świecie, w którym może znaleźć informacje o różnej wiarygodności. Naszym zadaniem jest wychodzenie poza utarte ścieżki nauczania szkolnego, otwieranie oczu, pokazywanie, że przeszłość można poznawać, wcielając się w rolę detektywa.

Muzea historyczne dają bezpośredni kontakt, przybliżają źródła, oferują merytoryczną pomoc ekspertów. Bardzo sobie cenię taki sposób działania, stąd moje częste wyjazdy z młodzieżą, a właściwie wyprawy badawcze, poszukiwanie informacji.

Taka była właśnie moja motywacja do wzięcia udziału w organizowanym przez CMJW ogólnopolskim konkursie, który wymagał wysokich umiejętności gromadzenia i analizowania źródeł oraz ich interesującej prezentacji. Realizacje takich projektów poprzez nieszablonowe metody – my np. wykorzystujemy talenty uczniów, by tworzyć filmy, strony internetowe, komiksy, organizować żywe lekcje historii – sprzyjają wzbudzaniu pasji poznawczej u uczniów. Być może jako polonistka i miłośniczka literatury mam inne spojrzenie na historię, ponieważ z uczniami skupiamy się przede wszystkim na losach pojedynczych ludzi. Historia widziana z perspektywy konkretnej osoby jest zawsze bliższa, bo związana z uczuciami, myślami, pamięcią.

©℗ Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

Wybrane publikacje CENTRALNEGO MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Violetta Rezler-Wasielewska
MUZEUM W MIEJSCU PAMIĘCI

Piotr Stanek
PRZYSTANEK LAMSDORF. POWSTAŃCY WARSZAWSCY W OBOZIE JENIECKIM STALAG 344

Anna Wickiewicz
NIEWOLA W BRYTYJSKIM MUNDURZE. STALAG VIII B (344) LAMSDORF

Anna Matuchniak-Krasuska
ZA DRUTAMI OFLAGÓW. STUDIUM SOCJOLOGICZNE

Anna Czerner, Elżbieta Nieroba
NA STYKU HISTORII I CODZIENNOŚCI

Przemysław Jagieła
PODCHORĄŻOWIE WOJSKA POLSKIEGO W NIEWOLI NIEMIECKIEJ 1939-1945

Renata Kobylarz-Buła, Krzysztof Sznotala
WYKAZ NIEMIECKICH OBOZÓW JENIECKICH 1939-1945

Aleksander Klak, Krzysztof Krupa
GEPRÜFT. OCENZUROWANO. FILATELISTYKA Z LAT 1939-1945 W ZBIORACH CENTRALNEGO MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Wszystkie publikacje dostępne w sklepie
www.sklep.cmjw.pl

SPACER ROKU

Najlepszy piłkarz świata wywalczył w końcu mistrzostwo świata dla swego kraju. Zrobił to przy piątej, ostatniej próbie, u schyłku kariery. W dodatku zrobił to... w trakcie przechadzki.

MICHAŁ OKOŃSKI

Niektórzy nie wędrują wcale, inni chodzą tylko ubitymi drogami i tylko nieliczni wiedzą, czym jest prawdziwe chodzenie – powiedział na jednej z poprzedzających finał konferencji prasowych kapitan Argentyńczyków. Ach nie, przepraszam, pomieszały mi się notatki. To nie Leo Messi powiedział, to Henry David Thoreau napisał. Ale pomyłka zrozumiała, bo im dłużej trwał mundial w Katarze, z tym większą fascynacją rozważano właśnie temat chodzenia, dużo ciekawszy – jak się okazało – od kwestii stałych fragmentów gry, uderzeń z dystansu, szybkich kontr, intensywnego pressingu czy nawet (choć ostatecznie to one zdecydowały o zwycięstwie Argentyny) psychologii rzutów karnych.

I robiły to, dodajmy, nie tylko media sportowe. „W niedzielę ponad miliard widzów na całym świecie zasiądzie do oglądania finału mundialu i będzie patrzeć na ów najbardziej porywający sportowy spektakl: na małego mężczyznę chodzącego tam i z powrotem" – zapowiadał bój Argentyńczyków z Francuzami tygodnik „New Yorker", już w pierwszym zdaniu wybijając dokładnie ten paradoks, że oto losy mistrzostwa świata zależały od błąkającego się niby bez celu, pozornie roz-

BERNADETT SZABO / REUTERS / FORUM

Leo Messi idzie po puchar świata FIFA po wygranym finale mundialu w Katarze, Lusalj, 18 grudnia 2022 r.

marzonego w trakcie swojego psychogeograficznego dryfu flâneura.

Był zresztą ów mecz – miejmy od razu za sobą tę mocną deklarację – jednym z najlepszych w historii futbolu, a z pewnością najlepszym finałem mistrzostw świata w dziejach tej imprezy (opinię skonsultowałem z ekspertami, m.in. autorem „Historii mundiali" Leszkiem Jaroszem). W jego trakcie padały przepiękne gole, drużyna prowadząca dwiema bramkami roztrwoniła tę przewagę w sto sekund, w dogrywce i Argentyńczycy, i Francuzi dorzucili po jeszcze jednym golu, a szanse na kolejne trafienia mieli do ostatniego gwizdka sędziego Szymona Marciniaka. Słowo „dramat" bywa w dziennikarstwie sportowym nadużywane, ale jeśli to nie był dramat, jeśli uczestniczący w nim aktorzy nie zagrali życiowych ról (Messi i Mbappé – oscarowe), jeśli nie dali z siebie w siódmym występie na turnieju absolutnie wszystkiego – to nie wiem, co to było.

Piękny umysł

Ale był to nie tylko najlepszy finał w dziejach mistrzostw świata – był to finał, w którym o zwycięstwie przesądził najlepszy piłkarz w dziejach futbolu.

I nie, nie chodzi tylko o to, że wygrywając mundial dla Argentyny Leo Messi dorównał Maradonie. Nie chodzi o mozolne wyliczenie wszystkich zdobytych przez niego podczas gry w Barcelonie Lig Mistrzów czy Złotych Piłek (tych ostatnich ma siedem; dolary przeciw orzechom, że zaraz będzie ósma). Nie chodzi o przerzucanie się liczbą strzelonych goli albo o podkreślanie ich urody (pamiętnym rajdem w meczu Barcelona-Getafe z 2007 r. skopiował nawet słynną akcję Maradony w meczu z Anglią podczas mundialu 1986). Nie chodzi o wchodzenie w spór na temat, czy jest w świecie futbolu ktoś, kto lepiej dryblujе, podaje i strzela. Chodzi o sposób, w jaki wymyślił się na nowo, na mundialu w Katarze grając – tak przynajmniej widzi to jego rodak i niedawny trener z Paris Saint-Germain Mauricio Pochettino – jeszcze lepiej niż w czasach największej świetności Barcelony. I że zrobił to spacerkiem.

Futbolowi statystycy oczywiście policzyli wszystko z dokładnością co do metra. Leo Messi – uprawiający przecież dyscyplinę sportu, w której siła i szybkość od dawna wydają się rozstrzygające – w każdym meczu tegorocznego mundialu pokonywał średnio 5102 metry spacerem. Żaden inny zawodnik z pola nie pozwalał sobie na równie permanentne pozostawanie w tzw. „strefie pierwszej wysiłku" – tą kategorią FIFA określa ruch w tempie od zupełnego zatrzymania do siedmiu kilometrów na godzinę. Czy mam dodawać, że żaden inny zawodnik z pola nie miał równie niskich statystyk szacujących zaangażowanie w grę defensywną – tylko 0,2 akcji na mecz?

Przed laty obserwowano jego postępujący odwrót od biegania z niepokojem – w 2014 r. po mistrzostwach świata w Brazylii, gdzie również po boisku raczej człapał, ojcu zawodnika przypisywano np. zdanie, że nogi Messiego ważyły po sto kilogramów, i zastanawiano się nad przyczynami. Może nie był w stanie udźwignąć presji, z jaką wiązało się sprostanie oczekiwaniom rodaków? Zmagał się z jakąś tajemniczą słabością? Jeden z jego biografów, Guillem Balagué, pisał jednak już wtedy, że jeżeli Messi chce wydłużyć swoją karierę, powinien zacząć oszczędzać energię: „musi zrobić krok wstecz na boisku i zacząć korzystać z tych swoich atutów, które nie wymagają ciągłych sprintów i nie stanowią tak wielkiego obciążenia dla mięśni".

Jakie to atuty? Dlaczego Messi spędza tak wiele – niektórzy twierdzą nawet, że 85 procent – czasu gry w spacerowym tempie albo, by zacytować tytuł jednego z rozdziałów „Zewu włóczęgi" Rebeki Solnit, z „umysłem w tempie pięciu kilometrów na godzinę"? ↦

Lepiej mądrze stać, niż głupio biegać

↦ Rzecz w tym, że choć jego ciało rzadko przekracza tę prędkość, mózg pracuje znacznie, znacznie szybciej. W filmie „This Is Football" Pep Guardiola, jeden z dawnych trenerów Messiego, a równocześnie jeden z najwybitniejszych myślicieli w świecie piłki, mówi o Argentyńczyku, że choć nie biega, to pilnie obserwuje przebieg boiskowych wydarzeń, a po pięciu-dziesięciu minutach gry ma w głowie całą mapę. Wie, gdzie leżą słabe punkty obrony przeciwnika, a co jeszcze ważniejsze: wie, gdzie znaleźć wolną przestrzeń dla siebie i swoich kolegów.

W niespiesznej wędrówce znika z oczu kryjących go zawodników albo naraża ich na dylemat: nieustannie podążać za nim, a tym samym oddać pole tylko na to czyhającym partnerom Argentyńczyka, czy zająć się swoimi podstawowymi obowiązkami i wtedy przekonać się w mgnieniu oka, że właśnie o to mu chodziło. W osłupieniu patrzą wówczas na ten jeden jedyny sprint, drybling, strzał lub – coraz częściej – podanie; obserwowaliśmy to wiele razy w trakcie finału z Francuzami, jak zamiast samemu próbować rozstrzygnąć o losach spotkania, uruchamiał zagraniem któregoś z kolegów, w pierwszej połowie najczęściej świetnego Di Marię.

Obserwowanie tego, co robi w trakcie meczu Messi, dla przeciętnego kibica może wydawać się nudne, skoro przez zdecydowaną większość czasu Argentyńczyk pozostaje poza grą – ale tak naprawdę jest fascynujące. Nie świadczy o lenistwie czy braku zaangażowania – to praktyka, czytamy w „New Yorkerze", świadcząca o najwyższej piłkarskiej inteligencji. I będąca największym przekrętem w dziejach współczesnego futbolu.

„Wszyscy trenerzy mówią o ruchu, żeby dużo biegać i pracować. Ja mówię: nie biegajcie aż tak dużo. W piłkę nożną gra się mózgiem. Należy znaleźć się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, nie za wcześnie i nie za późno" – mówił niegdyś mentor Messiego i Guardioli, ojciec założyciel nowoczesnego futbolu, Johan Cruyff. „Robiąc dwa kroki, mogłem radykalnie zmienić cały rytm gry" – wtórował mu sam Guardiola. A kolejny wizjoner futbolu, blisko współpracujący z Guardiolą Juanma Lillo, podsumowywał: „Podczas gdy wszyscy biegną w jedną stronę, ty robisz krok w drugą i obserwujesz, jak otwiera się przestrzeń".

„Innymi słowy – pisze Jody Rosen – dla Messiego chodzenie jest równoznaczne z widzeniem i myśleniem. Ale ma również kluczowe znaczenie dla sposobów, jakimi zamienia analizę w działanie". Trudno się dziwić, że co bardziej oczytani obserwatorzy gry Argentyńczyka na mundialu w Katarze sięgali właśnie po figurę flâneura – samotnego mężczyzny przechadzającego się po Paryżu i bacznie obserwującego uliczny zgiełk. Jeden z najsłynniejszych flâneurów, Walter Benjamin, pisze w „Pasażach" (przeł. Ireneusz Kania), że to w mieście nad Sekwaną nauczył się sztuki błądzenia – czy to tylko przypadek, że akurat w stolicy Francji Messi gra dzisiaj w piłkę?

Oczywiście, jak zauważa Rebecca Solnit, „Benjamin nigdy jasno nie zdefiniował flâneura, nakreślił natomiast konstelację skojarzeń: z czasem wolnym, z tłumem, z wyobcowaniem lub dystansem, z obserwacją, z chodzeniem" (przeł. Anna Dzierzgowska, Sławomir Królak). Flâneur może być próżniakiem, może być poetą; jak widać, może być też piłkarzem.

Swoboda myślenia i środek ciężkości

W zdaniach Guardioli i Solnit kluczowe wydaje mi się słowo „obserwacja". Messi – choć często sprawia wrażenie, jakby nie patrzył w stronę, w którą za chwilę poda piłkę – ma w głowie panoramę całego boiska. Jak pisze Solnit: „Wędrowanie można sobie również wyobrazić jako czynność wzrokową, a każdą przechadzkę jako podróż na tyle swobodną, by pozwalała zarówno oglądać widoki, i je przemyśleć, przyswoić sobie to, co nowe, i uczynić je czymś znanym. Prawdopodobnie w tym właśnie tkwi szczególna użyteczność chodzenia dla myślicieli". I jeszcze: „Chodzenie, w wersji idealnej, jest stanem, w którym umysł, ciało i świat spotykają się z sobą, jak gdyby były trzema prowadzącymi rozmowę postaciami, trzema dźwiękami, niespodziewanie łączącymi się w akord. Wędrowanie pozwala nam na osadzenie się we własnym ciele i w świecie bez konieczności zajmowania się nimi. Daje swobodę myślenia bez niebezpieczeństwa całkowitego pogrążenia się i zatracenia we własnych myślach".

Skądinąd: o ciele Messiego również napisano niejedną rozprawę. Wiadomo, że od dziecka zmagał się z niedoborem hormonu wzrostu i że jako dwunastolatek przeszedł kosztowną kurację: codziennie aplikował sobie zastrzyki, które ostatecznie pozwoliły mu osiągnąć te 169 centymetrów. Trudno powiedzieć, żeby był proporcjonalnie zbudowany: tułów ma wyraźnie dłuższy niż nogi, ale dzięki niskiemu środkowi ciężkości trudno go przewrócić czy przepchnąć, on sam zaś z niezwykłą łatwością potrafi zmienić kierunek ruchu, nagle przyspieszyć lub równie niespodziewanie się zatrzymać – tak wyprowadził w pole najlepszego obrońcę turnieju Joško Gvardiola podczas meczu z Chorwacją. Z daleka wyglądało to tak, jakby bawił się w kotka i myszkę albo prowokował byka.

Metafory odnoszące się do tanga w pisaniu o argentyńskich piłkarzach należą do najbardziej tandentnych, ale jest jeden element cechujący zarówno najlepszych tancerzy, jak też najwybitniejszych zawodników: *la pausa*, moment nagłego zawieszenia wszelkiej aktywności, odwlekania kolejnego ruchu, w futbolu służący do tego, by umożliwić wybiegającemu na pozycję koledze znalezienie się w idealnym miejscu, albo do reszty zwieść rywala, daremnie usiłującego nadążyć za intencjami posiadającego ową sztukę zawodnika.

Na portalu „The Athletic" znalazłem wypowiedź Roberta Moreno, szkoleniowca współpracującego (bo przecież powiedzenie, że trenował geniusza, byłoby niestosowne) z Messim w Barcelonie, porównującego jego boiskowe zachowania do Neo z „Matriksa", który potrafił skupić uwagę do tego stopnia,

POŻEGNANIE

Andrzejowi Wielowieyskiemu
dzieciom, wnukom i prawnukom
towarzyszymy w modlitwie
i wyrażamy nasze najserdeczniejsze współczucie
z powodu śmierci ich wspaniałej
Żony, Matki, Babki i Prababki
Zuli Wielowieyskiej
Niech pamięć o Niej doda Wam sił
w trudnych chwilach rozstania!
Przyjaciele ze Znaku

że wystrzelane w jego kierunku pociski zdawały się lecieć w zwolnionym tempie; rzecz w tym, że to nie one nagle grzęzły w jakiejś magmie – to jego myśli były szybsze od kul.

Piknik na polu gry

Nie da się wygrać mundialu w pojedynkę: żeby zostać mistrzem świata, Leo Messi potrzebował oczywiście drużyny i trenera.

Takiej drużyny, która będzie gotowa poświęcić się dla niego, by mógł spokojnie spacerować – dzisiejszy futbol rzadko pozwala wygrywać zespołom, w których jeden zawodnik aż do tego stopnia nie angażuje się w grę obronną – a zarazem nie będzie zwalała wszystkiego na jego barki. Koledzy ani myśleli zastygać w bezruchu, w oczekiwaniu, aż ich lider zrobi coś wyjątkowego: żeby popisać się fenomenalną asystą w meczu z Holendrami, Messi musiał nie tylko wiedzieć (bo przecież nie widzieć, skoro wzrok miał cały czas skupiony na piłce), w którym miejscu za chwilę znajdzie się Molina – Molina musiał także trafić.

I takiego trenera, który zadba o pejzaż pozwalający Messiemu uprawiać szlachetną sztukę wędrowania. Lionel Scaloni selekcjonerem został niemal przez przypadek: jako asystent zwolnionego poprzednika był akurat pod ręką i nie trzeba mu było wiele płacić; doświadczenia z samodzielnym prowadzeniem drużyny nie miał żadnego, a od dziś jego nazwisko wymieniać się będzie jednym tchem z ikonami argentyńskiej myśli szkoleniowej: romantycznym Menottim, niestroniącym od antyfutbolu Bilardo, szukającym trzeciej drogi między nimi Bielsą. To też jeden z paradoksów zakończonego właśnie mundialu: o miejscu Scaloniego w historii przesądzi fakt, że zdołał uwolnić Messiego – choć przecież sposób, w jaki dobierał zawodników i formacje na mecze z konkretnymi rywalami, i jak wyciągał wnioski z sensacyjnej porażki z Arabią Saudyjską, świadczy o tym, że potrafił nie tylko zatroszczyć się o komfort lidera drużyny.

Kiedy jednak przełączało się transmisję na widok z tzw. kamery taktycznej, obserwującej całe boisko z lotu ptaka, najsilniej rzucał się w oczy ów samotny, niemal nieruchomy punkt pośrodku tak wielkiej przestrzeni, że wydawało się – aż żal, że samemu nie wpadło się na to porównanie, użył go Jody Rosen – iż za chwilę rozłoży tam kosz piknikowy i wyciągnie z niego butelkę Malbecu. Jak się znalazł w tym miejscu i kiedy rywale stracili go z oczu? W jaki sposób za chwilę znajdzie się przy piłce? Jakim cudem wykalkulował, że ten jeden jedyny sposób odegrania futbolówki do Álvareza także koledze stworzy równie wielkie pole do gry?

Człowiek nieświętej ziemi

„W moim życiu spotkałem jedną, może dwie osoby, które pojęły sztukę chodzenia, czyli podejmowania wędrówek; które posiadały geniusz przechadzania się – pisał Thoreau 125 lat przed narodzinami Messiego; gdyby dziś żył, doliczyłby do tej listy także Argentyńczyka. – Angielskie słowo »*sauntering*« odnosiło się pierwotnie do tych czczych jednostek, które włóczyły się po średniowiecznych wioskach i zbierały datki pod pozorem rzekomej pielgrzymki do Ziemi Świętej (*Sainte Terre*), aż pewnie któregoś dnia jakieś dziecko wykrzyknęło: »Tam idzie Sainte Terre«, Człowiek Świętej Ziemi. (...) Niektórzy wywodzą słowo »*saunter*« od zwrotu »*sans terre*«, to znaczy »bez ziemi« czy też »bez domu«. Odnosi się to więc zarówno do braku konkretnego domu, jak i umiejętności znajdowania domu w wielu miejscach. I to jest właśnie sekret skutecznej wędrówki" (przeł. Piotr Madej). Co jak co, ale znajdować dom w wielu miejscach na boisku, i w żadnym nie pozostawać na stałe, potrafi Messi jak nikt. Podczas swoich pasaży, pośrodku chaosu i zgiełku, jak flâneur w wielkim tłumie robi coś, do czego futbolowi analitycy potrzebują owych kamer taktycznych, komputerów i danych: czyta grę.

> Obserwowanie tego, co robi w trakcie meczu Messi, przeciętnemu kibicowi może wydawać się nudne. **A to praktyka świadcząca o najwyższej piłkarskiej inteligencji.**

Ale wprowadzenie tu nazwiska autora „Waldenu" pozwala przypomnieć jeszcze raz o czasach, w których żyjemy – i w których odbywał się mundial. Świetnie wiemy, że Thoreau był tyleż piewcą natury, co krytykiem społeczeństwa, w którym przyszło mu żyć. Najpiękniejszy finał mistrzostw świata, jeden z najpiękniejszych meczów w dziejach futbolu, odbył się w Katarze. Organizację imprezy kraj nad Zatoką Perską zawdzięcza niebotycznej korupcji. Budowa stadionów kosztowała życie – dokładne liczby pozostają nieznane – co najmniej kilku tysięcy migranckich robotników pracujących w urągających wszelkim standardom warunkach. Puchar, o którego zdobyciu śnią wszyscy rozpoczynający piłkarską karierę chłopcy, Leo Messi odbierał z rąk gruntownie skompromitowanego prezesa FIFA Gianniego Infantino, emir Kataru zakłócił Argentyńczykowi świętowanie, zmuszając go do przebrania się w biszt, miejscową szatę, i rujnując tym samym najpiękniejsze fotografie w życiu. Choć i Messi, i król strzelców turnieju Mbappé grają w klubie z Paryża, grają w nim za katarskie pieniądze. Trudno w tym miejscu jeszcze raz nie użyć słowa „*sportswashing*".

Czy można po tym wszystkim powiedzieć, że zwyciężył futbol? Czy istnieje sposób mówienia i o jednym, i o drugim? Albo: czy wystarczy tylko mówić? „Podobnie jak jedzeniu czy oddychaniu, chodzeniu można przypisywać radykalnie odmienne znaczenia kulturowe, od erotycznych po duchowe, od artystycznych po rewolucyjne" – pisze Rebecca Solnit. Jej „Zew włóczęgi" pokazuje również, że chodzenie może mieć wymiar polityczny – i choć akurat od tego Leo Messi z pewnością by się odżegnał (nie zapominajmy zresztą, że jest ambasadorem turystyki Arabii Saudyjskiej, więc z łatwością możemy sobie wyobrazić, jak lobbuje za powierzeniem temu krajowi mundialu w roku 2030), my nie musimy.

Ale o tym porozmawiamy za parę dni, w przyszłym roku. Dziś jeszcze możemy świętować fakt, że żyjemy w czasach, w których po boiskach biega – to jest, najmocniej przepraszam, przechadza się – najlepszy piłkarz w historii futbolu, Leo Messi. Futbolowe baśnie – ta zaczęła się w kłębach pyłu u stóp zdezelowanej trybuny na przedmieściach Rosario, 31 lat temu, gdzie babcia pewnego czterolatka namówiła miejscowego trenera, by dołączył chłopca do zajęć starszych zawodników – rzadko miewają aż tak szczęśliwe zakończenie. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Artykuł jest skróconą wersją tekstu, który ukazał się w noc po finale mundialu: **powszech.net/messi-final.**

STANISŁAW

Mancewicz:
Bagaż rejestrowany

Oto umarł jedyny polski kosmonauta p. Mirosław Hermaszewski. Poleciał poniekąd znikąd donikąd i wrócił stamtąd w chwale. Nie będziemy się tu rozwodzić nad politycznymi afiliacjami p. M. Hermaszewskiego i tychże analizami, których ostatnio było – co zrozumiałe – sporo. Gdy p. M. Hermaszewski poleciał, niemal wszyscy – jak tu ponuro siedzimy – byliśmy dziećmi. Byliśmy młodzi albo byliśmy prawie młodzi. No więc rzec trzeba, że jego lot, poza tym że reprezentował w kosmosie nas tu zgromadzonych, nie wzbudził na ziemi polskiej, pośród wszelakich rzesz obywatelskich, nazbyt wielkiej sensacji. Lot ów nie był bodźcem, bo nikogo do niczego nie pobudził. Ani w świecie czynu, ani nauki, ani nawet propagandy – choć ta się dwoiła i troiła. Lot ten nie był krokiem milowym i nie był lotem zdobywczym. Był to zwykły lot w kosmos, zwyczajnego człowieka z niezwykłego – owszem – kraju. Ani był on pierwszy, ani w kosmosie ostatni. Był to rutynowy lot ku nieważkości, którą akurat my, Polacy, osiągamy bez trudu innymi sposobami. Bez skafandrów, rakiet i astronomicznych wydatków. Ano właśnie. Wydatki. Lot ten był kosztowny.

Od lat interesujemy się kosmosem, też komercyjnie. Nasze pomysły, jak by tu na kosmosie zbić majątek, są znane tu i ówdzie, i jak to zwykle bywa z pomysłami ludzi idących wiele kroków przed resztą, są zbywane lekceważeniem. Tak czy owak, bo nie o naszą wybitność dziś idzie, chcemy powiedzieć, że cena wyniesienia jednego kilograma materii ziemskiej na orbitę okołoziemską to plus minus milion dolarów plus VAT. Cena od lat leci, ale nie są to wcale spadki skłaniające do natychmiastowego użycia karty płatniczej. Słowem, nie ma tu promocji ani wyprzedaży.

Czemu o tym piszemy? Jest to bowiem wstęp do próby udowodnienia, że wylot w kosmos p. M. Hermaszewskiego był jednak niezwykły. By to sobie i Państwu zilustrować, musieliśmy udać się do przydomowego archiwum, w którym od wielu dziesięcioleci gromadzimy notesy z zapiskami na temat Krainy Uśmiechu. Są to nie tylko nasze notatki, ale i innych członków rodziny, którzy dziedziczyli z pokolenia na pokolenie skłonność do notowania i śmiania się z tych notatek głośno i przez lata. Tamże, w przydomowym archiwum, nie bez trudu znaleźliśmy zeszyt naszego przodka, który z omawianego tu lotu sporządził ręczną notkę, *in extenso* przepisując depeszę Polskiej Agencji Prasowej opublikowaną w „Dzienniku Polskim" nr 146 z dnia 29 czerwca 1978 r. Jest to mianowicie suchy spis przedmiotów, z którymi p. M. Hermaszewski wystartował w rakiecie Sojuz 30, a następnie orbitował w aparacie o nazwie Salut 6-Sojuz 29. W sumie pokonał z owym osobliwym bagażem ponad 5 milionów kilometrów ze średnią prędkością 28 tys. km/h – dane te zaczerpnęliśmy z Wikipedii. Oto owe przedmioty: flaga i godło PRL, fotografie Edwarda Gierka i Leonida Breżniewa, ziemia z pól bitewnych Lenino i Warszawy, miniaturowe wydanie „Manifestu Komunistycznego", konstytucja Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, znaczki VI i VII zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, proporce PZPR, Frontu Jedności Narodu, Wojska Polskiego, Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, Związku Bojowników o Wolność i Niepodległość, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Huty Katowice, faksymile „O obrotach sfer niebieskich", rysunek Układu Słonecznego, medale polskich instytucji naukowych, herby 49 miast wojewódzkich, medal pamiątkowy lotu, znaczki i koperty ze stemplem okolicznościowym, miniaturowe wydanie „Pana Tadeusza" oraz złoty medal Centrum Zdrowia Dziecka.

Rzec trzeba, że dworowanie sobie dziś, po 44 latach, z zawartości walizki p. M. Hermaszewskiego nie ma sensu, bo spis owych – za przeproszeniem – relikwii jest w jakimś stopniu aktualny i powinien skłaniać do tzw. refleksji i zadumy. W co zostałby wywianowany polski zdobywca kosmosu, delegowany przez dzisiejsze KC na orbitę? Z czyimi fotografiami człowiek ten by orbitował? Z jakimi utworami, medalami i proporcami? Jest to zagadka tak łatwa, że jej tu nie rozwiążemy. Do siego roku! ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

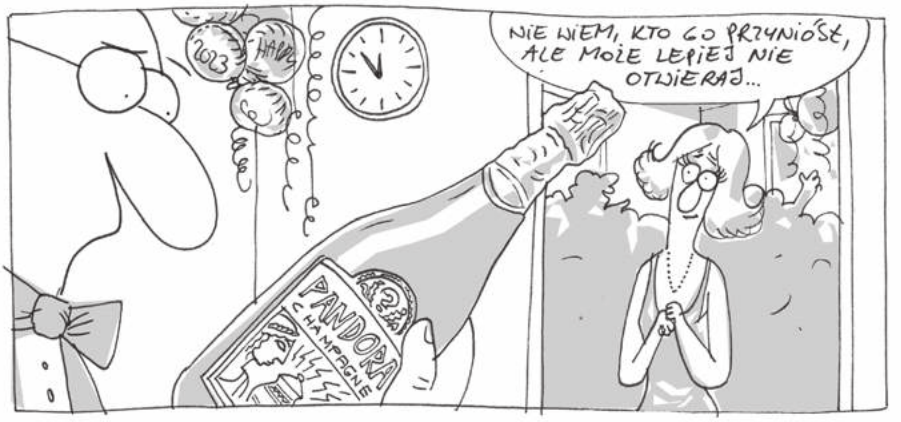

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie!

...szeleści

* można czytać wspólnie

mogę kolekcjonować i zabrać do lasu

mogę po nim kreślić!

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA

na podstawie sztuki
Stefana Żeromskiego

opracowanie dramatu wg koncepcji
Krystyny Duniec i Pawła Sablika

reżyseria
Michał Kotański

dramaturgia
Paweł Sablik

scenografia i kostiumy
Dorota Nawrot

muzyka
Lubomir Grzelak

ruch sceniczny
Paweł Łyskawa

wideo
Jakub Lech

reżyseria światła
Monika Stolarska

obsada
Ewelina Gronowska
Joanna Kasperek
Mateusz Bernacik
Bartłomiej Cabaj
Jacek Mąka
Wojciech Niemczyk
Andrzej Plata
Łukasz Pruchniewicz
Dawid Złobiński

inspicjentka-suflerka
Kamila Długosz

premiera
grudzień 2022

TEATR
ŻEROMSKIEGO
W KIELCACH

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach jest jednostką organizacyjną Samorządu Województwa Świętokrzyskiego współfinansowaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

www.teatrzeromskiego.pl

REKLAMA